

DAVID GORDON

SERIALISTA

Najbardziej arogancki kryminalista tego roku!

Ostry jak uśmiech poprawiony brzytwą

KATARZYNA BONDRA

DRESZCZE

Paradiso K

DAVID GORDON

SERIALISTA

TŁUMACZENIE HANNA URBAŃSKA

 Pracownia K

SERIA DRESZCZE

David Gordon: *Serialista*

TUTUŁ ORYGINAŁU *The Serialist*

Copyright © for this edition by Poradnia K, 2015

Text © by David Gordon

All rights reserved

Wydanie I

TŁUMACZENIE Hanna Urbańska

REDUKCJA Stanisław Tekieli

KOREKTA Tamara Książczak-Przybysz

PROJEKT OKŁADKI, PROJEKT SERII, MAKIETA Beata Dejnarowicz

SKŁAD Joanna Reniger

DRUK Abedik, Poznań

Warszawa 2015

ISBN 978-83-63960-20-9

ISBN e-book 978-83-63960-21-6

Poradnia K sp. z o.o.

00-544 Warszawa, ul. Wilcza 25, lok. 6

E-MAIL poradniak@poradniak.pl

KSIĘGARNIA INTERNETOWA sklep.poradniak.pl

www.poradniak.pl



Poradnia K

CZĘŚĆ PIERWSZA

4-15 KWIETNIA 2009

1

Pierwsze zdanie książki zawsze jest naj ważniejsze. No, może oprócz ostatniego - ostatnie zdanie może utkwic w głowie, niczym echo zatraskiwanych drzwi, które długo slychać na korytarzu. Ale wtedy oczywiście jest już za późno, przeczytałeś ją całą. Wielokrotnie, gdy kupowałem w księgarni nową książkę, kartkowałem ją, żeby przeczytać ostatnie zdanie. Zżerała mnie ciekawość. Nie wiedziałem, dlaczego tak robię. Wiedziałem tylko, że mogę. A jeżeli mogę, na pewno to zrobię. To jak w dzieciństwie - zdzieranie papieru czy oglądanie horroru w telewizji przez rozsunięte palce. Nie możemy się powstrzymać, żeby nie zerknąć na coś, co nas przeraża - nawet jeżeli wiemy, że nie powinniśmy na to patrzeć. Nawet jeżeli wcale patrzeć nie chcemy.

Chciałem zacząć tę książkę porządnie, mocnym pierwszym zdaniem, również dlatego, że jest pierwszą, którą piszę pod własnym nazwiskiem. Piszę od siebie, cokolwiek miałoby to oznaczać. Chcę się upewnić, że nastrój będzie odpowiedni, że do was trafię, a na końcu przeciągnę na swoją stronę. Chcę, żeby ta książka była intymna w sposób, na który pozwala tylko narracja pierwszo-osobowa. Wszystko po to, byście podążyli za mną, gdziekolwiek zechcę, nawet gdy zaczniecie podejrzewać (choć wtedy będzie już za późno), że jestem jednym z tych narratorów, na których nie można polegać. Uczyliście się o nich na lekcjach angielskiego. Ale spokojna głowa, nie jestem taki. To nie jest żaden podstęp. Nie jestem mordercą. Jak już mówiłem (wspominałem o tym?), jest to prawdziwa historia i mam zamiar opowiedzieć ją w całości.

Do tej pory byłem „duchem”. Ukrywałem się pod fałszywymi nazwiskami i tożsamościami innych osób. Tak naprawdę to nawet ta opowieść nie była na początku moja. Zaczęło się od zlecenia, z ro-

dzaju tych, które w branży wydawniczej nazywamy „z pierwszej ręki”. Ale narratora, który mi swą historię zaczął opowiadać, już nie ma - na zawsze zostanie duchem. Historia przypadła mnie, czy mi się to podobało, czy nie. Oczywiście, teraz, kiedy jest już w całości moja, kto będzie chciał ją przeczytać? Kogo obchodzi, co jakiś duch ma do powiedzenia?

Ale jestem w końcu profesjonalistą, a powieść należy do gatunku kryminał/akcja (do odpowiedniego rozłożenia na półkach), chciałbym więc rozpocząć ją w klasycznym stylu, czymś, co porwie czytelnika i już go nie puści. Czymś, co zmusi wasze krótkie, spocone paluszki do gorączkowego przerzucania stron aż do świtu. Czymś w tym rodzaju:

Wszystko zaczęło się pewnego ranka, kiedy to przebrany za zmarłą matkę, w towarzystwie mojego współnika biznesowego, który, nawiasem mówiąc, jest 15-letnią uczennicą, otworzyłem list od więźnia skazanego na śmierć i odkryłem, że pewien seryjny zabójca jest moim największym fanem.

2

Od dwudziestu lat zajmuję się pisaniem. Mniej więcej. W tym czasie opowiedziałem wiele historii - jedne były prawdziwe, inne nie. Ci z was, którzy czytali magazyn *Lubieżnicy*, kiedy jeszcze dawali w nim rzeczy do czytania, mogą pamiętać mnie jako Zaklinacza Zdzir. Kojarzycie? Prowadziłem rubrykę z poradami typu: jak radzić sobie z dziewczynami, jak złamać zbuntowaną, krnąbrną bladź i zmienić ją w pokorną seksualną niewolnicę lub jak nakłonić nieśmiałe, opierające się dziewczę do zdeprawowanych aktów seksualnych, które często wymagały użycia smyczy, pasów i łakoci. Moja dziewczyna, Jane, płakała ze śmiechu podczas czytania tej rubryki w łóżku w niedzielne popołudnia. Ja w tym czasie robiłem kawę, jajka na miękko, które tak lubiła, i krojone tosty z masłem. Czasem nawet pisała ją za mnie, kiedy ja nie byłem w stanie odpowiedzieć na jakieś pytanie („Drogi Zaklinaczu Zdzir, chciałbym poprosić dziewczynę z biura, żeby na mnie nasikała i żonę, żeby to nakręciła. Jak mam to zrobić?”). Albo gdy byłem zbyt zajęty ghostwritingiem - na przykład poradnikiem inwestowania na giełdzie sygnowanym nazwiskiem sędziwego milionera albo poradnikiem tresury szczeniaków dla gwiazd filmowych. Przetestowaliśmy zresztą gwiazdorską technikę na psie Jane, ale okazała się zdecydowanie mniej skuteczna niż w przypadku shih tzu Barbry Streisand: pieprzony kundel wciąż wskakiwał do nas na łóżko, mimo, a może właśnie dlatego, że krzyczeliśmy na niego *Nie!* Udało mi się jednak wcisnąć sporo tych technik (rażące prądem obroże, wzmocnienie pozytywne, stara dobra metoda kija i marchewki) w rubrykę dla zбочeńców.

Nigdy nie przyszło mi do głowy, dopóki nie było za późno, a Jane dawno już odeszła, żeby zamieszkać w piaskowcu na Brooklynie z prawdziwym pisarzem (mówiąc prawdziwym, mam na myśli pisarza

odnoszącego sukcesy i wydającego prawdziwe powieści pod prawdziwym nazwiskiem), z którym założyła *Podarty pled*, pismo podnoszące naprawdę ważne kwestie, typu: *Dlaczego pisarstwo eksperymentalne nie może być równie miłe i niegroźne, uroczo dziwaczne, ale jednocześnie tak bardzo kojące jak kino niezależne czy rock alternatywny?*, po czym pewnego dnia znalazłem jej zdjęcie na tylnej okładce powieści *Przewaga jesieni* (która swoją drogą składała się z dwóch powieści - jedna zaczynała się na pierwszej stronie, a druga na ostatniej, można było więc czytać ją od końca lub od początku, w ten sposób odkrywając dwie różne - choć równoległe! - historie o kochankach, którzy wciąż się mijają i których drogi przecinają się, kiedy jadą tym samym metrem, śnią wspólne sny czy chodzą do tej samej pizzerii na to samo ulubione calzone z pieczarkami; jedno z nich nawet gubi szalik, które drugie znajduje, przez co spotykają się w końcu jesiennego wieczoru na pewnym skrzyżowaniu na Brooklynie - ma to miejsce w samym środku książki); tuż obok, przy propozycjach wydawnictwa widniała równie słynna i niegdyś innowacyjna książka jej męża *Podziemie* (o młodym chłopcu, który, chcąc uciec od problemów rodzinnych i silnej gorączki, odkrywa pod łóżkiem świat cudów; cała powieść, wyobraźcie to sobie, została napisana w formie przypisów na dole strony, do tego ustawionych do góry nogami!). To właśnie wtedy, stojąc samotnie w księgarni Borders i gapiąc się na okładkę jej książki, trzymając w pewien sposób jej twarz we własnych dłoniach i wlepiając wzrok w jej świeży uśmiech, cienkie, a czasem suche brązowawe włosy, lekko obrzmiałą dolną wargę, nieco krzywy nos i, przysięgam, złote oczy, przyszło mi do głowy, że może te wszystkie chichoty i rumieńce na widok bicza czy obroży, jak i cała związana z tym reszta, wszystko to było tylko wołaniem o pomoc, które ja, głuchy jak pień, zignorowałem. Być może byłoby inaczej, gdybym tylko miał na tyle odwagi, żeby położyć swoją kochającą, lecz stanowczą dłoń na jej uległym, lecz bardzo jędrnym tyłeczku i, niczym Barbra, rozkazać głosem ciepłym, wyważonym, acz stanowczym: *Zostań!* Wtedy, być może, wciąż byłaby Słodką Suczką Swojego Pana, a nie Żoną Jakiegoś Bogatego Dupka.

Nie zrozumcie mnie źle. Ja też pisywałem powieści. Kiedy ostatnio liczyłem, było ich 23. Niestety, *Lubieżników* zrujnował internet, jak zresztą i inne magazyny, podobnie jak wcześniej filmy i telewizja zniszczyły książki, a jeszcze wcześniej coś tam zniszczyło poezję, tylko nie pamiętam już co. A może to było samobójstwo. W każdym razie nawet zbrojeńcy przestali czytać i tak skończyła się moja kariera w pornografii. Jednak jeden z redaktorów *Lubieżników* dostał robotę w wydawnictwie sci-fi, a ja znalazłem pracę pisząc książki pod różnymi nazwiskami (innymi niż te, których używałem w branży porno, gdzie najczęściej działałem pod nazwiskiem Tom Stanks lub, jeżeli akurat potrzebowałem żeńskiego pseudonimu, Jillian Gesso). Najpierw była seria science fiction pod tytułem *Zorg*. Nie była to dla mnie aż tak wielka zmiana - *Zorg* to planeta miękkiego porno, na której pomiędzy scenami walk dużo było seksualnego zniewolenia, lekkiej odmiany bondage i tortur erotycznych. Wyobrażałem sobie to miejsce jako antyczno-futurystyczne, pełne zamków i pojazdów kosmicznych, walk na miecze i lasery, gdzie panienki o wielkich piersiach i cieniutkich taliach oraz brodaci, krzepcy mężczyźni o dziwnie rozbudowanych klatkach piersiowych ujeżdżali smoki, latali rakietami i pili miód z rogów. Te napisałem pod nazwiskiem T. R. L. Pangstrom. Najsłynniejszą książką z tej serii stały się *Dominujące kurwy z planety Zorg*, ale najwięcej zabawy miałem z *Buntem zorgańskich seksrobotów*, w którym dziewczęta ostatecznie zmieniają układ sił. W tej książce umieściłem nawet dedykację: *Dla J.*

Potem zacząłem cykl powieści o biednych dzielnicach i mieszkających w nich Afroamerykanach - ten gatunek nazywają *miejskim realizmem*. Bohaterem tej serii był eks-porucznik oddziałów specjalnych, weteran z Afganistanu i Iraku, który został ranny, a potem

uzależnił się od narkotyków. Po powrocie do Harlemu odstawia drugi i zostaje uczciwym gliną, który jednak zostaje wykopany z pracy, kiedy na jaw wychodzi jego przeszłość. Kończy więc jako niezależny prywatny detektyw pracujący na zlecenie, wymierzający uliczną sprawiedliwość za dwieście dolców dziennie plus pokrycie kosztów. Opisałem go jako czarnoskórego Żyda o etiopskich i indiańskich korzeniach o imieniu Mordechaj Jones - szeryf z getta. Autor: J. Duke Johnson. Z wywiadu przeprowadzonego przeze mnie z sobą samym dla magazynu *Gra* czytelnik może się dowiedzieć, że J. znaczy tu John. Ale wszyscy zawsze mówili na mnie Duke. Ostatnio jednak zacząłem wkręcać się w wampiry, które wydają się być na razie najbardziej intratne. Niepojęta dla mnie moda na wampiry sprawia, że książki o nich natychmiast znikają z półek. W księgarni Barnes & Noble są ich całe metry. Dlaczego? Cholera wie. Ma to coś wspólnego z tą całą nową gotycko-industrialną, podszytą horrorem kulturą klubową. Moje doświadczenie ze zdzirami doskonale pasuje do tych wszystkich czarnych ciuchów, piercingu, pończoch i tak dalej. Okazało się, że jestem w stanie zarobić na życie, pisząc czyta dla kujonów i zбочeńców, podczas gdy prawdziwa literatura umiera. Lecz kiedy książki stają się fetyszem, wiadomo, że czytać je będą tylko fetyszyści.

Według 26-letniego redaktora wydawnictwa *Phantasm* cały trik polega na tym, by książki o wampirach pisać z perspektywy młodej kobiety. Literacko nie był to dla mnie problem, zważywszy na to, że większość opowiadań, które napisałem jako Jillian Gesso dla magazynu *Słodka młódka*, zaczynała się od słów typu: *Działo się to w moje 18, urodziny, kiedy jako kapitan drużyny cheerleaderek...* Problem pojawił się wraz z kwestią nazwiska i zdjęcia autorki.

Z poprzednimi pseudonimami nie miałem podobnego problemu: T.R.L. Pangstrom - wystarczyło moje zdjęcie z doczepioną brodą, w okularach z rogowymi oprawkami i poduszką wetkniętą pod koszulę. Wyobraziłem go sobie, a może raczej jego czytelników, jako pulchnych, nieprzystosowanych koleżków i starałem się wyglądać jak nieco fajniejsza wersja ich samych - coś, do czego sami mogliby dążyć. J. Duke Johnson to z kolei mój przyjaciel - Morris, właściciel kwaciarni niedaleko mojego mieszkania. Jest strasznie gejowaty, ale również ogromny, ma grubą, ciemną skórę, długie, ciężkie warkocze i wielką, królewską twarz, która według mnie wygląda tak, jak mogłaby wyglądać twarz Duke'a Johnsona - surowa, mądra i nieskłonna do certolenia się z nikim. Nie mogłem tylko pozwolić, by uśmiechał się na zdjęciach, a to z powodu jego dołeczków w policzkach i

rozkosznej szpary między zębami. Ubraliśmy go w garnitur i kapelusz, pożyczylimy kilka pierścieni, a ja postawiłem jemu i Gary'emu - jego szczuplutkiemu wietnamskiemu chłopakowi - kolację i wino. Kiedy już się upił, wynudził i zrobił śpiący, wreszcie osiągnął ten doskonały, umęczony, królewski wygląd typu „nie zadzieraj ze mną”. Wtedy zrobiłem mu zdjęcie jednorazowym aparatem. W obydwu przypadkach wystarczyła jedna mała, niewyraźna, czarno-biała fotografia. Wysyłałem je na prośby ludzi od marketingu; wiercie mi, nie było ich zbyt wiele.

Okazało się jednak, że miłośnik wampirów potrzebuje czegoś więcej: lepszych zdjęć i bliższego kontaktu z autorem. No i oczywiście musiała to być autorka, ponieważ czytelnicy, głównie płci żeńskiej, ufali i wierzyli w wampirze opowieści napisane z perspektywy kobiety tylko wtedy, gdy autorką rzeczywiście była kobieta. Najlepiej atrakcyjna, ale niezbyt młoda ani zbyt szczupła. W ten właśnie sposób do gry weszła moja zmarła matka.

Wtedy nie była jeszcze martwa. Wciąż pełna życia mieszkała w tym samym dwupokojowym mieszkaniu w Queens, w którym się wychowałem i do którego niestety, a może na szczęście, znów się wprowadziłem. Niestety, ponieważ te dwie sypialnie oddalone od siebie o dziesięć stóp stale przypominają mi o braku postępów w moim życiu. Dużą zaletą są jednak pierożki z zupą. Żydowsko-włosko-irlandzka dzielnica, w której się wychowałem i która była potem przez moment dzielnicą hiszpańską, nagle całkiem się zmieniła, bo opanowali ją Azjaci. A to oznacza pierożki z zupą.

Ale zaraz, zaraz, co to takiego? Czy na pewno nie mam na myśli zupy z pierożkami? Otóż nie. Powiedzmy, że zamawiasz porcję pierożków z wieprzowiną i krabem. Dostajesz je kilka minut później - ułożone na liściach sałaty, w delikatnym cieście, parujące i pulchniutkie jak mały Budda. Nie zaczynaj ich jednak ot tak po prostu gryźć! Ostrożnie podnieś jeden z nich łyżką i delikatnie skubnij czubek. Z pierożka wyleje się gorąca zupa. Tak jest. Nie zalewam. Zupa w pierożku! To swoisty cud - niewinny, zakalcowaty sutek, dostarczający ciepłego rosołku. To jedna z tych rzeczy, które sprawiają, że życie znów ma sens i dają siłę, żeby wytrzymać jeszcze trochę - nawet jeśli tylko na jeszcze jedną powieść.

Ale kiedy zaczynałem z wampirami, nie mieszkałem w Queens. Mieszkałem na Manhattanie, podnajmując mieszkanie w jego modnej północnej części. Regularnie jeździłem linią 7, żeby odwiedzić matkę i przywieźć jej ulubione solone bajgle z H&H i równie solone brzuszki łososia - żadnej z tych rzeczy nie można już było dostać bez problemu. Wszystko przez japiszonów i bogaczy, którzy przenieśli się tu z Europy albo Ameryki i nadal wprawdzie jedzą bajgle z łososiem, ale już nie solone i nie brzuszki, a jedynie chudsze i mniej ociekające

tluszczem płaty tej ryby. Ogólnie zresztą klasa ta preferuje mniej ekstremalne posiłki, skończyła się zatem magiczna era koktajli mleczno-czekoladowych, knyszy i chrupiących, niewiarygodnie kwaśnych ogórków kiszonych. Koniec antycznych bohaterów Salaminy - przyszła pora na śmiertelników i ich ziemskie, plebejskie jedzenie.

Kroilem bajgle, a mama wyciągała z lodówki łososia i jesiotra (zaszalałem, żeby się jej przypodobać). Używała tych samych talerzy - brązowych, ze stokrotką - które miała od zawsze. Potem czekałem, aż zapyta *jak leci?* (co zwykła w podobnych momentach robić).

Tym razem jednak, zamiast zwyczajowego *nic nowego*, odpowiedziałem:

- Zacząłem nową serię książek.
- Piraci? - zapytała.
- Co?
- Czy to jest o piratach?
- Nie, nie o piratach. Dlaczego miałyby być o piratach?
- Widziałam program w telewizji, w którym mówili, że wszyscy teraz uwielbiają piratów i pomyślałam, że może ty też o nich pisziesz. Zapisałam to sobie zresztą. Gdzie moje okulary?

Zaczęła przeszukiwać włosy, wielki czerwony krzak, w którym z łatwością mogłaby ukrywać się rodzina przepiórek.

- Kto ich uwielbia? - spytałem. - I niby od kiedy?

Poszła przeszukać sypialnię i wtedy przypomniałem sobie, dlaczego po tylu latach nauczyłem się na jej *jak leci?* odpowiadać *nic nowego*.

Wróciła w okularach na nosie i z drewnianego stojaczka z ołówkiem, który stał obok telefonu, wzięła notatnik.

- O, tu jest - powiedziała.

Wyrwała pierwszą kartkę i podała mija. Było na niej napisane *Piraci*.

- No cóż, to nie jest o piratach - powiedziałem. - Jest o wampirach, ale... tak naprawdę to nie ma żadnego znaczenia.

- Wampiry? - nie wyglądała na przekonaną. - Pewien jesteś? Spójrzmy prawdzie w oczy. Jak cię znam, to masz coś konkretnego.

Jak wiele matek, była jednocześnie moim niestrudzonym obrońcą i śmiertelnym wrogiem - podobnie jak obrońcą i wrogiem moich książek, których nie czytała. Nie przeszkadzało jej to zresztą zbierać i z czułością upychać po kątach mieszkania wszelkich popełnionych przeze mnie tekstów, chociaż pornografia znajdowała się w szafie, a nie na widoku, w przeciwieństwie do powieści, ułożonych na

przeszklonej półce mebla, który nazywała etażerką. Jednakże pomimo tego, że z dumą chwaliła się przed wszystkimi książkami syna i odmawiała ich pożyczania (*Niech sobie kupią!*), to odkad tysiąc lat temu dałem jej pierwsze swoje opowiadania, kiedy jeszcze przez moment miałem nadzieję na pisanie poważnej literatury, nie przeczytała ani słówka z moich książek. Teraz też, jak za każdym razem, jej krytyka była zwięzła i konkretna.

- To nie dla mnie - oznajmiła po krótkim zbadaniu tematu. - Nic dziwnego, że nikt nie chce tego wydać. Ciągłe piszesz tylko o zagubionych duszach i ich smutnych życiach. Z moich znajomych nikt by tego nie przeczytał.

I oczywiście miała rację, całkowitą rację. Kiedy usiedliśmy do swoich bajgli, z pomidorem, cebulą, cytryną i, w hołdzie dla zdrowego żywienia, serkiem Philadelphia, zapewniłem ją, że wampiry są niezwykle popularne i właściwie mają swój renesans, a także, że już dostałem kontrakt na pierwszą książkę.

- Aha - powiedziała jakby zdumiona, że nie usłyszała o tym wcześniej w mieszczącej się w tym samym budynku pralni. - Kto by pomyślał?

- Szkopuł w tym, że potrzebuję kobiecego imienia.

- Może Esmeralda? Zawsze mi się podobało.

- Nie. Dla autorki. Te książki zwykle są pisane przez kobiety, więc potrzebuję kobiecego imienia i pomyślałem sobie, że mogę użyć twojego, jeżeli nie masz nic przeciwko. To jest, imienia i nazwiska panińskiego. Brzmią tak staroświecko.

Moja matka miała na imię Sybil, a jej nazwisko po mężu brzmiało oczywiście Bloch, tak jak moje. Ale prawdziwe imię, którego nigdy nie używała, brzmiało Sibylline, a jej rodowe nazwisko - Lorindo - było dodatkowo połączone z Gold, czyli nazwiskiem panińskim jej matki. Sybil Bloch może sobie napisać ładniutką laurkę na bar micwę, a może nawet przyzwoitą historię o piratach. Ale Sibylline Lorindo-Gold? No, to pasuje do „wampirów” jak ulał!

- Pewnie - powiedziała. - Czemu nie?

- Cóż - dodałem, taksując spojrzeniem jej rude loki i zastanawiając się, w jaki sposób je wyprostować i zmienić w eleganckie, długie pukle pani Lorindo-Gold. - Rzecz w tym, że nie chodzi mi tylko o twoje nazwisko...

I w ten sposób po długich negocjacjach nazwisko mojej matki, a także jej nieco zmieniony wizerunek pojawił się na trzech książkach o wampirach, a także w różnych magazynach i gazetach. Unikaliśmy spotkań na żywo z czytelnikami, przedstawiając autorkę jako samot-

nicę, który nigdy nie pokazuje się publicznie, ale matka zgodziła się raz udzielić wywiadu przez telefon. Doszło do niego po wydaniu pierwszej części sagi *Szkarlatna żyła ciemności*, która stała się jakimś tam (choć zasadniczo niewielkim) hitem wydawniczym, co zaszokowało wszystkich, a w szczególności moją matkę. Nagle na portalu MySpace i na wielu różnych stronach o wampirach ze zdjęciem mojej mamy rozpoczęła się paplanina o wymyślonych przeze mnie wampirycznych kochankach, Aramie i Ivy. *Phantasm* przystał na zwiększenie mojej zaliczki do kilku tysięcy, ale tylko pod warunkiem, że „ja”, czy raczej moja kryjąca się w mroku mama, zgodzi się na wywiad telefoniczny z blogerem ze strony internetowej o nazwie *Vampyre's Web*. Coś w tej nazwie wydało mi się smutne, przywodzące na myśl nieśmiertelny poprawnie polityczny feminizm. I rzeczywiście, kiedy wszedłem na ich stronę, obok pentagramów, koźlich łbów i forum dla krwio pijców, które łączyło „pających i dawców”, ujrzałem surowe ostrzeżenie przeciw dyskryminacji w jakiegokolwiek formie i obraźliwemu „wykluczającemu” językowi, który odnosiłby się do seksualności, rasy, religii, płci i transpłciowości. Najwyraźniej wampiry, pomimo nieśmiertelności, możliwości latania i rozszarpywania gardel wieśniaków, są niezwykle wrażliwe i czule na bycie nazwanym „cymbałem” albo „ciotą” - jakby przed wysunięciem kłów znów znalazły się w szkolnej szatni.

Tak czy inaczej, umówiliśmy się na wywiad i starannie do niego przygotowaliśmy - to znaczy ja nasłuchiwałem z drugiej linii w sypialni, gryzmołem odpowiedzi w notatniku, który przekazywałem młodziutkiej Claire, a ona z kolei przekazywała go mojej matce siedzącej sobie w kuchni w samej podomce.

Jednak natychmiast zrealizowały się moje najgorsze lęki - w ciągu pięciu minut matka zdążyła oznajmić, że wampiry to „nic” w porównaniu z Niemcami, że zamieszkują głównie Pensylwanię (co rzekomo miałem zasugerować w przekazywanych jej przez Claire notatkach pismem podobno nie do odczytania), „mają na pieńku” z krzyżami i padają od srebrnych kul.

- To wilkołaki - syknąłem, stojąc w drzwiach sypialni i histerycznie odgrywałem na migi wbijanie sobie kolka w serce.

- A, no tak - dodała do słuchawki - Czosnek wywołuje u nich zgałę.

Potem już odmawiała za każdym razem. A propozycji było całkiem sporo, ponieważ Madame Sibylline Lorindo-Gold cieszyła się dużą popularnością i jak do tej pory była moim najbardziej znanym autorem. Choć i ona nie była w stanie zapewnić mi zaliczki większej

niż 4500 dolarów za powieść liczącą 350 stron, pisaną w reżimie 10 stron dziennie. Boże, nie mogę nawet myśleć o tych wszystkich lasach, które wyrąbano na papier niezbędny do tego, bym mógł zapłacić za czynsz i światło! Jeżeli chodzi o literaturę, jestem piecem. Ogniem greckim. Jestem piekłem amerykańskiej beletrystyki.

Koniec końców jednak moja matka była bardzo zadowolona ze swojego statusu wirtualnej gwiazdy. Było to coś, czym żyliśmy razem, dobrze się przy tym bawiąc - odpowiadanie na listy od fanów, robienie jej fryzury i makijażu, dobieranie ubrań i robienie zdjęć. Cieszę się, że robiliśmy te wszystkie rzeczy, ponieważ trzy miesiące po wydaniu pierwszej książki zdiagnozowano u niej raka limfatycznego. Rok później - po *Zapada szkarłatny zmrok* i *Mroczny szkarłat, moja słodczy*, po tym, jak przeprowadziłem się do mojego starego pokoju, by się nią zaopiekować, liczyć jej pigułki i zawozić na chemioterapię, po tym, jak nie było już potrzeby prostowania jej włosów do zdjęć, bo wszystkie wypadły i kupiliśmy czerwoną, prostą perukę - matka w końcu umarła, po cichu, pewnej nocy, kiedy spałem w pokoju obok. Znalazłem ją następnego dnia, około południa, ponieważ nawet wtedy, w tych ostatnich dniach, bardzo wcześnie się budziła, ja natomiast spałem jak kłoda, którą każdego poranka trzeba budzić przy pomocy kuksańców i kawy.

I tak oto owego dnia, w którym przyszedł list od mojego skazanego na śmierć fana, siedziałem w studio fotograficznym w środku miasta, mając na sobie czerwoną perukę matki, jedną z jej czarnych „sukien Lorindo” jak je kiedyś nazwaliśmy, a także grubą warstwę makijażu - szminek, cień do powiek, podkład i róż nałożone przez Claire, która towarzyszyła mi przy sesji fotograficznej. Potrzebowałem nowego zdjęcia na okładkę *Szkarłatnej nocy i mgły*, która miała się wkrótce ukazać. Oczywiście jestem dosyć podobny do mojej matki, chociaż nie mam rudych włosów. No, ale ona też już ich nie miała. Prawdę mówiąc, nie wiem, jaki miała naturalny kolor włosów - nie jestem pewien, czy sama wiedziała.

Claire pochyliła się nade mną. Dmuchając mi w nos gumą balo-

nową i marszcząc w skupieniu twarz, walczyła z moimi brwiami, które okazały się sporym problemem. Podobnie jak tłuste czoło, wyraźnie pokryta szczecina szczęka i jabłko Adama. Claire jednak poradziła sobie z tymi niedociągnięciami za pomocą odpowiedniej garderoby, sztucznych włosów i torby pełnej kosmetyków, o których wiedziałem jedynie, że powodują swędzenie. Tylko moje brwi były wyjątkowo krnąbrne, ponieważ pomimo wielu przekonujących argumentów nie dałem im sobie wyskubać.

- Są takie krzaczaste - mamrotała do siebie, ciachając malutkimi nożyczkami. - Jakbym zgubiła się w lesie.

- Nie przesadzaj. Pewnie, że są zbyt krzaczaste jak na kobietę.

- Jak na człowieka. Brwi twojej mamy były takie ładne i elegancie.

Żeby była jasność - moja matka była jedną z tych kobiet, które w zasadzie nie mają brwi, tylko warstewkę niewidocznych włosków. Zawsze rysowała je sobie tymi samymi kolorowymi ołówkami, których używała do robienia listy zakupów.

- Pewnie mam brwi po ojcu - zasugerowałem.

- W takim razie pewnie masz też po nim włosy w uszach - powiedziała nieco zde gustowanym głosem. - Powinieneś pisać o wilkołaku.

W końcu osiągnęła jako taki efekt, w jakiś tajemniczy sposób zakrywając paskudne brwi makijażem i malując nowe, kobiece

łuki na czole. Patrząc na własne odbicie w lustrze nie mogłem wyjść ze zdumienia.

- A teraz siedź spokojnie i postaraj się nie marszczyć - powiedziała Claire, usiadłem więc, rozpierając się wygodnie w krześle. Fotografia miała być tylko portretowa, zatem na dole, spod kiecki, wystawały normalne dzinsy i adidasy.

- Masz, zanim zapomnę - Claire upychała rzeczy do plecaka. - Wzięłam twoje listy.

- Dzięki - odparłem. Miała zapasowe klucze do mojego mieszkania. Były to rzecz jasna głównie rachunki, a także kilka listów do Sibylline, przekazanych z wydawnictwa. Pangstrom i Johnson też czasem dostawali takie listy, ale rzadziej. Odpowiadałem na wszystkie, ale listy Sibylline podpisywała matka (aktualnie robiła to za nią Claire - wierzę, być może naiwnie, że można rozpoznać płeć po charakterze pisma).

Na samym dole sterty znajdował się jeszcze jeden list, z żółtymi adnotacjami poszczególnych urzędów pocztowych, na których powypisywane były wszystkie adresy, gdzie zdarzyło mi się mieszkać przez długie lata włóczęgi po tanich dzielnicach Nowego Jorku, któ-

rych robiło się zresztą coraz mniej.

- Co to za list? - spytała Claire. - Nic mi to nie mówi.

List był zaadresowany do Toma Stanksa z magazynu *Lubieżnicy*.
A adres zwrotny brzmiał: *zakład karny Sing Sing*.

6

Kilka lat temu, kiedy Jane i ja rozstaliśmy się, a raczej (kogo ja tu próbuję oszukać?), kiedy Jane mnie rzuciła, jedynymi rzeczami, o które się kłóciliśmy, były książki. Spędziliśmy razem osiem lub dziewięć lat (nawet to podlegało dyskusjom) i czas, kiedy byliśmy parą, odbił się na półkach zdobiących nasze mieszkanie (które wkrótce miało należeć do niej), niczym piętno czasu i jego poszczególnych epok: najpierw samotne dwie biblioteczki nieśmiało się ze sobą połączyły, mój Dylan Thomas ocierał się o jej Sylvie Plath, mój Barthes całował się z jej Wilsonem, mój Borges był przygnieciony przez jej Waugha. Zdarzały się też powtórzenia: dwie *Fanny* i dwóch *Zooeys*, dwa bardzo *Blade ognie* i z jakiegoś powodu aż trzy egzemplarze *Pytając o miłość*. Oczywiście dość łatwo było je od siebie odseparować, kiedy dzieliliśmy nasz majątek, moje połówki tych par spoczęły w pudłach, a wraz z nimi w piwnicy mieszkania mojej matki, gdzie, jak mi się wydaje, spoczywają do dziś. Prosta kwestię stanowiły też nowe książki, stosiki na stoliku nocnym i biurku - jej recenzje i kolekcje nigdy niewydanych maszynopisów opowiadań napisanych przez młodych i obiecujących, moje gratisowe numery *Gorących Azjatek #7* czy *Najlepszych wielkich zadków*, piętrzących się na Henrym Jamesie, który osunął się i załamał przeczytany do połowy, jakby niezdolny do stawienia czoła naszemu rozstaniu. Najtrudniejszy jednak do rozdzielenia okazał się okres, który nazwałem średniowieczem, kiedy to przez około cztery lata byliśmy jedną duszą i ciałem i nie tylko kupowaliśmy, ale też czytaliśmy te same książki, czasem, wybaczcie, nawet na głos w łóżku.

- Czy to nie ja to kupiłam? - trzymała w ręku *Grę w klasy* Cortázar.

- Tak - odparłem. - Kupiłaś ją dla mnie, pamiętasz?

Zmarszczyła brwi, najwyraźniej nie pamiętając. Ale ja pamiętałem. Kupiła ją do czytania w autobusie, gdy jechaliśmy do luksusowego domku jej wuja w górach Poconos; wtedy jeszcze była zdania, że bycie kimś biednym i nieznanym, ale ze mną, to całkiem znośny los. Olśniewająco, oszałamiająco, okrutnie wspaniale - ta książka sprawiła, że podczas kołyszącej jazdy dostałem choroby lokomocyjnej, a potem choroby morskiej po weekendzie spędzonym w łóżku wodnym, na którym wciąż podskakiwaliśmy i odpływaliśmy, rozdział po rozdziale podążając za tymi innymi, fajniejszymi od nas, popijającymi yerba mate w kafejkach Paryża czy Buenos Aires artystami bohemy lat pięćdziesiątych. Wtedy Jane chciała jedynie pięknie umrzeć w imię sztuki u mego boku, najlepiej między ekscentrycznie nazwanymi rozdziałami. Kiedy gapiłem się na swoją twarz odbitą w lustrach, w które oprawiony był sufit, cały blady i spocony, niczym topielec zabrany przez falę mdłości, dała mi musujący Alka-Seltzer i poprosiła, bym się jej oświadczył.

- Jesteś pewna? - zapytałem i spróbowałem ją objąć, chociaż gwałtowny ruch spowodował serię szarpnięć, przez którą odbiłem się od jej klatki piersiowej. Zderzyliśmy się głowami.

- Cholera - wymamrotałem. - Wydaje mi się, że twój wujek przesadził z tymi lustrami...

- Kochamy się - oznajmiła. - Cóż może być ważniejsze?

- Dużo rzeczy. A co, jeżeli zawsze będę biedny i nie będę mógł się przebić?

- Nic mnie to nie obchodzi.

- I nic przeszkadza ci to, że będziesz musiała poczekać ze ślubem do wydania mojej pierwszej książki? Wiesz, że nie mogę się teraz rozpraszać.

- Nie przeszkadza.

- I oczywiście rozumiesz, że nawet jeżeli się pobierzemy, moja praca zawsze będzie najważniejsza?

Wiem, wiem, śmiejecie się, że byłem takim głupkiem. I słusznie. Ale jej to się spodobało. Ta słodko-gorzka dostojałość wypełniła ją po czubek głowy. Chwyciła mnie za dłonie, jakbym był pływakiem ze skurczem, którym targa przyływ, i wpłynęliśmy prosto w swoje objęcia.

- Rozumiem - powiedziała. - Rozumiem doskonale.

- Najwyraźniej zmieniłaś zdanie - powiedziałem jej siedem (?) lat później, wciąż biedny i nieznan, siedząc na pudle oznaczonym napisem „lit, rosyjska”, podczas gdy ona przerzucała pozaginane strony Cortázara i znalazła liść czerwonego klonu, którego używali-

śmy jako zakładkę. Trzymała go teraz przed moim nosem, niczym maleńką, kruchą flagę symbolizującą moją porażkę.

- Tak, tak, przyznaję - powiedziała. - Zmieniłam się. Przepraszam. Mam 31 lat. Chcę mieć męża, dom i dziecko. Wybacz mi.

A jednak próbowałem się nie poddawać. Spytałem:

- A co jeśli powiem: zrobmy to. Pobierzmy się teraz i zrobmy sobie dziecko. Czy wtedy zostaniesz?

Gniew z niej uleciał. Osunęła się.

- Nie - wyszeptała, odwracając głowę, jakby wokół gardła zaciśnęła jej się niewidzialna dłoń. - Już nie. Nie z tobą.

Zamilkłem. Zaczęła płakać. Jak to się stało, że to ona płakała, łamiąc mi serce, a ja tylko patrzyłem, nieruchomy i niewzruszony, jakbym to ja wyrządził jej krzywdę? Wielka łza spadła na *Grę w klasy*, na stronę 49. Wiem, ponieważ kiedy wyszła, zmarszczyła papier, a ja wielokrotnie jeszcze do niej wracałem.

- Przepraszam - powiedziała. - Ale to ty się zmieniłeś. Kiedyś miałeś w sobie tyle pasji. Do pisania. Do życia. Do wszystkiego. Nawet zwykłego spaceru. Teraz nie mogę już z tobą żyć. To takie smutne. Kiedy ostatni raz napisałeś wiersz? - zamknęła książkę i zgmiotła liść.

7

Owszem, przyznaję, kiedyś byłem poetą. Nie, nie byłem w tym zbyt dobry. Nie twierdzę, że byłem jakimś niespełnionym, tragicznym geniuszem. To nie jest tego typu historia. Prawda jest taka, że jak wielu innych społecznie nieprzystosowanych dużych chłopców, którzy lepiej radzą sobie ze słowami niż z ludźmi, złapałem poezję jak trądzik w okresie dorastania, i kiedy poznałem Jane, układanie wierszy było już tylko jednym z tych nieistotnych talentów, które demonstrujemy wyłącznie na prośbę, jak robienie naleśników albo sztuczki karciane. Pisałem jeden wiersz rocznie, na urodziny Jane, ponieważ nie stać mnie było na prawdziwy prezent i wręczałem jej go tak, jak inni zamiast prawdziwego prezentu wręczają swym bliskim puszki po kawie udekorowane makaronikami. I tak jak stare puszki, moje wiersze skończyły pogrzebane gdzieś w piwnicy na Brooklynie.

Po śmierci matki znalazłem na jej stoliku nocnym kopertę z wierszami, które napisałem w okresie mojej świetności, czyli od ósmego do dziewiętnastego roku życia. Zmięte i poplamione, napisane odręcznie bądź na maszynie, były, jak zauważyłem, jedynymi moimi utworami, które naprawdę jej się podobały. Czytała je nawet przez telefon swojej kuzynce Sadie. Przejrzałem je. Były oczywiście całkowicie przeciętne i opowiadały o *jesieni*, *przemijającym czasie* albo o *opustoszałych miejscach*, a nawet w jednym wyjątkowo ohydny przypadku o *cudzie Chanuki*. To tyle o moich wierszach i ich jedyne czytelnikach. Straciłem zresztą obydwie.

Ale jednak - niczym były i niedoszły anarchista, którego działalność wywrotowa została ograniczona do mamrotania wyzwisk pod nosem - po usłyszeniu zamówienia na obiad, niczym potulna pracownica banku, która, kryjąc się za uśmiechem, nieustannie kombinuje, jakby tu wysadzić drzwi do sejfu, niczym autor złośli-

wych, nigdy niewysłanych felietonów albo zboczeniec napastujący jedynie wzrokiem - w sercu sekretnie pozostałem poetą, co uwarunkowało mnie w sposób niezauważalny i niewypowiedziany. I tak, w mojej własnej prawdziwej historii, pod własnym nazwiskiem, odwołuję się do praw poety. Jeżeli nie będę miał na to ochoty, nie zamierzam trzymać się tych wszystkich niekończących się pieprzonych szczegółików literackich, pisząc o pogodzie czy wyglądzie kanap. I nie zamierzam udawać, że wiem, co każdy myśli, włącznie ze mną, ani dlaczego robimy to, co robimy. Jak poeta, powiem po prostu to, co mam do powiedzenia, krótko i zwięźle. Przecież właśnie o to chodzi w poezji - przekazać jak najwięcej przy użyciu jak najmniejszej ilości słów. My, poeci, mówimy to, co myślimy, w jedyny znany nam sposób. Kiedy więc mówię na przykład, że *Jej serce było czarne niczym pajak*, właśnie to mam na myśli. Czarne. Niczym pajak. Jej serce.

8

Zanim zacznę opowiadać resztę historii, chyba powinienem powiedzieć kilka słów o Claire.

Pomimo zapisanych przeze mnie w ciągu kilkudziesięciu już lat stosów białego papieru nigdy nie stałem się posiadaczem większej ilości papieru w kolorze zielonym, miałem się zatem wielu różnych zawodów, wliczając w to udzielanie korepetycji. Nie było to zbyt lukratywne zajęcie. Dostawałem dziesięć lub dwadzieścia dolarów za godzinę pomagania różnorodnym Amerykanom o dwuczłonowych nazwiskach w doskonaleniu pisemnego angielskiego lub też trenowania dzieciaków z publicznych szkół, które to dzieci okazywały się „szczególne”, „nieszablonowo utalentowane” albo po prostu niezwykle. Byłem jednak uzbrojony w dyplom i referencje z Ligi Bluszczowej¹ (wiem, wiem, nieładnie się chwalić), jak i 800 punktów, które jakimś dziwnym trafem dostałem na ustnym egzaminie GRE² (nie mdlejcie z wrażenia, z matmy dostałem 350) i zgłosiłem się również na posady w różnych nadętych, prywatnych szkołach w zamożnych dzielnicach, szkołach, które jako dzieciak z Queens znałem tylko z filmów. Większość z nich po prostu mnie olała. Kilka odpowiedziało na maile, a potem ignorowali moje telefony. Tylko jedna z nich Bradley School - zaprosiła na przygnębiającą rozmowę wstępną, na której zarządzająca szkołą matrona nadawała o tym, jak wspaniali są ich uczniowie, jak większość z nich poszła do szkół, które z uporem maniaka nazywała „bluszczówkami” i jak w zasadzie nie potrzebują pomocy w postaci płatnych korepetycji, ponieważ samo ciało pedagogiczne „uwielbia pomagać uczniom”. Kiwnąłem głową na znak aprobaty, jednocześnie mówiąc sobie w duchu, że mnie to nie dotyczy. Ja tam nie lubię młodych ludzi. Po prostu uwielbiam płacić czynsz.

¹ Ivy League (Liga Bluszczoza) - zbiorcza nazwa ośmiu najbardziej prestiżowych uczelni (a także ich klubów sportowych) w północno-wschodnich stanach USA. Obejmuje m.in. Harvard, Princeton, Columbię i Yale (przyp. red.).

² Graduate Record Examination - test, którego zdanie jest warunkiem przyjęcia na większość studiów na poziomie magisterskim i doktorskim w USA (przyp. red.).

- Wierzimy tutaj w indywidualne podejście. Czy ekscytuje cię możliwość organizowania sobie własnego planu zajęć?

- Tak - odparłem. - Bardzo. Ekscytuje mnie niesłychanie.

Wyszedłem stamtąd, w gruncie rzeczy spisując całą sprawę na straty i kompletnie o niej zapominając. I oto kilka miesięcy później odebrałem telefon od niejakiego Petera Nasha.

- Harry Bloch?

- Przy telefonie. W czym mogę...

- No cóż, moja córka nie dostaje tak dobrych stopni, jak powinna.

- Yhm... - przez chwilę nie mogłem się zorientować, o co mu chodzi.

- Zna pan Sally Sherman?

- Hm... - z jakiegoś powodu to imię i nazwisko coś mi mówiło. - Ta pani z Bradley School?

- Tak. Ma pan czas w tym tygodniu?

- Już, sprawdzę tylko w kalendarzu - powiedziałem. Właśnie siedziałem w kuchni z zamiarem spożycia obiadu. Zerknąłem na miskę zupy pomidorowej. Był środek zimy. Miałem mnóstwo czasu przez następne 30 lat.

- Zobaczymy. Może wtorek o siedemnastej?

- A ile pan bierze?

Zamyśliłem się. Nigdy, w żadnej pracy nie zarobiłem więcej niż 20 dolców za godzinę. Wciągnąłem powietrze.

- Pięćdziesiąt? - zaskrzeczałem. - Zazwyczaj biorę pięćdziesiąt, ale jeżeli... - facet na szczęście mi przerwał, nim zdążyłem dokonać autodestrukcji.

- Dobra, niech będzie. Powiem Claire, żeby zadzwoniła do pana i ustaliła grafik. Może wspólnymi siłami coś uda się z tym zrobić.

- Proszę się nie martwić. Ocenię jej mocne i słabe strony i ustalę ekscytujący podstawowy rozkład zajęć...

Kiedy tak gadałem bez ładu i składu, facet się rozłączył.

Kilka godzin później odsłuchałem nagrany na sekretarkę wiadomość od Claire. Gdyby się nie przedstawiła, pomyślałbym, że to jej matka. Głos miała bardzo zrównoważony, bez śladu nastoletniej niepewności. Zgodziła się na godzinę, którą wcześniej jej ojcu zaproponowałem i podała adres na Upper East Side.

Zorientowałem się, że nie podała numeru mieszkania, ale zdecydo-

wałem, że będę improwizować i poszukam nazwiska na skrzynkach pocztowych. Pięćdziesiąt dolarów! Byłem tak zdumiony swoim szczęściem, że bałem się nawet oddzwonić, żeby tego nie zepsuć.

W ten czwartek, kiedy pojawiłem się na miejscu, kuląc się na wietrze tak mroźnym, że zdawał się przewiewać nawet przez moją bieliznę, zorientowałem się, dlaczego nie powiedziała mi, który dzwonek nacisnąć: był tylko jeden. Wszystko należało do nich, cały pięciopiętrowy budynek! Przyszedłem wcześniej i kiedy maszerowałem w tę i z powrotem, dygocząc, skąpany w obficie bijącym z okien ich domu świetle, śmieszność zamartwiania się o zażądanie żalonych 50 dolców wywołała u mnie rumieniec zażenowania. Chociaż to w sumie nic nowego. To, jak bogaci są inni ludzie w porównaniu ze mną, nigdy nie przestanie mnie zdumiewać.

Zadzwoiłem do drzwi i kilka lodowatych minut później otworzyła Claire, ubrana tylko w wiązane na sznurki bikini. Miała bardzo proste i bardzo blond włosy, mocno niebieskie oczy, mikroskopijny nosek, który ledwie wystawał spomiędzy jej pokrytych piegami policzków i małe, kształtne usta. Jej ciało, zasłonięte czy też raczej odsłonięte przez bikini, które trzema małymi trójkącikami zakrywało jedynie to, co absolutnie koniecznie zakryć musiało, było, no cóż, było ciałem czternastolatki: bez grama tłuszczu, śladu zmarszczek ani w ogóle żadnego śladu zużycia. Była jak lalka, która nigdy nie została wyjęta z pudełka, w idealnym stanie.

- Cześć, wejdź do środka. Przepraszam, byłam pod lampą kwarcową - powiedziała na powitanie, choć nie miała na ciele ani śladu opalenizny. Właściwie to jej skóra była tak biała, że żyły wydawały się niebieskie. A widziałem je wszystkie, ponieważ była tak chuda, że zdawało mi się, iż mógłbym objąć dłonią jej udo. Wprowadziła mnie z siarczystego mrozu w miłe ciepło domu.

- Mam depresję.
- Bardzo przykro mi to słyszeć. A z jakiego powodu? - zapytałem, szamocząc się z szalikiem, czapką i płaszczem.
- Cierpię na chorobę afektywną sezonową.
- Och...
- Lampa kwarcowa ma mi pomóc. A przynajmniej tak mówią.
- Och...

Staliśmy w marmurowym holu wejściowym, w którym były ogromne schody prowadzące w górę i poczta wyłożona niczym przystawki na srebrnej tacy.

Upuściłem rękawiczkę i kiedy pochyliłem się, żeby ją podnieść, zauważyłem cztery gumki recepturki na podłodze. Prawdopodobnie

służyły do zwijania banknotów. Odruchowo je podniosłem.

- Proszę - powiedziałem, patrząc na nią trochę głupawym wzrokiem.

- Dzięki - powiedziała, biorąc ode mnie gumki z pewną jakby niechęcią, po czym pokazała na dwuskrzydłowe drzwi po jej lewej stronie. - Tam jest pokój do nauki. Zaraz przyjdę. Chciałby pan cappuccino albo coś w tym rodzaju?

- Nie, dzięki - odparłem, chociaż tak naprawdę chciałem.

Pokój do nauki, jak można było się spodziewać, wyglądał jak męski klub dla dżentelmenów z filmów o Bondzie: wysokie półki wypełnione oprawionymi w skórę książkami, wielki kominek, z którego buchał ogień, rozkładane fotele, na których można wygodnie się wyciągnąć, stół do bilardu...

Po dramatycznie długiej pauzie weszła Claire. Teraz miała na sobie krótką wełnianą spódniczkę w szkocką kratę, białe rajstopy, czarne buty z lakierowanej skóry i białą bluzkę z kołnierzykiem, na którą narzuciła czerwony sweterek. Włosy związane w koński ogon, a na nosie okulary. Niosła stos książek i garść niebezpiecznie naostrzonych ołówków. Innymi słowy - idealna uczennica. Usiadła przy biurku obok mnie, wyprostowała plecy, złączyła kolana, otworzyła książkę, wyciągnęła kartkę papieru i uniosła ołówek, patrząc na mnie z głęboką uwagą.

Sprawa przedstawiała się beznadziejnie. Miała napisać wypracowanie o *Szkarłatnej literze* na dziesięć stron, z cytatami i trzema przykładami na poparcie tezy, na następny dzień. I nie miała nic. Żadnego szkicu. Żadnych notatek. Nie byłem nawet pewien, czy przeczytała książkę.

- Zobaczmy - powiedziałem, płacząc się i pocąc, jakbym to ja miał pisać wypracowanie, a ona siedziała sobie, całkowicie opanowana, słuchając mnie uprzejmie, stukając różową gumką od ołówka o białe zęby i mrugając ładniutkimi, niebieskimi oczami.

- Wiesz, jak się robi zarys? - zapytałem.

- Coś mi to mówi - odpowiedziała. - Ile mój tata ci płaci?

- Słucham?

- Ile bierzesz za godzinę?

- Pięćdziesiąt.

Westchnęła i przewróciła oczami.

- Skończyłeś dwa kierunki na Columbi, prawda? Dostałeś 800 na GRE?

- Tak.

- Jesteś pisarzem?

- No cóż... Tak.
- Masz pojęcie, ile agencje policzyłyby za kogoś z twoim CV?

Przynajmniej sto pięćdziesiąt.

- Naprawdę?
- Powinieneś brać przynajmniej stówę.
- Hm...

- Słuchaj, będę z tobą szczerą - powiedziała. - Nie mam z zasady problemu z czytaniem czy pisaniem wypracowań. Ale mam inne zajęcia w szkole, hokeja na trawie, balet, przygotowywanie corocznej gazetki i do tego wszystkie te wolontariaty, które trzeba wyrobić w dzisiejszych czasach, żeby dostać się do przyzwoitej szkoły. Myślę zatem, że nie ma sensu, żebym pisała wypracowanie o *Szkarłatnej literze*, które i tak wyjdzie pewnie takie sobie, skoro ty mógłbyś napisać zajebiste wypracowanie na ten temat nawet przez sen.

- No, może nie zajebiste...

- Powiemy mojemu tacie, że bierzesz stówę za godzinę, nie będzie nawet pamiętał, i że musisz przychodzić dwa razy w tygodniu. I kto wie, jeżeli wszystko dobrze pójdzie, polecę cię wszystkim moim przyjaciółom.

- Ale... nie wiem, czy mogę tak zrobić. To oszustwo.

- Zgadzam się. Oszustwo. Ale spójrzmy na to realistycznie. Wypracowanie ma być gotowe na jutro. Przeczytałam książkę. No, kawałek. Mam w tym wprawę. Mogłabym je napisać, gdybym musiała. Ale dzień się nie wydłuży, a nie mogę cię zatrudnić, żebyś grał za mnie w hokeja na trawie, prawda?

- Ha. No nie, raczej nie - miała trochę racji.

- I jeśli mam być całkowicie szczerą, już znalazłam sposób, żeby kupić to wypracowanie przez internet za mniejsze pieniądze, ale wolę załatwiać interesy twarzą w twarz. A poza tym wyglądasz... Cóż, na trochę smutnego.

- W sensie afektywnie sezonowo?

- Nie, tak zwyczajnie. W słodki sposób. Bez urazy.

- Skąd możesz to wiedzieć?

- No, to jak przyszedłeś tutaj wcześniej i sterczałeś na dworze dygocąc, dopóki nie wybiła piąta.

- Widziałas mnie?

- Z pokoju na piętrze. Patrzyłeś w górę wzrokiem zagubionego szczeniaka.

- No cóż...

No i co mam powiedzieć? Zrobiłem to. Nie od razu. Musiała mnie jeszcze trochę poczarować i zrobić mi podwójne cappuccino, ale

koniec końców namówiła mnie do tego i spędziłem pół nocy pisząc jej wypracowanie, a potem spotkałem się z nią za krzakiem podczas treningu hokeja na trawie, żeby je dostarczyć. Zanim się zorientowałem, pisałem za nią wszystkie wypracowania, a wkrótce w podobny sposób „uczyłem” też paru kolegów i kilka koleżanek z jej klasy. Był to gładki przekręt: dzieciaki zachwycaly się mną przed rodzicami, którzy z radością płacili moje coraz bardziej wygórowane stawki, kiedy oceny ich pociech się poprawiały.

Nie, żeby było to proste. Dobry tekst nigdy nie jest prosty, a naturalnie wyglądająca prostota wymaga prawdziwego kunsztu. Pomyślcie o Hemingwayu ostrzającym ołówki nożem albo Flaubercie w koszuli nocnej polującym na odpowiednie słowo. To właśnie ja, kiedy stawiałem czoło tematom typu: *Co zrobiłbym na miejscu Makbeta?* (albo *Lady Makbet?*). Sztuka polega na trafieniu w ten idealny punkt, powiedzmy pięć z plusem: wystarczająco dobry, żeby zadowolić rodziców, ale nie na tyle dobry, żeby nauczyciele zrobili się podejrzliwi, kiedy grający w lacrosse idiota albo ujarany skate punk nagle awansuje na najlepszego ucznia.

I tak oto, pod moim przewodnictwem, Chad Hicksley III w końcu nauczył się, czym jest przysłówek, chociaż nie mógł zorientować się w czasach past, present i perfect, a to za sprawą zbyt wielu fajek wodnych, natomiast Dakota Steinberg, której ojciec moim zdaniem miał na własność całą moją dzielnicę, wykazała ogromne postępy w *kompozycji* i *argumentowaniu*, a także pojęła różnicę pomiędzy *its* i *it's*, choć wciąż używała nieco zbyt potocznego języka, jak na przykład w wypracowaniu rocznym, w którym miała zacytować „przynajmniej trzy źródła spoza internetu”, co rzeczywiście zrobiła, określając powieść *Fahrenheit 451* jako „zajebistą”, *1984* jako „trochę przypadkowe”, *Nowy wspaniały świat* zaliczyła natomiast do kategorii „do dupy”. Claire zarządzała wszystkim za marne 15% i wkrótce „korepetycje” stały się głównym źródłem moich dochodów. Jeżeli wziąć pod uwagę stawkę od słowa, była to zdecydowanie najbardziej dochodowa praca pisarska, jaką kiedykolwiek wykonywałem.

Nie mieliśmy z Claire już nic do roboty na naszych zajęciach, więc się zakumplowaliśmy. Leżeliśmy sobie i gadaliśmy o różnych rzeczach. Osłupiała, kiedy usłyszała o wszystkich książkach, które pisałem i o tym, jak mało za nie dostawałem. Miałem właśnie przedłużyć serię o dwa nowe Zorgi i trzy Mordechaje, a także postawić podwaliny pod Sybilline.

- Podpisałeś? - zapytała, wyciągając się na fotelu, ze stopami nad

ramieniem, popijając dietetyczną colę przez słomkę.

- No, oficjalnie jeszcze nie.

- Może mogłabym czytać umowy za ciebie?

- No... nie wiem, Claire. To znaczy, to są dorośli wydawcy, nie dzieciaki. A poza tym, przecież już się zgodziłem. Nie byłoby w porządku, gdybym teraz zmienił zdanie, nie uważasz?

Uśmiechnęła się miło, jakbym znalazł się z powrotem na jej progu, drżący z zimna,

- Zostaw to mnie. Wracaj do pracy nad moimi osobistymi przemyśleniami na temat *Zabić drozda*. I zostaw kurtkę, jak będziesz wychodził. Powiem gosposi, żeby naprawiła suwak.

I tak oto w jakiś sposób Claire stała się dla mnie partnerką w niemal każdej dziedzinie mojego tak zwanego życia. Po prostu ciągle się pojawiała i stawała się niezbędną. Dlaczego? Tak naprawdę to nie wiem. Wydawało się, że nie lubiła swoich rówieśników równie mocno jak ja. Jej mama była bulimiczką, a jej tata palantem. Chyba wypełniałem tu jakąś jej lukę. A jeżeli chodzi o lukę, którą ona wypełniała w moim świecie... Cóż, wolałem nie sondować tej rany zbyt głęboko. Ale muszę przyznać, że kiedy miała zaczynać pierwszy rok studiów, już zacząłem histeryzować i myśleć o tym, co się stanie, kiedy ostatecznie wyleci z klatki.

Tymczasem, wracając do sesji zdjęciowej, zostawiłem list z Sing Sing na koniec. W końcu nie byłem Tomem Stanksem czy Zaklinaczem Zdzir już od lat, a kiedy jeszcze nim byłem, listy od „niesłusznie osadzonych” więźniów nie były niczym takim znów niezwykłym. Porno, podobnie jak grzybica stóp, pojawia się tam, gdzie są mężczyźni pozbawieni towarzystwa kobiet - w więzieniu, wojsku, sklepach z komiksami, pełnych chłodu i wilgoci laboratoriach na MIT. Więźniowie mieli czas nie tylko na to, by czytać magazyny, ale też na to, by na nie reagować, można powiedzieć: angażować się, a jest to coś, czym zwracają sobie głowę tylko samotnicy, świry i idioci. Fakt, że magazyn był wydawany wiele lat temu, również nie miał znaczenia. W więzieniu nic się nie przedawnia, a pornograficzne pisemko jest skarbem, który się przechowuje, podaje dalej i wymienia. Ostatecznie nie spieszyłem się do otworzenia listu od więźnia, ponieważ mi się to zwyczajnie nie opłacało. Inni moi korespondenci, fani międzygalaktycznego seksu i miejskiej przemocy, mogli przynajmniej kupić parę książek, jeśli zachęciło się ich zdjęciem z autografem albo czymś takim. No i czytelnicy Sibylline Lorindo-Gold - nie tylko zarabiałem na niej najwięcej kasy, ale też niektóre te wampirze laski były całkiem ładne.

Dla mnie i Claire był to temat tabu i nawet kiedy otwierałem ostatni wampirzy list, przełamując pieczęć środkowym (satanistycznym) palcem, widziałem, jak marszczy się podejrzliwie. Nie była to oczywiście zazdrość. Jej zmartwienie miało charakter czysto biznesowy.

- Jedna wkurwiona laska na stronie internetowej - mówiła - która zacznie bredzić o tym, że Sibylline tak naprawdę jest ohydny napaleńcem w średnim wieku, i po ptakach.

Miała oczywiście rację. Miała rację. Ale mimo to klikałem w te wszystkie linki ze słodziutkimi stronami na MySpace i albumikami na Facebooku, które te dziewczęta wysyłały mi w e-mailach. Znajdowałem tam obrazki z koronkami i krwią, brzęczącą albo szepczącą muzykę i nedorzeczną ponuro-apokaliptyczną poezję.

Oglądałem czerwone i fioletowe włosy, przekłute dojrzewające sutki, warczące i prychające dzióbki i wyzierające zza makijażu ducha szopa pracza duże oczy przestraszonych dzieci, tak jakby w tym podziemiu można było być jednocześnie niemogącą zmrzyć oka ofiarą i potworem kryjącym się pod łóżkiem. W jaki sposób dziewiętnastoletnia dziewczyna decyduje, że lubi chłostę, wiązanie, wampiryzm i „ekstremalny anal”, cokolwiek by to było? Dlaczego chciałaby, żeby ktoś zakuł ją w stalowy pas, wgrzyzał jej się w szyję sztucznymi kłami, kiedy jej prawdziwa krew spływa do srebrnego pucharu?

Jakie siły - społeczne, psychologiczne czy seksualne - mogły popchnąć zdrową młodą kobietę do tak drastycznych posunięć?

Nie miałem pojęcia, ale chciałbym się tego dowiedzieć.

Claire mi zabroniła.

- Nie zadawaj się ze świruskami - doradziła mi, niczym ktoś, kto przechodzi przez trzeci rozwód. - Koniec końców zawsze ci napsują krwi.

To właściwie miało sens, ale tam, w studiu fotograficznym, kiedy siedziałem w ostrym świetle reflektorów, pocąc się przez sukienkę i perukę, a fotograf wciąż zmieniał zdanie, zastanawiałem się, czy mogę zdziwaczeć jeszcze bardziej. Kiedy Claire stanęła za aparatem fotograficznym, żeby dokonać konsultacji, zastanowiłem się nad moim odbiciem w lustrze. Zacząłem dumać. Był to niepokojący widok.

Miałem nadzieję, że kiedy fotografie zostaną już dobrze naświetlone, przepuszczone przez Photoshopa, pokolorowane i wydrukowane, będą się nadawać - wyjdę na miłą, może nieco zbyt surową dla otoczenia starszą panią. Ale wtedy, oświetlony tymi rażącymi, białymi żarówkami, wyglądałem przerażająco. Wszyscy oczywiście jesteśmy genetyczną kombinacją naszych rodziców, ale w tamtej chwili wyglądałem niczym nieudany szalony eksperyment genetyczny przeprowadzony przez doktora Frankensteina. Moja matka była dosyć atrakcyjna i nawet kiedy robiła się coraz starsza i okrąglejsza, zawsze miała słodką twarz. Odziedziczyłem to wszystko po niej, ale doszedł do tego wielki nos mojego ojca, jego ostro zakończony podbródek i gęste brwi, wrzucone na twarz niczym w

tanim gagu.

Albo jeszcze inaczej i jeszcze gorzej: byłem teraz moim ojcem - którego ledwie pamiętałem i znałem głównie ze snów i jednej fotografii - starszym niż on sam był w momencie przedwczesnej śmierci, ojcem, który powracał jako koszmar, z włosami, oczami, ustami i piersiami mojej matki. Zdawało się, jakbym nie był potomkiem moich rodziców, ale jedynie medium, w które wlały ich duchy. Czasami, nawet bez kobiecego przebrania, gdy przechodzę obok lustra albo witryny sklepowej, widzę coś, co sprawia, że wstrzymuję oddech: twarz matki z ostatnich miesięcy, utwardzoną przez chorobę, kiedy rak zabrał jej kobiecość i wyglądała tak jak ja. Byłem moją umierającą matką. Byłem moim ojcem, jakim by był, gdyby dożył starości.

- Hej, co się dzieje? - spytałem, wynurzając się z lustrzanej otchłani.

- Minutkę - odpowiedziała Claire. - Masz cień na nosie, który usiłujemy poprawić.

- Powodzenia - odparłem i żeby uniknąć patrzenia na siebie po raz kolejny (ujrzałem siebie jako duchy moich rodziców, kto wie, co zobaczyłbym tym razem?), wygrzebałem ostatni list od fana i rozdarłem go wzdłuż krawędzi. Był krótki, napisany niebieskim tuszem, na wyrwanych kartkach, pismem łebskiego czwartoklasisty - zamaszyste litery nie mieszczące się w linijkach.

- O kurwa mać! - powiedziałem wstając.

- Harry! - ofuknęła mnie Claire. Światła były już ustawione, a moje raptowne powstanie mogło tylko pogorszyć problem nosa.

- Kurwa mać... - powtórzyłem, machając listem. - Spójrz na to!

Wzięła kartkę i przeczytała list. Oto, co w nim było:

*Drogi panie Thomasie Stanks,
Jestem wielkim fanem „Lubieżników” i uważam, że pana teksty i magazyn są świetne. Mam dla pana „ofertę handlową”. Dostaję wiele propozycji sprzedania mojej historii do mediów, ale nigdy nie opowiedziałem prawdziwej historii, całej prawdy, nikomu. To jest, nigdy nie opowiedziałem WSZYSTKIEGO!!! Może napisałby pan tę książkę ze mną? Na pewno dobrze się sprzeda. Proszę przyjść mnie zobaczyć, jeśli chce pan to omówić. Mam kilka warunków.*

Z poważaniem,

Darian Clay

- Darian Clay? - usiłowała sobie przypomnieć. Nagle szeroko otworzyła oczy.

- Ten koleś od głów?

- Ten sam.

Fotograf krzyknął: *Okej, jestem gotowy*, ale Claire go zignorowała.

- Pamiętam to dokładnie.

- Niby jak? Miałaś jakieś pięć lat.

- Mój tata był mężem takiej modelki, no, przez krótką chwilę, pamiętam, że strasznie się bała, a on wymykał się z domu, żeby ją odebrać z nocnych sesji - mówiła, patrząc na list, który trzymała w dłoniach. - Nie mogę uwierzyć, że dotykam czegoś, czego on dotykał. I że ty napiszesz jego książkę.

Uśmiechnęła się do mnie szeroko:

- Super!

- Spokojnie, nie wiadomo jeszcze, co z tego będzie. Kto wie, czy koleś w ogóle mówi serio?

Fotograf podszedł do nas i zapalił papierosa.

- Przepraszam, Claire? I ty, madame Lorindo-Gold? Jakby któreś z was to interesowało, to sesja jest skończona. A z tym nosem wróciliśmy do punktu wyjścia.

Claire podała mu list.

- Obczaj to. Darian Clay.

- O mój Boże, ten koleś od zdjęć? - przejrzał list, wypuszczając nosem dym. - Pamiętam dokładnie, gdzie byłem, kiedy w mediach ogłosili, że go złapali. Byłem w mieszkaniu mojej eks, gotowałem zupę z porów i ziemniaków. Miałem kumpla, który znał nawet kogoś, kto widział na własne oczy te zdjęcia. A przynajmniej tak mówił - powiedział, oddając mi kartkę. - Ale to jest zbyt chore. Nie możesz tego zrobić.

- Oczywiście, że może - powiedziała Claire. - Musi.

- Ale jeżeli to zrobi, to... - spytał ją, jakby mnie tam nie było. - Czy mogę zrobić autorowi zdjęcie?

Dla tych z was, którzy, jak Claire, urodzili się wczoraj albo dopiero co przyjechali do Nowego Jorku, albo też, jak moja matka, wolicie nic nie wiedzieć o takich rzeczach, Darian Clay, znany również jako Entuzjasta Fotografii albo Morderczy Fotograf, porwał, torturował i brutalnie zamordował w Nowym Jorku cztery kobiety w latach 1996-97. Jako obłąkany, aspirujący artysta Clay zmuszał kobiety do pozowania do zdjęć, zanim je zamordował, po czym ćwiartował zwłoki i pozbywał się ich części, czy też raczej większości z nich, w kontenerach na śmieci w Queens i Long Island. Z wyjątkiem głów.

Swoje zdjęcia wysyłał na policję - być może była to kpina, a może tak naprawdę chciał dać się złapać? Pojawiały się za każdym razem, kiedy odnajdowano pocięte zwłoki dziewczyn. Pomimo tego, że nigdy nie wyciekły do mediów, zostały opisane przez prasę jako „upiorne żywe obrazy”, „przeróżające *mise-en-scène*” i innego rodzaju określeniami estetycznego koszmaru z wyższej półki. Pamiętam nastrój narastającej w mieście hysterii - każde nowe morderstwo podkreślało strach przed zboczonym mordercą i wściekłość na nieudolność policji. Z brukowców krzyczały czerwone nagłówki, a w telewizji pokazywali portret pamięciowy sprawcy i apelowali do kobiet, by uważały na tego koleżkę o delikatnych rysach, którym mógł być jakikolwiek mężczyzna w okolicach 50, roku życia, choć mógł być równie dobrze dużo młodszy. Założono gorącą linię, panikę zwiększała ponadto seria fałszywych alarmów, fałszywych oskarżeń i fałszywych zeznań. Odbywały się pełne wściekłości zebrania rady miejskiej z komisarzem policji Safirem i burmistrzem Giulianim, które jedynie pogorszyły sprawę - obaj panowie stwierdzili, że tylko niewielka część populacji - głównie młode, piękne kobiety - ma się czego obawiać.

Odbywały się wrzaskliwe panele dyskusyjne o uprzedmiotowaniu kobiet i oczywiście wszyscy ze światka porno, razem zresztą ze światem mody i reklamy, zostali wskazani jako współwinni, ponieważ w jakiś sposób sprawiliśmy, że siekanie kobiet stało się „akceptowalne”. Przyznaję, że wtedy ta myśl mnie niepokoiła. Wciąż wyobrażałem sobie stertę wymazanych krwią *Lubieżników*, na których widniało moje nazwisko. Ale, jak uświadomiła mi kiedyś Jane, kiedy nie mogłem spać, istniało dużo większe prawdopodobieństwo, że naszym przeciętnym czytelnikiem był samotny ochroniarz w nocnej toalecie albo gliniarz siedzący w zaparkowanym samochodzie, pożerający pączki i tropiący morderców. W ręce tych, którzy protestowali przeciw uprzedmiotowaniu kobiet, to pismo raczej nie powinno wpaść. Teraz jednak zacząłem mieć w tej kwestii wątpliwości.

Clay został w końcu złapany, kiedy piąta kobieta, Noreen Velanopolis, zadzwoniła na policję i zgłosiła, że podejrzany mężczyzna usiłuje ją namówić, żeby mu pozowała. Podczas procesu mówił, że jest niewinny. Utrzymał, ku obrzydzeniu ławy przysięgłych i wbrew przekonaniu rodzin ofiar, że wszystkie zamordowane kobiety były chętnymi modelkami, którym zapłacił i które opuściły jego piwnicę szczęśliwe i w jednym kawałku. Jednak dowód DNA (włos albo krew) znaleziony w jego piwnicy połączył go z ofiarami. Został również rozpoznany przez świadka - jako mężczyzna pasujący do opisu, w pobliżu miejsc dwóch porwań. Clay został szybko umieszczony w areszcie, pozbawiony prawa do kaucji i skazany na śmierć. Ostatnie dziesięć lat spędził męcząc wszystkich apelacjami i siedząc samotnie w celi śmierci, gdzie spędzał swój „wolny” czas, czytając pornograficzną prozę mojego alter ego.

Clay nigdy się nie przyznał. Głów nigdy nie odnaleziono.

Tuż po powrocie z sesji zdjęciowej Claire zaczęła szukać informacji i wróciła jeszcze bardziej zachwycona. Najwyraźniej mogły być z tego duże pieniądze.

- Jeżeli przyzna się przed tobą, to mówimy o sześciocyfrowej sumie - powiedziała. - A to tylko zaliczka. Są jeszcze *paperbacki*, które się zawsze sprzedają przy tanich, popularnych książkach. Są artykuły w brukowcach. Kto wie? Może zostaniemy seryjni.

- Nie mów tak.
- Jak?
- Seryjni.
- A właśnie, że tak!

Była bardzo podekscytowana, wierciła się, stukała palcami i zachowywała się jak dziecko. Zazwyczaj była bardzo opanowana, teraz jednak była wyraźnie zarumieniona, miała szeroko otwarte oczy i rozszerzone źrenice. Wydawała się niemalże podniecona, czego bardzo starałem się nie zauważać.

- No i są jeszcze prawa do ekranizacji. DVD. Kabłówka. Telewizja - wyśpiewała te słowa niczym zakłęcie i wydawała się nawet patrzeć na mnie z nieco większym szacunkiem, jakby sam fakt, że przyciągałem takie pieniądze i możliwości, choćby przez przypadek, otaczał mnie jakąś cudowną aurą.

- Powiedziałas: zostaniemy... - zapytałem. - Niby ty i ja?
- Daj spokój! - odpowiedziała. - Korepetycje należą do przeszłości. Pozwól mi pracować z tobą.

- Zobaczymy - usiłowałem bronić swoich praw. - Może będziesz mogła mnie obserwować. Jeżeli w ogóle do tego dojdzie.

- Fajnie - powiedziała. - Przydam się do liczenia.

Zastanawiałem się, co chce przez to powiedzieć. Chociaż w sumie

co za różnica? I tak nigdy mnie nie słuchała i robiła swoje.

Potem musiałem przejść te wszystkie skomplikowane procedury z biurem więziennym, zostawić odciski palców, wypowiedać się ze swego życiorysu. Dostałem listę tego, czego mam nie przynosić ani nie robić. Najbardziej upiornym poleceniem było: *Nie nakładać drelichowych ubrań*. Skazani nosili takie stroje i w przypadku zamieszek albo innych incydentów strażnicy więzienni chcieli mieć pewność, że nie postrzelą przypadkiem niewinnego faceta w sztruksach.

Spotkałem się również z prawniczką Claya, Carol Flosky. Jej biuro znajdowało się nieopodal sądów na Park Road, w budynku, który można opisać jako chylący się ku upadkowi, ale wciąż robiący wrażenie: skrzypiąca winda, ciemny korytarz, resztkę starych czarnych i białych ośmiokątnych kafelków w niegdyś eleganckim korytarzu, które z marnym skutkiem wymieniono na zielonkawą łazienkową glazurę. W jej biurze książki i dokumenty piętrzyły się od podłogi do sufitu, a cieknąca woda kapiała do garnków, ale był to duży pokój pełen dużych mebli, wszystko ze skóry i drewna, z ładnym widokiem na budynek sądu znajdujący się po drugiej stronie placu. Była w tym biurze także atrakcyjna młoda kobieta, która otworzyła mi drzwi. Miała czarne włosy z wsuniętymi spinkami, była kształtna, gładka i drobna, nosiła okulary i ciemny wełniany kostium. Przedstawiła się jako Theresa Trio, doradca prawny, i zaprowadziła mnie do pani Flosky, która była rozczochraną blondynką po pięćdziesiątce w sweterku i okularach na głowie. Stała za biurkiem, paliła papierosa i machnęła na mnie, żebym wszedł. Wyciągnąłem dłoń do uścisku.

- Miło mi panią poznać - zacząłem.

- Nie, kurwa! - wrzasnęła.

- Słucham? - zamarłem z uśmiechem na twarzy i dłonią, która zawisła w powietrzu.

- Tak, tak... - dodała, kręcąc głową. Zorientowałem się, że nie zwracała się do mnie. Gapiła się tylko na mnie, mówiąc jednocześnie do telefonu przez słuchawki. Niecierpliwie machnęła ręką w stronę krzesła zawałonego dokumentami. Uniosłem stosik i usiadłem, trzymając papiery na kolanach, udając, że zainteresowałem się jedy-
nym dziełem sztuki w pokoju - szablonową, czarno-białą fotografią wystającego spod śniegu drzewa bez liści. Na biurku stała popielniczka wielkości talerza wypełniona niedopałkami, a pokój miał ów głęboki, kwaśny zapach dymu, jakby po nocach ktoś tam wędził szynkę.

- Totalne gówno! - wrzasnęła mi w twarz.

Uśmiechnąłem się i kiwnąłem głową.

- Zgadza się, palancie!

Zaczynałem się czuć trochę niezręcznie, siedząc tam beznamietnie, podczas gdy ona patrzyła prosto na mnie i wykrzykiwała słowa typu *tak!*, *nie!*, *gówno!*, *kurwa!*, odwróciłem się zatem w stronę okna i próbowałem obserwować schody prowadzące do budynku sądu. Dzień był wietrzny, co zdawało się potęgować wrażenie, jakbym za szybą oglądał niemy film. Ludzie walczyli, by wejść pod górę, ich ciała były napięte i drżące, włosy i spodnie furkotały na wietrze. Sukienki i spódnice w uniesieniu czepiały się ciał swoich pań. Jakiś kapelusz przeturlał się po ulicy. Plastikowa torebka uniosła się w kapryśnej spirali.

- Okej, wyjaśnijmy coś sobie - powiedziała Flosky. - Uważam, że cała ta sprawa śmierdzi.

Nie byłem pewien, do kogo mówi, więc wskazałem na siebie i spojrzałem na nią pytająco.

- Tak, do ciebie mówię - powiedziała i wycelowała we mnie paznokiec. - Śmierdzi.

- No tak, hm... - starałem się mówić wymijająco. - Rozumiem.

- Ale Darian tego chce, więc cóż mogę zrobić - zamachała papierosem, rysując w powietrzu dymem stokrotkę, usiadła i zaciągnęła się, długo i zapamiętałe.

- Mówmy wprost. Nie jestem wtajemniczona w to, co on chce z tobą omawiać. Później również nie będę. Wszystko zostanie między wami.

- Okej...

- Ale... - wzdrygnąłem się, kiedy nagle wstała. - Jest kilka kwestii, które musimy omówić. Po pierwsze... - wyprostowała kciuk. - Proponuje podział pół na pół, co, jak zakładam, panu pasuje.

- Tak, oczywiście.

Pięćdziesiąt procent to bardzo szczodra propozycja. Claire namawiała mnie, żebym naciskał na trzydzieści pięć i zgodził się na dwadzieścia pięć. Ale z drugiej strony, jak wyjaśniła, działka Claya poszłaby na długi, wliczając w to rachunki za prawników, które musiały być ogromne, a także na fundusz na rzecz ofiar, ponieważ nie mógł zarabiać na swoich zbrodniach. Pewnie łatwiej było szastać pieniędzmi, których i tak się nigdy nie zobaczy. Mimo to powiedziałem:

- Dziękuję bardzo.

- Proszę mi nie dziękować - odparła Flosky. - To nie moje pieniądze.

Jeszcze nie, pomyślałem. Uniosła w górę dwa palce.

- Co prowadzi nas do drugiej kwestii. Ani jedno słowo, które do ciebie wypowie, ani jeden fakt, ani kurwa-w-ogóle-cokolwiek, nie będzie opublikowane, wypuszczone, wypowiedziane w wywiadzie, ujawnione czy w jakikolwiek sposób rozpowszechnione do momentu śmierci pana Clay'a - z powodów naturalnych czy też nie. Co oznacza, że jeżeli wyjdzie na moje, nie zobaczysz żadnych pieniędzy przez długi, długi czas - uśmiechnęła się. - Ani ja.

Usiłowałem jej odpowiedzieć uśmiechem, ale jej twarz nagle stała się obojętna.

- Halo? - powiedziała.

- Halo? - stuknęła palcem w słuchawkę. - Jack, co ty kurwa odwalasz?

Wycofałem się cały w uśmiechach, machając na pożegnanie ręką. Theresa Trio, która stuknęła w klawiaturę ze słuchawkami w uszach, również nic nie powiedziała, nawet na mnie nie spojrzała, więc sam znalazłem wyjście i zameldowałem się u Claire.

- Cholera - powiedziała, kiedy opowiedziałem jej całą historię. - Wiedziała, że musi być jakiś haczyk.

Spodobał jej się podział pół na pół, powiedziała, że to „fajniutko”. Ale jeżeli wyrok śmierci Clay'a zostanie unieważniony, złagodzony lub przełożony na czas nieokreślony, nie dostaniemy nic. Jednak prawnicy, z którymi rozmawiała Claire, uspokoili ją. Zapewnili, że Clay jest już praktycznie martwy. Jego sprawa poszła jak trzeba, a egzekucja została zaplanowana za trzy miesiące, więc na pewno umrze. Jedyne, co mogło go teraz ocalić, było wstawiennictwo gubernatora, co było politycznie nie do pomyslenia, albo nowa apelacja, do której nie było podstaw prawnych. Być może właśnie dlatego zdecydował się zacząć mówić, by zrzucić ciężar z serca (jeżeli w ogóle je miał) i w chwili zejścia z tego świata zostawić wszystko za sobą. Zostawić to w moich rękach.

Pojechałem popołudniowym pociągiem na północ stanu Nowy Jork. Musiałem stawić się w więzieniu wcześniej, żeby przejść przez długie procedury, które były konieczne przed odwiedzinami, i zdecydowałem, że lepiej będzie pojechać dzień wcześniej i zatrzymać się w pobliskim hotelu. Później, po rewizji i zatwierdzeniu wizyty, miałem poznać Dariana Claya.

To właśnie wtedy, w pociągu jadącym do Sing Sing, nerwowość i emocje ostatnich kilku tygodni opadły i dopadł mnie inny rodzaj nerwów i podniecenia: właśnie miałem się spotkać i prawdopodobnie rozpocząć współpracę z wielokrotnym mordercą. Złym człowiekiem. I to nie złym w rodzaju wrednego właściciela sklepu ze zdrową żywnością, dla którego pracowałem mając 14 lat i który kazał mi szorować glutownik mechaniczny. Clay był naprawdę zły, w sposób, w jaki prawie nikt nie jest. Nie był po prostu kimś, kto zrobił świństwo z powodu egoizmu, głupoty, strachu czy nienawiści - te cechy są aż nadto ludzkie i łatwo je zrozumieć. Clay był inny - obcy i oderwany. Jakikolwiek był powód jego zbrodni, przekroczył on granicę i wyzwał się człowieczeństwa: stał się potworem.

A ja bałem się spotkania z potworem. Przyznaję. Aż się zwiјаłem na siedzeniu. Śmiesznie przerażony, niczym dziecko niebojące się niczego w świetle dnia, którego koledzy namówili na dotknięcie nawiedzonego domu. Albo jak ktoś, kto gapi się na rekina w szklanym akwarium i robi krok w tył, tak na wszelki wypadek.

Byłem też przerażony koniecznością przekroczenia progu więzienia z jakiegokolwiek powodu, nawet jako gość. Przecież zawsze istniała możliwość, że mnie nie wypuszczą. No i był jeszcze ten głębszy strach - skażenie: irracjonalny, prymitywny, ale przez to nieuchronny strach przed tym, że zło może być w jakiś sposób zaraż-

liwe, że kontakt z potworem może mnie zniszczyć, zrobić coś dziwnego z moją duszą. Szczerze mówiąc, czułem, że nie miałbym nic przeciwko temu, żeby znaleźć się z powrotem w domu, w mojej starej sypialni, którą zmieniłem w pracownię, i siedzieć przy tym samym biurku, przy którym układałem chłopięce wiersze, marząc o podróży na ciepłą, wilgotną planetę z mieszkańcami noszącymi maski na twarzach i rozpoznającymi się nawzajem po odsłoniętych genitaliach. Albo wymyślając pościg, który zatrzyma największy transport skażonego koks do Harlemu i zdemaskuje białych skorumpowanych polityków, którzy to potajemnie wspierali. Tylko jeden mężczyzna stanął im na drodze: Mordechaj Jones.

Za oknem zapadał zmrok, pociąg pędził na północ, a miasto powoli wypierał wiejski krajobraz. Zapowiadało się na powrót zimy. Tutaj wciąż jeszcze leżał śnieg, na martwych polach i milczących budynkach, na kablach telefonicznych i słupkach płotów. Poza sosnami, które teraz wydawały się czarnymi plamami w ciemności, wszystkie wiotkie drzewa stały ogołoczone z liści. Wyżej, ponad oblodzonymi górami, na czerniejącym z wolna niebie widać było niezliczoną ilość gwiazd. A naprzeciw mnie, jadąc tyłem do kierunku jazdy, czego ja nie mogłem znieść, bo zawsze chciało mi się rzygać, siedziała doradczyni prawna, Theresa Trio.

Trio wiozła jakieś dokumenty, które Clay miał podpisać, ale miała także być moją przewodniczką, wskazać drogę do hotelu i więzienia, a także objaśnić mi wszystkie procedury, choć z Clayem mieliśmy się spotkać osobno. Ubrana była w strój podróżny, nie biznesowy, miała na sobie dzinsy i parkę, którą zdjęła w przegrzanym pociągu, odsłaniając workowatą bluzę ACLU. Znaczek na jej plecaku namawiał mnie do *szerzenia pokoju na Bliskim Wschodzie*. Zauważyłem również coś innego: nie bała się.

- Nie boisz się? - spytałem, uśmiechając się. - Tej wycieczki?

- Nie - odparła. - Jakbyś czegoś próbował, to mam przy sobie gaz pieprzowy.

Roześmiałem się.

- Wiesz, o co mi chodzi. Jazda do więzienia. Spotkanie z mordercą.

- Chciałeś powiedzieć: z niesłusznie skazanym człowiekiem? Pracuję dla jego adwokatkii.

- No tak, przepraszam. W każdym razie miałem na myśli... - ta rozmowa zaczynała mnie przerastać i żalowałem, że w ogóle ją zacząłem. Kusilo mnie, żeby po prostu zamknąć oczy i udawać, że zasnąłem. Może zacznę chrapać? - Miałem tylko na myśli, że... to musi być

ciekawe. To znaczy bycie prawnikiem. Musisz zadawać się z kryminalistami i podejrzanymi typami.

- Takimi jak pisarze porno?

- Ha! - roześmiałem się ponownie. - Celne! Dwa do zera dla ciebie! No tak, przyznaję, to niezłe świry. Co byś o nich powiedziała jako prawniczka?

Na jej twarzy pojawił się mimowolny uśmiech. Wąski i powściągliwy.

- W każdym razie... - powiedziałem, wzruszając ramionami. - Nieważne. Wszystko jedno.

Odwrociłem się i zacząłem gapić się w okno. Drzewa. Śnieg. Gwiazdy. Wszystko to wydawało mi się nieruchome, jak gdybyśmy się nie poruszali, a stali w miejscu.

- Tak właściwie to nie jestem jeszcze prawnikiem - powiedziała. Jestem na stażu. Doradcą na wolontariacie.

- Ach tak? A dlaczego u Flosky?

- Ponieważ uważam, że kara śmierci jest barbarzyńska. Ponieważ nawet jeżeli Clay albo ktokolwiek inny skazany na śmierć jest faktycznie mordercą, to zabicie go też jest przestępstwem. Takich rzeczy nie robi się w cywilizowanym społeczeństwie.

- A niby odkąd to jesteśmy cywilizowani? - zapytałem. - Czy to w ogóle podlega dyskusji? Nie, żebym się nie zgadzał - szybko dodałem. - Też jestem przeciwny karze śmierci. Nie podoba mi się, że państwo ma taką władzę. Poza tym jakoś tak jest, że na śmierć nie skazuje się zbyt wielu białych i bogatych.

- No właśnie! - oznajmiła, pochylając się do przodu i wreszcie okazując mi trochę ciepła.

- Ale jednak - nie mogłem się powstrzymać - nie mogę przestać o tym myśleć: ktoś zabił te dziewczyny, ktoś zrobił te wszystkie straszne rzeczy i jest złym człowiekiem. Czy ten nikczemny drań nie zasługuje na śmierć?

- Cóż, jeżeli tak czujesz, jeżeli Clay jest zły i zasługuje na śmierć, a ty jesteś dobrym, cywilizowanym człowiekiem, to jak mogłeś podjąć się tej pracy?

- Ciągle to powtarzasz. Kto powiedział, że jestem dobrym człowiekiem? - zapytałem. - Jestem tylko pisarzem. Nie martw się, zrozumiesz to, kiedy już zostaniesz prawnikiem.

Przewróciła oczami, a uśmiech zniknął wraz z wszelkimi oznakami dobrej woli, które przed momentem okazała. Rozmowa była skończona. Sięgnęła do torebki, założyła okulary i zaczęła czytać...
Zapada szkarłatny zmrok pióra Sibylline Lorindo-Gold.

Nigdy wcześniej nie widziałem, żeby ktoś czytał moją książkę. Zakładałem oczywiście, że ktoś tam gdzieś tam musiał je czytać i przyznaję, poszedłem kiedyś do księgarni, żeby popatrzeć na swoje fałszywe nazwiska na półkach i skradać się, niczym obserwator ptaków, czekający na ten jeden, rzadki gatunek: czytelnika, który z jakiegoś powodu postanowił wziąć do ręki napisaną przeze mnie książkę. Nigdy się to jednak nie zdarzyło, ani razu i obraz osoby, dla której pisałem, pozostał mglistą smugą, jeszcze mniej realną niż moje własne postaci.

Mimowolnie chciałem jej powiedzieć. Ale później zorientowałem się, że udzielenie informacji jej, jej szefowej lub Clayowi o tym, kim byłem czy też raczej kim jeszcze byłem, byłoby złym posunięciem.

Poza tym, pewnie i tak by mi nie uwierzyła. Albo co by było, gdyby uwierzyła? Chrząknąłem.

- Dobre? - zapytałem tak nonszalancko, jak to tylko było możliwe.

- Co? - spytała, wyglądając na rozdrażnioną.

- Ta książka. Czy się do czegoś nadaje?

Pokiwała głową. Może i było to lepsze niż odpowiedź *nie*, ale nie do końca mnie usatysfakcjonowało.

- O czym to jest?

- Słucham? - ewidentnie ją teraz denerwowałem.

- O czym jest ta książka?

Posłała mi pogardliwe spojrzenie i westchnęła.

- O wampirach.

- Ha, ciekawe.

- Słuchaj no, nie wtrącaj się w mój gust literacki, panie Zagadywaczu Zdzir.

- Przepraszam. Nie chcę się wtrącać. Słyszałem tylko, że jej książki są całkiem niezłe.

Spojrzała mi prosto w oczy, jakby chciała sprawdzić, czy się z nią drażnię, czy nie.

- Uważam, że jest świetna - powiedziała.

Mogłem się trochę zarumienić. Wiem, że musiałem spuścić wzrok. Jest fanką - pomyślałem. Prawdziwą fanką. Moją fanką. I wtedy, ponieważ nie mogę się zadowolić tym, co dostanę, podobnie jak nie mogę się powstrzymać przed kartkowaniem nowo nabytej książki, musiała pojawić się ta myśl. Ta, o której nie powinienem myśleć. Nie mogę nic na to poradzić. To część bycia pisarzem czy poetą, nawet fatalnym. Chociaż żartowałem sobie z Theresą, fakt pozostaje faktem, że poeci w istocie są dzikusami: podstawą cywilizacji jest przecież

tłumienie myślenia, a nam zawsze w głowie pojawiają się te myśli, choćby były one nie do pomyślenia czy nie do wypowiedzenia. Czasem nawet je wypowiadamy, nawet jeżeli tylko po cichu, do siebie, jakby na piśmie. Tak więc patrzyłem sobie na Theresę Trio i zastanawiałem się, czy pod tą luźną bluzą i dzinsami dała sobie przekłuć jakieś miękkie różowe miejsce. Czy jakiś jej wrażliwy punkt potrzebował drobnego ugryzienia?

Kiedy czytała dalej, usiłowałem w myślach czytać tę historię wraz z nią, zgadując, do czego się uśmiecha lub na co marszczy nos. W pierwszych rozdziałach moja bohaterka, Sasha, studentka archeologii, dostaje propozycję letniego stażu w Nowym Jorku. Ma skatalogować kolekcję zamożnej, samotnej pary. Z radością spostrzegłem, że Theresa czyta tę część jak urzeczona, marszcząc brew, bawiąc się włosami, a nawet raz przygryzając z emocji dolną wargę, kiedy, podczas pierwszego wieczoru w Nowym Jorku, Sasha idzie na spacer i zostaje niemal zgwałcona w Central Parku; ratuje ją jednak wilk, który sponiewierał oprawcę.

Ale wtedy, kiedy już docieramy (Theresa, Sasha i ja) do drzwi wejściowych eleganckiego domu tej tajemniczej pary w centrum miasta, kiedy to napięcie powinno stać się niemalże nie do wytrzymania, gwałtownie zamknęła książkę i niemal natychmiast zasnęła, złączając razem czarne rzęsy i zostawiając jeden szczupły palec pomiędzy stronami książki. Trzymała go tak, dopóki nie dotarliśmy do Ossining, gdzie leżał świeży śnieg.

Z Zapada szkarłatny zmrok, pióra Sibylline Lorindo-Gold, rozdział 3:

Przybyłam zgodnie z instrukcjami, które mi podano, tuż po zachodzie słońca. Zaczynał padać lekki deszcz. Kiedy tak stałam na schodach rezydencji kurczowo trzymając walizkę, wszystko wokół mnie - spowite mgłą latarnie na Sutton Place, mroczna linia horyzontu, krople deszczu bezgłośnie znikające w rzece - wydawało się pięknie i nierealne. Ja, Sasha Burns, dziewczyna z małego miasteczka, zostałam poproszona o przejrzanie prywatnej kolekcji Arama i Ivy Vane'ów. Schenectady nigdy nie wydawało mi się tak daleko. Nagle poczułam falę strachu i zapragnęłam uciec na Penn Station i złapać pierwszy pociąg do domu. To tylko nerwy, pomyślałam sobie, chociaż było to coś więcej - była to pierwotna, zwierzęca reakcja, jak reakcja psa myśliwskiego, kiedy wyczuwa pumę. I wtedy, zanim jeszcze zadzwoniłam, zamek szczęknął i otworzyły się masywne drzwi. Ostrożnie weszłam do środka.

- Witaj - dobiegł mnie głęboki, nieco egzotyczny głos. Jego właściciela nie widziałam. - Proszę, wejdz.

Było to piękne pomieszczenie, długa komnata z wysokim sufitem. Na dwóch końcach pokoju buchały ogniem kominki. Z góry patrzył na nas żyrandol. Półki były wysokie aż do sufitu i wypełnione rzadkimi książkami w zapomnianych językach. Nie było zbyt wiele mebli - kilka perskich dywanów i doskonale zachowane antyki - ale jeden kąt pokoju zdominował fortepian. Na kłapie leżały skrzypce. Wtedy z cienia wyłonił się mężczyzna. Był wysoki i chudy, ubrany na czarno i przedwcześnie posiwiaty - tak przynajmniej pomyślałam, ponieważ jego silna, przystojna twarz nie wyglądała na więcej niż trzydzieści lat. Miał wysokie czoło, ciemną skórę i prosty, szlachetny nos. Wyjątkowe

w jego twarzy były pełne, niemal kobiece usta, blizna biegnąca od lewej skroni do szczęki, a także głębokie, zielone oczy, oczy, które zdawały się świecić niby klejnoty w kopalni, do której nie docierało światło.

- Mam na imię Aram - oznajmił, ujmując moją dłoń. - Jestem bardzo rad, że mogłaś przyjechać. Pozwolę sobie przedstawić moją żonę.

Wskazał w jej kierunku, a mi zaparło dech w piersiach. W jakiś tajemniczy sposób za moimi plecami pojawiła się kobieta, wyłoniła się niczym z mgły. I to nie była jaka kobieta. Była to najpiękniejsza istota, jaką w życiu widziałam. Ludzie mówią mi, że jestem urocza - szczupła, blond, niebieskooka i najszybsza na boisku - ale przy tej kobiecie poczułam się jak chłopczyca. Była wysoka i ponętna, miała na sobie prześwitującą czarną sukienkę opinającą jej boskie kształty, atramentowoczarne włosy opadające do bioder i bladą twarz o perfekcyjnym owalu, na której widniały krwistoczerwone usta i smutniejsze, piękne oczy, niczym dwie czarne lzy.

- Dobry wieczór - powiedziała. - Jestem Ivy. Musisz być wyczerpana podróżą. Zaprowadzę cię do twojego pokoju.

Następnych kilka dni pamiętam jak przez mgłę. Cudowną mgłę. W ciągu dnia przebywałam sama w bibliotece, pomagając przy katalogowaniu wspaniałej kolekcji. Nigdy nie widziałam tylu w jednym miejscu zgromadzonych dzieł sztuki: nie tylko sumeryjskich, egipskich, aramejskich, hebrajskich i afrykańskich, ale także chińskich, japońskich i indyjskich. Może zabrzmiało to patetycznie, ale rozpakowując te skarby i odkurzając je małym sobolowym pędzlem, czułam się jak w niebie. Dręczyły mnie tylko dwie rzeczy: po pierwsze, dlaczego tak bezcenne okazy nigdy nie były wystawiane ani zarejestrowane? A po drugie: dlaczego ja? Owszem, studiowałam archeologię w całkiem niezłej szkole, ale jedyny podobny projekt, w którym brałam udział, to wazenie na wykopalisku grotów irokeskich strzał.

Aram wyjaśnił mi, że chcieli zachować prywatność i uniknąć jakichkolwiek plotek o ich majątku. Stwierdzili również, że moja młodzieńcza naiwność jest odświeżająca. Byli znużeni życiem, jak oznajmili mi podczas wspaniałej uczy, kiedy obserwowali, jak objadałam się truflami i kawiozem, choć sami nie przelknęli ani kęsa i jedynie zanurzali usta w winie. Ja na pewno nie byłam znużona. Byli fascynujący: mówili dwunastoma językami, grali razem w szachy na poziomie mistrzowskim, grali na fortepianie i skrzypcach, zależnie od

nastroju przechodząc od Bacha do, na przykład, Schoenberga. Urządzili zawody w recytowaniu Szekspira, jednak poddali się tuż przed świtem, ogłaszając remis.

Przynaję, podkochiwałam się w Aramie od samego początku, chociaż nigdy w życiu, nawet za tysiąc lat, nie myślałam, że mógłby się mną zainteresować. Uczucia, które żywiłam do Ivy, były nieco bardziej skomplikowane. Nigdy nawet nie rozważałam romansu z inną kobietą, ale ona była tak piękna, tak pełna gracji, tak fantastyczna i w jakiś tajemniczy sposób tragiczna, a jednocześnie silna i dominująca, że przypominała niemal mężczyznę. Było to dezorientujące. Potem pewnej nocy przyszła do mojego pokoju z butelką wina, oznajmiając, że Aram wyszedł. Wydawało się, że żadne z nich nigdy nie opuszcza domu, więc zapytałam, dokąd się udał.

- Na polowanie - odparła i roześmiała się gardłowo. Ten śmiech sprawił, że nie zadawałam więcej pytań. Polowanie? W Nowym Jorku? To znaczy, na inne dziewczyny? Czy to dlatego była taka smutna? Jeżeli miał na to ochotę, nie wyobrażam sobie, żeby wiele z nich odmówiło. Czy ja bym odmówiła? Czy chciałabym odmówić? Nagle przypomniałam sobie wilka, który zagryzł mojego napastnika w parku. Czy on czasem również nie miał zielonych oczu?

- Nie zaprosisz mnie do środka? - spytała Ivy, przerywając moje rozmyślenia.

Roześmiałam się i wyrzuciłam ten obraz z głowy.

- Oczywiście! - przytrzymałam drzwi, a ona przepłynęła przez próg.

Tej nocy rozmawiałyśmy, śmiałyśmy się, słuchałyśmy muzyki i piłyśmy wino. A przynajmniej ja. Musiałam zasnąć, ponieważ obudziłam się w ciemności. Wtedy, kiedy moje zmysły się przystosowały, zdałam sobie sprawę z tego, że ktoś tam jest. Na twarzy czułam dotyk silnych rąk i czyjś oddech na moich ustach. Aram? Pomyślałam. Wiedziałam, że to niewłaściwe, ale nie byłam w stanie się oprzeć i przyjęłam łapczywy pocałunek. Wyciągnęłam ramiona... I poczułam długie włosy i ciepło ciała pięknej kobiety. To była Ivy!

Nawet gdy się objęłyśmy, mówiłam sobie, że to tylko sen i następnego ranka miałam wątpliwości, czy to się w ogóle zdarzyło. Jednak nie skończyło się na tym: dni spędzałam otoczona przez książki i zakurzone relikwie, wieczory wypełnione były Schubertem, zaś później Ivy bezszelestnie wkradała się do mojego łóżka, przyciskając palec do moich ust, by powstrzymać pytania.

- O nic nie pytaj, błagam - szeptała. - Cieszymy się tym dniem.

Chyba byłam zbyt oszołomiona, by myśleć racjonalnie. Jakbym znajdowała się pod wpływem jakiegoś zaklęcia. Nigdy nie spotkałam nikogo podobnego do nich. Ale nie zdawałam sobie sprawy z tego, do jakiego właściwie stopnia są niezwykli, dopóki nie znalazłam ich walczących na miecze w bawialni. Dokładnie tak - walka na miecze. Zeszłam na dół, spodziewając się wieczoru z Mozartem i znalazłam ich, z włosami w nieładzie, spoconych, machających mieczami. Rzucali się, nacierali na siebie i przeskakiwali przez kanapy. Wykonywali pchnięcia, parowali i łamali krzesła. Przyszło mi do głowy, że być może walczą o mnie, ale moja obecność zdawała się ich nie interesować. W końcu z agresywnym chrząknięciem Aram skoczył niczym pantera i, ku mojemu przerażeniu, wbił floret głęboko w klatkę piersiową Ivy, prosto pomiędzy jej śnieżnobiałe piersi, piękne piersi, które całowałam zaledwie kilka godzin temu. Zatoczyła się z jękiem rozdzierając sukienkę, z floretem wbitym w ciało, a Aram obserwował ją, niewzruszony; usta wykrzywiły mu się w okrutnym uśmiechu. Byłam zbyt wstrząśnięta, by się ruszyć. Ivy wpadła na niski empirowy stolik i runęła na podłogę.

- Ivy! - krzyknęłam i podbiegłam do niej. Ale ona, wraz z ostatnim oddechem, wyciągnęła z szuflady stolika ogromny rewolwer i wystrzeliła, trafiając Arama prosto w serce. Zobaczyłam dziurę w jego klatce piersiowej, patrzyłam, jak pada na ziemię, podobnie jak Ivy, wzdycha i na moich oczach umiera na bezcennym dywanie. Opadłam na kolana. Zaczęłam szlochać. Wtedy, ni z tego, ni z owego, Ivy wyciągnęła rękę i pocałowała mnie. Było to prawdziwy, mocny pocałunek. Gwałtownie wciągnęłam powietrze, a martwa kobieta pode mną roześmiała się.

- Ivy, ty żyjesz?

- Oczywiście - odparła, siadając, a miecz wciąż tkwił w jej dekolcie. - Ale trochę boli. Wyciągnęła floret i potarła ranę, która zdawała się maleć i goić na moich oczach.

- Ale zastrzeliłaś Arama - powiedziałam. - Zabiłaś go.

- Zasłużył sobie - oznajmiła.

- Przyganiał kociół garnkowi - powiedział Aram, siadając i grzebiąc palcami w ranie postrzałowej. - Nigdy nie umiałaś przegrywać z gracją - wstał z uśmiechem i podszedł bliżej. - Ale nie martw się, jeszcze się odegram.

Gapiłam się na nich w szoku i nie byłam w stanie uwierzyć własnym oczom. To była jakaś sztuczka? Iluzja? Ale jak?

- Nie chcieliśmy cię przestraszyć - powiedziała Ivy. - Ale widzisz, jesteśmy nieco znużeni, a w małżeństwach, które trwają tak długo jak

nasze, trzeba spuścić trochę pary. Zrozumiesz to, kiedy będziesz starsza. Ile to już lat jesteście razem, skarbie?

Wzruszył ramionami.

- Wydaje się, jakbyśmy byli razem od zawsze, ale tak naprawdę to tylko dziewięćset lat - zakaszlał. - Przepraszam - powiedział i odchrząknął, po czym splunął w dłoń. Uśmiechając się, wyciągnął ją ku mnie. Na jego dłoni spoczywała kula. W osłupieniu szeroko otworzyłam oczy. Nie mogłam oddychać. Przez chwilę myślałam, że tracę rozum. Nagle obydwójce zaczęli się szaleńczo śmiać, niczym dzikie dzieci, obejmując się z maniacką radością.

To właśnie wtedy po raz pierwszy ujrzałam ich kły.

14

- To ty jesteś ten Tom Stanks, Zaklinacz Zdzir? - jego głos był łagodny, głęboki i nieco chrapliwy, choć mówił tym samym angielskim Królowej co ja. Przeszedłem przez pokój odwiedzin, z uprzejmym uśmiechem na twarzy, w krawacie, który wybrała i uprzednio związała ciasno na moim gardle Claire i podskoczyłem tylko odrobinę, kiedy strażnik zamknął za mną drzwi. Nie było krat ani piszczących bramek, tylko normalne drzwi z małym oknem. I nie byliśmy w celi, tylko w pokoju z cementowymi ścianami pomalowanymi na brzydki zielony kolor i umeblowaniem w postaci stołu i krzesel.

Powiedziałem:

- Tak naprawdę to nazywam się Bloch, Harry.

- A, no tak. Ciągłe zapominam, u was nikt nie pisze pod nazwiskiem. Mam na imię Darian.

- Miło mi poznać - wyciągnąłem dłoń, a on zachichotał.

- Minęło trochę czasu, odkąd ostatni raz ktoś to powiedział - wyciągnął ręce w górę, by pokazać mi, że jest zakuty. - Siadaj.

Sięgnąłem, by wyciągnąć krzesło, ale nie chciało się ruszyć.

- Wszystko tutaj jest unieruchomione - powiedział. - Łącznie ze mną.

- No tak - powiedziałem siadając.

- Wyglądam tak, jak się spodziewałeś? - zapytał.

Nonszalancko wrzuciłem ramionami.

- Tak naprawdę to o tym nie myślałem - skłamałem. Prawda oczywiście była taka, że myślałem o tym bez przerwy. To pytanie, które prędzej czy później musi sobie zadać wielu pisarzy: jak właściwie powinien wyglądać maniackalny morderca? Czy ma być potworem, na przykład groteskowo otyłym, jak biedny stary Sade, tarzający się w swym cielesnym więzieniu? A może pokurczoną kreaturą na

wózku? Czy to ma być zły karzeł, tak ukochany przez Davida Lyncha? Szalony naukowiec z potarganymi włosami i dziwnymi okularami, naciskający tajemniczy wielki przycisk? A może uprzejmie diaboliczny geniusz albo demoniczny ładny chłopiec, jak to było z Lecterem, Draculą i samym Lucyferem? A może wolicie cichego pełzacza, nic nieznaczącego robaczka, który nie mógłby skrzywdzić muchy?

Ale wyzwanie związane z wymyśleniem odpowiedniego wyglądu dla psychologa jest tylko przykrywką prawdziwego problemu: zło nie ma twarzy, chyba że mówimy o tej w lustrze. Powiedzmy, na przykład, że czytacie tę książkę w pociągu w drodze do pracy. Podnieście głowę i rozejrzyjcie się. Kto wokół was jest kłamcą, cudzołożnikiem, złodziejem? Albo podpalaczem, psychopatą, kanibalem? Tak naprawdę to mógłby być ktokolwiek. Historia pełna jest zwyczajnych ludzi robiących okropne rzeczy bez żadnego powodu.

W opowieściach natomiast ta wygodna prawda wydaje nam się nieprzekonywująca. Nie kupujemy tego.

A przynajmniej nie w zapłaconej, papierowej wersji. Literatura ma więc paradoksalne zadanie - takie, które nie udało się religii, psychologii i wiadomościom codziennym: sprawienie, że rzeczywistość staje się wiarygodna.

Przedstawię więc fakty takimi, jakimi według mnie były, a wy zróbcie z tym, co chcecie: wyglądał w porządku. Nie był ogrem ani nie wyglądał jak Brad Pitt (choć nie miałbym nic przeciwko sprzedaniu mu praw do filmu). Wyglądał jak czyjś przystojny wujek, taki, który dba o siebie, grając w tenisa i zamawiając rybę na obiad. Więzienie mu służyło. Ćwiczył i nawet przez obwisły dres widać było, że każdy mięsień na jego rękach, szyi i ramionach był jak kabel. Przed więzieniem był przystojny, ale szczurzy, w przylegających czarnych garniturach i koszulach na procesie; w sądzie miał długie, tłuste włosy związane w kucyk i kilka zepsutych zębów. Ale państwo naprawiło mu zęby i obcięło włosy. Czas sprawił, że jego skronie posiwiały, a twarz nabrała wyrazu. Jego zmarszczki się pogłębiły. Brązowe oczy błyszczały. Wyglądał, jakby był gotów pozować do reklamy bielizny termicznej w katalogu świątecznym, patrząc w oczy jasnowłosej żony przy rozpalonym kominku.

Siedząc z nim, w odległości dwóch stóp od zła, znałem okropną prawdę, ale wciąż nie mogłem jej do końca pojąć. Odbywałem spotkanie z normalnym człowiekiem, dosyć miłym, nawet jeżeli niespecjalnie bystrym. Nie wzbudzał strachu. Można było go nawet polubić. Do momentu odkrycia, że obcinał głowy dziewczynom, a ich ciała wyrzucał

do śmieci.

- Cóż, ty na pewno nie wyglądasz tak, jak się spodziewałem - oznajmił, taksując mnie wzrokiem z góry na dół, marszcząc się przy tym niczym gość w restauracji, który pożałował zamówienia dania specjalnego.

- Ach tak?

- Młodszy. Znacznie młodszy. No i mniejszy. Niższy i chudszy. Jesteś Zaklinaczem Zdzir, prawda?

- No tak, pisałem tę rubrykę...

- Po prostu zupełnie nie wyglądasz na kogoś, kto jest instynktownie dominujący. Ale jesteś doświadczony?

- Jasne.

Spojrzał mi w oczy, jakby mógł zajrzeć do środka i zapytał:

- Więc pracowałeś nad tym poważnie, nad trenowaniem suk?

- Cóż, jestem pisarzem - zacząłem, usiłując przesunąć się na przyśrubowanym krześle. Zamiast tego skrzyżowałem nogi i ręce. - Co oczywiście wiesz. I jako pisarz muszę rozpracować problem od strony teoretycznej, nim zabiorę się za samo pisanie i fantazjowanie. Na przestrzeni lat napisałem sporo rzeczy na ten temat i jeżeli, patrząc przyszłościowo, będę z tobą współpracować, to na pewno docenisz moją umiejętność projekcji.

Uśmiechając się posępnie, wyobraziłem sobie, jak zakładam obrożę Jane. Czy ugryzłaby mnie w dłoń? Albo rąbnęła w nos, tak jak wtedy, kiedy niechący walnęła mnie w nos łokciem w łóżku i miałem krwotok? Nie. Roześmiałaby się. I nie próbowałaby tego ukrywać, podobnie jak wtedy, kiedy pomagała mi pakować papier toaletowy w dziurki nosa.

- No tak... Jest jednak istotny powód, dla którego pytam - Clay brzmiał, jakby miał wątpliwości. - Ten projekt działa w dwie strony.

- Ach, tak? - byłem zadowolony ze zmiany tematu. - W swoim liście wspomniałeś chyba coś o warunkach?

- Tak. Spójrz na to - popchnął w moją stronę szarą teczkę.

Otworzyłem ją.

- Wyglądają jak listy - powiedziałem.

- Listy od fanek. Listy miłosne od moich fanek.

- Fanek?

- Wszystkie te dziewczyny są we mnie zakochane - wyjaśnił. - Niektóre są całkiem niezłe. W różnym wieku. Są nawet mężatki. Dostaję je zewsząd, chociaż oczywiście najbardziej znany jestem lokalnie, to znaczy w Nowym Jorku, nie tu, w lesie. Przeczytaj któryś na głos - oparł się i przygotował do słuchania.

Było ich sporo, napisane różnymi charakterami pisma albo na komputerze, tyle że drukowane na kolorowej papeterii. Kilka grubych zwiłków sugerowało korespondencję ciągnącą się od lat, a inne były tylko kartkami świątecznymi z mrocznymi polaroidami i sprośnymi gryzmołami w środku. Wybrałem fiołkowy list z postrzępionym brzegiem i zacząłem odczytywać okrągłe, szerokie pismo:

Zwykle taka nie jestem. Tak namiętna wobec mężczyzny. Jestem po prostu normalna dziewczyną... z sąsiedztwa?

Odchrząknąłem. Dlaczego ja to czytam?

Ale nie mogę przestać myśleć o tym, jakby było mi z tobą, spełniając wszystkie życzenia na twój rozkaz, panie. Mam 158 cm wzrostu, 57 kilo, miseczkę 36 C i duże, drażliwe sutki... - przerwałem, niechętny do przewracania strony.

- I co o tym sądzisz? - zapytał Clay.

- Miała chyba na myśli *wrażliwe* - zasugerowałem.

- O dziewczynie co myślisz?

- Super. Musisz być zachwycony.

Fuknął lekceważąco i zadzwonił łańcuchem.

- Chuj mi to robi. Nigdy nie dotknę przecież ich włosów ani skóry.

- No cóż, tak. Fatalnie...

Clay wzruszył ramionami.

- Zwykły kaprys losu. Oto siedzę zamknięty tutaj i nagle wszystkie dziewczyny mnie chcą. Nie żebym miał z tym problem w przeszłości, ale wszystko się zmienia, kiedy jesteś sławny.

- No tak...

- Też tak masz? Jako pisarz.

- Nie do takiego stopnia - przyznałem.

- Na pewno masz kilka historii na ten temat? W końcu jesteś pisarzem.

- Kilka.

- Z tyłu są zdjęcia.

- Słucham?

- Dużo dziewczyn wysyła mi zdjęcia. Oczywiście nie takie, jakie ja bym zrobił. Amatorskie - puścił oko.

Zamknąłem folder i odłożyłem go na stolik.

- Proszę posłuchać, panie Clay. To jest... posłuchaj, Darian. Nie jestem pewien, czego ode mnie oczekujesz.

Uśmiechnął się i zauważyłem, że jego opłacone przez państwo zęby były dziwnie białe.

- Chcę, żebyś pisał. Przecież jesteś pisarzem, prawda?

- Tak...

- Słuchaj - powiedział. - Nigdy stąd nie wyjdę. Wiem o tym. Nigdy nie będę mógł dotknąć innej dziewczyny ani zrobić kolejnego zdjęcia. Teraz mój umysł to jedyne, co mam - postukał się w skroń trzy razy, jakby pukał do drzwi. - Tutaj jestem wolny.

- Rozumiem - powiedziałem, chociaż wcale tak nie było. Zacząłem zauważać, jak duszno było w pomieszczeniu i jak bardzo niewygodny jest krawat wokół mojej szyi. O dziwo, co chwila musiałem sobie przypominać, że rozmawiam z mordercą, a nie z jakimś obleśnym kolesiem z pracy, który osaczył mnie w kącie, proponując, byśmy razem poszli wrywać laski, a może i coś więcej. Kolesiem, którego spławiłeś, a potem się okazało, że wyrwał najładniejszą dziewczynę w biurze. Pochylił się ku mnie i położył kajdany na folderze. Paznokcie miał obgryzione do fioletowawego mięsa, naskórek ogryziony i surowy, czerwony niczym dziaśła otaczające jego przeraźliwie białe zęby

- Chcę, żebyś zamiast mnie zobaczył się z dziewczynami, z którymi ja nie mogę się spotkać - powiedział. - Mam listę tych, które mieszkają niedaleko i spytałem, czy mają na to ochotę. Porozmawiasz z nimi, przeprowadzisz wywiady i napiszesz o mnie i o nich - to, co ci powiem, ale w swoim własnym stylu.

- W moim stylu?

Przypatrywał mi się oczami opisanymi przez wiele gazet jako podobne do kobry, chociaż dla mnie były to oczy szczeniaka - mokre i ciepłe, wypełnione poważnym smutkiem.

- Po to cię wybrałem - powiedział. - Lubię twój głos.

Przez chwilę nic nie mówiłem, ale zdołałem zachować poważną minę, jak ktoś, kto połykał coś zgniłego na proszonej kolacji. Cierpliwie czekał.

- Czy dobrze zrozumiałem? - zapytałem - Chcesz, żebym zobaczył się z tymi kobietami i napisał potem historie, w których uprawiasz z nimi seks, tak jak w twoich fantazjach?

- Dokładnie.

- Jak magazyn porno, ale tylko dla ciebie?

- Tak, żebym miał co czytać w celi.

- Aha.

- I masturbować się - dodał.

- Załapałem - powiedziałem - Dzięki...

- Ale - wskazał na mnie palcem. - To musi być qui pro quo.

Wiesz, co to znaczy?

- Mniej więcej.

- Za każdą historię, którą dla mnie napiszesz, dostaniesz rozdział książki o moim życiu. I nie od razu wszystkie dobre kawałki. Zaczniemy od początku, kiedy byłem dzieckiem i tak dalej, ale nie martw się, dostaniesz swoją książkę. Bestseller. Gwarantuję.

- Cholera... - powiedziałem, ukradkiem spoglądając na zegarek, zastanawiając się, o której odjechał mój pociąg. - No, nie wiem. Szczerze mówiąc, będę się musiał nad tym zastanowić.

- Jasne, myśl, ile chcesz. Nie spiesz się. Mam 88 dni.

Chciało mi się rzygać. Cały czas, kiedy opuszczałem więzienie - przechodziłem przez punkty kontrolne, odbierałem komórkę i klucze, desperacko rozwiązując krawat - bałem się, że zwymiotuję, ale to minęło, kiedy dotarłem do hotelu. Natychmiast spakowałem się i wymeldowałem. Nie czekałem na Theresę Trio, chociaż miała się spotkać z Clayem po mnie i mieliśmy wrócić razem. Obiecałem wcześniej zadzwonić do Claire i powiedzieć jej, jak poszło, ale tego również nie zrobiłem. Poprosiłem tylko recepcjonistę, by zamówił mi taksówkę i poczekałem na nią na zewnątrz, w mojej zbyt cienkiej kurtce. Dzięki temu mogłem napełnić płuca świeżym powietrzem i poczuć wiatr na twarzy. Było zimno, ale pachniało wiosną: wilgotną ziemią i topniejącym lodem. Na dworzec dotarłem zbyt wcześnie i miałem godzinę do odjazdu następnego pociągu do miasta. Kupiłem bilet i wyrzuciłem rozkład do śmieci. Nie planowałem powrotu.

Poszedłem do toalety, spryskałem twarz wodą i wysuszyłem dłonie pod suszarką. Wróciłem do pustej poczekalni i zacząłem chodzić po niej w tę i nazad. Wtedy ujrzałem samochód parkujący w strefie przeladunku. Wsiadły z niego cztery osoby, które ruszyły na stację, jakby tylko na mnie czekały, wpuszczając do środka zimne powietrze przez automatyczne drzwi. Ich czapki i zmięte płaszcze sprawiały, że zdawali się być bez formy i wyrazu, ale przyjrzawszy się im uważniej, dostrzegłem starszego pana w okularach pomagającego iść kobiecie z laską, kolesia z przyciętą szarą brodą oraz faceta po czterdziestce, świeżo ogolonego. Ruszyli prosto w moją stronę i kiedy się przesunąłem, żeby pozwolić im przejść, młodszy mężczyzna zawołał do mnie:

- Pan Bloch?
- Tak.

Był przystojny i wysportowany, choć może nie przesadnie: miał krótkie nażelowane włosy i zimową opaleniznę, a także starannie wymanikiurowane dłonie. Na moje oko dentysta albo handlarz nieruchomości.

- Nazywam się John Toner.
- Słucham?
- Jestem mężem Sandy Toner.
- Ach... - powiedziałem. - Rozumiem.
- To pan i pani Jarrel. A to pan Hicks. Wie pan, kim jesteśmy?
- Tak - powiedziałem. - Wiem.

Byli to członkowie rodzin dziewcząt, które zabił Clay. Zaprosiłem ich do dworcowej kawiarni, ale odmówili, więc siedzieliśmy na plastikowych krzesłach w poczekalni. Było to dziwne, ponieważ ustawili się w rzędzie, musiałem stać naprzeciw nich, jakbym stał przed publicznością. Zaczął pan Hicks. Kiedy zdjął czapkę, jego włosy sterczały w górę.

- Dowiedzieliśmy się, choć nie powiem, w jaki sposób, o tym projekcie z książką i chcieliśmy z panem porozmawiać osobiście i dać panu znać, że my, rodziny ofiar, gorąco się temu sprzeciwiamy. Nie moglibyśmy sprzeciwić się bardziej. Jesteśmy tu po to, by odwołać się do pana osobiście. Nie pozwolić tej bestii...

Jarrelowie rozsiedli się niczym puchate ptaki i zdawali się być zadowoleni, spokojnie słuchając Hicksa, ale Toner ledwo mógł zachować kontrolę nad sobą, kręcąc się, wzdychając i obracając cyferblatem drogiego zegarka do nurkowania. Niemalże natychmiast przerwał Hicksowi:

- Odwoływanie się nie ma tu nic do rzeczy. Mamy już prawnika gotowego na trzaśnięcie zakazu sądowego w każdej chwili. Dobrego prawnika, proszę mi wierzyć.

Wskazał palcem na moją klatkę piersiową i zauważyłem, że ma na nim obrączkę. Została mu po żonie albo ożenił się ponownie.

- Pieniądze nie mają znaczenia. To przyjacielskie ostrzeże nie, to wszystko. Proszę spojrzeć na tych biednych ludzi. Chce pan otwierać stare rany?

Jarrelowie ze spokojem mrugnęli do mnie, jakbyśmy rozmawiali o pogodzie. Trzymali się za ręce. Hicks spojrzął w dół na swe własne puste dłonie. Wyglądał na zawstydzonego.

- Proszę posłuchać, panie Bloch - powiedział. - Jestem pewien, że ma pan dobre intencje. Dostał pan robotę do wykonania.

Znów wciął się Toner.

- To nie ma nic do...

- Jack, proszę! - powiedział Hicks. - Pozwól mi.
- Hiena... - wymamrotał Toner i odwrócił się.

Hicks pochylił się ku mnie. Jego oczy pod okularami były wodniście niebieskie, jak kamyki na dnie akwarium ze złotą rybką.

- Wszyscy mamy różne sposoby na radzenie sobie - powiedział. - Ale może pan sobie wyobrazić, jak to jest. Moja żona nie mogła tego znieść. To ją zniszczyło. Straciła chęć do życia. Teraz jest pochowana obok Janet. Proszę więc. Dla dobra nas wszystkich. Dla naszych dziewczynek również. Proszę pozwolić nam odpoczywać w spokoju.

W zasadzie zgadzałem się z nimi. Powiedziałem im, że to było moje pierwsze spotkanie z Clayem. Powiedziałem, że nie mam zamiaru pisać książki i na pewno wezmę ich życzenie pod uwagę. Nie zwracałem sobie głowy odpowiadaniem na groźby prawne, ponieważ od prawnika Claire dowiedziałem się, że niezależnie od wszystkiego stoimy na pewnym gruncie. Wiedziałem również, że Toner jest bogaty (prawnik, o którym wspomnieli, był bez wątpienia zatrudniony przez niego), że Clay pracował kiedyś w należącej do niego fabryce i że w ten sposób poznał jego żonę, co tylko powodowało większe wyrzuty sumienia i uczucie bycia łącznikiem pomiędzy mordercą i ofiarą, co, byłem pewien, było źródłem wściekłości Tonera. Wiedziałem nawet, że pani Hicks zmarła na chorobę wieńcową i marskość wątroby. Wiedziałem o nich wszystko, bo zrobiłem wcześniej porządną kwerendę, ale widząc ich tutaj, zastanawiałem się, czy zorientowałbym się, że to oni, gdybym spotkał ich przypadkowo. Nie znałbym całej prawdy, oczywiście, ale czy wiedziałbym przynajmniej, że coś jest nie tak, że spotkało ich coś strasznego? Czy tragedia jest widoczna, podobnie jak zło? Zastanawiałem się również, dlaczego reprezentowane były jedynie trzy martwe dziewczyny. Gdzie podziwiała się rodzina czwartej?

Gdy dotarłem do domu, w poczcie głosowej czekało na mnie pięć wiadomości. Dwie były od Claire, ale te pominąłem - zostawiła mi już jedną na komórce. Jedna była od Morrisa, który chciał pójść na drinka. Jedna od Jane. Czy to nie dziwne, jak niezależnie od tego, ile czasu minęło, niektóre głosy wciąż rozpoznaje się po jednym słowie, jednym oddechu?

Za dwa dni miała odbyć się impreza z okazji ukazania się wiosennego wydania *Podartego pledu* i zaprosiła mnie w ostatniej chwili. Wahala się ze względu na potencjalną niezręczność, ale powiedziała, że... zdała sobie sprawę, że naprawdę chce mnie zobaczyć. Jeżeli oczywiście zechciałbym przyjść. Jeżeli nie byłoby to dla mnie zbyt trudne. Oczywiście, że było zbyt trudne. Ale oczywiście nie mogłem pozwolić, by się o tym dowiedziała. Więc oczywiście musiałem pójść. Fałszywa duma i głupota, wiem, ale czasem tylko to nam pozostało. Ostatnia wiadomość była od kogoś, kogo głosu i nazwiska nie rozpoznałem:

Witam, panie Bloch. Nazywam się Dani Giancarlo. To znaczy Daniella. Przepraszam, że niepokoję pana w domu. Mam nadzieję, że nie ma pan nic naprzeciw, zastanawiałam się, czy mogłabym się z panem jutro spotkać.

Podawała numer, po czym dodała:
Jestem siostrą Dory Giancarlo.

Dora Giancarlo była kolejną ofiarą Claya. Nancy Jarrel. Janet Hicks. Sandy Toner. Dora Giancarlo. Oddzwoniłem. Kiedy odebrała, w słuchawce rozległy się ryki, jakby była na imprezie. Powiedziałem jej, żeby się nie martwiła, rozmawiałem z resztą. Mimo to nalegała na

spotkanie.

- Ale ja nie piszę tej książki - powtórzyłem podnosząc głos. - Zgodziłem się.

- Nie - wrzasnęła w słuchawkę. - Nie, proszę! Proszę tego nie robić!

- Oczywiście, że napiszesz tę książkę! - Claire przysiadła na moim krześle biurowym w minispódniczce w szkocką kratę, czarnych rajstopach i golfie, bawiąc się swoim BlackBerry, podczas gdy ja chodziłem dookoła, wykręcając sobie dłonie.

- Nie chcę brzmieć, jakbym była niewrażliwa, ale co z tego, że rodziny ofiar tego nie chcą? Jesteś pisarzem. Masz opowiadać historię, a nie poddawać się naciskom.

- Ale co z Clayem? - zapytałem. - Mam się spotykać z tymi jego pojebanymi fankami i pisać mu pornosy? Czy to nie jest dziwne?

Wzruszyła ramionami.

- To jak w twojej książce *Urodzony, by grać*, kiedy Mordechaj zgadza się na wypuszczenie z więzienia Króla Alfonsów po to, by złapać tego łotra, białego strażnika.

- Wcale nie. Jest różnica. Tamto zmyśliłem. To się dzieje naprawdę. I jest kurewsko pokręcone. Będę miał traumę do końca życia.

- Ale ty już masz traumę do końca życia. Byłeś redaktorem porno. Piszesz eseje dla dzieciaków z liceum. Przebierasz się za swoją zmarłą matkę i piszesz sadomasochistyczne książki o wampirach, a dodatkowo nie miałeś prawdziwej, normalnej dziewczyny... od jak dawna?

Wzruszyłem ramionami. Straciłem rachubę.

- Jesteś w rozsypce. Bez urazy. To twój wielki moment. Może ostatni. Skup się na tym. Zapomnij o spotkaniu z tą siostrą. Ja się z nią spotkam.

- Nie, w porządku. Czuję, że jestem jej to winny.

- Wszystko jedno - westchnęła. - A co z imprezą Jane?

- A niby skąd o tym wiesz?

- Sprawdziłam twoje wiadomości, kiedy cię nie było. A co, jakby

był jakiś telefon w interesach? Idź na imprezę i zabaw się. Ten związek to przeszłość. Ale pozwól mi najpierw obciąć sobie włosy. I załóż ten drugi czarny sweter.

- On drapie - powiedziałem. - Co jest nie tak z tym?

- Ma dziurę pod pachą.

Spojrzałem na swoją pachę w lustrze w łazience. Miała rację.

- Harry? - stanęła w drzwiach. - Mogę tu dziś nocować?

- Twój tata nie będzie się martwił?

- Jest na Antylach ze swoją dziewczyną. Powiedziałam mu, żeby się dobrze bawił, ale się z nią nie żenił.

- Okej, pościel sobie na sofie, a ja zamówię chińszczyznę.

- Świetnie - powiedziała. - I zdejmij ten sweter, a ja spróbuję go zaszyć.

Po raz pierwszy dowiedziałem się, że Jane spotyka się ze swoim obecnym mężem Ryanem, kiedy wpadłem na nich na corocznej imprezie świątecznej u naszego starego profesora z Columbii. Nie było to wydarzenie, na które zwykle uczęszczałem, ale zarówno Claire, jak i moja matka namawiały mnie do tego, a ja nie martwiłem się, że spotkam tam Jane, bo słyszałem, że przebywa w oczyszczającym ducha ustroniu dla pisarzy w Himalajach. Ale kiedy tylko wszedłem i zdjęłem płaszcz, ujrzałem ją, z rozpalonymi, oczyszczonymi czakrami i w tybetańskiej chuście owiniętej wokół ramion. Na początku obydwójce byliśmy zdumieni, jakbyśmy zobaczyli swoje duchy. Potem rozległ się fałszywy śmiech i odbył półuścisk. Przedstawiła mnie Ryanowi, a ja udawałem, że go nie znam. Nie dotarłem dalej niż trzecia strona w jego nieznośnie inteligentnej powieści, ale jego twarz i nazwisko były teraz wszędzie. Powiedzieli mi, jak się poznali, a raczej, jak ich spojrzenia spotkały się w klasztorze na szczycie góry podczas koncertu śpiewu alikwotowego.

- Na tydzień złożyliśmy śluby milczenia - opowiadał Ryan podekscytowany, zakładając, podobnie jak większość szczęśliwych ludzi, że nie mogę się doczekać, żeby o tym usłyszeć. - Więc podczas medytacji musiałem podsunąć jej liścik - dodał.

- Komunikowaliśmy się w ten sposób przez tydzień - roześmiała się Jane. - *Mac-Sweeney* je publikuje!

- Tak? - powiedziałem. - To świetnie.

Ryan promieniał.

- W końcu, kiedy mogliśmy wreszcie porozmawiać na lotnisku, nie powiedziałem ani słowa, tylko ją pocałowałem.

Usiłował to zademonstrować, ale Jane odwróciła się, rumieniąc, więc wylądował z pocałunkiem na jej włosach.

- To jak w tej historii, którą napisałem, pamiętasz? - zapytałem Jane, ponieważ musiałem coś powiedzieć, żeby nie wrzasnąć. - O tych dwóch Szerpijkach i alpiniście, którzy utknęli w burzy lodowej i musieli się dzielić ciepłem ciała. Opublikowałem to w *Lubieżnikach* pod tytułem *Zdobywca gór i cór*.

Jane zrobiła się purpurowa ze śmiechu.

- Chyba nie pamiętam - pisnęła uszczypliwym głosem i ścisnęła ramię Ryana, jakby wysyłała mu sygnał. - Chodźmy po coś do picia. Słyszałam, że poncz jest super.

- Jest świetny - zgodziłem się. - Powinnaś spróbować. Ale ja już wychodzę. Moja mama jest chora - dodałem nieubлагanie.

- Pozdrów ją ode mnie.

Jane zadzwoniła do mnie później, by wszystko wyjaśnić i powiedziała mi, że są zaręczeni. Nikt jeszcze o tym nie wiedział, poza ich rodzinami, no i mną. Kiedy relacjonowałem wszystko mojej matce, wzruszyła jedynie ramionami i jak zwykle zmiażdżyła pozostałości mojego ego swoim ogromnym wsparciem:

- No i dobrze. Lepiej ci bez niej.

- Przecież zawsze uwielbiałaś Jane? Mówiłaś, że jest inteligentna i piękna?

- Inteligentna, tak. Piękna również. A także odnosi sukcesy. Jest również bardzo seksowna i ma świetną figurę. Ale nie jest dla ciebie.

- Rozumiem.

Claire była również empatyczna:

- Pieprzy gwiazdy. Wierz mi, ja to znam. Mój ojciec ożenił się z przynajmniej trzema takimi, wliczając w to moją matkę. Wyrzuciła cię jak psa, bez wyrzutów sumienia, i poleciała do tego jak mu tam. Właściwie, dlaczego nie umówisz się z aktorką porno? To przynajmniej zapewni ci rozgłos.

To był ostatni raz, jak rozmawiałem z Jane, jeśli nie liczyć śmierci mojej matki, gdy napisała mi bardzo miły liścik. A jak brzmiała ostatnia rada mojej matki?

- Poczekaj kilka lat - powiedziała - i ożeń się z Claire.

Tej nocy, kiedy Claire drzemała na mojej kanapie, miałem sen. Nie był to tak naprawdę koszmar. Nie dotyczył nawet spotkania z Clayem. Był o mnie. Obserwowałem siebie, w swoim mieszkaniu, które wyglądało tak jak kiedyś, kiedy moja matka jeszcze żyła. Właściwie, to w moim śnie była żywa, chociaż leżała chora w łóżku. Robiłem jej zupę i rozmawiałem z nią, wrzeszcząc przez korytarz - wołała komunikować się ze mną w ten sposób. Sen był jak film z wyłączonym dźwiękiem. Widziałem wszystko tak, jakbym tam był, obserwując nasze poruszające się usta, ale nie byłem w stanie nic usłyszeć. Wtedy zauważyłem coś dziwnego. Mieszałem zupę prawą ręką. Niby nic takiego, ale przecież wiem, że jestem leworęczny, całkowicie leworęczny i nie umiem nic zrobić prawą ręką. A tu proszę, mieszałem zupę, dodawałem soli i mieliłem pieprz, a wszystko moją zwykle bezużyteczną prawą ręką. Jak odbicie w lustrze, pomyślałem sobie, wciąż śpiąc i zacząłem się zastanawiać, czy kiedykolwiek mieszałem zupę prawą ręką. To możliwe, prawda? Ale wtedy zauważyłem też, że w śnie noszę zegarek na lewym nadgarstku, tak jak praworęczni, a to zdecydowanie się nie zgadzało. Później we śnie zaczęło mi się wydawać, że wierzch moich dłoni jest bardziej owłosiony niż zwykle, tylko odrobinę, ale jednak. Zacząłem mieć dziwne uczucie, jakby narastająca panika dotarła do mojej klatki piersiowej.

Wtedy zobaczyłem, że mam na sobie niebieskie skarpetki, a właściwie granatowe, co było niemożliwe, ponieważ miałem tylko czarne i białe. Te do tego wyglądały na wełniane, co również było niemożliwe, ponieważ wełna powoduje, że pocą mi się stopy. Przyjrzałem się uważniej, jakbym robił zbliżenie, i ujrzałem, że we śnie moja twarz miała inne rysy niż na jawie. Zniknęły bruzdy na czole, a przy ustach pojawiły się głębokie pionowe zmarszczki.

Zauważyłem także czającą się na prawej skroni biegnącą przez włosy niebieską żyłę, która nie była moja. Zdałem sobie sprawę, że to nie ja. Ten mężczyzna nie był mną!

Ale wtedy było już za późno. Już szedł przez korytarz do pokoju mojej matki, balansując miską zupy na tacy. Idąc, gwizdał bezgłośnie, pod jedną pachą zatknietą miał łyżkę i serwetkę, a pod drugą solniczkę, ponieważ matka zawsze chciała więcej soli, niezależnie od tego, ile jej nasypałem. Nagle zdałem sobie sprawę z tego, że ten mężczyzna to śmierć i idzie po moją matkę. Zacząłem krzyczeć, żeby ją ostrzec, ale był to niemy świat i krzyki, jak pod wodą, nie wydobywały się z moich ust i nikt nie mógł ich usłyszeć oprócz mnie. Kiedy obudziłem się spocony w łóżku mojej matki, pobiegłem do lustra, przez okropną chwilę, zanim jeszcze się rozbudziłem, i zanim oczy przystosowały się do światła i zanim sobie przypomniałem, że lustra i tak ukazują wszystko na odwrót, dotknąłem mojej lewej skroni i wydało mi się, że widzę błękitną żyłę.

Następnego popołudnia spotkałem się w kawiarni w Soho z Dani Giancarlo. Kiedy weszła, przeszył mnie dreszcz i mimo że była piękna i uśmiechała się promiennie, poczułem smutek. Miała na sobie dzinsy wetknięte w wysokie buty, biały dziergany sweter, a na ramieniu ogromną skórzaną torbę, a także plecak i torebkę. Włosy miała długie i proste. Blond. To była jedyna różnica. Poza tym była klonem swojej siostry, która miała długie, ciemne włosy. Wstałem i zawołałem w jej kierunku:

- Pani Giancarlo?

Przez chwilę wyglądała na zaskoczoną, potem uśmiechnęła się, pomachała nieśmiało i podeszła. Zauważyłem, że na paznokciach ma ciemnoczerwony lakier, co stanowiło dziwny kontrast z jej ogólnym wyglądem.

- Cześć - powiedziała i uścisnęła moją dłoń, po czym położyła cały bagaż na krześle przy naszym stoliku. - Przepraszam. Nie miałam czasu, żeby pójść do domu pomiędzy szkołą i pracą.

- Co studiujesz?

- Psychologię. Tak mi się przynajmniej wydaje.

Podeszła do nas kelnerka i Dani zamówiła bezkofeinowe cappuccino na mleku sojowym.

- I pracujesz w barze albo klubie?

- Tak - wyglądała na zaskoczoną. - Skąd wiedziałeś?

- Kiedy rozmawiałem z tobą przez telefon, słyszałem odgłosy w tle. Jakbyś była na imprezie. A teraz byłaś niebywale uprzejma dla kelnerki, jakbyś wiedziała, jak to jest. Ta torba sugeruje, że musisz przebierać się do pracy i to w określony sposób. Masz zrobione włosy i makijaż.

- O kurczę! - roześmiała się. - Powinieneś zostać detektywem.

Chociaż w zasadzie to logiczne, że pisarz zauważa takie szczegóły.

- W zasadzie zajmuję się głównie fikcją. I to w dodatku niezbyt realistyczną.

Znów uśmiechnęła się nieśmiało.

- I pracowałeś dla *Lubieżników*? Powiedzieli mi.

- Kto niby?

- Toner i reszta.

- A, no tak. To chyba wiedzą, że się ze mną spotykasz. I są nieugięci w kwestii książki.

- Wiem.

- Szczerze mówiąc, ja sam, po spotkaniu z nim, też nie jestem przekonany.

- Z pewnością. Jest odrażający - odruchowo sięgnęła do torebki po paczkę marlboro lights, które jednak zostawiła nietknięte. Sącyła swoją ściemnianą kawę, zmarszczyła się, dodała cukru, pomieszała i spróbowała łyżeczką, jak zupę. Ja uniosłem swój własny kubek i zdałem sobie sprawę, że jest pusty. Niezręcznie go odstawiłem.

- No cóż - powiedziałem - nie chcę być niegrzeczny, ale dlaczego chciałeś się ze mną spotkać?

Przestała się wiercić i spojrzała mi prosto w oczy.

- Ponieważ ciągle mam nadzieję, że napiszesz tę książkę. Chciałam ci to powiedzieć osobiście.

- Muszę powiedzieć, że jestem zaskoczony. Mogę zapytać, dlaczego tego chcesz?

Zastanowiła się przez chwilę, powoli mieszając swój odrażający napój, po czym powiedziała spokojnym, pewnym głosem:

- Moja siostra i ja byliśmy sobie bardzo bliskie, kiedy byliśmy małe. Ale nie było tak później, w ostatnich latach przed jej śmiercią. Prawdopodobnie przeze mnie. Była złotym dzieckiem. Była inteligentna, ładna i chciała zostać aktorką. Miała iść na studia. W tym czasie ja już związałam i miałam własne sprawy. Dragi i takie tam. To długa i nudna historia. Potem, kiedy moja siostra umarła, matka dostała depresji i zabiła się dwa lata później. Albo też, jak stwierdził mój ojciec, niechcący przedawkowała środki nasenne. On teraz mieszka w Arizonie. Ma nową żonę i dwójkę dzieci. Jest w porządku, to znaczy pomaga mi w szkole i tak dalej, ale nie chce o niczym rozmawiać. Ale czuję, że jestem to Dorze winna. Chcę dowiedzieć się, co się naprawdę stało. Jakie były jej ostatnie godziny? Muszę ją znaleźć, to znaczy jej szczątki i porządnie ją pochować. Nie winię innych rodzin ani nawet mojego ojca. Niektórzy chyba po prostu wolą nie wiedzieć.

- Ale nie ty?

Pokręciła głową.

- Dora była twoją siostrą bliźniaczką? - spytałem, choć znałem odpowiedź.

- Tak - uśmiechnęła się. - Oczywiście. Dlatego mnie rozpoznałeś?

- Tak. To ciekawe, że powiedziałaś, że to ona była tą ładną. Wyglądacie identycznie. Poza włosami. Farbujesz je?

- Tak - przebiegła po nich dłonią. Jej włosy błyszcząły. - Nie podobają mi się. Ale muszę to robić do pracy.

- Większe napiwki?

- Tak. Ale biustu powiększać nie będę - ponownie się roześmiała. - No cóż, chyba muszę ci to powiedzieć, nie sądzę, by cię zszokowało. Tak naprawdę to jestem striptizerką, nie kelnerką.

Roześmiałem się:

- Szczerze mówiąc, od początku myślałem, że jesteś striptizerką. Ale chciałem być uprzejmy.

Wsadziłem ją do taksówki i znalazłem metro. Jak zwykle podróż do Queens wlokła się w nieskończoność i gdy siedziałem na peronie, myślałem o Dani. Było w niej coś znajomego, co nie dawało mi spokoju - nigdy jeszcze nie poznałem nikogo podobnego do niej, równie pięknego i udręczonego. Nawet kiedy uśmiechała się i chichotała niczym rasowa blondynka, była duchem swej ciemnowłosej siostry. Później, siedząc już przy swoim biurku, w końcu zorientowałem się, o co chodzi: nie była typem dziewczyny, które zwykle poznaję; była typem dziewczyny, które sobie wyobrażam i opisuję w książkach. Takiej, która albo morduje głównego bohatera we śnie, albo wyślizguje się z jego rąk na jakimś dachu i sama umiera.

Impreza *Podartego pledu* odbywała się w barze w Williamsburgu. Żeby się tam dostać, musiałem przesiadać się dwa razy, ale mimo to, kiedy dotarłem do drzwi, przy których zaparkowane były rowery i zerknąłem na to zbiorowisko drogich džinsów, ironicznych koszulek vintage i intrygujących okularów, ugięły się pode mną kolana i niemalże zmieniłem zdanie. Szczęśliwie właśnie odbywał się odczyt i mogłem wemknąć się po cichu i schować z tyłu. Na podium brylowała jakaś piegowata młoda poetka o długich rudych lokach i skandowała z tym jękliwym zaśpiewem, który zwykle określam jako pospolicie poetycki.

*Przypominam sobie:
 Poranne światło
 Czyste i mocne,
 Świeże prześcieradła.
 Chau-bak przyniósł chlebowiec
 Z ogrodu
 I otworzył
 Nożem
 I ty również mnie otworzyłeś.
 Niczym dojrzały chlebowiec.
 Jak żaden mężczyzna wcześniej.
 Słodka siostrzo lata.
 Wspominam.*

Rozległy się entuzjastyczne oklaski, a potem na scenę weszła Jane.
 - Dzięki Margaret, to było urocze. Możecie znaleźć więcej jej prac w nowym numerze *Pledu*. Ale nie chcę być nachalna, ha ha.

Rozległo się kilka chichotów. Jane roześmiała się nerwowo ze swojego żarciku i założyła pasmo włosów za ucho. W niebieskiej sukience, zakłopotana i szczęśliwa, wyglądała jeszcze piękniej niż zwykle.

- Jako następny wystąpi pisarz Michael Brandorn, który również pojawia się, a raczej jego prace, w naszym wiosennym numerze. Zbiór jego opowiadań zatytułowany *Plemiona niemożliwe* ukaże się tej jesieni. Michael?

Niechlujny młody człowiek, a przynajmniej młodszy ode mnie, w okularach z grubymi czarnymi oprawkami na nosie, skórzanej kurtce i oldskulowym podkoszulku z napisem *Happy days* wstał, delikatnie uściśnął Jane i dopiero po tym raczył zauważyć gorący aplauz. Najwyraźniej był miejscowym ulubieńcem. W pierwszym rzędzie zauważyłem ogoloną czaszkę Ryana, męża Jane. Miał na sobie okulary w czerwonych plastikowych oprawkach i koszulkę z Gumbym. Siedział z kobietą, która, jak sobie przypominałem, była w jakiś sposób ważna. Może występowała w programie Charliego Rose'a.

- Dzięki - zaczął młody pisarz. - Opowiadanie pochodzi z mojej książki. Ma tytuł *Inwazja kosmitów na Scarsdale*.

Rozległ się przesadnie entuzjastyczny śmiech. Brandorn również się roześmiał.

- Kiedyś uwielbiałem te zabawki Transformersów. Ktoś tu pamięta Transformersów?

Rozległo się jeszcze więcej krzyków i nawoływań.

- Super. Cóż, rzecz ma miejsce latem roku 1990, który, jak być może pamiętacie, był ostatnim rokiem, w którym wypuszczono oryginalne japońskie zabawki Transformers.

- Tak! - rozległ się zbiorczy okrzyk, a Michael roześmiał się ponownie.

- No dobra. Super. Ha. Okej, to zaczynamy - wziął łyk piwa Brooklyn Beer z butelki. - *Josh pędził po podjeździe, prześlizgując się na przystanek w swojej pięciobiegowej wyścigówce Schwinn. Zazdrościłem mu jej, odkąd dostał ją na urodziny. Chromowana kierownica i siedzenie w kształcie banana...*

To również wywołało salwy śmiechu, lecz ja nie byłem w stanie tego znieść, więc wstałem i poszedłem na dół, gdzie, jak jakiś dręczony poczuciem winy zboczeniec kręciłem się po łazience, udając, że myję ręce. Spojrzałem na swoje przekrwione oczy w lustrze, przeliczyłem siwe włosy i kiedy już wlałem z powrotem na górę, Brandorn dochodził właśnie do punktu kulminacyjnego.

- *I tak...*

Teraz już recytował, z uniesionym w dłoni piwem i manuskrypcem.

- ...w końcu opadliśmy w ramiona naszego trawnika, który tego lata zielenił się najzieleńszą zielenią w Scarsdale.

Pełne entuzjazmu oklaski. Wytatuowana chłopczyca siedząca przede mną szepnęła do swej wykolczykowanej przyjaciółki:

- Zajebiste! *Najzieleńszą zieleni*

Zwiąłem po raz kolejny, tym razem udałem się do baru. Już miałem zamówić szota czegoś na przeczyszczenie i się związać, kiedy ktoś postukał mnie w ramię.

- Cześć, Jane - wymieniliśmy niezręczny pocałunek w policzek i nieśmiały uścisk. - Jak się masz?

- Świetnie. Wszystko doskonale - powiedziała. - A ty?

- Znakomicie.

Roześmiała się.

- Podobały ci się wystąpienia?

- Absolutnie fantastyczne.

- Dobra, dobra, rozumiem. Masz, weź sobie jeden - wręczyła mi egzemplarz *Podartego pledu*. Okładka w istocie była z pledu, tym razem wyglądała, jakby była narysowana kredkami, z przetartym wycięciem, które odsłaniało część zawartości magazynu.

- Dzięki - powiedziałem. W tym czasie niewielkie stadko pisarzy i artystów uwijało się wokół nas, a raczej wokół niej, gdyż ja szybko zostałem wykluczony.

- Ted, Kylie, Jeremy, Sloane - deklamowała. - To Harry. Przyjaciel.

Wzdrygnąłem się.

- Cześć wszystkim - pomachałem im szeroko, szukając drogi ucieczki.

W nagłej ciszy oceniali mnie wzrokiem.

Jane wskazała na wysokiego, kędzierzawego mężczyznę.

- Powieść Teda ma właśnie być wydana.

- Świetnie - stwierdziłem.

Złożył dłonie razem i zanurzył je w brodzie.

- Właściwie to może cię to zainteresować - mówiła dalej Jane. - Jest o dorastaniu w ekscentrycznej rodzinie w Ann Arbor w latach dziewięćdziesiątych.

- Świetnie - powtórzyłem. - To brzmi ciekawie.

- Nie gratuluj mi za bardzo - powiedział Ted. - Sprzedanie jej było łatwe. Teraz muszę ją napisać - szepnęła kpiąco. - Skazuję się dobrowolnie na Yaddo³.

³ Ośrodek dla pisarzy w Saratoga Springs (przyp. tłum.).

Wszyscy zachichotaliśmy.

- Chryste, nie rób tego - wycedziła Kylie, wydmuchując dym zza grzywki. Napisała wspomnienia anorektyczki *Skóra i kości*. Rozpoznałem ją z jej nagiego zdjęcia na okładce, na które gapiłem się w sklepie, ale oczywiście książki nie kupiłem.

- Napisałam swoją książkę, siedząc sama w pokoju w Chelsea.

- Tak, w łazience - odgryzł się Jeremy, zakapturzony osobnik w workowatych spodniach, który napisał wspomnienia o tym, jak dorastał będąc bogatym i niezrozumianym synem znanego pisarza w Connecticut. Zwrócił się do mnie:

- Ja już nawet nie opuszczam Brooklynu. A ty co robisz?

- Jestem podiatrą - oznajmiłem. - W Queens. W zasadzie to muszę już wracać. Nagły przypadek. Biedny dzieciak jeszcze straci palec. Przepraszam - powiedziałem, chcąc odejść, moja ucieczka została jednak udaremniona przez Ryana z piwem w dłoni.

- Siema, Bloch. Jak tam?

- Ryan, cześć, jak leci? - serdecznie uścisnęliśmy sobie dłonie.

- Nad czym pracujesz? - zapytał z uśmiechem.

- No wiesz, Ryan, to samo gówno - powiedziałem i roześmiałem się piskliwie.

- Kiedy wreszcie napiszesz coś porządnego, podpisanego własnym nazwiskiem?

- Właśnie piszę - oznajmiłem mu. - To powieść o dorastaniu. *Tylko frajerzy znają Queens*.

- Pytam serio, Harry - powtórzył cieplejszym tonem i sympatycznie mrugnął do mnie zza szkieł.

I wtedy, nie wiem nawet dlaczego, nie miałem przecież po temu żadnych dobrych powodów, może oprócz chęci ucieczki przed tym niemalże litującym się nade mną spojrzeniem, powiedziałem:

- Tak właściwie, Ryan, to piszę książkę z Darianem Clayem, tym seryjnym zabójcą.

- Naprawdę? - zapytał, robiąc krok w tył. - Nie mów!

- Jasna cholera - wciął się Jeremy wpadając na Ryana. - Tego skazanego na śmierć?

- Robił zdjęcia, pamiętam - powiedziała Kylie, dołączając do towarzystwa.

- Ćwiartował dziewczyny.

- Nigdy nie znaleźli głów - dodał Ted przez brodę.

- Naprawdę go poznałeś? - podeszła bliżej blond Sloane, wirtuozka słowa mówionego. - To musiało być straszne - dodała, stając

niewiele zbyt blisko.

- Tak, oczywiście - oznajmiłem ze spokojnym uśmiechem. - Wracam tam, żeby przeprowadzić z nim wywiad. Mają go stracić za jakieś osiemdziesiąt dni.

Zapadła krótka chwila ciszy, chociaż tym razem nie była ona niezręczna. Czulem spokój. Być może przeleciał nad nami anioł śmierci. Być może wszyscy zaczęli myśleć o swoich własnych wzniosłych projektach i prochu, w który pewnego dnia się obrócą. Jane udawała, że patrzy na podartą okładkę *Pledu*, którą trzymała w dłoni.

Ryan uniósł piwo do ust. Na chwilę wszyscy się zamknęli i gapili na sufit albo podłogę, jakby uznawali to, o czym ja ni z tego ni z owego zdecydowałem: napiszę tę książkę. W końcu na sali pojawił się prawdziwy pisarz.

Kiedy kiwnąłem głową na pożegnanie i zbierałem się do wyjścia, usłyszałem, jak Jeremy szepcze do Jane:

- Jest też podiatra.

Po drodze do metra zostawiłem wiadomość Dani i powiedziałem jej, że jednak napiszę tę książkę. Kiedy dotarłem do Flushing, zauważyłem, że nagrała się na skrzynce głosowej. Była w pracy i hałas niemal ją zagłuszył, ale słychać było, że jest podekscytowana.

- Wpadaj na darmowego drinka! - krzyknęła, po czym zachichotała. - Chyba, że to dla ciebie zbyt nieodpowiednie.

Niby dlaczego nieodpowiednie? Pomyślałem sobie, ale nie oddzwoniłem. Zjadłem trochę *bibimbap* w koreańskiej restauracji, wróciłem do domu i poszedłem do samotnego łóżka. Cały czas się uśmiechałem...

CZĘŚĆ DRUGA

16 KWIETNIA-5 MAJA 2009

Fragment powieści *Zapada szkarłatny zmrok*, rozdział 6:

Zadecydowałam, jestem gotowa oddać się Aramowi. Jestem gotowa na przemianę. Jakby kiedykolwiek były jakieś wątpliwości, jakiś wybór. Doskonale zdawałam sobie sprawę, że albo on, albo Ivy mogli mnie wziąć siłą w każdej chwili, jeśli by tylko chcieli. Ale prawda jest taka, że nie opierałabym się, czego długo nie mogłam przyznać. Czekałam na nich. Tęskniłam.

Jednak mnie nie wzięli. W okrutny sposób przyznali mi wolność, wybór. Dlaczego okrutny? Ponieważ koniec końców zmuszenie mnie do błagania było dużo bardziej upokarzające. Czyż nie jest to ostateczną demonstracją siły drapieżnika? Kiedy ich ofiara poddaje się, nadstawiając własne gardło? Pająk, kobra czy światło, które przyciąga ćmę, są zabójcami. Czy też może kochankami, którzy znają nas lepiej, niż my znamy samych siebie? W końcu wampir potrzebuje zaproszenia.

Czemu miałabym wam nie powiedzieć, że ciągle byłam dziewicą? Śmiecie się, jeśli chcecie. Wszyscy moi przyjaciele też się z tego śmiali, uważali, że to zabawne i zostawiali prezerwatywy w mojej szafce na basenie bądź dla żartu rejestrowali mnie na internetowych stronach randkowych. Ale prawda jest taka, że nie byłam jakimś typem cnotki-dewotki, ani się specjalnie nie bałam zbliżenia, a przynajmniej nie tak, jak wszyscy myśleli. Bałam się samej siebie. Oto mój sekret, którego nigdy nikomu nie wyjawiałam: byłam dziewicą, ale pragnęłam być zbezczeszczona. Moja czystość wołała o ciemność. Mój tata zawsze powtarzał, żebym nie oddawała swojego „drogocennego kwiatu” komuś, kto nie jest tego wart, ale przez ten cały czas moje serce bezgłośnie kwiliło: „Tatusiu, nie rozumiesz? Pragnę

okrutnego nieznajomego, który zerwie mój delikatny kwiat i wyrzuci go w błoto!”.

Po tym, jak poznałam prawdę o Aramie i Ivy, przez całe tygodnie nie wykonali najmniejszego ruchu w moją stronę. Ivy nawet zaprzestała nocnych wizyt w moim pokoju. Zamiast tego, jak się zdawało, uczyli mnie swojej historii, jakby chcieli pomóc mi w podjęciu decyzji. Aram ma ponad dziewięćset lat, chociaż nie wygląda na starszego niż 43 lata, tyle zresztą miał, kiedy przemieniła go Ivy, która musiała mieć ponad tysiąc, choć wyglądała na 25. Ivy pochodzi z wampirzej rodziny królewskiej z rodowodem. Z Domu - tak go nazywali; jego korzenie sięgały czasów starożytnych. Była czystej krwi i urodziła się wampirem, co sprawiało, że była niezwykle potężna i nieomalże jedyna na świecie. Jednak kiedy poznała Arama, zakochała się bez pamięci. Był wtedy rycerzem, krzyżowcem podróżującym po Ziemi Świętej. W Egipcie udał się do burdelu, który prowadziła Ivy, gdzie wszystkie kobiety były wampirzycami. Była zauroczona przystojnym, czarującym rycerzem, więc przemieniła go. Pobrali się w Jerozolimie, a on przywiózł swą oblubienicę do Europy niczym zarazę.

Jako najemnicy, bandyci i piraci dorobili się fortuny. Uczyli się greki i łaciny, matematyki i filozofii u uczonych i mnichów, którzy nigdy nie domyślili się, że to właśnie oni uprowadzają dzieci mieszkańców wiosek, obwiniali o to Cyganów i Żydów. Uczęszczali do konserwatorium w Wiedniu. Podróżowali przez Indie i Chiny, ucząc się sanskrytu i przez lata medytując w jaskiniach, po czym spędzili dziesięć lat w Japonii, ucząc się kaligrafii, sztuki układania kwiatów i władania mieczem.

Byli wszędzie - w Afryce, Ameryce Południowej, a nawet Arktyce, gdzie mieli ze sobą na statku ładunek złożony z żywych ofiar przykultych pod podkładem, żeby mieć co jeść. Walczyli w obydwu wojnach światowych, po obydwu stronach. Spędzili dziesięciolecia w Nowym Jorku, gdzie zbili kolejną fortunę na nieruchomościach, kupując posiadłości tuż po wielkim kryzysie. Przez sieć fałszywych nazwisk i firm kontrolowali kluby nocne, dziuple narkotykowe, bary, modne restauracje i słynną galerię sztuki. Nosili najdroższe ubrania, mieli na własność wszystko, co najlepsze i sycili się najpiękniejszymi chłopcami i dziewczętami na świecie.

Byli jednak znudzeni. Wiecznie i koszmarnie znudzeni. Ivy, która doświadczyła każdej możliwej zmysłowej rozkoszy i sprawiała, że każdy napotkany człowiek - mężczyzna lub kobieta - leżał jej u stóp, spędzała większość czasu w swoim pokoju, czytając poezję. Aram miał serdecznie dosyć swego własnego głodu, własnej żądzy krwi i kiedy

zapadał zmrok, a on po raz kolejny musiał szukać ofiary i przynosić trofeum ukochanej, czuł się jak ćpun. Kochali się na zabój, było w tym zarówno coś boskiego, jak i demonicznego. Kochali się rozpaczliwie, jednak kiedy dwie tak namiętne dusze są ze sobą tak długo, musi to prowadzić do niewyobrażalnie gwałtownych kłótni, których my, ludzie zrywający związki co pół roku, nie jesteśmy w stanie sobie wyobrazić. Właśnie wtedy zaczęli zabawy w mordowanie się nawzajem: strzelanie, dźganie, wieszanie, topienie. Rozpalało to ich przytępione zmysły i rozluźniało napięcie, a jednocześnie ukrywało mroczną prawdę: jedyną rzeczą, która wciąż ich podniecała i przerażała, powodowała przyspieszony puls, była myśl o wspólnej śmierci.

Myślę, że właśnie dlatego dali mi wybór. Żebym wiedziała, co mnie czeka, zanim zacznę podróż, z której nie będzie już powrotu. Myślę, że to dlatego Aram spędził tyle czasu pracując ze mną, dokonując oględzin dzieł sztuki i opowiadając mi o swoim życiu. Dlatego pozwolił mi się ujrzeć, kiedy wrócił z polowania, z rozczochranymi włosami, w podartym i brudnym ubraniu, z krwią na zębach i spojrzeniem zwycięskiego drapieżnika w płomiennych zielonych oczach. Ale dlaczego ja? Dlaczego w ogóle to mnie wybrali, zostawiając jednocześnie za sobą tyle pozbawionych krwi ciał? Wiedziałam jedynie, że mój własny głód wciąż narastał. Im bardziej Aram starał się mnie zniechęcić, tym bardziej go pragnęłam. Pragnęłam być jego. Pomimo tego, że starał się na wiele sposobów, nigdy jednak nie mówiąc tego wprost, przekonać mnie, żebym uciekała, póki mogę, przyciągała mnie jakaś inna siła, silniejsza niż strach. Było to nieuniknione, a ja byłam bezsilna.

W końcu w noc przed moimi dwudziestymi pierwszymi urodzinami nie mogłam już wytrzymać. Aram pokazywał mi topór wojenny, datowany na rok około 1400. Kiedy trzymał broń w dłoniach, dłoniach, które mogły równie dobrze pieścić struny skrzypiec, jak i zmiażdżyć tchawicę, ujrzałam pustkę w jego oczach.

- Odebrałem tym wiele żyć - powiedział.

Wyciągnęłam dłoń i dotknęłam go, jakbym całowała jego nadgarstek koniuszkami palców.

- Weź moje.

Spojrzał na mnie z ciekawością. Moje palce gładziły jego silny, jednak zaskakująco szczupły i delikatny nadgarstek.

- Nie bronią. Ustami. Ramionami. Kłami. Odbierz moje życie. Weź mnie.

Zbierając w sobie całą odwagę, spojrzałam na niego i moje

spojrzenie napotkało jego.

- Proszę...

Nie powiedział nic. Wytrzymał moje spojrzenie. Odłożył topór i wziął mnie w ramiona. Potem zbliżył swą twarz ku mojej i delikatnie pocałował, zanim przyłożył usta do mego gardła. Jak opisać to uczucie? Ból wymieszany z przyjemnością, słodycz zaprawiona strachem. Kiedy jednak pił ze mnie, strach zniknął, a ja straciłam kontrolę nad sobą, czując jego obecność w całym ciele, w każdej żyłce...

- Aram! - to była Ivy. Aram oderwał mnie od siebie, uśmiechając się, a z ust wyciekała mu moja krew. Przyciągnął do siebie Ivy. Przycisnął usta do jej ust. Nakarmił ją moją krwią. Kiedy ssala jego usta, jej szalone spojrzenie wbite było we mnie.

Wstrzymałam oddech. Czekałam na jakąś zmianę. Cokolwiek. Nic się jednak nie stało.

- Co się stało? - zapytałam. - O co chodzi?

Oblizując wykrzywione w uśmiechu usta, Aram zwrócił się ku Ivy.

- Zechcesz jej wyjaśnić?

Ivy pochyliła się ku mnie.

- Jak naprawdę nazywa się twoja matka? - zapytała.

- Moja matka?

Moja matka umarła, kiedy mnie rodziła. Imię mam po niej.

- Nazywała się Sasha Smith. Dlaczego pytasz? Była sierotą. Nie знаła swojego prawdziwego imienia.

- Twoja matka nazywała się - oznajmiła Ivy - Sasha Divina Diamonedes de Troth, księżniczka z rodziny królewskiej Troth. Była moją kuzynką.

- Co? - czułam się, jakbym śniła. Chciałam się roześmiać.

- Kiedy byliśmy małe, bawiliśmy się i polowałyśmy razem. Zakochała się w śmiertelniku, podobnie jak ja. Jednak zamiast przemienić twojego ojca, jak ja przemieniłam Arama, sama próbowała się zmienić i żyć jak normalny człowiek. To ją zabiło.

- Ale co próbujesz mi powiedzieć? - zapytałam. - Że od zawsze byłam wampirem?

- Jesteś pół-krwi wampirem. To bardzo rzadkie. Niewielu przeżywa. Poza tym masz w sobie królewską krew. Szukaliśmy cię po całym świecie. Obserwowaliśmy cię i chroniliśmy z daleka. Kiedy nadszedł czas, sprowadziliśmy cię tutaj.

- Ale dlaczego? Dlaczego teraz?

Aram ujął moją dłoń.

- Powodem, dla którego moje ugryzienie cię nie przemieniło, jest to, że twoja własna krew czyni cię odporną. Jesteś zaszczepiona. Ale

od dnia, w którym skończysz dwadzieścia jeden lat, zaczniesz rosnąć i zmieniać się. Rozwiniesz nowe moce, które mają tylko półkrwi wampiry. Jeżeli będziesz z nami ćwiczyć, staniesz się jeszcze silniejsza. A wtedy...

Zawahał się. Ivy ujęła moją drugą dłoń.

- Wtedy, kiedy będziesz gotowa, droga kuzynko, pozwolimy, byś pożywała się nami. Byś wypila naszą krew. A wtedy będziesz taka jak my. Na zawsze.

Pierwszą kobietą na liście Claya była Morgan Chase. Mieszkała w osobliwym niedużym budynku na Horatio Street w West Village i pracowała w bankowości korporacyjnej, co jest w dzisiejszych czasach konieczne do tego, by żyć jak bohema w Village. Była wysoka i szczupła, około trzydziestki, z modnie obciętymi ciemnymi włosami. Miała na sobie doskonale dopasowany, choć skromny kostium. Prada albo Jill Sander, pomyślałem. Salon, do którego mnie zaprosiła, był gustownie urządzone i bardzo czysty. Na półkach leżały zacytane książki moich starych przyjaciół: obok *Pameli, czyli cnoty nagrodzonej* i grubej *Clarissy* leżały tam ciemnowłose siostry Brontë. Był też puszczański, rozwlekły Trollope, a nawet Walpole i Radcliffe, jedni z pierwszych twórców ponurych gotyckich powieści, z kryptami, lochami i mchem. Gdybym zajrzał Pameli pod kieckę, z pewnością znalazłbym tam *Historię O*. Miała dobrą kawę i dodała prawdziwej śmietanki. Innymi słowy, Morgan była dobrze wykształcona, atrakcyjna i elegancka. W innych okolicznościach byłbym zachwycony i sam chętnie zaprosiłbym ją na randkę, choć tak naprawdę pewnie nigdy bym się na to nie odważył. Ewidentnie była dla mnie za dobra.

Być może jesteście zaskoczeni tym, że była również kobietą, która pisała listy miłosne do mordercy kobiet. Zatrzymajmy się na chwilę i zastanówmy nad tym, ponieważ ta kwestia będzie tu wciąż istotna, a ja nie chcę jej w kółko podejmować. Szczerze mówiąc, nie jestem najlepszy, jeżeli chodzi o motywację postaci, piszę w końcu o wampirach, czarodziejach, zabójcach na zlecenie i nimfomankach. W życiu również niespecjalnie interesuje mnie motywacja, choć być może powinna. Dlaczego ktokolwiek, wliczając w to mnie, robi to, co robi, jest dla mnie kompletną zagadką.

Więc kiedy poznałem Morgan Chase, byłem i nie byłem zasko-

czony. Pamiętajcie, spędzam dużo czasu, wystukując na komputerze pornograficzne opowieści. Spędzam niezliczone godziny biorąc pod lupę maszynopisy, które, choć cokolwiek niedorzeczne, były w istocie dowodem na jedną rzecz: ludzie są w stanie zrobić wszystko.

Dodajmy do tego listy do redakcji, amatorskie zdjęcia, pijacką pewność siebie na imprezach i wychodzi na to, że jakieś zboczenie może być w każdym, niezależnie od tego, czy głęboko to ukrywa, czy też demonstruje wyglądem. Oczywiście, że postkolonialne, postmodernistyczne postfeministki różnych ras marzą o tym, żeby jakiś biały staruch dawał im klapsy, a dyrektorzy generalni z warstwy białych anglosaskich protestantów po pięćdziesiątce chcą jedynie poczuć na plecach szpilki ważącej 150 kilo czarnej kobiety. W najlepszym wypadku istnieje jakiś mglisty, choćby sprzeczny związek pomiędzy tym, kim jesteśmy w całej swej różnorodności jako pracownicy, obywatele, przyjaciele, kochankowie czy nieznajomi, a tym, kim jesteśmy dla siebie samych. Te wszystkie perspektywy są jak wiele stron jakiegoś istniejącego tylko w teorii kwantowego medalu i choć mogą one na siebie nachodzić, stykać się na granicach, a nawet przecinać wspólne płaszczyzny, nigdy nie będzie możliwości, by ujrzeć je wszystkie naraz, przynajmniej nie na tym świecie. A żeby wielowymiarowy medal zwrócił się sam ku sobie: to przekracza granice rozumowania nawet Maga nad Magami z planety Zorg.

List z 6 września roku 2008 od Morgan Chase⁴ do Dariana Claya, napisany fioletowym tuszem (piórem wiecznym) na grubym bladuróżowym papierze:

⁴ W kilku przypadkach pozwoliliśmy sobie zmienić personalia czy cechy charakteryzujące niektóre osoby (przyj. aut.).

Drogi Panie,

Wiem, że pomimo tego, że ja leżę teraz w swoim łóżku, a ty znajdujesz się w celi, jesteśmy tak naprawdę razem. Pomimo tego, że sąd twierdzi, że jesteś mordercą, wiem, że jesteś niewinny. Pomimo tego, że gazety piszą, że zostaniesz stracony za - nie jestem w stanie tego powiedzieć, ale to już niedługo - wiem, że będziesz wolny i będziesz trzymał mnie w ramionach, a wtedy oddam ci się, Kochanie, kompletnie i całkowicie, jak jeszcze żadna kobieta nie oddała się Mężczyźnie, jak żadna kochanka nie oddała się swemu Ukochanemu i żadna niewolnica swojemu Panu. Proszę, proszę, napisz do mnie. Powiedz, co mi zrobisz, kiedy ten dzień nadejdzie. Powiedz, co chciałbyś, bym zrobiła wtedy Tobie.

Twoja na zawsze, Morgan

- Cześć, jestem Harry Bloch.
- Morgan Chase.
- Dziękuję, że zgodziłaś się ze mną spotkać.
- Oczywiście, cała przyjemność po mojej stronie. Dziękuję.
- Jasne.
- Ma pan ochotę na kawę albo herbatę?
- Nie chciałbym pani zawracać głowy.
- Żaden problem. Właśnie zaparzyłam świeży dzbanek kawy.
- W takim razie dobrze, poproszę.
- Ze śmietanką i cukrem?
- Z samą śmietanką, dzięki.
- Chyba, że woli pan herbatę?
- Nie, nie, niech będzie kawa.
- Zaraz wracam.
- Dobrze.

Usiadłem przy stole. Dopiero co dotarłem, ale już czułem się wykończony tymi uprzejmościami, a moja twarz była sztywna od uśmiechów. Chciałem się wymknąć, kiedy była w kuchni. Czułem tę mieszankę porażki i paniki, która ogrania cię po pięciu minutach, kiedy już zorientujesz się, że randka będzie katastrofą. Podobnie musi czuć się królik, gdy wpadnie w pułapkę.

Ale było za późno na ucieczkę, wyciągnąłem więc dyktafon, mikrofon, podstawkę i długopisy, szary zeszyt z notatkami i zabrałem się do roboty. Morgan Chase wróciła z dwoma parującymi kubkami kawy i ustawiła je na dwóch podstawkach. Podziękowałem i z wdzięcznością upiłem łyk. Sprawdziłem notatki.

- Tak... - powiedziałem. - Powiedzmy, że jesteś właśnie z Dariannem, a on przywiązał cię do łóżka...

Zadrżała tak gwałtownie, że upuściła kubek, a kawa popłynęła po stole w moim kierunku. Chwyciłem swoje rzeczy sprzed nadciągającej fali. Na kartkach wylądowało kilka kropeł.

- Przepraszam - wyksztusiła i uciekła. Wróciła z gąbką i papierowymi ręcznikami.

- Naprawdę, bardzo przepraszam - powtórzyła, w pośpiechu wycierając stół. - Czuję się okropnie.

- Nie ma o czym mówić - to w końcu był jej stół.

- Nie, to znaczy, przepraszam, ale chyba... nie mogę tego zrobić - spojrzenie utkwiła w gąbce. - Po prostu nie mogę.

Wstałem.

- Proszę się nie martwić - powiedziałem, być może zbyt ochoczo.

- Doskonale rozumiem. Nie chcę pani zawstydząć.

- Czuję się okropnie. Zmarnowałam pana czas.

- Ależ skąd. To nie był po prostu dobry pomysł.

Ogromnie mi ulżyło. Upchnąłem sprzęt w torbie i szybko ruszyłem do wyjścia, zbiegając po skrzypiących schodach na świeże powietrze. Clay na pewno mnie zwolni. Z książki nici. Claire będzie wściekła. Zostanę splukany i niekochany. No i co z tego? Mogłem oddychać. Liście prawie już się rozwinęły, a w powietrzu unosił się zapach rzeki, wymieszany ze spalinami i ziołowym słodkim zapachem trawki.

- Proszę poczekać - ktoś chwycił mnie za łokieć. To była ona - Proszę... Proszę wrócić.

Za nią widać było otwarte drzwi wejściowe. Miała płytki oddech i w dłoni wciąż trzymała gąbkę.

- Jest pani pewna?

Kiwnęła głową, ledwo patrząc mi w oczy. Zrezygnowany podążyłem za nią do środka, jakbym to ja był ofiarą. Usiedliśmy z powrotem przy stole. Nalała więcej kawy, tym razem powoli, i ustawiła kubek z powrotem na podkładce, tuż przed sobą, po swojej stronie stołu. Zauważyłem, że duży biały jasiek leży dokładnie pośrodku białej kanapy. Nad kominkiem kwadratowa biała waza z porcelany stała dokładnie pośrodku okrycia. Ona sama również się przesiadła - siedziała teraz wyprostowana na krawędzi krzesła i patrzyła na mnie.

Poprzestawiałem swoje rzeczy tak, żeby leżały bardziej schludnie i ustawiłem je w stosiki wzdłuż krawędzi stołu. Upiłem łyk z kubka i ustawiłem go dokładnie naprzeciw jej.

- Mówmy otwarcie - powiedziałem. - Wygląda pani na miłą. Inteligentną. Atrakcyjną.

Zarumieniła się nieco.

- I powściągliwą. Dlaczego pani to robi?

Uśmiechnęła się dziewczęco i kiedy zmarszczyła nos, zauważyłem widoczne pod pudrem piegi. Spojrzała mi w oczy, po czym się odwróciła.

- Ależ panie Bloch... - zaczęła, niczym bohaterka jednej z powieści na jej półce. - Nigdy nie był pan zakochany?

W czasie morderstw i procesu Morgan była na studiach. Studiowała oczywiście angielski. Wychowała się na Środkowym Zachodzie i poszła do szkoły w Chicago, całą sprawę pamiętała jak przez mgłę, ale pamiętała atmosferę polowania, strach, który czuła oglądając wiadomości ze swoimi koleżankami z korporacji studenckiej i oczywiście przystojnego oskarżonego. Dopiero po latach, gdy rzuciła książki w kąć i zdobyła dyplom MBA w Nowym Jorku, ponownie zaczęła śledzić sprawę w lokalnych gazetach, które pisały głównie o niekończących się apelacjach. Jej dotychczasowe życie osobiste nie było zbyt udane. Wczesne małżeństwo ze znawcą Byrona o skłonnościach do depresji nie skończyło się dobrze, a potem nastąpiły lata wzmoczonego pracoholizmu, nudnych randek z kolegami i płodnej wyobraźni, która stworzyła całkowicie inne, zaplątane i dzikie życie w czterech ścianach tego nieskazitelnego mieszkania.

Im więcej mówiła Morgan, tym bardziej zrelaksowana się wydawała, a kiedy kawę zastąpiło wino i ser, a my przenieśliśmy się do innej nieskazitelnie białej przestrzeni, zaczęła się zwierzać, jak ma to czasem miejsce z nieznanymi. Już wcześniej doświadczyłem czegoś podobnego z innymi, którzy często mówili niebawale rzeczy, nawet kiedy byli nagrywani, po prostu dlatego, że siedziałem tam kiwając głową i pozwalałem mówić. Morgan, jak wspomniałem wcześniej, była atrakcyjna (przypominała mi trochę Jane, nawet jeżeli chodziło tylko o jej intelektualno-niezdarny wdzięk), ale uważałem, żeby nie wziąć jej coraz bardziej rozwiązującego się języka za prawdziwą intymność. W zasadzie to zadziałały nawet przeciwne siły: wino i anonimowość. Nie tylko jej nazwisko i reputacja były bezpieczne w moich rękach, ale też jako chłopiec na posyłki Claya stwarzałem mniejsze zagrożenie niż terapeuta czy ksiądz, ponieważ nie oceniałem ani nie wystawiałem diagnozy. Kogo to obchodzi, co ja sobie myślę? Byłem tylko duchem.

- Nawet kiedy miałam męża - powiedziała, nalewając więcej wina - zawsze czegoś mi brakowało w sferze seksualnej.

Siedziała na wyściełanym krześle, a bosa stopy wetknęła pod uda. Czarne wysokie obcasy o ostrych, czubkach złożone były razem na podłodze. Ja natomiast powoli zapadałem się w kanapę.

- Miałam problemy z tym, żeby, no... dojść.

Spojrzała na mnie, jakby sprawdzała moją reakcję. Spojrzałem na kawałek sera brie, który trzymałem w dłoni i kiwnąłem przemądrzale głową:

- Rozumiem.

- Myślałam, że może jestem lesbijką, ale to nie było to. Nie pociągały mnie kobiety. Wtedy pomyślałam, że to kwestia mojego organizmu, że mam problemy z hormonami albo po prostu niskie libido.

Umawiała się z mężczyznami z pracy, niektórzy z nich byli bardzo przystojni, niektórzy bardzo bogaci, ale nigdy nie pociągali jej erotycznie. Podniecenie czuła jedynie w swojej wyobraźni, kiedy snuła rozbudowane fantazje o dominujących, niebezpiecznych mężczyznach, o których czytała lub których widziała w telewizji, w tym o Darianie Clayu.

- Prawda jest taka, że zawsze miałam takie fantazje. Kiedy byłam sama, pogrążałam się w nich. Ale nigdy z nikim o nich nie rozmawiałam. Myślałam, że coś jest ze mną nie tak. Potem odkryłam internet.

- Porno? - zapytałem, usiłując brzmieć nonszalancko, upuszczając kawałek sera do wina. - Ojej! - zachichotałem uprzejmie, wydobyłem ser z kieliszka i wrzuciłem go do ust. - Mówiłaś, zdaje się, o pornografii?

- Tak. Wchodziłam na te strony. Najgorsze, jakie tylko mogłam znaleźć. Odwiedzałam fora i czaty. Oglądałam tam okropne rzeczy. Dzwoniłam nawet na jakieś infolinie, gdzie mężczyźni mówili do mnie okropne rzeczy, nazywali mnie świnią i dziwką, a ja wtedy, no wiesz. Oczywiście koszmarnie się wstydziłam, ale nie mogłam się powstrzymać. Myślałam tylko o tym. Ale wcześniej nigdy nic takiego nie zrobiłam ani o tym nie mówiłam. Nigdy się tego po sobie nie spodziewałam. Dopóki nie poznałam Dariana. On jakoś to we mnie zaszczepił.

Napisała list do Claya, w którym zapewniła go o swoim wsparciu i wierze w jego niewinność. Odpisał, a korespondencja się rozwinęła, zaczęła być bardziej romantyczna, namiętna i erotyczna. Prosił o zdjęcia, perfumowany papier i włosy łonowe. Mówił jej, co ma robić. W pewien sposób Clay był idealnym chłopakiem, szczególnie dla nieśmiałej, skrzywdzonej kobiety. Miał nieograniczony czas i energię, by skupić się na niej. Był namiętny, zainteresowany, oddany. Nie było (a przynajmniej ona tak myślała) konkurencji ze strony innych kobiet i niewielkie ryzyko tego, że rzeczywistość zrujnuje jej fantazję. Był to mężczyzna, który nigdy nie zostawił otwartej deski klozetowej, nie

chrapał, nie rozczarował w łóżku. Nigdy nie okazałoby się, że jest emocjonalnie niedostępnym związkofobem, mającym kłopoty z intymnością. Z tego, co widziałem, Morgan była dużo bardziej inteligentna od Claya, ale czy nie było tak w przypadku wielu kobiet? Nawet jeśli przenosiła swoje fantazje na niego, to czy nie robiło tego wielu mężczyzn? I to nie na odległość, ale z kobietami, z którymi spędzają codzienne życie? Nawet fetysze stają się bardziej zrozumiałe. Oczywiście, ona mogła pójść w swoich fantazjach dalej i w bardziej mroczne rejony niż przeciętne kobiety: i tak nie było szans na ich spełnienie.

- Ale przecież nigdy nie będziecie mogli być razem - powiedziałem, usiłując ją przycisnąć. - To znaczy, nie tak naprawdę.

Uśmiechnęła się, kręcąc kieliszkiem od wina i patrząc, jak krwisty trunek spływa po ściankach.

- Czuję, że zbliżyłam się do niego bardziej niż do kogokolwiek innego. I wierzę, że pewnego dnia zostanie uwolniony. Wiele par przechodzi przez długie rozłąki.

- Jasne, ale wcześniej byli już razem, a potem coś się stało, jak wojna albo coś takiego. Ale wy nigdy nie byliście razem sami. Ani nie uprawialiście seksu.

Ponownie się uśmiechnęła. Jej spojrzenie mówiło: *Nic nie wiesz, bo nigdy nikogo tak naprawdę nie kochałeś. Ani żadna kobieta tak naprawdę nie kochała ciebie.*

- Koniec końców, w seksie chodzi o to, co mamy w głowach - powiedziała. - Ciała się nie liczą.

Fragment opowiadania *Poskromienie zdiiry pióra* Toma Stanksa:

Morgan poczuła go, zanim jeszcze go ujrzała. Podniosła wzrok znad magazynu i zobaczyła, jak stoi przy wejściu do metra. Wysoki mężczyzna o ciemnych włosach, przystojny w okrutny sposób, ubrany cały na czarno - czarny garnitur, czarny płaszcz, czarne buty. W przeciwieństwie do większości mężczyzn, których przyłapała na gapieniu się na nią, ten nie odwrócił wzroku. Jego głębokie, ciemne oczy napotkały jej wzrok. Były przenikliwie inteligentne i uduchowione w silny, męski sposób i zdawały się wypalać dziurę w jej klatce piersiowej, prosto ku sekretom jej serca. Zarumieniła się, wbiła wzrok w podłogę i ścisnęła swe długie, szczupłe nogi zakryte sukienką, która nagle wydała się jej zbyt krótka. Ale ani dreszcz strachu, który przeżył jej jędrne ciało, ani nawet gniew nie powstrzymał nagłej fali pożądania, którą poczuła pomiędzy swymi kształtnymi nogami. Ponownie zerknęła. Wciąż się gapił. Wtedy poczuła pewność, że mężczyzna wie, iż jest podniecona i widzi sutki jej dorodnych piersi twardniejące pod cienkim dżersejowym materiałem. Wstydziła się. Było tak, jakby nie miała żadnej kontroli nad własnym ciałem. Jakby to on miał nad nim kontrolę.

Kiedy metro zatrzymało się na jej stacji, uciekła, stukając ostro zakończonymi szpilkami po schodach i ciemnej ulicy aż do domu. Bała się spojrzeć za siebie, ale wciąż myślała ze strachem i być może z nadzieją, że mężczyzna czai się za nią niczym cień. Cień rzucany przez ciemność.

Kiedy Morgan dotarła do swego gustownie urządzonego mieszkania na Horatio Street, ledwo mogła się powstrzymać. Płyn ciekł po wewnętrznych stronach jej ud niczym sok z naciętej kory klonu w

sezonie. Pobiegła do sypialni i wyciągnęła wibrator ze skrytki. Oddech miała nierówny. Zamknęła oczy. Jęknęła. A potem usłyszała. Demoniczny śmiech. Spojrzała w górę. Stał tam, nad nią, ciemny mężczyzna z metra. Zapomniała zamknąć za sobą drzwi. A może specjalnie zostawiła je otwarte?

- Wiedziałem - oznajmił. - Zawsze wiem. Potrafię wyczuć, kiedy kobieta mnie pragnie.

- Kim jesteś?

- Na imię mam Darian - powiedział. - Ale ty będziesz nazywać mnie Panem.

- Całkiem nieźle - stwierdził Darian, kiedy skończyłem czytać. - Ale czemu trzeba tak długo czekać na konkrety? Jak to, kiedy rozcina jej majtki szczyrykiem? Ja bym to zrobił już w pociągu.

- Tak wydawało mi się bardziej realistycznie - wyjaśniłem. - Napięcie rośnie. Śledzisz ją, zbliżasz się, a przez cały czas wiesz.

- No tak, to prawda - zgodził się. - Ja zawsze wiem. Podoba mi się, że wiedział, że ona tego chce tylko po zapachu.

- Dzięki.

- Ale co z tym, kiedy później ją policzkuje? Napisałeś, że prawie dostała orgazmu. Dlaczego prawie? Powinna szczytować natychmiast - strzelił palcami.

- No, ale jeżeli ona ma orgazm na pierwszej stronie, to koniec historii - broniłem się, jak w szkole na warsztatach pisarskich.

Zresztą za kogo on się miał? Ja przynajmniej byłem w stanie poprawnie sklecić zdanie.

- Trzeba mieć jakiś punkt kulminacyjny. W pisarstwie.

Wymijająco pokiwał głową.

- A co z resztą?

- Słuchaj, nie mogę ci teraz tego wszystkiego czytać. Mamy tylko godzinę - powiedziałem stanowczym głosem. Teraz, kiedy zaczął mnie wkurzać, już się go nie bałem. Jeżeli nie zacznę tego wywiadu, czeka mnie długa, irytująca przeprawa. Włożyłem kartki z powrotem do koperty. - Możesz to zabrać do celi i później przeczytać.

- Dobra, dobra - powiedział. - No to jedziemy. Wyciągaj dyktafon.

Co też uczyniłem. Uruchomienie sprzętu i znalezienie gotowych pytań zabrało mi minutę. Clay czekał cierpliwie z dziwnym uśmiechem na twarzy.

- Twoja matka cię porzuciła, prawda? - zapytałem.
- Nie - wypluł jedno słowo i bez ruchu gapił się na mnie.
- Przepraszam, gdzieś tak przeczytałem.
- To źle przeczytałeś - warknął.
- No to masz szansę, żeby opowiedzieć, jak było naprawdę.
- A może ty opowiesz mi o swojej matce?
- Moja matka nie żyje - powiedziałem.
- Przykro mi - skrzywił się. Wydawało się, jakby krzywił się do siebie. - Bez urazy.
 - W porządku - zatrzymałem taśmę. - Słuchaj, nie musimy o tym rozmawiać, jeżeli nie chcesz. Ale to ty powiedziałaś, że zaczynamy od początku.
 - Masz rację. Umowa to umowa - wskazał głową na dyktafon, a ja ponownie zacząłem nagrywać. Odetchnął.
 - Moja matka. Po pierwsze, nie porzuciła mnie. Gliny mi ją zabrały. A potem państwo trzymało ją z dala ode mnie. Oto, kto zrujnował moje dzieciństwo. Rząd. Ci sami ludzie, którzy mnie tu teraz trzymają. Ludzie mówią, że nienawidzę kobiet? Nienawidzę glin. Jeżeli znajdą gdzieś poćwiartowanego pracownika socjalnego, wtedy możemy pogadać. Ale nikt nie kocha dziewczyn tak jak ja. Poświęciłem im życie.
 - Wróćmy do twojej matki - powiedziałem. - Może i to nieprawda, ale w gazetach pisali, że była... że pracowała...
 - Jako kurwa? - pochylił się ku mnie szczerząc zęby. Skute dłonie trzymał między kolanami. - Tego słowa szukasz? Pewnie, moja matka była kurwą. Powiem szczerze. No i co z tego? Musieliśmy coś jeść. Ile kobiet w tym kraju rozkłada nogi dla jakiegoś faceta, którego tak naprawdę nie chcą, tylko po to, żeby mieć na chleb? Nazywa się to małżeństwem. Więc mój ojciec, kimkolwiek do kurwy nędzy ten koleś był, zwinął się. To on jest draniem, nie ja. Więc nie wyruchała go, żeby mieć na czynsz. Ruchała innych facetów. No i co z tego? Była kurwą. Była kelnerką. Pracowała w fabryce szyjąc ubrania dla lalek. Pewnie teraz już nikt tego nie robi. To znaczy tutaj. To było na Brooklynie. Pamiętam, że kiedyś przyniosła jakieś do domu, a ja ubrałem w nie swojego G.I. Joe'a. Szyła tam też ubrania dla mnie. Pewnie jej na to pozwalali.
 - Szyła ci ubrania? - zapytałem. - Jak na przykład spodnie? To pewnie trudne.
 - Nie, mam na myśli, że je zaszywała. To znaczy łątała. Bo byliśmy biedni.
 - Aha...

- Chodzi mi o to, że była dobrą matką. Codziennie rano jedliśmy razem śniadanie. Płatki. Pamiętam, że uwielbiałem smak kawy, nawet kiedy byłem mały...

- Ja też - wciąłem się bez zastanowienia.

- Więc mama wlewała mi trochę do mleka.

- Z dużą ilością cukru, mnie też!

- Wciąż od czasu do czasu mam na to straszną ochotę - powiedział.

- Można to tutaj dostać?

- Co, kawę z mlekiem? Pewnie. To znaczy, mam na to ochotę tylko od czasu do czasu.

- A, no tak. Oczywiście - roześmiałem się. - Nie przemyślałem tego. Wyobraziłem sobie, jak to zamawiasz.

- Taa, u klawisza - Clay również się roześmiał, odsłaniając siekacze, które przypomniały mi, gdzie się znajduję. Poczulem nagłe obrzydzenie do siebie i wstyd. Siedzę tu sobie i chichoczę z mordercą. Ale to zadziało, a przynajmniej tak to wyglądało; nawiązaliśmy porozumienie, on się wyluzował, wyciągnął w krzesło i mówił dalej. Już nie musiałem go zachęcać.

- Potem pewnego dnia wyszła i już nigdy nie wróciła. Minęła cała noc. Miałem sąsiadkę, która się mną zajmowała, ale to było już po tym, jak się przeprowadziliśmy. Chyba do hotelu w Coronie. A może to był Ozone Park? Nie pamiętam dokładnie.

- Mogę to sprawdzić.

- Całą noc byłem sam. W domu żadnego jedzenia. Tylko jakieś resztki płatków, chyba tylko okruszki. Żadnego mleka.

- Bałeś się?

- Kurwa, pewnie. Miałem pięć lat. Więc schowałem się w szafie. Chyba tam czułem się bezpiecznej. A potem, następnego ranka, musiałem iść do łazienki i pamiętam, jak wydawało mi się, że jest ona strasznie daleko. Pamiętam, że musiało być dosyć wcześnie, ponieważ telewizor był cały czas włączony, leciał program *Today*, a ja wiedziałem, że zaraz zaczną się kreskówki i będę mógł na nie zerkać.

Kiedy mówił, gapił się w przestrzeń, pochylając się nieco do przodu i nie ruszał się. Brązowe oczy utkwione były w jeden punkt. Siedząc w tym pachnącym amoniakiem pomieszczeniu bez okien, przypominającym szpital albo męską łazienkę, ja również się nie ruszałem i nasłuchiwałem mruczenia lampy jarzeniowej nad nami. Światło spłaszczało nasze cienie: ołówek w mojej dłoni spoczywającej na notatniku, cień rzucony przez kształt jego ramion i głowy na stół i podłogę, niczym kontur na mapie. Jak się nazywa ten kolor? Nie

szary, nie czarny, tylko jakby ciemniejszy odcień wszystkiego, na co pada cień - sztuczne drewno, szare linoleum, beżowy papier, różowa skóra...

- I nagle drzwi się otworzyły, a w drzwiach stanęła nie moja mama, tylko psy. Nagle rozleźli się wszędzie. Tak mi się przynajmniej wydawało, chociaż równie dobrze mogło być ich tylko dwóch, ale wiesz, wydawali mi się ogromni w tych swoich mundurach i paskach, uzbrojeni. A z nimi opieka społeczna. No i mnie zabrali. I tyle.

Zamilkł. Czekałem. A potem zapytałem:

- I już nigdy nie widziałeś swojej matki?
- Nie. Nigdy. To był koniec.

Kiedy wyszedłem z pomieszczenia dla odwiedzających, ujrzałem Flosky i Theresę siedzące w poczekalni pośród ławek i maszyn z napojami.

- Cześć - powiedziałem z uśmiechem. Flosky odwróciła się, wściekle wydmuchując dym, nie zważając na wielki znak nad jej głową z napisem Zakaz palenia.

Theresa była blada i wyglądała na zmęczoną, czarne włosy miała ściągnięte do tyłu. Z teczki wyciągnęła folder.

- Masz tu podpisany egzemplarz kontraktu.

- Dzięki. Coś nie tak?

Theresa zniżyła głos:

- Odmówiono nam odwołania.

Zerknęła przez ramię na Flosky, która gasiła papierosa w źródelku z wodą. W zasadzie to Theresa wyglądała na smutną. Flosky wyglądała po prostu na nieco bardziej wkurwioną niż zwykle.

- Przykro mi - nie wiedziałem, co powiedzieć. Czy było mi przykro, że go poznałem, że Darian miał umrzeć? Nieszczególnie. - Więc już po wszystkim? - zapytałem Theresę.

- To jeszcze nie koniec - wcięła się Flosky. - Nie martw się.

- Nie... - odparłem wymijająco. - Nie to miałem na myśli.

Odkręciła wodę i zgasiła papierosa, po czym wetknęła dolara w maszynę z napojami i nacisnęła guzik z dietetyczną colą. Maszyna wypuła banknot.

- Pieprzony złom - zaczęła się miotać, kopiać i tłukąc maszynę, po czym potknęła się, kiedy jej ostro zakończony but zaczepił się o krawędź.

- Kurwa - powtórzyła, skacząc na jednej nodze. - To nowe buty.

- Proszę, ja spróbuję - powiedziałem. Wyciągnąłem pieniądze i

wsunąłem gładszy banknot. Z poobijanego wyglądu maszyny wywnioskowałem, że znosiła ciosy wielu sfrustrowanych odwiedzających. Puszka z napojem wypadła, kiedy do pomieszczenia wszedł strażnik.

- Carol Flosky? - zawołał.

- Tak?

- Pani klient jest gotów.

- Dobra - złapała teczkę i kuśtykając, z niebывalą godnością weszła do pomieszczenia, by zobaczyć się z klientem. Gdy przechodziła, zauważyłem również, że kiedy rąbnęła automat, masywny pierścionek na palcu skaleczył ją. Nawet nie mrugnęła. Jeżeli kiedykolwiek wpadnę w kłopoty, chcę ją mieć za prawnika, pomyślałem. Strażnik wciągnął powietrze nosem.

- Paliliście tu? - zapytał.

- Ja? Nie. Nie palę.

Skrzywił się na mnie i zostawił sam na sam z Theresą i niezręczną ciszą.

- Chcesz coś do picia? - spytałem jak ostatni frajer. - Nie lubię dietetycznej.

Pokręciła głową.

- On jeszcze nie wie - powiedziała. - Flosky ma mu powiedzieć.

- Wiem. Był w dobrej formie, kiedy z nim rozmawiałem. Wywiad poszedł naprawdę nieźle.

Theresa usiadła i wyciągnęła grubą książkę prawniczą, z której sterczały żółte karteczki samoprzylepne. Otworzyła futerał, wyciągnęła okulary i włożyła na nos. Czy jest w tym coś dziwnego, że zawsze miałem słabość do typu seksownej bibliotekarki? Czy jest coś seksowniejszego od kobiety, która czyta?

- Słuchaj... - powiedziałem. - Pamiętasz tę pisarkę, tę od wampirów, o której mi mówiłaś? Wyszukałem ją. Wygląda nieźle.

- Poważnie? - odmruknęła Theresa, nie podnosząc wzroku.

- Czytałem, że niedługo wydaje nową książkę.

- Już wyszła. Mam ją.

- Serio? - to była nowość. - Będę musiał to sprawdzić. Naprawdę ją masz? Jesteś jej fanką?

Zignorowała mnie i zabrała się do pracy. W miejscu, gdzie bluzka podjechała jej na plecach, ujrzałem fragment bladej skóry i kawałek czarnego tatuażu, biegnącego w górę lub w dół. Mój wewnętrzny wampir wysunął kły.

- Cóż, może cię to zainteresuje... - ciągnąłem. - Wiem, gdzie autorka ma to spotkanie online.

Ta sztuczka była pomysłem mojego wydawcy. Prawdę mówiąc, ten koncept był mi obcy, ale Claire obiecała, że mi pomoże.

- Będzie na czacie - wyjaśniłem, usiłując nie okazywać zaniepokojenia.

- Tak - powiedziała do swej książki. - Już to wiem.

W pociągu zacząłem spisywać wywiad na laptopie, odsłuchując nagranie ze słuchawkami na uszach. To zawsze najgorsza część. To niesłychane, jak ludzie zdają się rozgadywać, kiedy musisz to wszystko spisać - ja sam nie jestem tu wyjątkiem. Kiedy zacząłem przeprowadzać wywiady, musiałem nauczyć się nie przerywać swoim rozmówcom, w przeciwnym wypadku potem wysłuchiwałem głównie swoich własnych wyświechtanych anegdotek. A dźwięk mojego własnego głosu był straszny - nosowy jęk z Queens. Było gorzej, niż myślałem. Nawet teraz, gdy odsłuchiwałem swoją rozmowę z Clayem, krzywiłem się za każdym razem, gdy słyszałem jeden ze moich irytujących odruchów, jak na przykład nieustanne *no tak, no tak...* Prawda jest taka, że pisarze i scenarzyści podziwiani za naturalnie brzmiące dialogi siedzą nad nimi godzinami, natomiast wierne zapisy rzeczywistych rozmów szybko stają się nieznośnie nudne.

Tak też było z Clayem. Wygłaszał niemiłosiernie długi monolog, który był jednocześnie upiorny i nudny. Była to litania koszmarów, których doświadczył jako dziecko w systemie opieki społecznej, przez który trafiał z jednego domu zastępczego do drugiego, zaniedbany, zastraszany, bity i prawdopodobnie molestowany.

Jeden z jego byłych rodziców zastępczych został aresztowany za molestowanie chłopców, jednak Clay nie został wymieniony jako ofiara, a kiedy zapytałem o to, zaprzeczył. Ale jego zeznania w wielu miejscach różniły się od tego, co mi powiedział, szczególnie jeżeli chodzi o matkę.

Geraldine Clay była koszmarna. Jej patologiczne matkowanie wykraczało daleko poza biedę i zaniedbane, które opisał Clay. Była prostytutką i była wielokrotnie aresztowana, między innymi za kradzież, posiadanie narkotyków i publiczne pijaństwo. Według

dokumentów opieki społecznej, które zostały włączone do materiału sądowego podczas procesu, nie tylko zostawiała Dariana samego na długi czas, ale również zamykała go w szafie, kiedy obsługiwała klientów. Na początku płakał, więc kneblowała go, dopóki nie nauczył się siedzieć cicho. Jeżeli zmoczył się podczas siedzenia w zamknięciu, był bity. Został zabrany przez opiekę społeczną po tym, jak jego matka po aresztowaniu poinformowała policjanta na posterunku, że jej dziecko jest samo w domu i został pod opieką społeczną tylko dlatego, że nigdy nie starała się go odzyskać, jak już wypuszczono ją z więzienia po 60 dniach, które dostała za prostytutkę. Nigdy też nie zjawiała się na żadnym procesie syna. Po prostu zostawiła go i kontynuowała serię zatrzymań w różnych miastach - San Francisco, Los Angeles, Detroit. Potem być może zaczęła się lepiej zachowywać, ponieważ po roku 1996 nie ma o niej żadnych informacji. Miała wtedy około 45 lat i istnieje możliwość, że, jak wielu zatwardziałyh recydywistów, po prostu była już zbyt stara i zmęczona na niewiarygodnie stresujący styl życia przestępcy na pełen etat. A może ktoś ją zabił.

W końcu zasnąłem, ze słuchawkami w uszach i włączoną taśmą. Miałem jakieś dziwaczne sny, których nie mogłem sobie przypomnieć. Obudził mnie kabel od słuchawek, który wsunął mi się w usta, aż się zakrztusiłem. Do domu dotarłem wykończony. Ale dzień nie dobiegł jeszcze końca. Kiedy wysiadłem z metra i szedłem ulicą, z samochodu, który wyglądał na zamaskowany wóz policyjny, wysiadł koleś, który wyglądał na zamaskowanego gliniarza. Czarny Chevrolet. Facet miał na sobie czarny płaszcz, granatowy garnitur z białą koszulą i czerwony krawat. Nie wyglądał jednak na twardziela. Wyglądał na bystrzaka - okulary bez oprawek, zasznurowane usta, twarz ze zmarszczkami. Jego siwiejące czarne włosy były zaczesane do tyłu i nieco zbyt długie jak na policjanta. Poczulem nagły irracjonalny strach. Strach, który nie minął pomimo ciągłego przypominania sobie, że przecież nic złego nie zrobiłem. A jednak czułem, że gdzieś głęboko w środku w jakiś niejasny, acz niezaprzeczalny sposób jestem winny.

- Bloch? - zapytał, kiedy stanąłem przed domem.
- Tak... - odpowiedziałem niepewnym głosem.
- Agent specjalny Townes.
- Ach tak... - pokazał mi legitymację, ale ledwo na nią spojrze-
łem. Znałem to nazwisko dzięki internetowej kwerendzie na temat
Claya: Townes był agentem FBI, który go złapał.
- Momencik - powiedział.
- Jasne - zmusiłem się, żeby mówić niższym głosem. - Proszę
wejść, zrobię kawy.
- Nie mam czasu. Muszę być dziś w Memphis. Możemy usiąść w
samochodzie, jeżeli nie ma pan nic przeciwko.
- Nie czekając, aż odpowiem, czy mam coś przeciwko, otworzył

tylne drzwi. Miałem całkiem sporo przeciwko, ale i tak wsiałem. Kiedy Townes siadał obok mnie, agent federalny za kierownicą wysiadł, żeby zapewnić nam trochę prywatności. Albo może żeby nie patrzeć, jak jego kolega mnie torturuje.

- Jak ci idzie książka? - zapytał. Obydwaj gapiliśmy się przed siebie, jakbyśmy oglądali film w kinie samochodowym.

- Dobrze - powiedziałem. - Dzięki, że pytasz.

- Myślałem, że obiecałeś rodzinom ofiar, że jednak jej nie napiszesz?

- Nigdy nic nie obiecywałem. I nie wszyscy krewni podzielają tę opinię.

- Daniella Giancarlo? Ona jest w rozsypce. Ćpunka, striptizerka. Sama jest o krok od kicia. Mówię o innych rodzinach. O Jarrelach, Hicksach. Dobrych ludziach, którzy chcą po prostu cierpieć w spokoju. Pan Toner ma prawnika. Ma tu gdzieś fabrykę. Ma też udział na Island.

- Co produkuje?

- Że co?

- W tej fabryce.

- Worki polietylowe. Takie plastikowe torebki, w które zawijają ubrania w pralni.

- Darian Clay tam pracował?

- Tak, zgadza się. I jak ci się wydaje, jak on się z tym czuje? Wiedząc, że ten chory skurwiol wypatrzył jego żonę w tej fabryce? Powinieneś uszanować ich życzenie. Przynajmniej to możesz zrobić.

Wzruszyłem ramionami. Starłem się utrzymać równy ton głosu.

- Daniella Giancarlo może i nie ma fabryki produkującej worki na śmieci, ale jej siostra jest równie martwa.

Townes odwrócił się i przypatrzył mojemu profilowi. Pewnie zastanawiał się, czy ktoś taki jak ja mógł naprawdę napisać *Krewkiego zabójcę, zimmokrwistego alfonsa*, kryminal z Mordechajem Jonesem.

- Słuchaj no... - powiedział. - Oczywiście, że ma obsesję na punkcie sprawy; kiedy to się stało, nie miała pojęcia, co się dzieje. Ma chyba poczucie winy, poza tym były bliźniaczkami. To zaburza równowagę. Nie przyszło ci do głowy, że ją wykorzystujesz?

- A nie przyszło ci do głowy, że to nie twoja sprawa? - zapytałem i natychmiast tego pożałowałem. Przygotowałem się na cios i bezwiednie zmrużyłem prawe oko, to, które było bliżej niego. To druga strona tego irracjonalnego strachu, o którym mówiłem, który objawia się również idiotycznymi wybuchami uporczywej buńczuczności.

Ale Townes nawet nie mrugnął.

- Łapanie morderców to moja praca - oznajmił. - Twoją jest zerowanie na zwłokach niczym czerw.

Wyciągnął dłoń. Uścisnąłem ją. Nawet nie miał najsilniejszego uścisku. Mimo to, kiedy wysiadłem, wesoło machając mu na pożegnanie i zacząłem zmierzać w stronę wejścia do mojego budynku, trzymałem się na wszelki wypadek ściany: kolana trzęsły mi się tak, że bałem się, iż się przewrócę.

Ale kiedy opowiedziałem Claire, z paniką wymieszaną z dumą, o tym, jak zostałem wyhaczony przez federalnych, ta tylko się roześmiała. Miała na sobie trykot i getry i w słuchawkach na uszach odstawiała jakieś pozycje jogi w moim salonie.

- Townes? Townes może mi possać lewego cycka - oznajmiła, wyginając się wpół. - Oczywiście, że chce, żebyś się nie wtrącał. Sprawdziłam go. Właśnie podpisał kontrakt na swoje wspomnienia, ale musi czekać do emerytury. Jeżeli zrezygnuje wcześniej, będzie się musiał zrzec emerytury, świadczeń dentystycznych i w ogóle wszystkiego. A w międzyczasie ty go uprzedzisz, z filmem i całym kramem - uśmiechnęła się do mnie spod ręki lub nogi.

- Serio? Wspomnienia? - zapytałem, siadając na kanapie, usiłując nie gapić się na jej maleńki nieletni tyłek. - A kto mu pisze książkę?

Szkarłatna noc i mgła została opublikowana, jednak nie wywołała zamieszania. Nawet moja zwyczajowa wycieczka do Barnes & Noble w galerii Roosevelt Field była porażką. Nigdzie nie mogłem znaleźć książki, chociaż odkryłem kilka źle postawionych egzemplarzy moich poprzednich książek i po cichutku umieściłem je z powrotem na swoich miejscach.

W końcu zapytałem młodego sprzedawcę, czy to dziś ma ukazać się ta nowa, wyczekiwana przez wszystkich powieść Sibylline Lorindo-Gold. Wzruszył ramionami i sprawdził w komputerze, w którym znalazł informację, że w księgarni znajdują się cztery egzemplarze. Zacząłem nalegać, więc z ociąganiem zawlókł się na zaplecze i powrócił z książką, która wyglądała jak ta, którą miałem już w domu: książka z papierową okładką i wytłaczanym tytułem oraz obrazkiem przedstawiającym szkarłatne niebo stapiające się z czarnym pasmem górskim na okładce. Chciałem, żeby na okładce wytłoczona była też spływająca krew, ale to się nie udało. Podziękowałem sprzedawcy, który ponownie wzruszył ramionami i poszedł sobie, i zanim wymknąłem się stamtąd na przystanek autobusowy, ustawiłem książkę na honorowym miejscu w sekcji oznaczonej jako horror/miejskie fantasy.

Szczęśliwie gdzieś tam miałem kilku czytelników, nawet jeżeli nie w najbliższej okolicy. Tego wieczoru czekało mnie spotkanie z kilkoma zagubionymi duszami, które miały się zebrać w jakimś dalekim zakątku sieci, żeby pogadać z autorką o nowej książce.

Żartowaliśmy sobie z Claire, że powinienem założyć na spotkanie perukę Sibylline albo zapalić czarne świece i sączyć czerwone wino, jednak ja byłem za swoim zwykłym strojem roboczym: dresami, podkoszulkiem, szlafrokiem frotte, szklanką pełną lodu i litrem coli.

Dlaczego nie dwoma litrami? Wskazówka dla pisarzy: zorientowałem się, że z dużych butelek szybciej ucieka gaz. Nie mogę pracować z wygazowaną colą. I nie zapomnijcie z powrotem zakręcić butelki, inaczej wszystko pójdzie na marne.

Zalogowałem się jako crimson i i przez dziesięć wywołujących mdłości minut siedziałem samotnie w sieci. Było tam ciemno i zimno. Wtedy, po kolei, zaczęła mrugać konstelacja światełek: darklilangel i burningangeli23, bloodlover78, bleed4U, satangirl i demonatrix. Denerwowała mnie stojąca mi podczas pisania za plecami Claire, więc powiedziałem, że będę jej czytać rozmowy na głos, gdy ona będzie wylegiwać się na kanapie.

- Oj - jęknąłem. - Satangirl chce wiedzieć, skąd biorę pomysły? Jezu. A jak myślisz, kotku, skąd? Z dupy.

- Napisałeś tak?

- Nie. Napisałem: *Ze snów, lęków i codziennego życia. Ale nie powiem, z czego dokładnie są które.*

- Dobrze. Co jeszcze?

- Bloodkidz pyta, czy Madame Clio i Baron Charlus von Faubourg St. Germaine idą do łóżka w tym tomie.

- Sam sobie przeczytaj, skąpy skurwielu!

- No tak - powiedziałem i wystukałem tylko pierwszą część zdania. Claire chwyciła za puszkę z orzeszkami, które przyniosłem jako posiłek regeneracyjny.

- Kto następny? - dopytywała się, skubiąc orzeszki ziemne.

I tak to szło: ja czytałem i pisałem na komputerze, a Claire wykrzykiwała odpowiedzi. Dopóki nie pojawiła się nazwa użytkownika, którą zachowałem dla siebie. Na czacie pojawił się ktoś o nicku vampT3, jednak nic nie powiedział, jakby stał tylko w drzwiach, podczas gdy inni męczyli mnie na temat tajemnic świata wampirów i losów postaci, których nawet nie pamiętałem. Te wiadomości czytałem Claire, jednocześnie w sekrecie pilnując tego jednego użytkownika. Tak, jakbym flirtował za plecami swojej dziewczyny z wampem przy sąsiednim stoliku, wciąż zadając sobie pytanie, czy T3 oznacza Theresę Trio. Czyżby śledziła mnie na jakimś komputerze? Czy miała na nosie te seksowne okulary? VampT3 w końcu się odezwał: czy przeszkadzało mi, jako, bez urazy, miło wyglądającej starszej pani, że tak wielu czytelników uważa, iż moje książki są bardzo erotyczne? Ona jest hetero, niemniej uważa, że ja, jako kobieta starsza, mądrzejsza i bardziej doświadczona, w jakiś sposób odkryłam jej najgłębsze, najmroczniejsze pragnienia i fantazje, o których nigdy nikomu nie opowiadała i sądzi, że należą wyłącznie, do niej. Jak się z tym czuję?

Jako pisarka i jako kobieta?

- Co mówią? - zapytała Claire, leżąc na plecach, gapiąc się z nuddów w sufit i wrzucając orzeszki do ust.

- Nic, jakieś brednie. Darkchild pyta, czy naprawdę potrafię poczuć różnicę w smaku pomiędzy typem A i AB. bo on albo ona nie potrafi. Blood4U natomiast jest chętnym dawcą.

- Olej tych psycholi.

- Hej, więcej szacunku. Dzięki tym psychologom mam na orzeszki.

Drugą kobietą na liście Claya była Marie Fontaine. Mieszkała w Ridgefield Park w stanie New Jersey, w mieszkaniu, które, jak zauważyłem, kiedy wysiadałem z autobusu, prawdopodobnie znajdowało się nad garażem jej rodziców. Dom był dwupoziomowy, wysmugany wiatrem, z czarnymi fragmentami na łączeniach białej elewacji. Trawnik przedstawiał się o tej porze roku mizernie. Jak być może pamiętacie, była to dziwna wiosna. Po ciepłej zimie, która okazała dla nas niezwykle łaskawa (kto nie byłby zachwycony chodząc w grudniu w podkoszulku?), a zarazem kłopotliwa (bo ta pogoda to ostateczny dowód, że zepsuliśmy Ziemię), w kwietniu przyszedł gwałtowny mróz i w to przejrzyste popołudnie w powietrzu fruwały płatki śniegu. Na trawniku Fontaine'ów przedwcześnie, podczas tej fałszywej wiosny, zakwitł różowo-biały dereń i teraz w błocie leżały płatki jego kwiatów. Kierując się wskazówkami Marie, wszedłem po schodach przy garażu i odnalazłem cienkie drewniane drzwi, zza których dochodziły dźwięki industrialnego popu.

Głośno zapukałem. Musiała na mnie czekać, gdyż muzyka natychmiast ucichła i dziewczyna otworzyła drzwi - była niska i pulchna, miała duże oczy, duże usta i duży biust. Typowo śródziemnomorski wygląd. Ubrana jak Kinder Got.

- Cześć, jestem Marie - wyciągnęła małą dłoń. Uścisnąłem ją.
- Harry Bloch. Dzięki, że zgodziłaś się ze mną spotkać.

Weszliśmy do środka. Była to kawalerka z alkwą do spania i kuchenką. Trochę jak u Fonziego z Happy Days, ale udekorowana dużo większą ilością koronek i świec. Poza plakaty The Cure, Nine Inch Nails i Marilyną Mansona, były tam również zdjęcia Charlesa - oryginalnego Mansona - i powszechnie uwielbianych morderczych par, jak Marthy Beck i Raymond Fernandez czy słynni Mordercy z

Wrzosowisk.

Na biurku znajdował się mały ołtarzyk poświęcony Clayowi: jakieś związane kości, czaszka wiewiórki, spływające woskiem czarne świece i kadzidło, a do lustra przyklejone były zdjęcia z gazet. Zauważyłem listy, które napisał do niej Clay, odpowiedzi na te, które ona mu wysłała i które spoczywały w mojej teczce. Listy od Claya były związane czerwoną wstążką, trzymała je w pudełku ozdobionym muszelkami. Przygnębiło mnie to - ten niewinny, dziewczęcy akcent w tym całym pretensjonalnym i aroganckim diabelskim wystroju. Zastanawiałem się, jakby się poczuła, gdyby wiedziała, że Clay chichotał, wręczając mi jej listy miłosne i nagie zdjęcia z Polaroida, które również miałem ze sobą w kopercie w torbie.

Z drugiej strony może by jej to nie przeszkadzało. Morgan Chase otworzyła się przede mną niechętnie, stawiając mnie w kłopotliwej roli natrętnego uwodziciela, natomiast Marie zaczęła mówić nawet zbyt szybko, zawstydzając mnie jeszcze bardziej swoją natychmiastową szczerością i robiąc ze mnie równie niechętnie uwiedzionego. Nie była piękna, szczególnie inteligentna, nie miała wdzięku ani czaru. Ale była młoda i przyciągała urokiem młodego, dojrzałego i gotowego na wszystko ciała i była zdecydowanie lepszą opcją niż którakolwiek z morderczych laleczek z jej plakatów: ważąca ponad sto kilo Martha Beck, żeńska połowa (albo raczej trzy czwarte) morderczego małżeństwa, której egzekucję przełożono, ponieważ była zbyt gruba na krzesło elektryczne, albo Myra Hindley, morderczyni z wrzosowisk, której farbowane blond włosy i nazistowski szyk sprawiły, że została uznana za arcyironiczny symbol seksu, ale która również była nieciekawa, wyglądała jak mężczyzna, miała IQ 107 i bez rozgłosu byłaby całkowicie przeciętna. Niemniej jednak to niewątpliwie te pary ukształtowały jej ideał przeklętej, niezwykle romantycznej miłości: odszczepieńcy żyjący ponad dobrem i złem, albo, co zależy od punktu widzenia, niedorozwinięte niemoty, tak słabe, że musiały żerować na starych kobietach i dzieciach.

Tu inteligentny czytelnik przerwałby mi i zapytał: ale czy ty, niegroźny Harry, nie żywisz się tymi samymi fantazjami? Z jakiego innego powodu w twoich książkach tyle jest nieuzasadnionego sam-wiesz-czego? Dlaczego to takie bezpośrednie? Cóż, powiem wam. Przede wszystkim ja z tego żyję i jak może poświadczyć każda kelnerka czy striptizerka, napiwek może sprawić, że dziewczyna zarobi na czynsz. Ale jest jeszcze inny ważny, nawet jeżeli paradoksalny powód: wydaje mi się, że ta obrazowość nie pochodzi z papkowej zwierzęcej części mojego mózgu, ale z części

odpowiedzialnej za sztukę wysoką. Pozwólcie, że wyjaśnię.

Do ludzi, którzy czytają dla mrocznych dreszczy i strachu kleszczy: nie martwcie się, doczekacie się. I nie oceniam was. A tym delikatnym duszyczkom, które mając do czynienia z krwią, wzdrygają się i spoglądają w drugą stronę, chcę tylko powiedzieć, że nie jesteście jedyni, wiercie mi. Jeżeli wydaje wam się, że czytanie o takich rzeczach jest trudne, spróbujcie je napisać, patrząc przez palce. Ale to właśnie wtedy zwykle uśpiony we mnie wewnętrzny poeta gotuje się i dostaje furii. Jedyłą radą, jaką chciałbym wbić do głowy każdemu pisarzynie ostrzącemu ołówek na nową ofiarę, jest: kiedy trafisz w czuły punkt czytelnika albo nawet lepiej, swój własny, pisz ostrzej!

Transkrypcja wywiadu z Marie Fontaine 22/04/2009:

MF: *Czy boję się być zakochana w mężczyźnie, o którym mówią, że jest mordercą? Ani trochę. On jest poza ludzką oceną. W końcu chcą go zabić, czyż nie? I to nawet nie własnymi rękoma, ale z odległości. On przynajmniej zrobił to osobiście. Oczywiście, jeżeli w ogóle to zrobił. Dla mnie jest to najdoskonalszy akt erotyczny. Śmierć i erotyzm zawsze się łączą. Granica jest cienka, ale większość ludzi boi się ją przekroczyć. Świetny seks sprawia, że jesteśmy na granicy otchłani, a orgazm popycha nas jeszcze dalej. To jak pocałunek śmierci. Seks z mordercą nie przeraża mnie. Raczej podnieca.*

HB: *Serio?*

MF: *Tak. Czy to cię szokuje?*

HB: *Nie.*

MF: *Chcę go przelecieć.*

HB: *Aha.*

MF: *W tylek.*

HB: *Aha.*

MF: *To znaczy chcę, żeby to on przeleciał mnie w tylek.*

HB: *Zalapałem. A jakby poprosił cię, żebyś pomogła mu kogoś zabić? Zwabić kogoś w pułapkę albo przytrzymała, zrobiłabyś to?*

MF: *Oczywiście. Zrobiłabym wszystko.*

HB: *Sama popełniłabyś morderstwo?*

MF: *Tak. Tak, zrobiłabym to.*

HB: *Ale kogokolwiek? Przyjaciela? Członka rodziny?*

MF: *Oczywiście. Jaka to różnica? To tylko abstrakcyjne koncepty. On jest moją jedyną prawdziwą rodziną. Jest przyjacielem, bratem, kochankiem. Tworzymy własną moralność, jak mówił Nietzsche. Nie*

zdołasz nas zrozumieć. Jesteśmy poza twoim kodeksem moralnym. Poza wartościami wyznawanymi przez społeczeństwo. Konsumpcjonizmem. Moja tak zwana rodzina po prostu siedzi i ogląda telewizję. Robią, co się im każe i lykają pomyje, którymi są karmieni jak bydło. I kto tu tak naprawdę jest więźniem? A co z Irakiem? Jeżeli budzę się i mam tę świadomość, jestem wolna, nawet jeżeli zamkną mnie w więzieniu. Rozumiesz, o co mi chodzi? On jest wolny. Ponieważ sam uwolnił swój umysł. Praca, dom, szkoła, rodzina, to główniane miasto i ten główniany stan. Nienawidzę tego. Ale wystarczy się obudzić z tego koszmarne snu. Wtedy nic nie jest prawdziwe. I wszystko jest dozwolone. Moją dewizą jest Czyńcie Swoją Wolę.

HB: Crowley.

MF: Tak. Czytałeś go?

HB: Pewnie. Dawno temu. Może jak byłem w twoim wieku. Jako nastolatek. Jesteś jeszcze w szkole?

MF: Nie, mam 22 lata.

HB: Pracujesz gdzieś?

MF: W biurze. Ale nie jako sekretarka.

HB: I kierujesz się doktryną Crowley'a?

MF: Często go czytuję.

HB: Jesteś satanistką?

MF: Może. Może nie.

HB: A co z dziećmi? Mogłabyś zamordować dziecko własnymi rękoma, gdyby Darian poprosił cię oto?

MF: Pozwól, że ci to wyjaśnię, żebyś zrozumiał, jak bardzo jestem zdeprawowana. Chcesz wiedzieć, jaka jest moja największa fantazja?

HB: Jasne.

MF: Chcę zobaczyć, jak kogoś morduje, wypruwa flaki, a potem żeby zerznął mnie w ich krwi.

HB: Serio? Naprawdę byś to zrobiła?

MF: Podnieca mnie to. Krew, pot, jak jakaś męka ofiarna. Rytuał. Sama myśl mnie kręci. Pokażę ci, jeżeli chcesz. Mam to gdzieś.

HB: Spoko, wierzę na słowo.

MF: No już. Zajrzyj mi pod spódnicę. Nie krępuj się. W dupie mam, kto co sobie pomyśli.

HB: W zasadzie to muszę już lecieć...

MF: Widzisz? No już, popatrz. Nic mnie to nie obchodzi.

Wyszedłem stamtąd najszybciej, jak tylko mogłem. Drogi czytelniku, jak miałem się zachować w takim wypadku? Nawet stary, dobry Zaklinacz Zdzir nie był pewien. Jak wtedy, kiedy niechcący trafiłem do improwizującego klubu komediowego albo kiedy wylądowałem w pierwszym rzędzie na ceremonii obrzezania mojego kuzyna. Podobnie jak wtedy, siedziałem teraz sztywno jak kołek, podczas gdy Marie gmerała sobie pod spódnicą. Jednak odwróciłem swój niewinny wzrok podczas finału. Nie żeby była odrażająca. Nic z tych rzeczy. Mimo jej najlepszych chęci, była całkiem normalna. I to było w tym najgorsze. Była uwięziona w swoim życiu, ze swoją rodziną. Prawdopodobnie nie miała przyjaciół. Miała beznadziejną pracę. Nienawidziła swojego wyglądu. Dziwnie zbudowana, niezręczna, nieśmiała dziewczyna. Gdyby była mądrzejsza lub bogatsza, mogłaby zwać do szkoły artystycznej. Ale stało się tak, że nie widziała żadnej drogi wyjścia poza Darianem.

Muszę również przyznać, że pomimo tego, iż nie wzbudzała we mnie żadnego erotycznego zainteresowania, to obudziła we mnie sadystę. Chciałem brutalnie sprowadzić ją na ziemię. Zawsze nienawidziłem pozerów i kobotynów. Chciałem jej pokazać prawdziwe cierpienie: molestowane dzieci, polityczne tortury, raka, ludobójstwo, prawdziwe koszmary prawdziwego świata. Chciałem śmiać się jej w twarz i pluć na jej żalnego, pretensjonalnego Szatana. Powiedzieć, że jej ukochany jest padalcem, kanałą, półanalfabeta, a do tego nawet ma ją za nic, za żart. Chciałem wepchnąć jej twarz w gówno, żeby poczuła, jak naprawdę ono śmierdzi.

Czego oczywiście nie zrobiłem. Chociaż kto wie, może dobrze by jej to zrobiło? A jeżeli chodzi o bycie miłym i zrozumienie - okazanie współczucia byłoby nie lada okrucieństwem. Siedząc samotnie w tym

pokoju, nie miała nic poza swymi strasznymi marzeniami. Wyszedłem więc i pozwoliłem jej myśleć, że mnie zaszokowała. Szybko się pożegnałem i jeszcze szybciej wyszedłem, a jej głośny wulgarny śmiech dobiegał mnie zza drzwi. Wołałem czekać w zimnie na autobus, niż spędzić tam jeszcze bodaj chwilę.

W autobusie poczułem się samotny. Siedziałem tuż za kierowcą, przycisnąłem czoło do szyby, hamulce zgrzytały. Na zewnątrz było mokro i wszystko błyszczało. Popychane wiatrem liście przyklejały się do okna, jakby szukały darmowej podwózki za miasto. Na świeżo lakierowanych samochodach perlily się krople wody, które wyglądały jak gęsia skórka. Widziałem zabawki, rowery, figurki ogrodowe i nawet przewróconego samotnego renifera Rudolfa. Huśtawka upstrzona rdzą. Czarne i zielone worki na śmieci ułożone wzdłuż krawężnika. Zniszczona parasolka, ukazująca srebrny szkielet. Czy wszyscy na świecie byli równie nieszczęśliwi jak biedna Marie i ja? Kiedy wjechaliśmy do tunelu, odchyliłem się w tył i zamknąłem oczy.

Dotarłem do Queens w podłym nastroju i gdy przechodziłem obok kwaciarni, zobaczyłem Morrisa, mojego modela robiącego za J. Duke'a Johnsona i zatrzymałem się, licząc na pocieszenie. Okazało się, że pokłócił się ze swoim chłopakiem i był w jeszcze gorszym humorze niż ja.

- Chodźmy na drinka - zaproponował. - Albo sześć. Muszę przytępić zmysły.

- Okej, gdzie? Do Jacqui? - był to bar na rogu.

- Jezu, nie. Nie w tej okolicy, nie chcę omawiać nic z nikim, kogo znam. I do żadnego baru dla gejów. Żadnego miejsca, w którym mogę spotkać kogoś, czyje zdanie mnie obchodzi.

- No dobra.

- Wiesz, o co mi chodzi.

- Taa... Chyba znam dobre miejsce.

- Nie spotkamy tam nikogo znajomego?

- Mało prawdopodobne.

- I bez ciot?

- To mogę zagwarantować.

RSVP, bar ze striptizem, w którym pracowała Daniella, mieścił się nieopodal lotniska. Zadzwoiłem na jej komórkę i kilka minut później dostałem SMS-a. Tak, pracowała tej nocy. Przy wejściu miało być na liście moje nazwisko plus jeden, a także kilka kuponów na drinki. Morris był zachwycony.

- Chcę, żeby najbardziej tandetna blondynka z wielkimi cyckami usiadła na mnie okrakiem i wcisnęła mi je w twarz - oznajmił, kiedy siedzieliśmy w taksówce. - Ale to mają być takie naprawdę wielkie, ogromniaste cycki. Z dużymi, różowymi sutkami.

Budynek okazał się betonowym bunkrem: nie było tam okien ani żadnego neonu. Był długi, niski i mieścił się na opuszczonym, przemysłowym terenie. Wokół stały świecące na pomarańczowo lampy uliczne, a nad głowami od czasu do czasu słychać było ryk samolotu. Przepisnęliśmy się przez drzwi obrotowe i przeszliśmy z jasno oświetlonej przestrzeni w ciemność. Czekaliśmy, aż nasze oczy przyzwyczają się do mroku.

Na początku Morris wydawał się zdumiony ilością kobiecego ciała, ale rozkręcił się, kiedy tylko wlał w siebie kilka drinków. Zamawiał sake albo, jak to wymawiał, sa-kej, i przy drugiej niedużej butelce już był na nogach, rzucając pieniądze na scenę i wciskając je za stringi dziewczyn niczym nawalony pracownik korporacji niskiego szczebla. Mimo to nikt nie brał go za studenciaka. Wył: *Dajesz, dziewczyno!* do tancerek, żądał, żeby czarnoskóra dziewczyna powiedziała mu, gdzie przedłuża sobie włosy, a kiedy zachęcano go do poklepania tyłka, zagruchał:

- Jasna cholera. Ćwiczysz pilates, suczko?

Wszyscy byli oczywiście zachwyceni i nasz stolik dosyć szybko znalazł się w centrum uwagi, dwie czy trzy dziewczyny podskakiwały

i chichotały wokół nas. Wśród nich znalazła się duża, biuściasta blondynka.

- Są prawdziwe? - zapytał, wążąc w dłoniach jej piersi, jakby były kapłonem, w którego zamierzał włożyć nadzieję.

- Słonko, nigdy nie dotykałeś sztucznego cycka? Niektórzy twoi chłopcy muszą je mieć.

- No tak, ale te są dużo lepsze. Sutek jest taki sztywny!

- To dlatego, że go tak szarpiesz.

Ponętny młody rudzielec wepchnął się między nich.

- Moje są prawdziwe. Pomacaj! - piersi miała małe, jędrne i piegowate.

Morris uściśnął je z namysłem.

- Miękkie - zdecydował.

Dziewczęta pisnęły, kiedy poprosił, żeby każda z nich potarła piersią o jego policzek.

Wtedy spostrzegłem, że mamy kolejnego gościa. Był to ogromny czarny koleś, prawie tak wielki jak Morris, ubrany w mundur wojskowy. Miał też afro i kozią bródkę i stał nad naszym stolikiem, trzymając za rękę małą Azjatkę ubraną w stanik i majtki.

- Joł, wybaczenie - powiedział.

- Tak? - zapytałem, zastanawiając się, czy Morris jest równie beużyteczny w bójce jak ja.

Wskazał na Morrisa.

- Ten koleś tam. To J. Duke Johnson, pisarz, prawda?

- Nie. Ale wiem, o co ci chodzi. Dziwne podobieństwo.

- A. Łapię. Wrzucamy na luz, nie? - uściśnął mi dłoń swoją wielką grabą, po czym sięgnął nad stołem i postukał Morrisa.

- Halo, panie Johnson, panie Johnson!

Morris rozejrzał się z uśmiechem, jakby również szukał pana Johnsona. Nasz gość pochylił się nad nim, blokując scenę. Dziewczęta cofnęły się i zasłoniły piersi.

- Chciałem tylko powiedzieć, że jestem wielkim fanem pana książek i że jest pan dla mnie inspiracją.

- Cóż, dzięki... - powiedział niewyraźnie Morris, skonsternowany, ale podkreślony alkoholem, zadowolony, że poznał fana aranżacji kwiatowych.

- Cały wic w kształcie i kolorze.

Kopnąłem go pod stołem.

- Jest fanem twoich książek - tłumaczyłem. - I Mordechaja Jona.

- A, no tak! Cóż, bardzo dziękuję. To słodkie - Morris uściśnął

mu dłoń.

- Czy mogę postawić panu drinka?
- Oczywiście - natychmiast oznajmił Morris - Gorącą sa-kej!

Nowy koleś zamówił sobie koniak courvoisier, a ja poprosiłem o colę.

- Nie mogę pić - powiedziałem nerwowo. - Jestem jego ochroniarzem.

Wszyscy zaczęli się śmiać, a ja najgłośniej.

- Może ty i twoja mała przyjaciółka przyłączycie się do nas? - zaproponował Morris. Tak też uczynili. Znalazłem się teraz pomiędzy dwoma mężczyznami, kobiety znalazły się dalej ode mnie.

- To jest May Ling - przedstawił swą towarzyszkę nasz nowy kompan.

- Och, jesteś słodka - powiedział Morris i uściśnął jej dłoń.

- A ja nazywam się RX738.

- Słucham? - zapytał Morris.

- RX738 - wyciągnął dwie wizytówki, wraz z numerem telefonu i adresem mailowym.

- Niesamowite... - Morris był autentycznie zdziwiony.

- Jestem DJ-em i producentem - wyjaśnił. - Trochę też rapuję. I robię beaty.

- Gratuluję.

- Ale w swoich tekstach mówię, że to ty byłeś dla mnie główną inspiracją.

- Cóż, dziękuję. Uwielbiam twoją fryzurę. Ma taki rewolucyjny klimat.

- Dokładnie. O to chodzi. Wiem też, że Mordechaj by to poparł. Jedność czarnych. Przestać celować w siebie nawzajem, tylko zwrócić lufy na prawdziwego wroga: białasa. Bez urazy - zwrócił się do mnie.

- Nie ma problemu - odparłem sącząc colę.

- Wiesz, co byłoby zajebiste? - zapytał.

- Mów - Morris sączył sake.

- Gdybyś zarapował na mojej płycie. Po prostu wpadnij do studia i nagraj piosenkę!

- Pewnie! - odpowiedział Morris. - Bardzo chętnie.

Nagle życie przeleciało mi przed oczami i kończyło się ono na wizji Morrisa w budce nagraniowej, usiłującego rapować. Szepnąłem mu do ucha:

- Zamknij się, kurwa mać. Zabiją nas przez ciebie!

Ale Morris nie słuchał. Wzrok utkwiał w scenie.

- Spójrz na nią - wymamrotał.

To była Daniella. Niemalże ją przegapiłem. Tańczyła do *Tainted love* i akurat wisiała na rurze głową w dół. Z nogami oplecionymi wokół rury wyglądała niczym kaduceusz, długie blond włosy łąpały światło, a ona unosiła się nad nami, powoli obracając się z zamkniętymi oczami, jakby tańczyła sama dla siebie, po czym ześlizgnęła się na brudną scenę i podpełzła do mężczyzn z poluzowanymi krawatami i obrączkami na palcach, którzy trzymali pieniądze niczym przynętę.

- Dajesz, ostra suko! - darł się Morris, rozlewając sake.
- Tak jest! - poparł go RX738.

Daniella zerknęła w naszym kierunku, osłaniając oczy przed światłem.

Uśmiechnęła się i pomachała. Odmachałem.

- RX! - krzyknęła. - RX!

Piętnaście minut później Dani siedziała zadowolona na kolanie RX-a, sącząc tequilę, a Azjatka trzymała go za rękę obiema dłońmi i głośko ją. Blondynka i rudzielec przytuliły się do Morrisa, sącząc jednocześnie szampana. Wciąż siedziałem w środku, z moją colą, starając się nie gapić na prawie nagie ciało Dani. Była szczupła, wręcz patykowata - długie ramiona, nogi, gładki brzuch, do tego małe piersi i cudowny tyłek baletnicy. Zapaliła marlboro lighta i rozejrzała się, żeby się upewnić, czy nikt nie patrzy.

- Jak ci idzie książka? - zapytała.
- Nieźle - odparłem. - Ale powoli. Jeżeli mam być szczery, to strasznie przygnębiające.
- Też jesteś pisarzem? - zapytał mnie RX.
- Tak - odpowiedziałem z pewnym zakłopotaniem.
- Jak to też? - zapytała. Wzruszyłem ramionami. - Przeprowadza wywiad z Darianem Clayem - powiedziała do RX. - Ma odkryć, co naprawdę stało się z moją siostrą.
- Kurwa! Serio? To jakiś hardkor! Stary, naprawdę?
- Dzięki - powiedziałem.
- Ja nie jestem serio - wymamrotał Morris. - Jestem do niczego.

Kiedy nie patrzyłem, nastrój zmienił mu się z ekstatycznego w posepny. Nagle wstał gwałtownie, przewracając dziewczyny. Po policzkach popłynęły mu łzy.

- Nie nazywam się Doc Marten. Jestem kwiaciarzem. I jestem zakochany.
- Co jest, kurwa? - spytał RX.
- Kto to jest Doc Marten? - zapytała Dani.
- Duke - powiedziałem. - Duke, siadaj. Jesteś nawalony, Duke. Morris ciężko opadł na krzesło obok mnie.

- Duke? - zapytał głośno. - To kim w takim razie jest Doc Marten?
- Nazywasz się Duke Johnson - wyszeptałem histerycznie, czując, jak po plecach spływa mi pot. - Doc Martens robi buty.
- A tak - powiedział, po czym ryknął:
- Duke Johnson!
- Co, kurwa? - zapytał RX, wyraźnie zbity z tropu. - Jesteś Duke Johnson czy nie?
- Nie! Nie! - Morris ponownie usiłował wstać, ale go powstrzymałem.
- Jestem Morris. Jestem właścicielem Niebiańskich Aranżacji. Jestem pojebany. Po-je-ba-ny!
- Ale jeżeli to nie ty jesteś tym pierdolonym Duke'em Johnsonem, to kto kurwa nim jest?
- On. On! - Morris wskazał na mnie.
- Ty?
- Obawiam się, że tak - odparłem i wstrzymałem oddech.
- To świetny pisarz - powiedziała Dani - Pisał też porno.
- Cholera. Duke Johnson jest biały - czekałem na cios, ale on wydawał się być bardziej zniechęcony niż wściekły.
- Przepraszam - powiedziałem. - Nie chciałem nikogo zranić... - nie wiedziałem, co jeszcze mam powiedzieć.
- Cholera. Biały... - wymamrotałem, dumając nad tym odkryciem. Morris właśnie lkał w gigantyczne piersi blondynki, a ruda głaskała go po głowie. RX738 dokończył drinka.
- Cóż, napisałeś zajebiste książki - oznajmił w końcu, roześmiał się i filuternie pacnął mnie w ramię, tak, żeby siniak nie był za duży. - Co tam, kurwa, wszyscy coś ukrywamy. Powiem ci coś - pochylił się ku mnie. - Jestem z przedmieść. Long Island. Chodziłem do szkoły w Great Neck.
- Ja też - powiedziała Dani. - Przeniosłam się tam w trzeciej klasie z Hollis. Rodzice chcieli, żebym poszła do lepszej szkółki. Stąd się znamy.
- Oczywiście. Dilowałem trawką i wywalili mnie. Zadałem się z gangiem Bloods.
- Jasne - powiedziałem szybko. - No tak...
- Cholera - powtórzył. - Duke Johnson. Wciąż chcę uścisnąć ci dłoń.
- Uścisnęliśmy sobie ręce.
- Dzięki, RX738 - powiedziałem. Chyba nigdy w życiu nie byłem tak dumny.

Fragment powieści *Podwójne kłopoty na Dwójce* pióra J. Duke'a Johnsona, rozdział I:

- *Mordechaj Jones? Zabawne, nie wygląda pan na Żyda.*

Uśmiechnęła się przebiegle z własnego żartu, kiedy tylko weszła do mojego biura. Słyszałem to już wcześniej. Mam 190 cm wzrostu, w dobrej formie ważę 90 kilo i jestem ciemny jak heban, na dobre i na złe. Czy dziś był dobry, czy zły dzień? To miało się dopiero okazać po tym, jak ta dowcipna blondynka o niezłym ciele i zimnych niebieskich oczach powie mi, czego chce.

- *Moja matka była Żydówką z Etiopii - wyjaśniłem. - Według tradycji Żydem jest się po matce, więc tak, w zasadzie jestem Żydem - wyciągnąłem dłoń. - Chociaż nie trzymam się już zasady koszerności, pani...?*

- *Cherry Blaze. Tańczę w klubie Players. Barman Jorge mi pana polecił - wytrząsnęła z paczki Marlboro Light 100, co, jak uznałem, ujawniło jej ambiwalentną naturę.*

- *Chcę, żeby znalazł pan zaginioną osobę. Mojego tatusia. Juniper Blaze - pogrzebała w torebce w poszukiwaniu zapalniczki.*

- *Kiedy ostatni raz go pani widziała? - zapytałem, wyciągając zapalke.*

- *Dziesięć lat temu - odparła.*

Pochyliłem się i zapaliłem jej papierosa.

- *Nie będzie łatwo, ale da się zrobić oznajmiłem. - Więc gdzie on wówczas był?*

Spojrzała mi w oczy i wydmuchała dym przez zaciśnięte, czerwone usta.

- *W trumnie.*

Dwa drinki później (dla niej whisky sour, chivas z lodem dla mnie) w Hi-Lo Cherry Blaze usiłowała wyjaśnić całą historię. Sprawa była jasna - dziewczyna albo była szurnięta, albo kłamała. Albo mówiła prawdę. Co oznaczało, że to ja byłbym głupcem, podejmując się tej roboty.

Jej staruszek grał na trąbce, zwali go Juniperem „Honky” Blaze, z racji zarówno na jego brzmienie, jak i kolor skóry⁵. Zdobył popularność w latach 50, i 60, jako jedyny biały koleś, który był w porządku. Miał to coś, jak mówili, i umiał trafić w ów wysoki, słodki ton, ale kiedy pojawiła się Cherry, to była już przeszłość. Tatusz był ćpunem, grał w dziurach i wychowywał małą Blaze w walizce. Na starej dobrej 42-iej człowiek dorasta szybko, więc kiedy miała 18 lat, a tatuś wykorkował po kilku strzałach za daleko, nie płakała. Poszła tańczyć na rurze. Teraz miała 28 lat i wciąż wyglądała odlatowo. Dopóki nie spojrzano się w jej oczy, tak jak ja w nie patrzyłem.

⁵ Honkie - białas (ang. slang) (przyp. red.)

- Przejdźmy do sedna - powiedziałem i zapaliłem jej następnego seciaka. - Dlaczego przyszła pani do mnie?

- Śnił mi się.

- Śnił? - nastuchałem się w tej robocie wielu historyjek różnego rodzaju, ale takiej jeszcze nie słyszałem. - No dobra, mów - zamówiłem dwa kolejne drinki.

Nie śmiała się, ale nie wyglądała na rozgniewaną. Sączyła drinka. Palila fajkę. Spojrzała mi w oczy. Powiedziała:

- Jakiś miesiąc temu miałam sen, w którym tata znalazł się w moim pokoju i grał piosenkę. „Goodbye pork pie hat”. Jedna z jego ulubionych. Ale we śnie nie grał jej na trąbce. To znaczy brzmiało to jak jego trąbka, ale dźwięk wydobywał się prosto z ust, które miał złożone jak do pocałunku. W każdym razie we śnie wziął mnie za rękę i zaprowadził do szafy, tej samej szafy, którą mam teraz, ale we śnie szafa zamieniła się w długi korytarz, który prowadził do naszego starego pokoju hotelowego przy Time Square. Wtedy zaczął się ekscytować, grał coraz głośniejsze i wyżej i wskazywał na coś pod łóżkiem. W końcu tam zajrzałam i znalazłam jego stary futerał na trąbkę pełen krwi. Teraz mój tata krzyczał, krzyczał przez trąbkę. Więc włożyłam dłoń w krew. W środku był nóż. Wtedy się obudziłam.

- Dziwne - zgodziłem się. - Też miałem dziwny sen zeszłej nocy. Moja babcia jeździła słoniem po Broadwayu. To się zawsze zdarza, kiedy zjem kurczaka Popeye po północy.

- Wiem - zamachała papierosem. - Wszyscy mają dziwne sny. I co z tego. Ale mój się powtarza. I wciąż łapię się na nuceniu tej piosenki.

Nie mogę się jej pozbyć. Pod prysznicem. W pociągu. W pracy. Doprowadza mnie do szału.

- No to masz problem. Ale wciąż nie uważam, że jest ci potrzebny detektyw. Raczej tygodniowy urlop na plaży.

- Też tak myślałam.

- No i dobra - sięgnąłem po portfel.

- Do momentu, w którym mój ojciec nie zaczął wysyłać mi maili.

- Co? - zaswędziały mnie uszy, a nozdrza rozszerzyły się, jak u ogara wężącego w powietrzu trop.

- Tak, krótkie listy. O rzeczach, o których tylko on mógł wiedzieć.

Jak chodziliśmy na lody u Howarda Johnsona po jego koncertach. Jak

zastawił trąbkę, żeby kupić mi buty do szkoły. Jak umiałam tańczyć,

ale nie śpiewać - dopiła drinka. - I co ty na to? Potrzebuję detektywa?

Wziąłem sobie papierosa z jej paczki i urwałem filtr.

- A jak ci się wydaje, gdzie ten detektyw ma zacząć szukać?

Podniosła zapalki i zapaliła mi papierosa.

- Na cmentarzu, oczywiście.

Kiedy szedłem na kolejną rozmowę z Clayem, powietrze było świeże i przejrzyste. W czasie drogi z okna pociągu widziałem całkiem ostro drzewa nawet na samej linii horyzontu. Natomiast w pomieszczeniu dla gości oczywiście nie było żadnej pogody, a czas zawsze wydawał się ten sam: północe i południa pod lampą jarzeniową. Siedziałem na swoim przyśrubowanym krześle przy przyśrubowanym stole. Podłoga z cementu została świeżo wyczyszczona i w nozdrza uderzył mnie sosnowy zapach.

- Dobrze. Ta historia była całkiem niezła - Clay wyszczerzył zęby podczas omawiania mojej historyjki o Marie Fontaine. - Naprawdę dobrze uchwyciłeś jej charakter. Chodzi o drobne szczegóły. Jak w tej scenie, kiedy mam ją oznakować, a ona nie może się doczekać.

- Dzięki - powiedziałem nerwowo, polectany, po czym kichnąłem.

- Na zdrowie - powiedział Clay. - Trzeba uważać o tej porze roku. Ja biorę witaminy.

- Dzięki.

Odchylił się, z namysłem gładząc podbródek. Był nieogolony, a szczecinę miał czarną, poprzetykaną siwizną, jak ja.

- Ta Marie to mały grubasek, nie?

- Nie. No, może trochę.

- Nic przeszkadza mi to.

- Nie no, jest słodka - zgodziłem się, widząc twarz Marie oczami duszy i słysząc jej kpiący śmiech. Przejrzałem notatki, jakbym chciał ukryć to wspomnienie przed Clayem. Włączyłem taśmę.

- Więc chciałeś mówić o czasach szkolnych, tak?

- No cóż, o szkole artystycznej. Ale do niej nie poszedłem.

- Dlaczego nie?

Zachichotał.

- Bo mnie nie przyjęli. Nie przyjęli i już. Kto wie, kim mógłbym zostać? Słynnym artystą.

- Jasne. No cóż, pomówmy o tym. W jaki sposób zacząłeś zajmować się sztuką? Kiedy wiedziałeś, że chcesz zostać fotografem?

- Powiem ci. To było u mojej zastępczej matki, pani Gretchen. Nienawidziłem jej.

Wyciągnął nogi, wciągając się w historię i ukazując grube białe skarpetki sportowe w klapkach więziennych.

- Totalna pizda. Biła mnie taką starą anteną samochodową. Po udach, bolało jak cholera. To ona powinna być w więzieniu, a nie siedzieć w domu na tyłku oglądając telewizję. Jej chłopak rozbierał mnie, wrzucał pod zimną wodę i wyrzucał nago na ganek, żeby sąsiedzi widzieli. Chciał mnie upokorzyć.

- Dlaczego?

- Za moczenie łóżka - odparł uprzejmie, patrząc mi prosto w oczy.

- Aha...

- Ale miał aparat, czaisz? Starego nikonu. Robił dużo zdjęć zwyczajnych rzeczy. Fotografował ją na podwórku. Swoją samochód. Wiewiórki i takie tam. Liście. Pozwolił mi popatrzeć przez obiektyw, kiedy go ustawił na statywie, ale lepiej, żebym nie naciskał wyzwacza, o stary. Zmarnowałbym mu film. Ha. Więc trzymałem ręce za plecami i robiłem udawane zdjęcia.

Uśmiechnął się i zrobił gest udawanego aparatu skutymi dłońmi. Ogrzyzione palce kadrowały jego twarz.

- Pstryk. Dobry moment. Pstryk.

Zamilkł, a ja zwalczyłem pokusę, żeby się wciąć - jak na prozowanej kolacji, gdy zapada niezręczna cisza. Clay złączył palce, złożył dłonie na kolanach i podjął wątek:

- Miał ciemnię fotograficzną w piwnicy i pozwalał mi sobie pomagać. Czasem zakradałem się tam, kiedy nie było go w domu. Podobał mi się zapach chemikaliów i ten jakby zapach ziemi, który czuć w piwnicach. Była mała, ciemna i sam nie wiem, czułem się tam bezpiecznie. I podobał mi się widok odbitek w wywoływaczu. Jak obraz wyłania się pod wodą na tacce. W każdym razie - oparł się i skrzyżował nogi - nie mogłem się doczekać, żeby mieć własny aparat. Ciułałem każdy grosz, pracowałem, kradłem drobne. W końcu dorwałem używanego canona. Miałem 15 lat. Byłem zachwycony. Aparat był tak rozwalony, że po każdym założeniu filmu musiałem

zaklejać go taśmą, ale jebać to. Byłem fotografem. Oprócz tego, że wciąż musiałem udawać, ponieważ nie stać mnie było na filmy.

Dyktafon zarejestrował nasz śmiech.

- Ale wtedy - powiedział - zacząłem wreszcie robić zdjęcia. Wielu rzeczy. Nie wiem, gdzie to teraz jest. Pewnie jest coś warte. Ma wartość kolekcjonerską.

- Jakich rzeczy?

- Wszystkiego. Drzew. Psów. Innych dzieci. Sąsiadów. Wszędzie nosiłem ze sobą aparat. Skradałem się wokół jak jakiś harcerz na zwiadach. Nauczyłem się cierpliwości. No wiesz. Czekać. Tak to działa. Jesteś jak łowca. Czekasz, aż pojawi się to, czego szukasz - skulił się, pochylił do przodu i ułożył dłonie, jakby trzymał karabin, wycelowany we mnie.

Uśmiechnąłem się.

- Ale głównie fotografowałeś modelki, prawda? Pozowały ci.

- Nieważne, to jedno i to samo. Związek pomiędzy tobą i obiektem. Czekać, praca, perswazja, obserwacja, czekać, aż coś się pojawi. Aż nastąpi ten magiczny moment. To najtrudniejsza sprawa.

- Czekać?

- Tak. I ustawianie ich w odpowiedniej pozycji - znów łagodnie zachichotał i ugryzł się w palec. Wyciągnąłem długopis i narysowałem bezsensowny haczyk przy notatkach.

- Więc kiedy zdecydowałeś, że będziesz się tym zajmował zawodowo? - zapytałem.

Wypluł coś niewidocznego i wzruszył ramionami.

- Kiedy tylko dowiedziałem się, że to możliwe. Najpierw chciałem fotografować konflikty zbrojne. Jak ci korespondenci wojenni. Żeby uciec. Ale później zorientowałem się, że przecież ktoś musi robić też zdjęcia dla magazynów, nie? Jak te na plakatach, billboardach i tak dalej. Zdjęcia są wszędzie i ktoś musi je robić, nie?

- Ale ty chciałeś zajmować się sztuką?

- Tak, był taki nauczyciel, pan Barnsworth. Pożyczał mi książki, chociaż tak właściwie to one były z biblioteki. Tak czy inaczej, kiedyś przyłapał mnie, jak wałęsałem się z aparatem w okolicy szkoły i pokazał mi książki: Steiglitz, Brassai, Walker Evans, Diane Arbus. Ją lubiłem najbardziej. To wtedy zdałem sobie sprawę z tego, że fotograf może być artystą, jak malarz czy ktoś taki. Może stworzyć obraz. Powiedzieć coś, nie tylko to zarejestrować. Stworzyć krajobraz swojego umysłu - znów zwolnił, pozwalając tej myśli krążyć wokół nas. W jego oczach błysnęły małe ogniki, odbicie plastikowej lampy.

- Więc złożyłeś papiery do szkoły artystycznej - podpowiedzia-

łem.

- Tak, do wielu - być może po raz pierwszy okazał irytację. Włożył dłonie we włosy, ocierając głowę łańcuchem. - Nie chcieli mnie. Biednego dzieciaka znikąd. Gówniane szkoły. Miałem złe oceny, więc nie miałem szans na stypendium. A bez niego nie mogłem sobie pozwolić na studiowanie. Ale wszystkie szkoły artystyczne są takie. Jeden wielki burdel pełen bogatych pozerów. Komu to, kurwa, potrzebne? Ale to właśnie jest system. Żeby wystawiać w galerii, trzeba skończyć szkołę artystyczną, żeby nauczyć się, jak gadać bzdury. Tego tam właśnie uczą, jak pieprzyć bzdury.

- Ale chodziłeś na jakieś zajęcia?

- Tak, w domu kultury, z jakimś frajerem. Niby był profesjonalnym fotografem artystycznym. Dwie wystawy w Baltimore, wielkie mi co. Powiedział, że jestem jeszcze nierozwinięty, jakbym był, kurwa, opóźniony w rozwoju. Że potrzebuję doprawienia, jak miska zupy. Potem pracowałem już sam. Ale to jest problem ze sztuką. Nikt nic nie wie. Kto może ją oceniać? Tylko przyszłość. Może za sto lat moje prace będą wisiały w muzeum. Może moja twórczość będzie warta fortunę. Cholera, wartość prac zawsze rośnie po śmierci artysty. Kto wie? Może twoje książki o mumiach i elfach z Marsa sprzedadzą się w milionach egzemplarzy po naszej śmierci?

Znów łagodnie się roześmiał, po czym zamilkł. Znów ugryzłem się w język. Zamknij się, powiedziałem sobie w duchu. Daj skurwielowi mówić.

- Tym w końcu jest sztuka - powiedział w końcu. - Zemstą. Ha. I sprawiedliwością. Fotografia jest jak dowód. Jak wiadomość w butelce dla przyszłych pokoleń. Czymś, co widzisz w snach, ale co jeszcze długo się nie spełni. Mam wiarę. Nie boję się śmierci. Wiem, że moje prace będą istnieć długo po mojej śmierci, przez sto, dwieście lat. W pamięci innych będziesz nie śmiertelny. I w pamięci tych, których dotkniesz. Nie potrzebuję religii ani żadnego boga. Sztuka jest moim niebem.

Kiedy dotarłem do domu, w mieszkaniu było pusto. Matka Claire była w mieście, robiąc sobie przerwę w zakupach pomiędzy Palm Springs a Europą i Claire poszła się z nią zobaczyć na „rodzinnym spotkaniu”. Poszedłem więc do pekińskiej restauracji na Main Street, gdzie serwowali kaczkę, i ustawiłem się w kolejce, porozumiewając się przy okienku za pomocą gestów. Za zaparowaną szybą mężczyzna w wysokiej białej czapce układał złote kaczki na grubym okrągłym kawale drewna i siekał je tasakiem na połyskujące kawałki. Drugi upychał kawałki mięsa w kieszonki z ciasta, dodawał ogórki, szczypiar i polewał to strugami brązowego sosu. Siedziałem przy długim stole razem z innymi samotnikami, naprzeciwko mężczyzny w średnim wieku w kombinezonie poplamionym farbą i obok młodej kobiety w fartuchu lekarskim i płaszczu przeciwdeszczowym. Wszyscy gapiliśmy się w przestrzeń i przeżuwaliśmy jedzenie.

Każdy, kto się odezwał, mówił po chińsku. Nic nie rozumiałem i poczułem ulgę.

Potem poszedłem do domu, sprawdziłem skrzynkę mailową, pocztę i skrzynkę głosową, przejrzałem *Timesa*. Wziąłem prysznic, obciąłem paznokcie, wyczyściłem uszy. Kiedy nie mogłem już powstrzymać ciekawości, załogowałem się do internetu. Jak pająk siedzący w sieci, szukałem vampaT3. Czy to już cyberstalking, czy tylko cyberobserwacja? Szukałem kobiety, a nawet nic tyle kobiety, co tylko loginu, światelka, które mogło być lub nie być Theresa Trio. Wstydziłem się. Osiągnąłem jakieś nowe dno, łączące zboczenie z żenadą. Żałosne!

vampT3: Hej...

crimson1: Cześć

vampT3. *Jak leci?*

crimson1: *Dobrze... A u ciebie?*

vampT3 *Wciąż nie mogę uwierzyć, że z tobą rozmawiam. Sibylline!*

crimson1: *Ja też... To znaczy ja też nie.*

vampT3 *Nie możesz uwierzyć, że rozmawiasz ZE MNĄ???*

crimson1: *To znaczy zwykle nie rozmawiam z fanami. Nie, żebym uważała, że nią jesteś.*

vampT3 *Ależ ja jestem twoją fanką. Lol.*

crimson1: *Lol? Jak lizak?*

vampT3 *Nie, to oznacza śmiech. Przepraszam.*

crimson1: *Przepraszam... Nie jestem przyzwyczajona do Internetu.*

vampT3 *Lol to skrót od śmieję się na cały głos⁶.*

⁶ Laughing out loud (przyp. red.).

crimson1: *No tak.*

vampT3 *Więc jeżeli mogę spytać... To, co ostatnio mówiłam... Czy to było dziwne?*

crimson1: *Nie... Co?*

vampT3 *O twoich książkach...*

crimson1: *Aha.*

vampT3: *Ale wciąż myślałam, czytając twoje książki, wciąż się zastanawiałam, skąd ona wie, jak ja się czuję?*

crimson1: *Miałam intuicję.*

vampT3 *Haha. Ale naprawdę nie wydaje ci się to dziwne?*

crimson1: *Cóż, sama to napisałam, więc jeżeli to dziwne, to jestem dziwadłem.*

vampT3: *To dobrzeją też.*

crimson1: *Lol.*

vampT3 *Czy jeżeli zaproponuję spotkanie, to będzie to zbyt dużo? Jeżeli tak, to przepraszam.*

crimson1: *Nie, nie, bardzo bym chciała. Ale wiesz, teraz, kiedy wyszła nowa książka, dużo podróżuję...*

vampT3 *Ach, jesteś poza miastem?*

crimson1: *Tak.*

vampT3. *Nie wiedziałam, że masz spotkania autorskie albo tournée. Mówią, że jesteś odludkiem...*

vampT3: *Jesteś?*

crimson1: *Tak, przepraszam... Ha... Przyłapałaś mnie... Zapomniałam, że wiesz o mnie tak dużo... To prawda... Nie wiem, czy użyłabym słowa odludek, ale niezbyt często widuję ludzi albo wychodzę... Chociaż tak, jestem poza miastem... W odosobnieniu.*

vampT3. *Przepraszam, jeżeli trafiłam w czuły punkt.*

crimson1: *Nie, w porządku... Może kiedyś mi przejdzie i będziemy mogły się spotkać.*

vampT3. *Mam nadzieję... Ale rozumiem... Czy będziemy mogły jeszcze kiedyś pogadać w sieci?*

crimson1: *Oczywiście, bardzo bym chciała.*

vampT3. *Dobrze.*

vampT3 *Hej!*

crimson1: *Tak?*

vampT3 *Nie, żeby cię to interesowało, ale może masz ochotę poczytać... Na dobranoc...*

Wysłała mi link, po czym szybko się wylogowała i światelko zniknęło. Kliknąłem i zostałem przekierowany do strony, na której zbierali się fani wampirów w celu załatwiania swoich wampirzych spraw. Była tam też recenzja mojej nowej książki napisana przez vampaT3:

„Szkarlatna noc i mgła” to najlepsza jak do tej pory książka Sibylline. Fabuła skupia się na próbie odzyskania Świętego Miecza Mithras z rąk złego Barona Charlusa von Faubourg St. Germaine, co jest ekscytujące, ale sednem historii jest Sasha, targana uczuciami zarówno do Arama, jak i do Ivy, jej biseksualnymi kochankami-wampirami, do których czuje dziką, erotyczną namiętność, a także jej pogłębiającymi się uczuciami do Jacka Silvera, korespondenta wojennego/fotografa mody i łowcy wampirów, do którego żywi głębszą i bardziej dojrzałą miłość. Tę sytuację komplikuje fakt, że Ivy kiedyś, po nocy szalonego seksu, próbowała przemienić Jacka. Jack odmówił, w zamian za to usiłując obciąć głowę Ivy Od tamtej pory szczerze go nienawidzi.

Ten skomplikowany trójkąt/kwadrat/trapezoid? miłosny jest odzwierciedleniem dwoistej natury Sashy Jest ona pół-wampirem, pół-człowiekiem i nieustannie miota się pomiędzy tymi dwiema stronami. Nie jest to prosta walka pomiędzy dobrem ze złem, jak Aram wyjaśnia Sashy:

- Wampiry nie różnią się niczym od tygrysów czy wilków. Tylko ludzie mordują z nienawiści, bigoterii, chciwości czy pożądania. Wampirzy holokaust czy lincz jest równie niemożliwy, jak coś podobnego wśród lwów. Ludzie żyją w samozadowoleniu, myśląc, że są na szczycie łańcucha pokarmowego i w swym szaleństwie zwrócili się przeciw sobie nawzajem. Gdyby wampiry dopuszczały się uboju selektywnego na ludziach, podobnie jak jaguary i gepardy postępują z antylopami, rasa ludzka miałaby się lepiej, byłoby mniej wojen i

chorób.

Theresa, zakładając, że była to Theresa, zaczęła później wyjaśniać te motywy, a także analizować powtarzającą się symbolikę, która je wyrażała. Wszystko to było dla mnie kompletną nowością - recenzja książki, która była naprawdę niezła, ale którą napisał ktoś inny. Na przykład ktoś taki jak ona. Czytanie jej tekstu (traktującego o moim pisarstwie) sprawiło, że poczułem się dziwnie: ogarnęło mnie uczucie bliskie paniki lub zawrotu głowy. Czułem, jak puchnę z dumy, nagle poczułem się jak geniusz. Byłem jednak również pewien, że zostanę zdemaskowany jako oszust i beztalencie. Czułem się jak balon wypełniony gorącym powietrzem, ulatujący coraz wyżej, przerażony, że zaraz pęknie. Czyż nie jest to najskrytsze marzenie każdego gryzi-piórka? Bycie uwielbianym, nie za naszą osobowość, ale za piękno naszych prac? Ale ja nienawidziłem swojej pracy. Wyciskałem z siebie te bzdury i ciąłem na kawałki, strona po stronie, a nienawidząc własnych tekstów, nietrudno znienawidzić ich czytelników. Chyba, że to oni mieli rację, a ja się myliłem.

Dlaczego czytamy? Co sprawia, że gdy jesteśmy dziećmi, lubimy akurat te książki, a nie inne? Myślę, że w dużej części może chodzić o pragnienie ucieczki w przygodę, w marzenie, które przypomina nasze własne marzenia. Ale dla niektórych jest to również ucieczka od nudy, nieszczęścia, samotności, od miejsca, którego nie możemy znieść, albo od siebie samych. Kiedy czytam, słowa zagłuszają mój wewnętrzny głos i, choćby tylko na chwilę, przestają być sobą, przestają być tak boleśnie świadomy tego, kim jestem. To są prawdziwi czytelnicy, maniacy, ci, którzy potrzebują działki fikcji podobnie jak ćpuni potrzebują narkotyków, jak kochankowie pożądają swoich ukochanych: poza jakimkolwiek rozsądkiem.

Ten rodzaj czytania, o ironio, wyklucza obiektywizm. Obiektywne kryteria, podobnie jak w miłości, w zasadzie nie istnieją. (O ironio, ponieważ to właśnie ci, którzy zakochali się w książkach, zostają uczonymi, krytykami, redaktorami - snobami - jednocześnie tkwiąc w sekretnym nałogu.) Fani gatunków - wampirów, sci-fi czy kryminałów - są jakimś atawistycznym gatunkiem, czystą, ale dziwną rasą. Oni czytają jak dzieci, głupio i z powagą, albo jak nastolatki, z desperacją i odwagą. Czytają, ponieważ nie mają wyjścia.

Oczywiście do tego profilu pasuje również czytelnik porno. Taki czytelnik (albo czytelniczka!) jest więźniem w śmiertelnym cielem i nieprzyjaznym świecie, który nigdy nie spełni ich marzeń i nie zaspokoi pożądania.

Szukając uniesień, uciekają w język, który jest w stanie dotrzeć wszędzie, dotknąć wszystkiego i do tego jest nieskończony. Który wiersz miłosny, manifest, krzyk sztuki wysokiej zrobił dla kogokolwiek tyle, ile są w stanie zrobić najniższe, najdurniejsze, najplugawsze słowa czytane przez samotną duszę w środku nocy?

I czy to nie dlatego piszemy? (My, pisarze, najgorsi czytelnicy ze wszystkich.) Właśnie po to, by wysłać sekretną wiadomość i dotrzeć do nieznajomych, których nigdy nie poznamy? Po to, by potajemnie spotkać innych, tych, którzy ukrywają swoje twarze za naszymi książkami? Czy to nie dla nich piszemy? Dla Theresy Trio? Dla Dariana Claya?

Później, kiedy wędrowałem po kuchni, zauważyłem, że na blacie świeci się mój telefon. Byłem tak przejęty tym czatem, że nie usłyszałem, kiedy dzwonił. Był to SMS od Dani: *Dzięki, że przyszedłeś wczoraj wieczorem! Nie musisz pisać tej książki, jeżeli nie chcesz. Zrozumiem. Zadzwoń, jeśli chcesz.*

Nie zadzwoniłem. Było za późno.

Trzecim nazwiskiem na liście Claya była Sandra Dawson. Mieszkała na Brooklynie, na krańcu Bushwick. Wsiadłem w metro L do Montrose, a potem przeszedłem parę przecznic. Było to w sąsiedztwie serwisów samochodowych, magazynów z materacami i restauracji oferujących meksykańskie, dominikańskie i ekwadorskie jedzenie. Wynajmowała łączone mieszkanie na ostatnim piętrze trzypiętrowego bloku z cegły. Na dole mieściła się knajpa, a drzwi wejściowe do budynku zabezpieczone były metalową kratą. Z jej listów wiedziałem, że ma dwadzieścia kilka lat i mieszka ze współlokatorką, dziewczyną, która nie miała pojęcia, kim Sandra „tak naprawdę” jest. Podobnie jak jej koleżdy z dzielnicy finansowej, w której pracowała jako „edytor tekstów”. Jednocześnie robiła dyplom z bibliotekoznawstwa. Na fotografiach, które dał mi Clay, wyglądała na niedużą i cwana, miała cienkie blond włosy i chude, blade ramiona. Miała ciało małego chłopca, gładkie, pokryte piegami i bezwłose. Można było policzyć jej zębra. Tak naprawdę, jak się okazało, kiedy dowlokłem się na górę po schodach i ją zobaczyłem, wyglądała bardzo zwyczajnie: okulary na nosie, włosy związane w koński ogon, nosiła bawełnianą sukienkę z nadrukami i klapki japonki. Powiedziała, że jej współlokatorka wyszła, ale po krótkim zastanowieniu stwierdziła, że jednak czułaby się lepiej rozmawiając w swoim pokoju.

Jej sypialnia była nowsza niż reszta mieszkania. Pod łóżkiem, przykrytym białą puchatą narzutą, był bałagan. W rogu stała biała szafa z krzywym lustrem. Na ścianach przyklejone były zdjęcia z magazynów, dodające trochę mrocznego szyku, choć były dużo łagodniejsze niż te w mieszkaniu Marie Fontaine - były na nich czarne róże, srebrne księżycy na tle czarnego nieba i zmysłowe kobiety w koronkowej bieliźnie obok spokojnych wód lub kruszących się skał.

- Jestem pod-zdzirą - poinformowała mnie, jakby był to oficjalny tytuł, stopień niżej od pełnej zdziry. Albo jakby zastępowała inne zdziry, które akurat się rozchorowały.

- A co to takiego?

- Z natury jestem uległą masochistką. Chcę, żeby mężczyzna mnie kontrolował. Lubię ból i upokorzenie. Jak ktoś się nade mną znęca.

- Ha, ciekawe - przybrałem wyraz twarzy, który miał wyrażać spokój i namysł. Była bardzo konkretna, siedziała ze skrzyżowanymi nogami na łóżku, a ja wierciłem się w krzesle wiklinowym.

- Kiedy się zorientowałaś?

- Zawsze tak było. Kiedy byłem mała, lubiłam badać swoje granice, sprawdzając, jak mocno kuzynka może ugryźć mnie w palec i tak dalej. Zawsze próbowałam namówić inne dzieci, żeby mnie wiązały.

- Ale jak? W ramach zabawy?

- Tak, na przykład przywiązywanie do drzewa. Kiedy wymyślaliśmy gry, zawsze usiłowałam znaleźć sposób, żeby być w roli więźnia z rękami związanymi za plecami albo zawiązanymi oczami. Większość dzieciaków nie wiąże zbyt dobrze, a ja jestem chuda, więc zazwyczaj natychmiast się wyslizgiwałam, ale była taka jedna dziewczyna, która związała mnie naprawdę mocno - podobało jej się to, była całkowicie serio, związała mnie tak, że w ogóle nie mogłam się ruszać - a skakanka, której użyłyśmy, taki biały sznurek, wbił się naprawdę mocno i do tego miałam go między nogami i to był pierwszy raz, kiedy czułam prawdziwe podniecenie i wciąż się ruszałam, żeby lina ocierała się o moją lechtaczkę.

- Ha, ciekawe - powtórzyłem, brzmiać, mam nadzieję, bardzo profesjonalnie.

Bez zastanowienia skrzyżowałem nogi i nagle zorientowałem się, że wyglądam jakbym chronił krocze, więc ułożyłem je w poprzedniej pozycji.

- Potem zaczęłyśmy spędzać razem dużo czasu. Miała na imię Clarissa. Zawsze bawiłyśmy się w coś, gdzie ja byłem jej niewolnikiem albo więźniem. Czasem byłem nawet jej psem. Wzięłyśmy prawdziwą smycz i miskę mojego psa. Wzięła mnie na smycz i kazała aportować i pić z miski. Potem wzięła mnie na podwórko, żebym zrobiła siku i moja mama nas przyłapała - roześmiała się głośno i zakryła usta.

Ja również się roześmiałem.

- I co się stało?

- Moi biedni rodzice nie mieli pojęcia. Mama powiedziała tacie, który spuścił mi lanie. Co oczywiście zamknęło całą sprawę.

- Co stało się z Clarissą?

- Nasze drogi się rozeszły. Poszła do innej szkoły. I z tego, co słyszałam, jest normalna. No wiesz, zwyczajna dziewczyna hetero. Chyba wyszła za męża.

- A ty tego nie chcesz.

- Wiesz, jaka jest moja największa fantazja? - podwinęła nogi pod siebie i pochyliła się poufale.

- Jaka?

- Żeby mnie sprzedano na rynku białych niewolników.

- Coś takiego istnieje? - zapytałem, wyobrażając sobie film z Jerry'm Lewisem w technicolorze.

- Słyszałam o tym.

- Ale co, wyobrazasz sobie, że jesteś własnością jednej osoby, czy raczej wolałabyś być oddana do burdelu?

- Zazwyczaj i jedno, i drugie.

- I podoba ci się to? To znaczy naprawdę myślisz, że mogłabyś to zrobić?

- Oczywiście, musiałabym to zrobić, jeżeli mój właściciel by mi kazał.

- Twój właściciel?

- Pan Darian - uśmiechnęła się błogo

- Jest twoim właścicielem? Oficjalnie?

- Podpisaliśmy umowę. Należę do niego. Jestem zarejestrowana jako jego niewolnica w internecie. To dlatego rozmawiam teraz z tobą.

- Rozkazał ci się ze mną spotkać?

- Tak. To znaczy... coś więcej.

- Więcej? Zawahała się.

- Powiedział, że mi cię użycza.

- Słucham? - zapytałem, udając, że nie słyszę.

- Jako prezent. Ponieważ podoba mu się to, co piszesz.

- Naprawdę? Ha. Nie wspominał mi o tym. Co masz na myśli jako prezent?

Przesunęła się ku mnie z wyciągniętymi w moją stronę dłońmi. Poczulem, że się rumienię, co nie najlepiej wygląda na facecie w średnim wieku.

- Jako niewolnicę - powiedziała. - Żebyś mnie wykorzystał, jak tylko chcesz.

- O kurczę. Ale...

- Proszę! - powiedziała wyższym głosem. - Będzie zły, jeżeli tego nie zrobię. On chce, żebyś mnie wykorzystał. Chce, żebyś wiedział, jak to jest, żebyś mógł to później opisać.

- Cóż, dzięki. Naprawdę. To miłe, ale... - zacząłem się jąkać, jakbym szukał nowych sposobów na wyrażenie niepokoju. - Mogę to sobie po prostu... wyobrazić, to znaczy później, w domu. Albo... Zaraz, co ja chciałem powiedzieć. Taka jest rola pisarza. Nie muszę sam ro... - przełknąłem ślinę - robić niczego.

- Ale ja chcę - powiedziała. Opadła na kolana. - Będę zaszczycona, panie, gdybyś zechciał mnie zmaltretować.

Pochyliła się do przodu, umieściła klatkę piersiową na podłodze i spojrzała na mnie z pozycji pokornego szczeniaka. Nosem dotknęła czubka mojego buta.

- Cóż! - chichotałem i rzuciłem się, jak gdyby mnie ktoś połaskotał. Przy okazji trącając ją w nos palcem u nogi. Piszęła z bólu.

- Och, przepraszam, przepraszam. Bardzo przepraszam.

- W porządku - wymamrotała, trzymając się za nos. - Podoba mi się to.

- No dobrze. Dobrze - przestałem się jąkać, ale z jakiegoś powodu zacząłem, zupełnie bezwiednie, mówić z brytyjskim akcentem.

- Cóż, pochlebia mi to. Naprawdę. Bardzo - wrzuciłem rzeczy do torby i wstałem. Poszła za mną na kolanach, błagając, a ja ciągle nadawałem:

- To po prostu nie jest najlepsza pora. Podziękuj ode mnie swojemu panu. I tobie również dziękuję. Miłego dnia - ująłem jej zimną dłoń w swoim spoconym uścisku i wybiegłem, zawstydzony i dziwnie poruszony. Przyznaję również, że jakaś cząstka mnie pluła sobie w brodę za nieskorzystanie z okazji zrobienia czegoś okropnego. Co ze mnie za pisarz?

Uciekłem po schodach na ulicę, znajdując się na granicy pożądania i wybuchu płaczu, tak roztrzęsiony, że zanim zorientowałem się, iż zapomniałem dyktafonu, byłem już za bramką do metra. Doskonale. Teraz muszę tam wrócić. Kusiło mnie, żeby go tam po prostu zostawić. Wolałem to, niż wrócić i spojrzeć jej w oczy. To, że metro wjechało na peron w momencie, kiedy wchodziłem już na schody, było wisienką na torcie. Być może pasażerowie będą wytykać mnie palcami i gwizdać, kiedy pociąg będzie przejeżdżał.

Przeklinając pod nosem, wróciłem i po raz drugi mozolnie wspiąłem się dwa piętra, usiłując złapać oddech, usiłując wyrzucić obrazy z przegrzanego umysłu: dziewczyna na kolanach, błagalne spojrzenie. Kiedy przedtem ktoś do mnie mówił: *Panie!?*

Drzwi wciąż były otwarte, tak jak je zostawiłem.

- Sandra - zawołałem. - To znowu ja. Przepraszam. Zapomniałem dyktafonu.

Dyszając poszedłem do sypialni i zastukałem knykciami do drzwi.

- Halo, halo - wszedłem.

I zatrzymałem się, jakbym niechcący wszedł do nie tego pokoju, nie tego mieszkania, nie tego świata.

Ile razy opisywałem przerażające sceny zbrodni?

Setki. I, przyznaję, często z lenistwa lub żeby wyrobić się na termin, opisywałem je jako „nie-do-opisania” albo „nie-do-pomyślenia.” Ale w zasadzie słowa przemocy są zawsze proste i łatwo znaleźć określenia, nawet dziecko je zna. To myśli mające źródło w tych słowach są najgorsze: czy to naprawdę z tego jesteście zrobieni? Czy w środku jest tylko to?

Pewnej bezsennej nocy bawiłem się w grę przypominania wiecznie zapominalskiemu umysłowi najprostszych prawd, jak to, że unosimy się w wodzie i krążymy wokół słońca. Rodzimy się, wychodząc z ciała kobiety, złożeni z mięsa i kości. Pewnego pięknego dnia wszyscy umrzemy.

Ale kiedy przeszedłem przez te brooklyńskie drzwi... powiedzenie, że odebrało mi mowę, nie wystarczyłoby do opisu mojego stanu. Strach odebrał mi nie tylko mowę, ale i oddech, i rozum. A wszystko przez jedno proste zdanie, które usiłowało się przebić do mojego mózgu, a którego mimo to nie byłem w stanie pojąć: Sandra Dawson nie żyła!

Była naga i wisiała do góry nogami, chociaż trudno było się w tym zorientować na pierwszy rzut oka, ponieważ nie miała głowy. Stopy związane były razem, a ciało zwisało z wentylatora-wiatraka na suficie. Ktoś rozciął i otworzył jej tułów, zdarł skórę i w jakiś sposób przymocował ją do jej rąk, jak skrzydła albo pelerynę rozłożoną, aby odsłonić wnętrze ciała. Jelita wisiały pod tułowiem, sięgając podłogi, gdzie zbierały się w różowy zwój. Z jej szyi jednostajnie kapła krew, jak woda z uszkodzonej rury.

Potem, jakby to naprawdę była tylko powieść, ciało Sandry zaczęło się ruszać. Powoli obracało się, jak akrobata w cyrku, przyspieszając wraz z ruchem wentylatora. Zorientowałem się, co to oznacza - ktoś włączył przycisk - i nagle poczułem, że ktoś stoi za mną w drzwiach. Zacząłem się niewiarygodnie wolno odwracać. I tyle.

Obudziłem się na podłodze. Upłynęło prawdopodobnie 15 albo 20 minut. Zanim mnie ogłuszono, byłem zbyt przerażony, żeby nawet

poczuć strach, jakby tchórzliwa część mojego umysłu uciekła i opuściła ciało, które zamknęło się niczym pięść, by ochronić wrażliwe serce. Teraz musiałem stawić czoła temu koszmarowi. Kiedy tylko otworzyłem oczy i zorientowałem się, gdzie jestem, zerwałem się na nogi i wybiegłem z mieszkania jak oparzony. Zbiegłem po schodach na ulicę.

Biegłem w ślepej, głupiej panice i dopiero gdy dotarłem na róg, ledwo łapiąc oddech, byłem w stanie spojrzeć za siebie, jakbym bał się, że budynek wyleci w powietrze. Potem, kiedy tlen zaczął dopływać do mózgu, zadzwoniłem na policję z komórki i zgłosiłem morderstwo. Podałem nazwisko i adres Sandry, a także własne nazwisko i numer.

Ale kiedy powiedzieli mi, żebym zaczekał na miejscu na przyjazd policji, powiedziałem, że nie mogę. Znow biegłem ulicą, gorączkowo wypatrując taksówki. Próbowałem stawić czoła strasznej myśli, która zaczęła kielkować w mojej głowie: muszę, powtarzałem sobie, jechać na Manhattan, do mieszkania na Horatio Street, którego nawet nie miałem adresu, gdzie mieszkała inna kobieta, której numeru telefonu nie miałem, i która, jak się obawiałem, była w śmiertelnym niebezpieczeństwie z powodów zbyt dziwnych i złożonych, by je wyjaśniać. Kiedy dotarłem do metra, dyszałem, a w zasięgu wzroku nie było żadnej taksówki, chociaż już słyszałem odległy odgłos syren. Rozłączyłem się, zbiegłem po schodach i czekałem na metro do miasta. Musiałem znaleźć Morgan Chase.

Przemierzając peron pociągu L z komórką bez zasięgu w dłoni, zdałem sobie sprawę, że boli mnie głowa. Okazało się, że dzwonienie w głowie, które czułem od jakiegoś czasu, to nie tylko strach. Był to też ból. Dotknąłem tyłu czaszki i wzdrygnąłem się. We włosach miałem zaschniętą krew, a na podstawie czaszki wyczułem bolesny punkt. Czy miałem wstrząs mózgu? Myśli zdawały się płynąć bardzo powoli, a jednocześnie gonić jedna drugą. Wciąż maszerowałem po peronie, wyciągając głowę, by sprawdzić, czy widać już światło nadjeżdżającego tunelem pociągu. Przypomniałem sobie absurdalną myśl, która pojawiła się, kiedy ujrzałem ciało, jeszcze zanim ktoś mnie uderzył: Darian Clay to zrobił! Jest tu gdzieś Darian Clay! Poczulem zwierzęcy strach i gdybym nie został ogłuszony, zacząłbym pewnie wrzeszczeć. Teraz, gdy minął szok, miałem dreszcze i cały się trząsałem - brzuch, kolana... Ogarnął mnie inny, łagodniejszy, lecz bardziej podstępny strach. Ktokolwiek był w tym mieszkaniu ze mną, nie mógł to być Darian Clay. Ale w takim razie kto?

Nagle na stację wjechał pociąg, a wstrząsy i piski uruchomiły kakofonię w mojej głowie. Może jednak miałem wstrząśnienie mózgu? Szybko wszedłem do wagonu, usiadłem i zacząłem w myślach naciskać na maszynistę, jakbym mógł siłą woli zmusić pociąg, żeby jechał szybciej, omijał przystanki, leciał. Bez żadnego powodu wstawałem i siadałem z powrotem. Na każdym przystanku odliczałem sekundy. Po długim przejeździe pod rzeką dotarliśmy do Pierwszej Alei. Metro się zatrzymało i stało tak przez, zdawało się, wieczność, chociaż nikt nie wsiadał. Później była Trzecia Aleja. Idiotyczny ten przystanek, zdecydowałem, to tylko dwie przecznice dalej. Dojechaliśmy do Union Square, a ja ze wściekłością obserwowałem wsiadających i wysiadających ludzi. W końcu rozległ się sygnał i

drzwi zaczęły się zamykać. Ktoś właśnie dobiegł, zablokował drzwi ramieniem, a ja głośno jęknąłem. Wszyscy na mnie spojrzeli. Uśmiechnąłem się sztywno i odwróciłem. Gapiłem się na ciemny tunel, przez który przejeżdżaliśmy i na swoje blade odbicie. Spojrzałem na komórkę, choć wiedziałem, że nie będzie działać w tunelu. I nagle, niesamowita sprawa, jakaś mieszanka adrenaliny, zwierzęcego odruchu obronnego, koszmarne stanu psychicznego i urazu czaszki sprawiła, że na chwilę zasnąłem.

Obudziłem się minutę później na stacji. Byliśmy na Ósmej Alei, mój przystanek. Dźwignąłem się z trudem i wytoczyłem z metra, zanim drzwi się zamknęły, pobiegłem na górę i przeszedłem przez bramkę. Kiedy tylko dotarłem na ulicę, zadzwonił mój telefon. Była to policja.

- Halo?

- Halo, mamy tu informację, że ktoś dzwonił na numer alarmowy z tego numeru?

- Tak? - drugi telefon. - Proszę chwileczkę poczekać - odebrałem drugie połączenie. To też była policja:

- Harry Bloch? Pan Harry Bloch?

- Tak... - Usiłowałem precyzyjnie się przez światła na Czternastej Ulicy, lecz nadjeżdżający autobus zagonił mnie z powrotem do krawężnika.

- Tu detektyw Bronchovich z nowojorskiego wydziału policji. Znajduję się właśnie na miejscu zbrodni zgłoszonej z tego telefonu.

- Tak. Sandra Dawson. Wiem.

- Jest pan świadom, że opuszczanie miejsca zbrodni jest niezgodne z prawem?

Kolejny dzwonek.

- Proszę chwilę poczekać, przepraszam... - przełączyłem połączenie. Claire:

- Harry, musimy pogadać. Sprawdziłam twojego maila.

- Później, Claire, błagam!

- Usiłują nas wyruchać na *Sukowatej bogini Zorg*. Harry, to ważne.

- Nie teraz.

- Cóż, Harry, ruchają nas właśnie w tej chwili. Siedzę w tym momencie w twoim gabinecie i jestem ruchana.

- Pa! - rzuciłem i przełączyłem się z powrotem na gliniarzy:
- Halo, detektyw Gronkowiec?
- Gdzie pan jest? Musimy z panem natychmiast porozmawiać — właśnie biegłem wzdłuż alei, usiłując przypomnieć sobie ułożenie i nazwy ulic. Pamiętam księgarnię z biografiami. Gdzie to było, za czy przed?

- Wiem - wydyszałem, kręcąc się w kółko. - Ale widzi pan, boję się, że może być jeszcze jedna ofiara.

- Gdzie?

- Na Horatio Street.

- Gdzie?

- Horatio Street, wie pan, w Village.

- Jest pan na Manhattanie? Opuścił pan miejsce zbrodni i pojechał na Manhattan?

- Tak, boję się o taką inną kobietę, mieszka tu...

- Gdzie? Pod jakim adresem?

- Nie wiem. Wiem tylko, że to Horatio Street, więc szukam. Cholera... - telefon mnie rozproszył i poszedłem za daleko. Sam już nie wiedziałem, gdzie jestem. - Kurwa. Kurwa!

- Co? O co chodzi? - detektyw teraz już krzyczał.

- Zgubiłem się. Te ulice w Village są strasznie poplątane - pobiegłem Greenwich i zwróciłem się ku Horatio. Gliniarz w słuchawce nie przestawał ciskać gromów, ale dyszałem zbyt ciężko, żeby odpowiedzieć i rozglądałem się zbyt intensywnie, by słuchać. To było tam. Pamiętam. Budynek Morgan Chase.

- Oddzwonię - oznajmiłem detektywowi B. i rozłączyłem się.

Łatwo było się włamać do jej budynku. Była to jedna z tych starych kamienic w Village, krzywych i uroczych. Drzwi, tak jak na to liczyłem, grzecznie się otworzyły, kiedy wsunąłem w szparę kartę do metra. W filmach używają kart kredytowych, ale często są zbyt sztywne. A przynajmniej tak sobie wyobrażałem w przypadku moich bohaterów, którzy nieustannie dokonywali jakichś włamań. Odkryłem to, eksperymentując na własnych drzwiach. Potem zmieniłem zamek.

Jeżeli chodzi o drzwi do mieszkania Morgan Chase, to w ogóle nie musiałem się włamywać - były otwarte. Poczulem kolejny przyptyw strachu - w żyłach, w ustach - i kiedy popchnąłem drzwi, trzęsły mi się ręce. Potem poczułem ów zapach. Chociaż opisywałem go w książkach, sam nigdy go nie czułem. Rozpoznałem go jednak natychmiast. Każdy by rozpoznał: śmierć.

Morgan Chase, a przynajmniej założyłem, że to ona, była przywiązana do łóżka, z szeroko rozłożonymi nogami i ramionami.

Odcięto jej głowę, przedramiona i stopy i okrwawione kikuty przyozdobione były teraz przywiedłymi już nieco kwiatami. Z szyi wystawała wetknięta tam jedna z rąk. Dwie stopy spoczywały po obydwu stronach ciała. Nigdzie nie było głowy. Łóżko nasiąknęło krzepnącą krwią. Wszędzie brzęczały muchy. Wiedziałem, że się porzygam, więc, żeby nie naruszyć materiału dowodowego, zbiegłem na dół, zwymiotowałem do rynsztoka tuż przed nosem przechodniów, po czym po raz kolejny zadzwoniłem na policję.

Tym razem poczekałem na gliny. Najpierw pojawił się zwyczajny radiowóz z dwójką policjantów bez mundurów. Obydwoje byli młodzi. Latynos i czarnoskóra kobieta. Poszli na górę i kazali mi czekać, więc usiadłem na schodach. Żał mi ich było. Minutę później wrócili, wstrząśnięci, zbyt przejęci, by zauważyć, że obejmują się nawzajem. Na miejscu był już dozorca i kilku sąsiadów. Policjanci nie pozwalali im podejść za blisko, jednocześnie wzywając posiłki i odgradzając drzwi żółtą taśmą. Przyjechał kolejny radiowóz z dwoma mundurowymi, a potem ciężarówka z technikami badającymi miejsce zbrodni, w wiatrówkach i ze skrzyniami ze sprzętem. Wyglądali niezwykle profesjonalnie, przecisnęli się obok mnie bez słowa. Założyłem, że w przeciwieństwie do pary żółtodziobów widzieli już dużo okropności, ale ich też było mi szkoda. Przez jakiś czas wszyscy będziemy mieli te same koszmary.

Wtedy pojawił się detektyw Bronchovich, niemal równocześnie z dwoma innymi detektywami z okręgu. Był dużym pszenno-buraczanym gościem, z wąsem i w taniej niebieskiej koszuli. Dwoje detektywów z Manhattanu, mężczyzna i kobieta, miało na sobie czarne garnitury.

Najpierw wszyscy rozmówili się między sobą, od czasu do czasu zerkając na mnie. Potem podszedł detektyw B.

- Ty jesteś Bloch?
- Tak.

Pokazał mi swoją legitymację, a kiedy wyciągnąłem dłoń do uścisku, mocno nią potrząsnął. Na wierzchach dłoni miał dużo rudych włosów. Nosił obrączkę i sygnet z pamiątkowym napisem z okazji ukończenia liceum.

- Nigdzie nie odchodź, będę potrzebował twoich zeznań, kiedy

tylko stamtąd wyjdę.

- Dobra

Przemaszerował obok mnie i zauważyłem, że ma skarpetki nie do pary. Jego też było mi trochę szkoda. Wyglądał na twardziela i był całkiem miły jak na glinę, miałem jednak wrażenie, że nie jest zbyt bystry i nie ma pojęcia, w co się pakuje. Dwójka policjantów z Manhattanu w ogóle mnie nie interesowała.

Potem, gdy wszyscy byli na górze, pojawił się agent specjalny Townes.

Nie powiedział ani słowa. Posłał mi tylko spojrzenie, jakby tylko w ten sposób mógł powstrzymać się przed kopnięciem mnie i poszedł na górę. Tego w ogóle nie lubiłem, chociaż wiedziałem, że ma największej rozumu z nich wszystkich. Więc kiedy wszyscy w ciszy zeszli na dół, głośno tupiąc po starych skrzypiących schodach i okrążyli mnie na werandzie, zwróciłem się do niego:

- Mam przeczucie, że powinniśmy jechać do New Jersey.

- A to dlaczego? - zapytał, zwracając ku mnie niebieskie oczy.

- Może być kolejna ofiara. Dziewczyna o nazwisku Marie Fontaine. Mam jej adres gdzieś w mieszkaniu, ale jeżeli mnie podwieziecie, znajdę dom. Elm Street w Ridgely Park. Mogę wszystko wyjaśnić, ale chyba powinniśmy porozmawiać po drodze.

Wciąż miał na twarzy wyraz najwyższej pogardy, ale walczył ze sobą tylko przez chwilę, po czym kiwnął głową:

- Chodźmy.

Za kierownicą siedział ten sam agent co ostatnio, a kolejny na siedzeniu obok. Townes i ja usiedliśmy z tyłu. Zmieraliśmy w stronę tunelu, omijając samochody krótkimi seriami syreny. Po krótkim wprowadzeniu opowiedziałem mu o swoim układzie z Darianem Clayem. Drwiący uśmiezek przekształcił się w warczenie.

- Jezu, wiedziałem, że wy, pisarze, jesteście kanalami, ale to jakieś nowe dno nawet dla takiego padlinożercy jak ty. Zawarłeś kontrakt z diabłem!

- Dwie metafory w jednym zdaniu? - powiedziałem. - Uważaj, nie przeładuj metaforami swojej książki.

Spojrzał na mnie spode łba, po czym się odwrócił.

- Skąd o tym wiesz? - zapytał spokojniejszym, ale nadal groźnym głosem.

Ale nie obchodziło mnie to. Nie miał mnie już czym zastraszyć. Już bardziej przerażony być nie mogłem.

- Przez sięć padlinożerców - oznajmiłem. - Najwyraźniej nie chcesz, żeby ofiary wykorzystywał ktokolwiek oprócz ciebie.

Nie zauważyłem nadchodzącego ciosu, może nie byłem zbyt uważny. Nagle w prawym oku ujrzałem gwiazdy, a sam poleciałem na lewo, waląc głową w szybę.

Kiedy zerknąłem na Townesa, siedział spokojnie z dłońmi złożonymi na kolanach. Żaden z agentów siedzących z przodu nie zareagował. Było tak, jakby nic się nie stało, oprócz tego, że strasznie bolała mnie twarz. Chyba dobrze się stało, że siedziałem po jego lewej stronie. Zaczął mówić tym samym spokojnym głosem, patrząc przed siebie.

- W ciągu dwudziestu lat widziałem tyle flaków i złapałem tylu morderców, że mam prawo do jakiejś rekompensaty.
- Dobra - powiedziałem. - Coś w tym jest. Odwołuję wszystko.
- Wszystko w porządku? - zapytał.
- Tak. Tylko głowa mnie boli. Może to alergia. W końcu jest wiosna.

Agenci na przednich siedzeniach mieli GPS-y i dostawali wskazówki przez radio, więc szybko znaleźliśmy właściwy zjazd. Mieliśmy obstawę lokalnej policji, jeden radiowóz z przodu, drugi z tyłu, obydwa na światłach. Minęliśmy przystanek autobusowy. Rdzewiejące huśtawki. Przetrzęsałem chaotyczne wspomnienia w poszukiwaniu domu: czarne łączniki białej elewacji, przeredzony trawnik, dereń...

- To tu! - powiedziałem. - Na prawo.
- Tutaj! - Townes zwrócił się do kierowcy. - Biały dom na prawo.

Agent zaparkował, a jego partner zawiadomił policjantów, którzy z piskiem opon zatrzymali się przy domu Marie.

- Poczekaj tu - powiedział Townes. Trzasnęły trzy pary drzwi, a ja utknąłem w samochodzie, w ciszy obserwując gliniarzy biegnących do drzwi domu. Otworzyła duża kobieta w legginsach i różowym swetrze. Założyłem, że to matka Marie. Później dowiedziałem się, że ona i jej mąż byli na wakacjach, odwiedzali babcię na Florydzie. Nie martwili się, gdy ich córka nie otworzyła drzwi, a przynajmniej nie martwili się bardziej niż zwykle. Często znikwała na kilka dni, lub tygodni, a czasami po prostu z nimi nie rozmawiała. Czuli dziwny zapach dochodzący z jej pokoju, ale to również nie było niezwykle.

Kiedy policjantka usiłowała zagnać matkę z powrotem do środka, Townes, jego agenci i reszta glin pognała w stronę schodów prowadzących do mieszkania Marie nad garażem. Z tylnego siedzenia samochodu trawnik, który obserwowałem przez zamkniętą szybę, wyglądał jak scena, na której odegrać ma się tragedia: dwóch policjantów strzegło białego domu, okalając go spranym błękitem

mundurów, migające światła policyjnego koguta zabarwiały scenę na różowo. Wiatr popychał po niebie niewielkie chmury. Dereń trząsał się na wietrze, a różowe płatki układały się na ziemi po ukosie. Dwa albo trzy z nich łagodnie wylądowały na dachu samochodu i przykleiły się do szyby tuż przede mną, niczym topniejący śnieg.

Minutę później pojawiło się dwóch policjantów z chusteczkami przy nosach. Jeden ześlizgnął się ze schodów, a drugi go złapał. Podeszwa jego lewego buta zostawiła smugę krwi. Pomagali sobie nawzajem po drodze na dół, a kiedy już tam dotarli, jeden z nich upadł na kolana i zaczął rzygać, a drugi go podtrzymywał. Następni byli agenci, ich czarne płaszcze przeciwdeszczowe łopotały na wietrze. Miotali się po trawniku, mówiąc do nadajników. Jeden sporych rozmiarów agent o krótko przystrzyżonych włosach zatrzymał się, sięgnął dłonią pod okulary lustrzanki i otarł łzy z policzków. Townes powoli zszedł po schodach.

Otworzył drzwi do samochodu i nagle znów pojawił się dźwięk, zapach i wrażenia zewnętrznego świata.

- Chodź - powiedział. - Widziałeś resztę, równie dobrze możesz spojrzeć na to.

Wyszedłem niechętnie i z zamkniętą obolałą gębą podążyłem za nim przez trawnik. W połowie drogi usłyszałem łkanie dochodzące zza drzwi z moskitierą. Ktoś powiedział matce. Przez chwilę miałem wrażenie, jakbym się unosił, jakby uderzyła we mnie fala, zwalając z nóg, ale kiedy Townes spojrzał na mnie, nie powiedziałem nic i poszedłem za nim po schodach.

Zapach był nie do zniesienia: słodycz, wymiociny, zepsute mięso i zgniłe kwiaty. Na szczycie schodów odsunął się, żeby mnie przepuścić. Na progu zawahałem się, ale Townes wepchnął mnie do środka. Wstrzymałem oddech i wtoczyłem się prosto do piekła.

To był ten sam pokój - były plakaty, łóżko, kuchenka i lustra z fotografiami seryjnych morderców - wszystko jednak zostało pomalowane krwią. Kiedy oczy przyzwyczyły się do nikłego światła, umysł usiłował pojąć scenę, którą ujrzał: materac pokryty muchami niczym czarna gąbka. Nasiąknięty dywan. Oślizgłe ściany. Oparcie łóżka pokryte wnętrznościami, które wyglądały jak obdarte ze skóry węże.

Na środku łóżka morderca ułożył coś w rodzaju mandali: łopatki odchodzące z obydwu stron miednicy, otoczone dwiema nogami i dwoma ramionami. W środku leżało serce.

Gwałtownie wciągnąłem powietrze, usiłując złapać oddech, i natychmiast zorientowałem się, że był to błąd. Skażone powietrze

dostało się do mojego organizmu, wypełniając głowę mroczną ohydą, a ściany zaczęły przesuwać się przede mną w krwawym wirze. Zaczęło robić mi się ciemno przed oczami i rozpaczliwie miotałem się w poszukiwaniu drzwi, wydawało mi się, że jak stracę choćby na moment przytomność w tym pokoju, to już nigdy z niego nie wyjdę. Townes złapał mnie, kiedy mdlałem.

Policja przetrzymywała mnie przez następne osiem godzin. Ponieważ morderstwa miały miejsce również poza granicą stanu, agent Townes oficjalnie przejął dowodzenie nad sprawą, chociaż wszystkie lokalne gliny też miały okazję mnie podręczyć: detektyw Bronchovich z Brooklynu, dwójka z Manhattanu, a nawet chudy Azjata amerykańskiego pochodzenia z New Jersey. Nie dotknęli mnie nawet palcem, nie o to chodziło, chociaż może zwykle mordobicie trwałoby krócej.

Powiedziałem im wszystko, co wiem, w ciągu pięciu minut, a potem siedziałem tam przez resztę dnia i kawał nocy, podczas gdy oni sami siebie przekonywali do swoich hipotez. Przesłuchiwali mnie dwójkami. Każdy gliniarz kazał mi opowiadać całą historię, zostawiał mnie gapiącego się na weneckie lustro przez kilka minut, po czym wchodził drugi i zadawał te same pytania, z nieco innym nastawieniem - mógł być wściekły, miły, szczerzy, podejrzliwy. Wszyscy byli jak słabi aktorzy ubiegający się o tę samą kijową rolę.

A ja oczywiście pisałem podobne, fatalne dialogi więcej razy, niż jestem w stanie zliczyć: Mordechaj porażony prądem przez rasistowskiego policjanta albo zanurzony w kadzi bimbru przez gang prostaków, Sasha przywiązana do pala i pieczona przez łowców wampirów. W moich książkach bohaterowie zawsze zgrywali chojraków i mądrale, a ich serca drżały, dzielnie ukrywając sekret. Nigdy nie sypali. W tym wypadku było kompletnie na odwrót. Byłem wykończony i gotów byłem podać im swoje flaki na tacy - samo to słowo sprawia, że mam ochotę zemdleć - ale nie miałem dla nich nic użytecznego.

Złamała mnie w końcu policjantka z Manhattanu, nazywała się chyba Hauser. To znaczy wyczerpała moją cierpliwość. Na początku było mi jej szkoda. Bez wątpienia, będąc kobietą, w tym zawodzie czuła dodatkową potrzebę bycia kutasem.

- Dlaczego to zrobiłeś, Harry? Chciałeś się z nimi przespać, ale ci odmówiły? A może nie odmówiły, ale to tobie nie mógł stanąć? Albo może po prostu chciałeś się upodobnić do swojego bohatera?

- Jakiego bohatera?

- Dariana Claya?

- Co? O czym ty mówisz? Dlaczego zrobiłem co? Zgodziłem się napisać książkę?

- Dlaczego zabiłeś dziewczyny, Harry?

- Zwariowałaś? - nagle w mojej głowie pojawiły się obrazy Sandry, Morgan i Marie. Nie mogłem tego powstrzymać. Poczulem smak żółci. Przynajmniej już nie musiałem się martwić, że znowu się porzygam. Byłem całkiem pusty.

- Słuchaj no, rozumiem, że musicie mnie przesłuchać. Nawet mieć podejrzenia. Ale to jest obraźliwe. Nie mam nic więcej do powiedzenia. Chcę rozmawiać z moim prawnikiem.

Zmarszczyła brwi i spojrzała na kogokolwiek znajdującego się za szybą, jej szefa. Pochyliła się:

- Dobra, jeśli chcesz. Ale to sprawa, że wyglądasz na winnego.

- Już myślisz, że jestem winny?

- Niekoniecznie.

- Właśnie to powiedziałaś. Chcę prawnika.

- Uspokójmy się na moment.

- Wypuście mnie albo dajcie mi porozmawiać z prawnikiem. W tej chwili! - odchyliłem się ze skrzyżowanymi rękoma. Hauser wyglądała na zaniepokojoną, jakby zaważyła jakiś mecz i miała ją za to czekać kocowa w przebieralni. Tak naprawdę to wcale nie miałem prawnika. Miałem zamiar zadzwonić do Claire.

Hauser wstała, poprawiając spodnie od garnituru.

- Słuchaj, Harry. Prawie skończyliśmy. Jeżeli prawnicy się w to wmieszają, wrócimy do punktu wyjścia.

Bezgłośnie wypowiedziałem po raz kolejny słowo *prawnika*. Rzuciła przekleństwo i wyszła. Pomachałem do szyby i usiadłem z powrotem, składając dłonie na skrzyżowanych nogach. Townes wpadł prawie natychmiast, nie było wątpliwości, że mnie cały czas obserwował.

- Dobra, możesz iść - powiedział. - Ale żeby była jasność: w tej chwili jesteś naszym głównym podejrzanym. Właściwie to jedynym podejrzanym. Byłeś na miejscu zbrodni, kiedy zamordowano Sandrę Dawson.

- Nie było mnie tam. Znalazłem ją. Zabójca mnie ogłuszył. Ja też mogłem zginąć.

- To ty tak twierdzisz.

- Pomacaj guza na mojej głowie.
- Jestem też pewien, że znajdziemy twoje DNA w każdym innym miejscu zbrodni.
- Wiesz, że tam byłem. Byłem tam nawet z tobą.
- Co jeszcze znajdziemy? Nasienie?
- Pierdol się. To dlatego mnie zmusiłeś, żebym tam wszedł? Żeby mnie zrobić?
- Sam się pierdol. Nie muszę cię wrabiać. Sam się wrobiłeś.
- Wszystko jedno. Idę stąd.
- Jest coś jeszcze. Coś, z czego nie możesz się wyłgać. Jediną osobą, która mogła to zrobić, jest Clay, który ma niezłe alibi, albo ktoś, komu opowiedział o swoich dziewczynach. Jak tobie, na przykład. Nikt inny nie miał prawa wiedzieć.
- Poza glinami - powiedziałem i natychmiast tego pożałowałem, nawet jeszcze zanim mi przyłożył. Poleciałem na stół.
- Możesz złożyć skargę, jeżeli masz ochotę - oznajmił, wychodząc.
- Nie, dzięki - powiedziałem. A przynajmniej próbowałem. Nie miałem czucia w dolnej wardze.

**CZĘŚĆ
TRZECIA**

5-11 MAJA 2009

Do domu dotarłem około czwartej nad ranem i pomimo tego, że byłem wykończony i miałem liczne guzy na głowie, wydawało mi się, że już nigdy nie zasnę. Za każdym razem, kiedy zamknąłem oczy, widziałem te dziewczyny, a raczej to, co kiedyś nimi było. W końcu odpłynąłem, tak gdzieś w okolicach świtu i drzemałem przez większość następnego dnia. Budziłem się z koszmarów, przewracałem na drugi bok i ponownie traciłem świadomość. Claire zadzwoniła około południa. Powiedziałem jej, że śpię i się rozłączyłem. Zadzwoniła ponownie około szóstej. Morderstwa dopiero pojawiły się w wiadomościach, więc pokrótce opowiedziałem jej, co się wydarzyło, chociaż oszczędziłem najbardziej krwistych szczegółów. Chciała do mnie wpaść, ale powiedziałem, żeby przyszła jutro, potrzebowałem odpoczynku. Zjadłem kanapkę z masłem orzechowym i dżemem stojąc przy blacie, po czym poszedłem z powrotem spać. Claire zadzwoniła o dziesiątej.

- Jezu Chryste, Claire, dasz mi chwilę spokoju?
- Włącz wiadomości. Kanał dziewiąty.
- Nie chcę. I tak myślę o tym bez przerwy.
- Zrób to.

Westchnąłem, usiadłem na kanapie i wziąłem pilota. Włączyłem wiadomości lokalne. Carol Flosky przemawiała do morza mikrofonów.

- Mówię jedynie, że cała sprawa prowokuje pytania. Jutro spotkam się z policją i udzielę im wszelkiej możliwej pomocy. Rozmawiałam dziś z moim klientem, który przekazał wyrazy współczucia dla rodzin ofiar, a także wyraził nadzieję, że morderca zostanie szybko schwytany i że sprawiedliwości stanie się zadość w tym przypadku, jak i jego własnym.

- Wiesz... - Claire wciąż była przy telefonie i oglądała wiadomości ze mną. - Jeżeli go nie usmażą, nie dostaniesz ani centa.

- Jesteś za młoda na taki cynizm - powiedziałem, ale w tym momencie pomyślałem, że to może właśnie dlatego, iż jest taka młoda. Każde pokolenie staje się twardsze i gotowe na przetrwanie w świecie Darianów Clayów.

- Przepraszam - powiedziała.

- A tak poza tym, to ich nie smażą, tylko wstrzykują truciznę.

- A, no tak.

- A na razie gliny myślą, że ja to zrobiłem.

- To śmieszne.

- Im to powiedz.

- Na pewno nie chcesz, żebym przyjechała? Wystarczy, że wsiądę w taksówkę.

- Nie, dzięki. Wszystko w porządku.

- Dobra, ale jest jeszcze jedno. Jeżeli gliniarze będą dopytywać, nie mów im czasem, że przebierasz się za swoją matkę.

Rozłączyła się. Teraz już nie poszedłem spać. Oglądałem wiadomości, w których mówili od początku o wszystkim, co się stało. Patrzenie na ludzi i miejsca, które niedawno widziałem, i o których śniłem w koszmarach, było irytujące: dom Sandry i jej zdjęcie, ulica i zdjęcie Morgan, dom Marie i jej zapłakana matka. Townes rozmawiał z dziennikarzami, a za nim kręcili się inni detektywi. Potem po raz trzeci pokazali Flosky. Wtedy wyłączyłem telewizor i puściłem wodę w prysznicu. Właśnie pod niego wchodziłem, kiedy zadzwonił telefon. To była Dani. Widziała wiadomości. Opowiedziałem jej, jak minął mi dzień i noc, po raz kolejny odpuszczając sobie detale, jednak w wiadomościach powiedzieli już wystarczająco dużo, żeby mogła wyobrazić sobie najgorsze. Prawie.

- Ja bym miała koszmary - powiedziała.

- Ja mam. Wciąż się budzę. A potem zasypiam. Nie mogę się zdecydować.

- Znam to uczucie. Kiedyś cały czas śniłam o mojej siostrze. Sny, w których prosiła mnie, żebym pomogła jej odnaleźć głowę.

- Jezu, to okropne!

- Chcesz, żebym do ciebie przyjechała? - wypluła nagle z siebie.

- Co? - usłyszałem w tle ryk silnika odrzutowca.

- To znaczy, tylko jeśli chcesz. Jestem w pracy, ale i tak już wychodzę. Mówią o tym w telewizji w klubie. Wysłałam, żeby do ciebie zadzwonić, ale już nie wracam. Siedzę w samochodzie na parkingu. Więc mogę? Masz coś przeciwko temu?

- Przeciwno czemu?
- Żebym do ciebie wpadła.
- Nie, skąd? Jeżeli tylko chcesz... - powiedziałem.

To jest ta część historii, w której detektyw idzie z dziewczyną do łóżka. Być może to nieuniknione. Tak się przynajmniej czułem. Nie było żadnego powodu po temu, byśmy byli razem, oprócz tego, że nagle poczuliśmy taką potrzebę.

Nie wyglądała najlepiej. Była w dresach i wielkim płaszczu, w które się przebrała wychodząc z pracy, ale wciąż miała zrobiony makijaż i włosy. Płakała, więc podkład przemieszał się z tuszem do rzęs, a jej oczy błyszczały. Jeżeli zaś chodzi o mnie, zwykle pomiędzy moim najlepszym i najgorszym wyglądem nie ma specjalnej różnicy, ale tej nocy miałem spuchniętą wargę, siniaki na prawym policzku i lewej skroni, a także wielkiego guza rosnącego u podstawy czaszki. Poza tym, widoczne były efekty tego, co brak snu lub zbyt wiele koszmarów robi z człowiekiem. No i ten zapach, którego nie mogłem się pozbyć. Więc albo miałem farta, albo Dani leciała na takie żalosne typy.

- Mój Boże - powiedziała, kiedy ją wpuściłem. Wzdrygnąłem się, gdy mnie uściśnęła i przez przypadek musnęła guz na mojej głowie. - Powinieneś przyłożyć sobie lód.

- Powiniennem po prostu wsadzić łeb do wiadra.

- To prawda - roześmiała się. - Wyglądasz okropnie.

- Dzięki, że przyszedł mi to powiedzieć.

- Przepraszam - roześmiała się jeszcze głośniej. - Nie mogę się powstrzymać. Twoja warga jest ogromna.

- I kto to mówi. Wyglądasz jak smutny klaun.

Otarła oczy i zerknęła na lustro w łazience.

- Fuj! - powiedziała. - Wyglądam jak wiedźma. Blond wiedźma.

- Sukowato - powiedziałem, a ona zachichotała. Spojrzała na nas obydwójce w lustrze.

- Dwójka frajerów - oznajmiła, pociągając nosem. - Pasujemy do siebie - uśmiechnęła się do mnie.

Pocałowałem ją.

Normalnie taki nie byłem. A i to za mało powiedziane. Nie całowałem się z nikim, odkąd zerwała ze mną Jane. Ale może, co brzmi okropnie, wczorajszy dzień sprawił, że wreszcie byłem odważny, lekkomyślny albo po prostu zdesperowany. W każdym razie pocałowałem ją, a ona odwzajemniła pocałunek, mocniej. Przycisnęła się do mojego ciała, ściskając mnie z całej siły i zmiażdżyła mi usta swoimi.

- Auu, cholera, moja warga, moja twarz!

- Och, przepraszam, przepraszam - mówiła, odsuwając się. Potem znów się zaśmiała:

- Ty naprawdę jesteś wrażliwy, prawda?

Ja również się roześmiałem.

- Wiem. Taka szansa więcej się nie powtórzy.

- Na pewno. Jesteś beznadziejny. A co ze mną? Rzucam się na kolesia, który mnie odrzuca.

- Za nadmierną szorstkość - powiedziałem i ponownie ją pocałowałem, delikatnie. Odwzajemniła równie delikatny pocałunek. Potem przyciągnąłem ją do siebie i całowałem mocno. Bolało. Czuję na wargach krew. Ale nie obchodziło mnie to. Dotoczyliśmy się razem do sypialni i padliśmy na łóżko. Wyrznąłem głową w zagłówek. Ona zamarła i czekała.

- Au... - zakwiliłem cicho.

Znowu zaśmiała się dziko. Wtedy jednak zorientowałem się, że wcale się nie śmieje. Płakała.

- Wiem - powiedziałem, gładząc ją po plecach, chociaż nie byłem pewien, czy rzeczywiście rozumiem, dlaczego to robi. Pozwoliłem jej wypłakać się na mojej piersi, a sam gapilem się w sufit w ciszy. Łzy powoli wypełniły również moje oczy i spłynęły do uszu. Zasnąłem i obudziłem się w ciemności. Dani zdejmowała z siebie ubranie. Zrobiłem to samo, a ona wtuliła mi się w ramiona, przyciskając swoje nagie ciało do mojego. Nigdy w życiu nie uprawiałem tego rodzaju seksu. Nie byliśmy dwójką szczęśliwych i zakochanych osób. Nie byliśmy też dwójką nawalonych i napalonych osób. Było to coś wściekłego, czulego i ślepego. Był to smutny seks. Wściekły seks.

I było to słodkie.

Fragment *Podwójnych kłopotów na Dwójce*, rozdział 2:

Cherry Blaze i ja pojechaliśmy do Queens, gdzie manhattańczycy grzebią swoich zmarłych. Może widzieliście to z autostrady albo jadąc na lotnisko - całe hektary nagrobków, jakby kpiące ze stojących za nimi wieżowców, prawdziwe wieczne miasto, nekropolia.

A przynajmniej tak to wtedy wyglądało. Miałem ściśnięty żołądek, który mówił mi, że coś tu nie gra. A może zdenerwował mnie dziwny odgłos, jakby stukot, który podczas jazdy wydawał mój Chevrolet impala SS, czy ostrzegawcze miganie kontrolki, oznaczające kończącą się benzynę. Tak czy inaczej, powinienem był słuchać.

Zaparkowaliśmy, a ja wyciągnąłem z bagażnika łopatę i zawinąłem ją w koc. Wyciągnąłem również flaszkę żytniej i latarkę ze schowka na rękawiczki. Na cmentarzu pokazała mi, gdzie leży jej ojciec. Potem znaleźliśmy drzewo, pod którym rozłożyliśmy koc i rozpoczęliśmy nasz makabryczny piknik, czekając na zamknięcie cmentarza.

Noc długo kazała na siebie czekać i mieliśmy mnóstwo czasu na rozmowy i picie, zanim słońce zaszło nad rzeką za miastem. Potem zamknęliśmy się i po prostu leżeliśmy na trawie, obserwując zmieniające się niebo. Kiedy w końcu zapadła ciemność i zgasło ostatnie światło w stróżówce, a zapaliły się z kolei światła nocne, zarówno te stworzone przez człowieka, jak i przez naturę, wyrzuciłem w mrok pomarańczowy niedopalek i zwróciłem się do Cherry.

- Dobra, chodźmy.
- Poczekaj - powiedziała cienkim głosikiem i jej mała dłoń chwyciła mnie za nadgarstek. - Proszę...
- O co chodzi? - zapaliłem zapalną, żeby ją zobaczyć, ale ją

zdmuchnęła.

- Nie, proszę - ścisnęła mnie mocniej. - Teraz, kiedy już tu jesteśmy, boję się go zobaczyć - poczułem, że drży. Stukała zębami.

- Mordechaj? - wyszeptwała.

- Tak? - odszepnąłem.

- Przytul mnie, proszę. Zimno mi.

Cóż mogłem rzec? Jestem w połowie Żydem i w połowie Indianinem, a żadne z tych plemion nie ma najlepszych doświadczeń z białymi dziewczynami, ale może uderzyła mi do głowy mieszanka zbyt dużej ilości wody, rozmów, ciszy i gwiazd. Przyciągnąłem ją do siebie. Jej usta w ciemności znalazły moje. Potem już tylko zdjęła kieckę i dalej leżeliśmy na ziemi, robiąc bezceństwa. Kiedy w nią wszedłem, jęknęła niczym duch, a jej skóra w świetle księżyca wydawała się śnieżnobiała, ale kiedy zamknąłem oczy, Cherry okazała się być gorąca i żywa, wijąc się przede mną.

- Uderz mnie, uderz mnie - błagała, więc uderzyłem mocno w jędrne pośladki, ciągnąc ją jednocześnie za włosy, jakbym ujarzmił dzikie zwierzę. Sama zresztą też nie była najgorsza: dra pała i gryzła, jak jakiś dachowiec. W końcu wykończeni legliśmy na ziemi bez ruchu. Zapaliła papierosa. Spojrzałem na zegarek. Była północ. Pora iść do pracy.

Znaleźliśmy grób jej ojca i zaczęliśmy kopać. Teraz było tak, jakby opuścił ją zarówno strach, jak i chęć do walki. Milczeliśmy. Nie było już nic do powiedzenia. Zza chmur wyłonił się księżyc i wypełnił grób światłem. Około godziny później czubek łopaty natrafił na drewno.

- Dobra - powiedziałem, łapiąc oddech. - Mamy to. Gotowa?

- Tak - odparła cichym, spokojnym głosem. Skierowała światło latarki na pudło. - Nie krępuj się.

Trumna była stara i zgniła, więc łatwo było wcisnąć łopatę pod pokrywę. Mocno się oparłem i otworzyłem ją. A tam, w otwartym grobie, spoczywała bardzo spokojnie, błyszcząc w świetle księżyca, trąbka.

Cherry gwałtownie wciągnęła powietrze. Latarka zgasała. Potem usłyszałem męski śmiech. Gdzieś już go słyszałem. Gwałtownie usiłowałem się wydostać, ale ktoś wepchnął mnie z powrotem i wpadłem do grobu, tuż obok trąbki. Zrobiło się jasno. Ktoś świecił latarką prosto na mnie, chociaż byłem w stanie zobaczyć, kto to jest w świetle księżyca.

- Siema, Fats - powiedziałem - co robisz w tej okolicy? Pod rzucaś dziewczynę?

Ponownie rozległ się gardłowy śmiech. Był to Fat Daddy Slims, skorumpowany koleś, który handlował organami, narkotykami, a

ostatnio nieruchomościami. Raz już wsadziłem go do więzienia i dwa razy postrzeliłem. Ale ważył około 140 kilo, więc pozbycie się go mogło być trudne.

- Siema, Rebe Jones - powiedział. - Mógłbym cię spytać o to samo. Żydowski cmentarz jest obok. A teraz wstawaj i oddawaj trąbkę, tylko powoli.

Złapałem ją i wstałem, podając Fatsowi. Ubrany był jak zwykle kiczowato, w trzyczęściowy garnitur, kapelusz i długie futro. Błyszczały mu dłonie i zęby. Jednak najbardziej imponującym aspektem tego całego widowiska było Magnum 357 wycelowane w moją czaszkę.

- Dobra, Fats - oznajmiłem. - Cokolwiek do mnie masz, zostaw Cherry w spokoju.

- Cherry? A to kto? Aa... Masz na myśli tę tu szprychę? - złapał ją. - Należy do mnie. Ale już od dawna nie jest Cherry, prawda, złoćciutka?

Ścisnął ją, a ona pisnęła radośnie:

- Tak jest, tatusiu.

- Ale nic się nie martw, Rebe. Cherry jest ze mną bezpieczna.

Pokaż mu malutka.

Skierowała latarkę w bok, w miejsce, gdzie obok grobu z napisem Juniper „Honky”Blaze znajdował się kolejny, niemal identyczny, na którym wyryte było: „Cherry Blaze, Ukochana córka, 1980-2008”. Potem światło zgasło ponownie, a na moją głowę spadła łopata.

Ocknąłem się sekundę później. Leżałem na plecach w grobie. Kiepsko tak skończyć, pomyślałem sobie, po pachy w syfie, jak dziwka za pięć dolców. Ale czyż nie kończymy tak wszyscy? Mądrzy goście, twardzi goście, grube ryby i damscy bokserzy: wszyscy tu byli, leżeli obok mnie. Prędzej czy później życie ogra każdego. A potem, kiedy pierwsza sterta ziemi wypełniła mi usta, zacząłem się szaleńczo śmiać.

Spałem głęboko i dzięki bogu bez snów. O ósmej rano zostałem obudzony przez agentów specjalnych Townesa i Spółkę, którzy bez przerwy dzwonili do drzwi. Założyłem szlafrok, sprawdziłem, czy Dani naprawdę leży skulona obok pod prześcieradłem i wytoczyłem się z łóżka, by zajrzeć przez wizjer.

- O co chodzi? Śpię.
- FBI. Policja. Otwierać - gliniarz w niebieskiej czapce przyłożył legitymację do krótkoogniskowej soczewki.
- Nie jestem ubrany. Przyjdę na posterunek.
- Proszę otworzyć. Mamy nakaz sądowy. Możemy wyważyć drzwi.
- Momencik - otworzyłem drzwi. Policjant wręczył mi jakiś papier i do środka wtargnęła cała ekipa. Na końcu był Townes.
- Dzień dobry - powiedział.
- Czy to naprawdę konieczne? Dlaczego nie możecie mi po prostu powiedzieć, czego szukacie?
- Mamy to na nakazie.
- Za wcześnie na czytanie.
- Wszystkich materiałów dotyczących Dariana Claya, wliczając w to między innymi notatki, transkrypcje, taśmy, fotografie, zeszyty... Dani wyszła z sypialni. Włosy miała w nieładzie i miała na sobie mój stary T-shirt z The Ramones i swoje dresy. Wyglądała doskonale.
- Panna Giancarlo - Townes wyszczerzył do niej zęby. Posłała mu spojrzenie pełne najwyższej pogardy.
- Chodź - powiedziała do mnie. - Zrobimy kawę i poczekamy, aż agent Dupek i przyjaciele zrobią, co mają do zrobienia. Townes zachichotał:
- Dla ciebie Agent Specjalny Dupek.

Ponownie rozległ się histeryczny dźwięk dzwonka do drzwi, ale zanim ktokolwiek mógł zareagować, ktoś otworzył zamek. Wpadła Claire w towarzystwie siwego mężczyzny w granatowym garniturze w prążki. Miała na sobie swój mundurek, na który narzuciła sweter, na nogach podkolanówki, a włosy związała w kucyki. Patrzyła na scenę przed sobą posiniała ze złości, a dłonie trzymała przy biodrach zaciśnięte w pięści.

- Co tu się, kurwa, wyrabia? - zagrzmiała. Wydawało się, że zwraca się zarówno do Townesa, jak i do mnie i Dani.

- To twoja córka? - zapytała Dani.

- Ha - warknęła Claire. - Akurat.

- Federalni i gliniarze przetrząsają mi mieszkanie - oznajmiłem. - Konfiskują wszystkie materiały związane z książką.

- Chuja konfiskują. Kto tu dowodzi?

Wskazałem na Townesa. Skrzywił się na wściekłą nastolatkę i zwrócił się do mnie:

- Kto to, do cholery, jest?

- Moja partnerka biznesowa - odparłem.

- Tak jest - oznajmiła Claire, podchodząc do niego. - A to nasz prawnik.

- Dzień dobry panowie - powiedział prawnik, robiąc krok do przodu z pewnością siebie mężczyzny, mającego na sobie najdroższy garnitur w pomieszczeniu. Wyciągnął wizytówkę - nazywam się...

- Wiem, kim jesteś - stwierdził Townes, ignorując wizytówkę.

- Ale ja nie wiem - wtrąciłem się.

Prawnik uśmiechnął się i podał wizytówkę mnie.

- Proszę się nie martwić, działam pro bono. Jestem przyjacielem rodziny. Czy mogę rzucić okiem na ten nakaz?

Podąłem mu papier, który trzymałem w dłoni. Spojrzał na niego.

- Ach, sędzia Franklin. Świetnie się składa, jestem z nim umówiony jutro na lunch.

Zerknąłem na wizytówkę. *Turner C. Robertson, W.P Mosk (Esq.), Kancelaria Porter, Robertson i Leen*. Wizytówka była w kolorze kremowym, wytłaczana i miało się wrażenie, że może pęknąć, jeżeli się ją zegnje. Wrzuciłem ją do kieszeni szlafroka. Prawnik i Townes skłonili ku sobie głowy i coś tam do siebie zamamrotali. Claire niepostrzeżenie przysunęła się do mnie.

- Kto to jest? - szepnęła i strzeliła oczami w kierunku Dani.

Powiedziałem jej. Westchnęła.

- No jasne. Striptizerka - odwróciła się z rozkosznym uśmiechem. - Dobrze na tobie wygląda ten podkoszulek.

- Dzięki - odparła Dani spokojnie.
- Wygodnie się w nim śpi, prawda? Uwielbiam go.

Dani nie zareagowała, ale otaksowała wzrokiem apetyczną figurę Claire i przysunęła się do mnie.

- Claire pomaga mi w załatwianiu różnych spraw - wyjaśniłem.
- Tak to nazywasz? - zapytała Dani, posyłając Clair nienawistne spojrzenie.

- A ty jak nazywasz swój zawód? Tancerka?

Przełknąłem ślinę.

- Słuchajcie, skupmy się na trzymaniu mnie z dala od więzienia.

W tym momencie jeden z młodszych agentów, ten, który wczoraj płakał, wyszedł z mojego gabinetu. Znowu wyglądał na poruszonego.

- Nic tam nie ma - oznajmił.

Townes obejrzał się.

- Jak to?

- Właśnie, jak to? - wciąłem się.

- Nie ma tu nic na temat Claya. Żadnych notatek, wywiadów, nic.

Tylko jakieś gówno o innych książkach. Wampiry, planety i inne brednie. No i sterta starego porno.

- No i co? - Townes zwrócił się do mnie.

Ja sam byłem w stanie paniki.

- Co ty kombinujesz? - zapytałem go. - Gdzie moje materiały?

- Ty mi powiedz. Rozumiesz chyba, że jeżeli nie przekażesz nam wszystkich materiałów, dopuścisz się złamania prawa.

- Jak to? Przecież to wszystko tu było! - upierałem się. - Musieliście gdzieś to ukryć. Przeszukajcie wszystkich! - rozkazałem niedorzecznie, jakbym to ja był głównym detektywem.

- Nic się nie martw - oznajmiła z dumą Claire, wychodząc na-przód. - Ja to mam. Kiedy tylko dowiedziałam się, że cię aresztowali, przysłałam tutaj i przeniosłam wszystko w bezpieczne miejsce.

Townes westchnął:

- Słuchaj, dziewczynko. Nie mam nic do ciebie ani twoich przyjaciół, ale musisz pamiętać, że przetrzymywanie lub ukrywanie materiału dowodowego w sprawie morderstwa jest niezgodne z prawem.

- Proszę wybaczyć, agencie specjalny - wtrącił się Robertson. - Ale ten nakaz daje panu prawo jedynie do przeszukania tej posesji i zobowiązuje do przekazania materiału dowodowego jedynie pana Blocha. Pani Nash nie ma takiego obowiązku i muszę pana prosić o zaprzestanie zastraszania i stosowania przymusu wobec nieletniej.

Townes wruszył ramionami.

- Panie prawnik, wie pan doskonale, że traci pan czas. Zdobęde nowy nakaz.

- Tak, ale tym razem ja będę na miejscu, gotów podważyć jego zasadność. Ta kwestia podpada pod pierwszą poprawkę do konstytucji, dotyczącą wolności prasy, której moi klienci gotowi są bronić.

- A gotowi są także dać się zamknąć? - zapytał Townes.

- Owszem - oznajmiła Claire, wychodząc naprzód i potrząsając kucykami na głowie. - Jesteśmy gotowi.

- Ja nie jestem - powiedziałem.

- Cicho! - stwierdziła Claire. - Nigdzie nie pójdziemy. Zajmie się tym mój prawnik.

- Tak, cicho bądź, Harry - zgodziła się Dani.

Związałem mocniej szlafrok i usiadłem na kanapie. Dani i Claire usiadły obok mnie. Robertson i Townes znowu zaczęli się naradzać i szybko doszli do porozumienia: wszystkie materiały, wliczając w to to, co skonfiskowali poprzedniego dnia, zostaną skopiowane, a ja zachowam wyłączne prawa do ich publikacji i dystrybucji po zakończeniu śledztwa.

- Brzmi nieźle - stwierdziła Claire, kiedy wszystko jej wyjaśnili.

- Tak, może być - zgodziła się Dani.

Uniosłem w górę puste dłonie:

- Jeśli chodzi o mnie, to chyba wszystko w porządku.

- Pod warunkiem - przypomniał Townes - że Harry nie zostanie aresztowany ani oskarżony o morderstwo. Bo wtedy będzie się musiał rzec wszystkich praw.

- Oczywiście - powiedziała Claire.

- Tak, to chyba w porządku - dodała Dani.

- Co? - odezwałem. - Jak to, w porządku?

- Chryste, nie martw się - powiedziała Claire. - Rozchmurz się. Nikogo przecież nie zabiłeś.

Zachichotała na samą myśl.

- Powinnaś zobaczyć guza, jakiego ma na głowie - powiedziała Dani.

Claire wstała:

- Dobra. Idę sobie, radź sobie sam.

Uścisnęła dłoń Townesa, pocałowała Robertsona w policzek i zadzwoniła na mnie kluczymi.

- Sprawdzę, czy coś jest w skrzynce pocztowej, a potem muszę lecieć. Mam zajęcia.

- Ma klucze? - zapytała Dani, kiedy drzwi się zamknęły.

- I do jakiej ona niby szkoły chodzi? - wtrącił się Townes. - Jest

już po dziesiątej.

- Proszę się o to nie martwić - oznajmił Robertson. - Ma same szóstki. Prawda? - zapytał mnie.

Pokiwałem głową, a on dodał wyjaśniająco:

- Harry udziela jej korepetycji.

Dani zmarszczyła brwi.

- Później o tym pogadamy - powiedziała mi, kiedy Townes i Robertson poszli nadzorować pracę reszty ekipy.

- Nie ma w zasadzie o czym rozmawiać - powiedziałem, usiłując brzmieć pewnie. - To czysto służbowa relacja.

- To brzmi jeszcze dziwniej. Gdybyś był zwyczajnym zbrodźcą, mogłabym zrozumieć. Ale to jest... Sama już nie wiem.

- Jesteśmy współnikami - wyjaśniłem.

Dani zmarszczyła nos:

- Użyj innego słowa.

- Znajomymi?

Drzwi otworzyły się, a przez nie znów wpadła Claire. Ściskając pocztę w ręku wbiegła do mojej sypialni i zamknęła drzwi.

- Co się dzieje? - zapytała Dani.

- Nie wiem - odparłem. - Poczekaj chwilę.

Zastukałem do drzwi. Żadnej odpowiedzi. Powoli je otworzyłem, wkroczyłem do sypialni i zamknąłem za sobą drzwi. Claire padła twarzą na nieposłane łóżko, a obok niej na podłodze leżały rozsypane listy.

- Hej - powiedziałem niskim głosem. - Co się dzieje?

Wzruszyła ramionami, ale się nie poruszyła, trzymając twarz w poduszce, która musiała nasiąknąć zapachem Dani. Cały pokój pachniał seksem.

- No już, możesz mi powiedzieć - oznajmiłem i usiadłem na brzegu łóżka, gotując się na poklepanie jej po plecach i oznajmienia, żeby nie przejmowała się Dani, albo na podziękowanie jej za wstawienie się za mną i poradzenie sobie ze wszystkim, jak zwykle zresztą. Ale wtedy zobaczyłem zdjęcia.

Wysypały się ze zwykłej białej koperty, na której napisane było moje imię, ale nie było znaczka ani adresu zwrotnego. Były to zdjęcia o wymiarach osiem na dziesięć z białymi brzegami. Na pierwszej fotografii była Sandra Dawson. Wiedziałem to, ponieważ rozpoznałem pokój w tle, jej łóżko i białą szafę i fotografię kobiety w halce i koronkowym welonie na ścianie. Rozpoznałem ją również, ponieważ wisiała do góry nogami bez głowy, a jej wnętrzości zwisały niczym różowe i białe pnącza jakiejś wiszącej rośliny. Pod nimi była

jasnoczerwona kałuża krwi, która rozplywała się niczym rozkwitająca róża na podłodze.

Sięgnąłem po zdjęcie, ale potem pomyślałem o odciskach palców.

- Były w skrzynce? - zapytałem.

Claire pokiwała głową.

Wyjąłem z kieszeni wizytówkę prawnika i jej krawędzią rozdzieliłem fotografie. W sumie były trzy zdjęcia, na każdym inna ofiara. Były kolorowe i przedstawiały bezpośrednie ujęcia scen zbrodni, które widziałem, starannie zaaranżowane i oprawione. Po raz kolejny poczułem, że ktoś znajduje się tuż za mną, jak u Sandry Dawson. Gdziekolwiek bym nie był, on też tam był i odwiedzał każdego, kogo odwiedziłem ja. Teraz dawał mi do zrozumienia, że był tutaj.

Poklepałem Claire po ramieniu.

- Zaraz wracam, okej?

Pokiwała głową wciśniętą w poduszkę. Użyłem wizytówki, by upchnąć zdjęcia z powrotem w kopercie, a potem uniosłem ją rękawem szlafroka. Wróciłem do dużego pokoju i skierowałem się do kuchni, gdzie Dani, Townes i Robertson siedzieli we wnęce jadalnej i pili kawę z kubków mojej mamy. Były brązowe w żółte kwiatki. Położyłem kopertę przed Townesem.

- To było w skrzynce - ścisnąłem Dani za ramię. - Może zechcesz rzucić na to okiem.

Potem wróciłem do sypialni, gdzie Claire wciąż leżała twarzą w dół.

- Mogę cię przytulić? - zapytałem, klękając obok niej. Kiwnęła głową, więc to zrobiłem.

Kto? Było to pytanie, które nieustannie sobie zadawałem, podczas jedzenia, mycia się, ubierania, spacerowania i prowadzenia długich rozmów na kompletnie niezwiązane z tym tematy. Kto? Niezależnie od powodu, dla którego ktoś mordował dziewczyny Claya, musiał być to ktoś, kto utrzymywał z nim kontakt albo przynajmniej miał dostęp do jego korespondencji albo jego celi. Tylko ktoś taki mógł wiedzieć cokolwiek o tych kobietach i szczegółach ich fantazjowania o Clayu. Więc kto mógłby to być? Wspólnik, oczywiście. Albo naśladowca: policjant, strażnik więzienny lub świr, który w jakiś sposób uzyskał dostęp do tych dokumentów, jakiś szurnięty urzędnik w systemie. Albo jakiś prześladowca: może zazdrosna kochanka albo ktoś, kto był zazdrosny o sławę i żeński fan klub Claya. Co z kolei oznaczało, że ta osoba śledziła mnie, idąc po moich śladach i mordując każdą dziewczynę, z którą się spotkałem. Za każdym razem, gdy wracałem do tego myślami, czułem strach w żołądku, gardło mi się zamykało, a ja miałem przed oczami odwrócone, obracające się ciało Sandry. Potem czułem spadający na głowę cios i zadawałem sobie pytanie: kto?

I czego ten Ktoś ode mnie chciał? Czy byłem ofiarą, którą zabiwał się socjopata, jak w brukowej powieści Jima Thompsona? Wrabianym przez kogoś jeleniem, jak w tych wszystkich filmach Hitchcocka? A może, jak w każdym thrillerze, wliczając w to te napisane przeze mnie, byłem po prostu nieświadomym sprawy świadkiem, którego należało usunąć, zbyt głupim, by samemu poznać prawdę, świadkiem, którego ciało odnajdzie się w następnym rozdziale? No i była też inna myśl, którą ledwie do siebie dopuszczałem, nie mówiąc już o wyartykułowaniu jej na głos. Myśl, która jeszcze poprzedniego dnia wydałaby mi się idiotyczna: A może jednak Clay był niewinny? I prawdziwy morderca uderzył ponownie?

Jedno było pewne - nie mogłem liczyć na ochronę Townesa. Jedynie, czego nie dopuścił się przed opuszczeniem mojego mieszkania, to naplucie mi pod nogi. Nawet Robertson, mój prawnik, postawił sprawę jasno, kiedy się żegnaliśmy:

- Na twoim miejscu pozalałabym teraz różne sprawy. W każdej chwili mogą cię aresztować.

- Nie martw się - dodała Claire. - Zapłacę kaucję. To aresztowanie to tylko formalność, prawda?

Robertson wzruszył ramionami.

A tymczasem Claire miała się świetnie. Kiedy osuszyła już łzy, otrząsnęła się z szoku, jakby to był tylko zły sen, wróciła do rzeczywistości, demonstrując wytrzymałość, wywołaną młodością i brakiem wrażliwości, nabytym przez bombardowanie okropnościami w mediach, dostarczonymi przez ludzi takich jak ja. Do pracy wróciła już następnego dnia, rozwalila się na kanapie, żując pałeczki lukrecjowe. Przyszła prosto z treningu hokeja. Miała na sobie niebieskie adidas we fraktale, czerwone podkolanówki, plisowaną spódnicę i bluzę z kapturem. Stojąc na sztywnych nogach i z blond włosami ściągniętymi w koński ogon tuż przy czaszce, wyglądała jak wojowniczką z kreskówki w złotym hełmie.

- Wiem, że to totalna tragedia - oznajmiła, obgryzając lukrecję i wystawiając czerwony język. - Ale wartość rynkowa tej książki właśnie wzrosła trzykrotnie. To znaczy zainteresowanie już było duże, ale bądźmy szczerzy: nie ma to jak kilka świeżych zwłok, żeby nadać temu wrażenia wydarzeń-z-ostatniej-chwili.

- Tak, znam to uczucie - powiedziałem. - Od dwóch dni zżeram tabletki na zgagę, żeby się go pozbyć. Zmieniam nazwisko i przeprowadzam się do Kansas. Możesz zatrzymać moją sofę.

- Nie bądź taki melodramatyczny. Masz już jakieś sześć różnych nazwisk. Co by zrobili ci kolesie od Watergate, Woodsteen i Burns? Czy oni uciekli, kiedy Nixon po raz pierwszy próbował ich zabić?

- Nixon nie próbował im odrąbać głów tasakiem. Obejrzyj ten film.

- Jesteś pisarzem, do cholery - wycelowała we mnie pałeczkę lukrecjową, tak jak jakiś stary, zajmujący się praniem brudów redaktor mógłby wycelować cygaro. - W tym właśnie momencie powinieś pracować. Śledzić poszlaki i takie tam. Robić to, co ci najlepiej wychodzi.

- Daruj sobie.

Wzruszyła ramionami:

- Przynajmniej idź jutro porozmawiać z Clayem. Jest w więzie-

niu. Nic ci się nie stanie.

Miała trochę racji. Następnego dnia miałem stawić się na wywiad z Clayem. Umowa była taka, że miałem porozmawiać z Sandrą, a potem dostarczyć mu historię i przeprowadzić kolejny wywiad. Oczywiście, nie napisałem nic z oczywistych powodów. Nawet najbardziej ekstremalna i niepokojąca fantazja wydawała się bajką dla dzieci w porównaniu z tym, co było w gazetach. A co z książką, książką Claya? Czy to wciąż była rzeczywistość? Na, razie powiedzmy, że miałem blokadę: mogłem myśleć tylko o tym, że bardzo nie chciałbym zostać postacią w tej książce. Ale spotkanie było już wpisane w kalendarz, nikt go nie odwołał i w zasadzie perspektywa spędzenia dnia w więzieniu pełnym uzbrojonych strażników, rozmawiając z osobą, o której wiedziałem na pewno, że mnie nie napadła, ale być może wiedziała, kto to zrobił, nie wydawała się taka zła. Spakowałem więc torbę, wsiałem w popołudniowy pociąg i zameldowałem się w smutnym motelu. Próbowałem skontaktować się z Dani, ale nie odbierała. Może była w pracy i zwiślała właśnie nago z rury?

Więzienie jednak nie okazało się tak ciepłe i przytulne, jak oczekiwałem. Chociaż przechodzenie przez bramki było o wiele mniej przerażające niż droga do sklepu w mojej okolicy, wciąż czułem się zagrożony. Wydawało mi się, że wszyscy wiedzą, kim jestem. Byłem „tym kolesiem”. Kiedy ludzie gapili się na mnie, mamrotali i odwracali się, czułem się jednocześnie wyróżniony i zawstydzony. Byłem zarażony „chorobą Claya” i kiedy przechodziłem przez punkt kontrolny, zdawało mi się, że strażnicy mają opory przed dotknięciem mnie. Ale, niczym jakiś skandalizujący VIP w nocnym klubie, zostałem natychmiast przepchnięty przez poczekalnię, w której znalazłem Theresę Trio przytupującą stopami nieopodal zmasakrowanej maszyny z napojami. Wstała, kiedy mnie zobaczyła.

- Jesteś. To dobrze. Czekają na ciebie.

- Czekają?

- Carol też chce z tobą porozmawiać. To jest, pani Flosky - była czymś podekscytowana, co sprawiło, że wydawała się żwawa i dziewczęca. Jej oczy błyszczały.

- Mamy, to znaczy ona ma później spotkanie z sędzią i głównym radcą prawnym zarządcy. Tak właściwie to... jest promyk nadziei.

- Cieszę się, że widzisz plusy wypatroszenia trzech kobiet.

Ubodło ją to. Odwróciła się i skubnęła dziurę w stole.

- Nie to miałam na myśli. Przykro mi z powodu tych kobiet. Ale może teraz policji uda się schwytać prawdziwych morderców.

- Policja? Błagam. Wiesz, kto jest ich głównym podejrzanym?

Ja.

Theresa uniosła brwi, a ja się roześmiałem.

- A najstraszniejsze jest to, że prawdziwy morderca znał wszystkie te dziewczyny, wiedział, kiedy się z nimi spotykam, znał ich adresy, wszystko.

Pochyliłem się i nawiązałem z nią kontakt wzrokowy.

- Kto wiedział to wszystko? Clay. Twoja biedna, niewinna ofiara.

Theresa otaksowała mnie wzrokiem:

- Wiele osób mogło wiedzieć. Na przykład ja.

Nawet ty. Przypomniałem sobie tatuaże wystające spod jej ubrań, czatowanie z użytkownikiem vampT3, lekką perwersję, która tak mnie intrygowała, ukryte życie wewnętrzne. Moja fanka. Szurnięta fanka wampirów. Ciekawe, czy wiedziała, kim tak naprawdę jestem? A nawet jeżeli, to co z tego? Zaczynało mi się kręcić w głowie. Po raz kolejny poczułem w ustach ten gorzki, okropny smak. Okropny smak strachu na języku: mieszanka mdłości, adrenaliny i hot dogów z po-ciągu. Wtedy w drzwiach pojawił się strażnik i mnie wywołał.

- Do zobaczenia później - powiedziałem. Uznałem, że uśmiech, który mi posłała, zanim sięgnęła do torby i wyciągnęła moją książkę, był dziwny.

- Harry! - powiedział Clay, uśmiechając się i potrząsając głową. Po drugiej stronie stołu siedziała Flosky. Na mnie czekało plastikowe krzesło.

- O rany. Wyglądasz gównianie. Ale pewnie to wszystko zależy od punktu widzenia. Szczególnie biorąc pod uwagę, przez co przeszedłeś.

Flosky wydmuchiwała dym z papierosa i zerknęła na mnie przez chmurę oparów, jakby usiłowała odgadnąć moją przyszłość lub charakter. Kiedy wzięłem krzesło, poczułem dym na twarzy. Chciałem kichnąć.

- Tak - powiedziałem. - Miałem kilka ciężkich dni.

- Bez wątplenia - mówił dalej Clay. - Oglądaliśmy wiadomości. Teraz wiesz, jak ja się czuję - uśmiechnął się jeszcze szerzej. Flosky obserwowała mnie niewzruszona. Ja spoglądałem to na jedno, to na drugie.

- Nie jestem pewien, czy rozumiem.

Flosky rzuciła papierosa i przygniotła go do popękanego linoleum:

- Ma na myśli, że wie, jak to jest, kiedy ściga cię prasa, policja tobą poniewiera i jesteś podejrzany o popełnienie odrażających zbrodni, których nie popełniłeś.

- Mam nadzieję, że masz dobrego prawnika - oznajmił Clay, chichocząc. Szybko jednak przestał, wyłapując spojrzenie Flosky.

- Przepraszam - włożył palec do ust i zaczął go przeżuwać. Kiedy się uśmiechał, jego wielkie, białe zęby zdawały się wbijać w dziąsła.

- Nerwowy śmiech - oznajmił. - Wisielczy humor. Nie wiem, co powiedzieć. Nigdy oczywiście nie poznałem tych dziewczyn, ale czuję się, jakbym je znał z tych wszystkich listów i zdjęć. Na swój sposób było to bardzo intymne. A teraz oplakują je ich rodzice,

przyjaciele i krewni. Ale ja znałem je od strony, od których oni ich nie znali, znałem tę ich część, którą powierzyły tylko mnie. Ludzie nie zdają sobie sprawy, jak silny może być taki związek. Ale ty to oczywiście rozumiesz. Poznałeś je wszystkie.

Pochylił się do przodu. Zauważyłem, że skaleczył się przy goleniu, tuż przy gardle.

- Nie masz pewnie dla mnie tej historii, prawda? Tej o Sandrze.

Gwałtownie szarpnęło mną do tyłu, jakby właśnie usiłował mnie pocałować.

- Nie napisałem jej, kurwa.

- Dobra, dobra - odezwała się Flosky. - Dostyc tego. Nie mam czasu na wasze pieprzone bzdury. Oczywiście, że jej nie napisałeś. A ty - zwróciła się do Claya - zamknij się i daj mi mówić.

- Przepraszam, Carol - powiedział Clay i zwrócił się do mnie. - Nie martw się, stary. Nie będę się domagał tej historii.

- Darian! - powtórzyła Flosky przez zaciśnięte zęby.

- Przepraszam. Mów.

Wzięła głęboki oddech, z rodzaju tych, które bierze się licząc w myśli do dziesięciu i zwróciła się do mnie:

- Wiesz, że od samego początku byłam przeciwna powstaniu tej książki. A teraz wygląda na to, że cała ta sprawa ugrzęzła w czymś jeszcze bardziej pogmatwanym. Z drugiej strony przyznaję, że mogłam cię źle ocenić. W każdym razie teraz nie mamy wyboru: musimy sobie nawzajem zaufać. Umarły trzy kolejne dziewczyny. A ty też nie jesteś bezpieczny.

- Jak to zaufać? O czym ty mówisz?

- To, co ci teraz powiem, jest zastrzeżone. To jedna z tych rzeczy, które prawnik omawia jedynie ze swoim klientem. Ale teraz sam w tym siedzisz, więc... Wiesz, co to jest ujawnienie tajemnicy? W sensie prawnym?

- Mniej więcej.

- Obrona ma prawo do wglądu w cały materiał dowodowy, we wszystko, co znajduje się w dokumentach prokuratury. Mamy informacje, które nigdy nie zostały ujawnione publicznie. Rzeczy, o których wiedzieli tylko policjanci. I morderca.

- Tak, no i co?

- Tak więc widziałam zdjęcia tych morderstw sprzed dziesięciu lat i czytałam sprawozdania. A wczoraj sędzia zmusił Townesa, żeby mi pokazał sprawozdania z nowych morderstw. Pasują do siebie.

- Jak bardzo?

- Jak ten sam charakter pisma. Myślisz, że dlaczego Townes tak

się trzęsie? Zaistniał dzięki tej sprawie. Teraz zamierzam udowodnić, że zbrodnie są podobne do siebie tak bardzo, że musiał je popełnić jeden morderca. W każdym razie z pewnością są na tyle do siebie podobne, że może to być podstawą do wszczęcia nowego postępowania sądowego.

Zmarszczyłem brwi.

- Jest to jakiś punkt widzenia...

Nie chciałem przyznawać, że sam już o tym myślałem. Że ten upiorny morderca, siedzący obecnie naprzeciw mnie, jest tylko zwykłym zbrojcem, zdolnym jedynie do chorego fantazjowania.

Flosky włożyła do ust kolejnego papierosa i zapaliła go, machając wściekle zapalką, jakby odganiała komara.

- Nieważne. Nie będę tutaj tego omawiać. Ale muszę ci powiedzieć jedno: wierzę w to, że Fotograf wrócił. Ten prawdziwy. Myślę, że wrócił z powodu zamieszania wokół egzekucji. Powiem więcej, myślę, że to twoja książka go wywabiła.

- Co?

- Ci ludzie, psychopaci, wszystko jedno, mają ogromne ego. Czy chce zostać złapany? Nie. Nie jest głupi. Kiedy aresztowano Dariana, z wdzięcznością zapadł się pod ziemię, przestał zabijać, a przynajmniej zmienił sposób, kto wie, może się przeprowadził i pozwolił, żeby wina spadła na kogoś innego. Ale myśl, że jego zasługi mogą zostać przypisane komuś innemu, że ktoś inny przejdzie do historii, opisany w książce za coś, za co on był odpowiedzialny? To do niego trafiło. Zżerało go to, aż zaczął znowu zabijać, żeby pokazać światu, kim tak naprawdę jest i do czego jest zdolny. Jak powiedziałam, nie jest głupi, ale jest szalony i czuję się zobowiązana, żeby cię ostrzec. Istnieje spore prawdopodobieństwo, że zaatakuje ciebie.

- Mnie? - oparłem się, żeby przeanalizować tę możliwość, podczas gdy oni patrzyli na mnie. Flosky paliła zasępioną, a Clay miał na twarzy smutno kpiący albo może kpiąco smutny półśmiech. Po raz kolejny przyszło mi do głowy, że wydawał się jednak na wpół normalny, a nie śmiertelnie groźny. Zęby i paznokcie - czy to wystarczyło? Czy były znakami bestii? Czy na to powinienem uważać, wracając dziś do domu?

- A co ja zrobiłem? - zapytałem ich, jakby znali odpowiedź, albo jakby ich to obchodziło. - Jestem tylko pisarzem.

- A więc rozwiązanie zagadki jest gdzieś w przeszłości - zadumała się Claire po tym, jak opowiedziałem jej o spotkaniu z Clayem i Flosky. W zamyśleniu sączyła dietetyczną colę przez zagiętą słomkę, a patykowate nogi skrzyżowała na stoliku. - Wygląda na to, że musisz się trochę porozglądać i znaleźć ten związek. Pogrzebać w przeszłości.

- Tylko, jeżeli będę mógł rozwiązać zagadkę w zaciszu własnego domu, podlewając orchidee, jak Nero Wolfe - odchyliłem się w fotelu, zrzucając z nóg buty i kładąc swoje stopy naprzeciw jej.

- A kto to taki?

- Detektyw. Tłusty geniusz.

- Cóż, tobie jeszcze trochę brakuje - zauważyła. - Ale napisałeś tyle książek, że powinien być z ciebie całkiem niezły detektyw. Mógłbyś poszukać jakichś wskazówek. Jak Mordechaj.

- Masz rację. Znajdywanie wskazówek idzie mi całkiem nieźle. A wiesz dlaczego? - trąciłem jej niedużą stopę swoją. - Ponieważ sam je tam umieszczam. To właśnie różnica pomiędzy zabawą w detektywa w książce i prawdziwym życiu. Zmyślam jakąś zbrodnię, a potem ją rozwiązuję. A nawet wtedy boli mnie głowa.

Kopnęła mnie piętą w piętę.

- Mówię tylko, że książka byłaby fantastyczna, jeżeli to ty rozwiązałaś sprawę.

Prychnąłem.

- Czy zapomniałem wspomnieć, że moje życie jest w niebezpieczeństwie?

- A czy złapanie mordercy nie jest najlepszym sposobem, żeby je zachować? - usiadła i żarliwie chwyciła moje stopy w dłonie. - A co, jeżeli Clay naprawdę jest niewinny?

- Przestań - strąciłem jej dłonie. - To łaskocze.
- Ale serio, Harry?

Wzruszyłem ramionami i spojrzałem w jej jasne oczy:

- Jeżeli Clay jest niewinny, oznacza to, że na wolności jest se-ryjny morderca, który na mnie poluje.

- A kto go złapie? Gliniarze?

Zanim zdążyłem wymyślić odpowiedź na to pytanie, zadzwonił domofon i Claire wstała, żeby nacisnąć guzik.

- Kto to? - zapytałem, nagle zaniepokojony.

- To bardzo ważna osoba z magazynu, którą tu zaprosiłam. W więzieniu miałeś wyłączony telefon, więc po prostu powiedziałam, żeby tu przyszli. Ale akurat mam kółko dyskusyjne w szkole, więc muszę iść - złapała plecak i ruszyła w stronę drzwi.

- O czym jest debata? - krzyknąłem.

- O nielegalnej imigracji - odwrzasnęła. - Jestem za!

Trzasnęła drzwiami. Osoba z magazynu? Szybko zerknąłem na swoje odbicie w lustrze. Miałem straszne oczy i byłem nieogolony, a brudne włosy miałem spleśnione od spania w pociągu. Znalazłem w nich nawet niewielki pyłek, jak jakiś wiosenny akcent. Zadzwonił dzwonek do drzwi.

- Idę! - wrzasnąłem. - Sekunda.

Pospieszyłem do drzwi, upychając koszulę i zauważyłem, że mam w skarpetce wielką dziurę. Dziś rano jeszcze była mała, ale teraz wystawał z niej duży palec, niby różowy żółw badający otoczenie. Spojrzałem z tęsknotą na buty, ale dzwonek znów zadzwonił, więc wsunąłem wystający ze skarpetki paluch w szparę drzwi i otworzyłem je wraz ze swoim tradycyjnym przywitaniem:

- Przepraszam!

To była Jane.

- Przepraszam - odparła, jakbyśmy obydwójce pochodzili z tej samej planety, na której wszyscy się nawzajem przeproszają. Zauważyła wyraz szoku na mojej twarzy.

- Źle, że tu przyszłam?

- Nie. Ja... Nie. Tylko... nie spodziewałem się...

- Przepraszam. Rozmawiałam tylko, zdaje się, z twoją menedżerką? Claire? Ona to ustawiła.

- Moją menedżerką? A... no tak.

- A potem ta dziewczyna na korytarzu powiedziała mi, gdzie mieszkasz.

- No tak, to ona.

- Kto?

- Co? - wróciłem myślami do reakcji Dani na Claire poprzedniego dnia.

- Nikt. Co to ja mówiłem? Nieważne.

- Przepraszam za to wszystko - powiedziała. - Mogę sobie pójść.

- Nie, proszę. To ja przepraszam. Wejź! Przepraszam cię za skarpetkę...

W trakcie przejścia przez drzwi i zdjęcia płaszcz z Jane przepraszaliśmy się jeszcze kilka razy. Ruszaliśmy się jak kraby, uśmiechając się i przepraszając, jak jacyś kompulsywni samurajowie wymieniający prezenty. Potem ruszyliśmy do kuchni, gdzie zacząłem robić kawę, no, mniej więcej. W każdym razie rozsypywać kawę i rozlewać wodę na blacie.

- Więc jestem tu w interesach - powiedziała Jane. - Sprawa jest czysto profesjonalna.

- Jesteś akwizytorem prenumerat magazynu? - w końcu udało mi się wsypać kawę do filtra i nacisnąć czerwony guzik. Maszyna zaczęła syczeć i gulgotać.

- Nie - roześmiała się i zarumieniła. Jej zakłopotanie uspokoiło mnie. Wytarłem blat gąbką i wyłożyłem na stół ciasto kawowe od Entenmanna.

- Chociaż zauważyłam, że nie ma cię na naszej liście prenumeratorów.

- Cóż, wiesz przecież, że czytam tylko porno i komiksy - powiedziałem, łapiąc za kubki w stokrotki. - Poza tym, proszę cię, cztery numery w roku? Ty to nazywasz magazynem?

- Nazywa się to kwartalnik.

- Myślałem, że to znaczy, że kosztuje tylko ćwierć dolca⁷, tak jak kiedyś *Post*. Twój jest raczej dziesięciodolarowcem - znów się roześmiała.

⁷ Gra słów: *quarterly* (kwartalnik) i *quarter* (ćwierć) (przyp. red.)

- Zapomniałam, że jesteś tak zabawny.

- Jezu, dzięki.

- Wiesz, o co mi chodzi. To miłe.

Nalałem kawy i usiadłem naprzeciw niej. Między nami stało mleko.

- Tak, to miłe - powiedziałem.

- Szczerze mówiąc, jestem zaskoczona. Biorąc pod uwagę to wszystko, co się teraz dzieje, jesteś w lepszej formie, niż myślałam.

- Jestem w gorszej formie, niż na to wyglądam - oznajmiłem, nagle czując sensację w żołądku i ból przesywający czaszkę. Przesunąłem dłonią po włosach. - Ale w sumie w porządku - dodałem.

I tak też było.

- Uważam, że jesteś bardzo dzielny. Wszyscy tak uważamy - zastanawiałem się, kim są ci wszyscy, ale nie chciałem przerywać fali pochwał. - Jestem tu, żeby udzielić ci wszelkiej pomocy. Nie jesteśmy w stanie poradzić nic na fizyczne zagrożenie, w którym się znajdujesz, chociaż może moglibyśmy zorganizować wsparcie ze strony pisarzy. Jak w trakcie hiszpańskiej wojny domowej.

W głowie miałem obraz Dave'a Eggersa i Jonathana Lethema ubranych w identyczne wiatrówki, czatujących przy moim budynku z latarką, czekających na sygnał na walkie-talkie od kapitana oddziału DeLillo.

- No tak - powiedziałem. - Armia uzbrojonych neurotyków. Wszyscy byśmy się zabili albo wybili siebie nawzajem.

- Dokładnie. Jesteśmy bezużyteczni w starciu z rzeczywistością, ale możemy ci pomóc w abstrakcyjnych, literackich starciach. Nękanie przez policję, konfiskata materiałów przez FBI. Mamy wystarczająco wiele osób, żeby podpisać petycję, wierz mi. Ludzie piszą maile i pytają, jak mogą pomóc.

- Jacy ludzie?

- No wiesz. Ze środowiska literackiego. Pisarze, których poznałeś na przyjęciu, na przykład. Myślę, że na początek będzie list otwarty do *Timesa*. Rozmawiałam już z Ryanem - chętnie pomoże w organizacji odczytów charytatywnych, z których dochód pójdzie na rachunki związane z prawnikami. I skontaktowałam się z PEN Clubem.

Roześmiałem się:

- Dam sobie radę. Ale dzięki.

- Jesteś pewien?

- Tak. W stu procentach.

- Wiedziałam, że odmówisz. Ale nie daj się im zastraszyć. Musisz napisać tę książkę. Obiecuj mi.

- Obiecuję.

- I przemyślisz to? To, co powiedziałam? I dasz znać, jeżeli będę mogła jakoś pomóc?

- Tak.

Wstała. Ja również. Potem sięgnęła przez stół i dotknęła mojej twarzy. Stałem bez ruchu, jakby motyl wylądował mi na dłoni.

- Wiesz... - powiedziała. - Mówiąc oczywiście obiektywnie, wyglądasz teraz bardzo pociągająco. Wszystko to ma na ciebie dobry wpływ.

- Chcesz pomacać mojego seksownego guza na głowie?

- Tak. Trochę - pocałowała mnie w policzek. - Ale tego nie zrobię.

Po jej wyjściu zastanowiłem się, o co jej chodziło i zorientowałem się, że zauważyła zmianę, jaka we mnie zaszła, a której ja nie zauważyłem. To prawda, byłem wykończony, zestresowany i zagubiony. Byłem też splukany, zdesperowany i przede wszystkim kompletnie przerażony. Ale po raz pierwszy od dłuższego czasu nie byłem przygnębiony. Mam dla was wskazówkę: nic nie przywraca nas do życia skuteczniej niż strach.

Zdecydowałem, że śledztwo rozpocznę u źródła, w domu, w którym Clay mieszkał, zabijał i robił zdjęcia ofiar. Dani koniecznie chciała jechać ze mną. Na początku się opierałem - wydawało mi się, że pogłębi to jedynie jej traumę - ale była niewzruszona, a ja po cichu cieszyłem się zarówno z towarzystwa, jak i z podwózki. Potem Claire oznajmiła, że również jedzie. Kiedy dowiedziała się, że odrzuciłem propozycję Jane, była zdęgotowana i zdawało się, że uznała, iż nie można mi już ufać i spuścić ze smyczy. Poza tym miała lepszy samochód.

I tak wylądowałem za kółkiem samochodu ojca Claire - czarne BMW 750L Claire siedziała obok mnie i czekaliśmy, aż Dani wyjdzie ze swojego mieszkania na Jackson Heights. Claire piła swoją ostatnią dietetyczną colę przez słomkę, wydając przy tym dźwięki, jakby kogoś duszono, po czym rzuciła puszkę na podłogę samochodu. Wciąż była wściekła.

- PEN Club - powiedziała. - PEN Club!
- Nawet nie wiedziałaś, co to jest, zanim nie sprawdziłaś w internecie.
- Ale za to wiem, co to jest koncert charytatywny. To mogłaby być duża sprawa.
- Odczyt charytatywny... To całkiem coś innego i na pewno o mniejszym zasięgu. Nie będzie żadnego Bono. Poza tym, nie mógłbym zaakceptować pomocy ze względu na łączący nas kiedyś związek.
- No nie! Właśnie dlatego musisz z tego skorzystać.
- Nie ma mowy, to zbyt dziwaczne. Poza tym, taki jak jestem, wyglądam w jej oczach na bohatera, a nie kogoś, kto potrzebuje pomocy. Powiedziała, że jestem atrakcyjny!

- Wielkie mi co. Po prostu teraz żałuje. Nie daj się w to wciągnąć. Poza tym, wydaje mi się, że nie jesteś sobie w stanie poradzić nawet ze striptizerką.

- Nie jestem pewien. To był tylko jeden raz... - stwierdziłem, kiedy Dani wyszła z budynku i pomachała w naszą stronę. Obydwoje odmachaliśmy.

- Uważaj tylko - powiedziała i obróciła się w fotelu, kiedy Dani wsiadała na tylne siedzenie.

- Cześć, Dani - zaświergotała.

Dani uśmiechnęła się błogo.

- Cześć, kochana.

Złapałem za kierownicę i ruszyliśmy.

Stare mieszkanie Clay'a znajdowało się w Ozone Park, przy granicy z Brooklynem. Była to normalna dzielnica z zapadłymi domami i starymi samochodami na podjazdach. Niektóre domy były odnowione przez młodych lokatorów, jak pewnie ten należący do Clay'a; wielu z tych lokatorów było imigrantami. Dziesięć lat temu ta ulica prawdopodobnie była ciemniejsza, bardziej obskurna, podupadła i opuszczona. Miałem zdjęcie z gazety, które znalazłem w sieci i sobie wydrukowałem - wyglądało na to, że *Dom Koszmarów*, jak został nazwany w mediach, został zburzony, a na jego miejsce wybudowano nowy. Ale tak nie było.

Dom był świeżo odmalowany, miał dobudówkę, a z tyłu nowe piętro. Ogród również został odnowiony i rosły tam wysokie krzaki i młode drzewa. Budynek ledwo można było poznać, co być może było celowym zabiegiem, niemniej był to ten sam dom.

- To tu? - zapytała Claire z pewnym zawodem.

Zaparkowałem po drugiej stronie ulicy.

- Nie jest zbyt strasznie - wyciągnęła jednak aparat i zaczęła robić zdjęcia, które, jak miała nadzieję, pojawią się w książce. Gapilem się na bliźniacze okna domu, dach pokryty dachówką z głębokimi okapami, nieduży ganek. Wizyta w tym miejscu zdawała się być dobrym pierwszym krokiem, ale teraz nie wiedziałem, co robić. Dani nie miała wątpliwości.

- Poczekaj tu - powiedziała i przeszła przez ulicę. Ja stałem przy samochodzie i obserwowałem ją. Wyglądała doskonale w starych dżinsach i golfie, ale czułem się bardziej, jakbym był podkochującym się w niej kolegą niż kochankiem. Nie widziałem jej od tamtej nocy, a dziś nie było żadnego całowania, przytulania czy innych rzeczy, które mogą świadczyć o rozwijającym się romansie.

Nie było też żadnej wzmianki o tym, co się zdarzyło bądź też nie

zdarzyło między nami. Mogłem tylko założyć, że żałowała tego, co się stało i wolała udawać, że nic się nie stało. Jak błąd wywołany alkoholem, którego najlepiej nie roztrząsać. Dani wmaszerowała na ganek i zadzwoniła do drzwi. Zapukała raz i drugi. Potem przywołała mnie machnięciem ręki. Przeszedłem przez trawnik, żeby do niej dołączyć. Claire szła za mną, obserwując okolicę przez cyfrowy kwadrat w swoim aparacie.

- Nikogo nie ma - powiedziała Dani. - Możemy trochę powęszyc.
- Co byś zrobiła, gdyby ktoś jednak otworzył?

Wzruszyła ramionami.

- Nie wiem. Coś bym wymyśliła.

I prawdopodobnie mówiła prawdę. Dziewczyny pokroju jej i Claire żyły na innej planecie, gdzie ludzie robili wszystko, by być pomocnymi. Ja zaś żyłem w świecie, w którym nikt nie miał rozmienić dolca na drobne, a żadna publiczna toaleta nigdy nie była czynna. Dlaczego te kobiety o magicznych mocach postanowiły mi pomóc? Tego nie wiedziałem, byłem im jednak dozwonnie wdzięczny.

Zajrzeliśmy przez okno od frontu. Zasłony zrobione były z delikatnego, białego materiału. Ujrzałem miękką, skórzaną białą kanapę, dużą i obszerną, niczym rzeźba Oldenburga. Na ścianie znajdował się ogromny ekran telewizora, a także kilka krzyży i innych dewocjonaliów. Ze zdjęć na półce i tytułów książek wywnioskowałem, że mieszka tam koreańska rodzina. Najprawdopodobniej wprowadzili się niedawno i nie mieli pojęcia o upiornej przeszłości swojego domu. Kiedy odeszliśmy od okna, zauważyłem, że Dani ma czarną smugę na czubku nosa, od przyciskania go do szyby.

- Chwileczkę - powiedziałem i polizałem palec. Gdy wycierałem jej nos, czekała cierpliwie, obserwując moje oczy.

- Już? - zapytała.

- Tak lepiej.

Claire zrobiła zdjęcie.

- Rozkoszne - oznajmiła.

Nie dyskutując o tym, jakie powinno być następne posunięcie, cała nasza trójka opuściła ganek i przeszliśmy do drugiej części domu, usiłując nie deptać wiosennych kwiatów, które nieśmiało rosły na trawniku. Z tyłu, na niedużym podwórku, znaleźliśmy biały, kuty z żelaza stół i krzesła, a także białe, kamienne poidelko dla ptaków, kilka róż i trawnik w kształcie kwadratu. Wszyscy kucnęliśmy, jedno obok drugiego i zajrzeliśmy do piwnicy.

Bingo!, powiedziałem do siebie w myśli. Kiedyś te okna były zakryte - jedno z powodu ciemni, którą urządził sobie Darian, a drugie z

powodu „studia”, gdzie ustawiał i konstruował plan zdjęciowy. Wtedy były tam łańcuchy, pejce, noże i piły, haki wmontowane w ściany i nisko zawieszony sufit, odpływ w betonowej podłodze i gumowy wąż do zmywania krwi. Były również rekwizyty, kostiumy, peruki, kosmetyki i oświetlenie - cały ekwipunek potrzebny do zorganizowania kiczowatej sesji zdjęciowej. Teraz oczywiście to wszystko zniknęło.

Zdałem sobie sprawę, że Dani kuczająca obok mnie z zasłoniętymi oczami widziała to samo co ja, myślała o tym samym i prawdopodobnie wyobrażała sobie koniec, jaki spotkał jej siostrę. Słyszałem, jak oddycha, byłem tak blisko, że jej włosy łaskotały mnie w policzek. Kiedy wciągnąłem powietrze, poczułem zapach jej szamponu.

- Czy to... - zaczęła Claire, ale ścisnąłem ją za nogę. Załapała. Po cichu uniosła aparat, zrobiła parę zdjęć, po czym odłożyła go i gapiała się w ciszy. Nic tam nie było. Ściany i podłogi były świeżo pomalowane i niezwykle czyste jak na piwnicę. Po jednej stronie stał stół do ping-ponga, lodówka, plakaty z postaciami z *anime* i stary sprzęt grający. Po drugiej stronie były kartony, zlew, który prawdopodobnie kiedyś był częścią ciemni, pralka i suszarka. Był też zamrażalnik, ale wątpiłem, by znalazły się w nim jakieś głowy. Jedynym złowieszczyim przypomnieniem tego, co kiedyś miało tu miejsce, był stary stół warsztatowy. Surowe drewno było popękane i pochłapane farbą. Były do niego przymocowane dwa imadła wyglądające niczym zardzewiałe, stalowe szczęki.

Fragment powieści *Kędy powiedziesz, dowódcu Statku Zdzir*, pióra T.R.L. Pangstroma, rozdział 2:

Podróże w czasie trwają o wiele dłużej, niż by się mogło wydawać. W galaktycznym skoku korzysta się z zagięć i przetarć w czasie i przestrzeni - nie ma się więc poczucia ruchu czy przemieszczenia z jednego punktu w drugi. Mijają lata świetlne, a nam zdaje się, że tkwimy w jednym miejscu, w jedności ze statkiem, dryfując przez mroźną ciemność. Jednak ciało zna prawdę, a umysł stara się nadążyć, mknąc w przód lub tył, usiłując nadrobić stracony czas. To jak z tym prostym problemem ze względnością, o którym uczą dzieci na fizyce w przedszkolu (einsteinoidalna, post-kwantowa, proustowska i magiczno-krasnodudzka teoria). Jeżeli pociąg cząstek ruszy ze stacji Wyższy Mylar o duchoświecie, lecąc 500 km na sekundę, dlaczego, kiedy utknie na stacji Blabdok na pięć minut, ma się wrażenie, że minęło pięć godzin? Podobnie jest z podróżami przez czasoprzestrzeń. Dekady mijają jak minuty, te minuty jednak wloką się w nieskończoność. Przychodzi niepokój, paranoja lub wściekłość. Zaczyna cię boleć brzuch lub zaczynasz się robić głodny, ale nie masz ochoty na nic, co widnieje w menu. Zaczyna się czuć, że w tej podróży, przez zaledwie milion lat, traci się całe życie.

W efekcie tych stresujących czynników podróżnicy nabawić się mogą choroby przestrzennej, ciężkiej depresji i opuchlizny kostek. A poważnie mówiąc, zdarzały się przypadki załamań nerwowych i zarówno załoga, jak i pasażerowie stawali się agresywni, czego najlepszym przykładem Masakra na Syriuszu Sześć w roku 5321 (choć przez różnicę w czasie zwłoki odnaleziono w roku 4440). W celu uniknięcia podobnych tragedii, a także mniej poważnych

nieprzyjemności, takich jak na przykład kwaśny refluks wywołany podróżą kosmiczną, na który sam cierpię, wszystkie zorgońskie statki przelatujące przez Czasoprzestrzenny Poziom 5 lub przez Czasoprzestrzenny Poziom 6 (czy niżej), muszą przejść procedurę Przesunięcia Sennego. Przy użyciu supernarkotyków i poprzez wywołanie anabiozy część załogi poddana jest hibernacji na okres około stulecia. W tym czasie część załogi nie poddana hibernacji usiłuje „funkcjonować” w czasie rzeczywistym, wykonując codzienną pracę, jedząc trzy posiłki i śpiąc.

W ten sposób, kiedy obudzi się następna zmiana, ciało-umysł wierzy, że minął tylko jeden dzień, chociaż tak naprawdę mogło to być tysiąc lat temu, a „dzień dzisiejszy” może trwać zaledwie godzinę.

To brzmi dość prosto i w teorii takie jest, ale jako pan i dowódca Fallusa Dwanaście, standardowego statku przewożącego seksualnych niewolników, na którym poza mną przebywała załoga złożona z sześciu wykwalifikowanych dziewczek, życie nigdy nie jest proste, szczególnie po wybuchu wojny między intergalaktycznymi klanami, podczas której zniszczona została nasza Główna Siedziba i przez co zmuszeni byliśmy dryfować po Głębokim Kosmosie, szukając bezpiecznej przystani. Kiedy zdałem sobie sprawę z tego, że możemy już tak dryfować od setek lat, zdecydowałem się na implementację Głębokiego Snu. Każdy członek załogi miał wartość trwającą sto lat, budząc się co 500 lat. Ja z kolei funkcjonowałem na Pół Życiu, budząc się co stulecie, by nadzorować funkcjonowanie statku.

Na początku wszystko zdawało się iść gładko. Skierowałem staro, dobrego Fallusa prosto w Odległe Przeszłość, wypilem słodkie, niebieskie lekarstwo i zasnęłam w kapsule. Obudzilem się sto lat później i poczułem zapach smażonego bekonu. Polifonia smażyła w kuchni naleśniki, bekon i jajka. Była w pełni wyposażona Zdziq Rozkoszy klasy A i obudziła się strasznie głodna. Na statku było ciepło, ona była naga i podczas gotowania radośnie nucila. Była młoda i ledwo po niej było widać efekty uboczne podróży w czasie. Stała odświeżona po powietrznej kąpieli, a jej blond włosy spływały do pasa. Miała na sobie tylko obowiązkową obrożę, zgodnie z przepisami, a jej ciało było pozbawione owłosienia. Jej jędrne, poprawione piersi były nasmarowane olejkami z planet z przyprawami, a usta i wargi sromowe gustownie obsypane lśniącem pyłem gwiazdnym, granulowanym z wymarłych słońc. Była wyszkolona w Gotowaniu i Sztuce Erotyzmu. Była także Ekspertem Systemowym (SX) Fallusa, odpowiedzialnym za konserwację pokładowego komputera głównego.

- Dzień dobry, Poli - powiedziałem po wejściu i trzepnąłem ją

zartobliwie pejczem po obfitych, acz jędrnych pośladkach. Jestem przykładowym dowódcą, więc pomimo tego, że byliśmy sami, miałem na sobie przepisowy mundur złożony z wielofunkcyjnego paska, butów, rękawiczek, peleryny i reprezentacyjnej opaski. - Ładnie pachnie.

- Dzień dobry, panie komendancie - odpowiedziała. - Śniadanie gotowe.

Podczas śniadania złożyła mi sprawozdanie. Wszystkie funkcje statku były w normie, ale w zasięgu wzroku nie było żadnej bezpiecznej przystani. Zdecydowaliśmy jednak się nie poddawać i cieszyć się następnym stuleciem. Zaczęliśmy od kąpieli. Poli wyszorowała mnie od stóp do głów, po czym swawolnie optukala ciepłą syntetyczną wodą, pochodzącą z recydingu komórek paliwa wodorowego i moczu śpiącej załogi. Później, zgodnie z Kodeksem Zdrowia i Dobrego Samopoczucia, odbyliśmy Energiczny Stosunek, śmiejąc się i dryfując w Komorze Chmur. Następny był bardziej wymagający i odbył się w Seksagonie - najpierw był Puls, później Pełne Pchnięcie, a na końcu Mieszany, co Poli lubiła najbardziej. Potem sprawdziliśmy silniki i zjedliśmy lekki lunch. Po południu graliśmy w czterowymiarowe scrabble i chodziliśmy po hydroponicznym lesie, zbierając trufle na kolację. Śmiałyśmy się, trzymaliśmy za ręce, a nawet uprawialiśmy Analogowy Seks na pseudotrawie. Ale podczas kolacji Poli ledwo tknęła jedzenie.

- Coś nie tak? - zapytałem. - Ledwo skonsumowałaś zalecaną liczbę kalorii.

- Nie - westchnęła. - Tak tylko myślałam...

Ale wiedziałem, że kłamie. To nie było Nic. To było Coś. Kiedy kładliśmy się spać, zauważyłem, że ma lzy w oczach.

- Proszę, Poli, o co chodzi? Powiedz mi.

- Tylko o to, że będę za tobą tęsknić, komendancie. Kiedy już zasnę. Na następne 500 lat.

Uśmiechnąłem się i otarłem jej lzy.

- Ale będziesz się czuć, jakby minęła tylko jedna noc. Poza tym, mamy jeszcze całe stulecie, żeby się sobą nacieszyć!

- Wiem - odparła. - To głupie, ale nic nie mogę na to poradzić. Nie mogę przestać myśleć o tym, że każdy dzień, który spędzamy razem, nawet jeżeli cudowny, jest jednym dniem mniej. I o tym, jak długa będzie nasza rozłąka, kiedy czas się skończy.

W końcu przekonałem ją, żeby przestała o tym myśleć. Skuliła się w moich ramionach i zasnęła. Ale teraz to ja byłem zaniepokojony. Seksroboty takie jak ona były zaprojektowane tak, że miały IQ geniusza, ale nie powinny mieć takich uczuć. Miała służyć przyjemności i

być szczęśliwa i beztroska. Tymczasem ona - nie tęskniąc za przeszłością (której nie miała), ani nie bojąc się przyszłości - przeżywała żalobę w terażniejszości, bała się straty, która miała nadejść, utraty chwili, którą właśnie przeżywała. Kiedy spała, wyjąłem narzędzia i po cichu sprawdziłem jej wnętrze. No i proszę, był problem z zawieszeniem jej kapsuły U, spowodowany być może podaniem złego lekarstwa. Tym, co uszkodziło jej mózg, mogła być również wada fabryczna. Była boleśnie świadoma upływającego czasu. Kiedy mówimy o terażniejszości, mamy na myśli przybliżony czas, a nawet wspomnienie, ponieważ moment trwa tak krótko, że jest niemal poza naszymi zmysłami, podobnie jak obracające się planety sprawiają wrażenie tkwiących w miejscu, a roślina rośnie niepostrzeżenie, jednak z Polifonią było inaczej. Dla niej każdy moment w tym strumieniu czasu przychodził i odchodził osobno, spadał jak kamień, tak że każdy moment i jego utrata były jednoczesne i nierozzerwalne. Radość i smutek zlewały się w jedno.

Wiem, o czym myślicie. Jako dowódca musiałem zrobić jedną rzecz: odłączyć jej mózg i pozbyć się ciała. Zawahałem się jednak. Dlaczego? Powiedziałem sobie, że to dlatego, iż odbywamy długą misję i nie wiadomo, gdzie wylądujemy, że potrzebuję jej umiejętności i w dodatku kończyły mi się zapasy części ciała. Ale może chodziło o sposób, w jaki mnie myła, albo o wyraz jej twarzy, kiedy podkręciłem głośność Seksagonu na maksimum. A może chodziło po prostu o jej oddech, który słyszałem, kiedy spała w mojej kapsule. Nie byłem w stanie wcisnąć resetu. I tak zaczęły się moje kłopoty. Ja, dowódca Julius Dogstar, Mistrz Dwunastego Stopnia, sam powinienem był sprawdzić swoją wrażliwość. Powinienem był sprawdzić swój puls i poczuć to mikroskopijne czarne słońce w krwioobiegu, niedostrzegalnie zbliżające się do mojego serca.

Kiedy dojechaliśmy do domu, zamówiliśmy pizzę. To był mój pomysł. Po bezowocnej wizycie w dawnym domu Claya cała ekipa śledcza była ponura i pomyślałem sobie, że to może być dobry sposób na poprawienie nastrojów. Zamówiliśmy dużą (pół margherity, pół pepperoni), czyli coś, co mogliśmy zamówić tylko dlatego, że była z nami Dani. Dla Claire i dla mnie duża pizza była zazwyczaj za duża. W najlepszym wypadku jestem w stanie zjeść cztery kawałki, a Claire poddaje się po jednym albo dwóch. Kiedy wąskobiodra Dani oznajmiła, że pisze się na trzy, Claire spojrzała na nią z szacunkiem.

- Naprawdę? Trzy? Ale... jesteś przecież taka chuda?

Wzruszyła ramionami.

- To przez taniec. Spalam wszystko. Poza tym ćwiczę jogę i pilates.

- Też ćwiczę jogę, a chcę spróbować pilatesu. Mówią, że jest bardzo dobry na rdzeń.

- O tak.

Entuzjastycznie kiwałem głową. Nie byłem pewien, co to ten cały rdzeń i czy mężczyźni też go mają, ale byłem zachwycony, że moje dwie przyjaciółki w końcu znalazły wspólny temat.

- Raz byłem na zajęciach z jogi - oznajmiłem.

- Ty? - zadrwiła Dani.

- To prawda - powiedziała Claire. - Był najgorszy w grupie. Nie jest w stanie nawet odróżnić prawej od lewej.

- Byłem skołowany - powiedziałem. - Przyznaję, nie mam najlepszego na świecie wycucia równowagi.

- No nie da się ukryć - stwierdziła Claire. - Prawie przewrócił ciężarną kobietę.

- Jesteś sztywny jak kołek - dodała Dani. - Strasznie strzykasz,

kiedy się przeciągasz.

- To prawda - powiedziała Claire. - Instruktorka nie pozwoliła mu nawet stanąć na głowie. Bała się, że ją pozwie.

Roześmiały się radośnie, a ja usiłowałem się bronić.

- Powiedziała, że robię dobrą pozycję dziecka.

- Tak. I trupa - rzuciła Dani, co najwyraźniej było tak zabawne, że Claire ze śmiechu wypluła colę. W końcu znalazły coś, co lubiły obydwie - krytykowanie mnie.

Potem napchani serem i poplamieni tłuszczem usiedliśmy spokojnie i otworzyliśmy kolejne puszki z napojami. Próbowałem jako lider drużyny podsumować dzisiejszy dzień.

- Cóż, chyba nie jestem najlepszym detektywem. Nie wiem, co sobie wyobrażałem. Że niby co tam znaleźć? Krwawe odciski stóp?

- A to nie tym zajmują się detektywi? - zapytała Dani.

Wzruszyłem ramionami:

- A skąd mam wiedzieć?

- Wracają na miejsca zbrodni, rozglądają się, szukają wskazówek - dodała. - Nie będziesz wiedział, czego szukasz, dopóki tego nie znajdziesz.

- Columbo by wiedział - powiedziałem.

- Uwielbiam Columbo - stwierdziła Dani, odrywając z kartonu kawałek zaschniętego sera i wkładając go sobie do ust.

- Kim jest Columbo? - włączyła się Claire.

- Taki stary serial telewizyjny, nie pamiętasz go - wyjaśniła Dani. - Zresztą ja też nie.

Wyszczrzyła do mnie zęby.

- Zawsze zwracał uwagę na drobne szczegóły, które inni ignorowali - wyjaśniałem. - Jak na przykład, gdzie są kluczyki do samochodu ofiary albo dlaczego dziewczyna miałaby składać swoje ubrania przed skokiem z okna?

- A dlaczego? - zapytała Claire.

- Została zahipnotyzowana.

- Monk też zauważał te rzeczy - powiedziała Dani. - Lubię go.

- Cóż, Sherlock Holmes też - dodałem. - Napisał całą monografię na temat popiołu z cygar.

- Tego właśnie potrzebujemy - oznajmiła Claire. - Jakiegoś do wodu jak z *Kryminalnych zagadek Las Vegas*. Jak włos w zlewie. Albo ząb.

- Daj spokój - powiedziałem. - Co niby mam zrobić? Wyciągnąć mikroskop? FBI się tym zajmie.

- Lubię tych angielskich detektywów na kanale PBS - stwierdziła

Dani. - Jak inspektor Morse. Albo Lynley. Są bardzo stylowi.

- Ja lubię inspektora Frosta - wtrąciłem.

- Ja też, ale on nie jest zbyt stylowy. Taki staroświecki. Doświadczenie i przeczcucie.

- No cóż, to też nie jest moja silna strona - oznajmiłem. - Jak zwykł mawiać Ed McBain w swoich książkach pisanych w oparciu o niezłą znajomość procedur policyjnych.

- Jest jeszcze *Główny podejrzany* - ciągnęła Dani. - Jak ona się nazywa?

- Helen Mirren.

- Wygląda całkiem niezłe.

- O tak - zgodziła się Claire. - Zwłaszcza w scenie, jak idzie do łóżka z tym młodym, czarnym facetem.

- To jest typ detektywów z podejściem psychologicznym - stwierdziłem.

- Profilerzy - powiedziała Dani. - Jak w *Żądzy krwi*, albo ten cały Hannibal Lecter.

- Ja myślałem bardziej o inspektorze Maigret - stwierdziłem. - Albo o Poirocie. O detektywach, którzy w pewien sposób chłoną atmosferę i utożsamiają się z bohaterami. Trochę jak pisarze, kiedy starają się zbudować prawdopodobny scenariusz.

- No i proszę - powiedziała Claire. - Możesz to zrobić! Tak jakbyś pisał kolejną ze swoich książek. Z wyjątkiem może wiarygodności...

- Mam tylko nadzieję, że nie będę jak Lew Archer albo Philip Marlowe.

- Jak to? - zapytała Dani.

- Oni tylko zataczają się po okolicy, dopóki ktoś ich nie porwie albo nie dostaną łomotu - wyjaśniłem. - Tak samo jak bohaterowie Hammetta, jak na przykład Sam Spade, który ciągle dostaje po głowie. Marlowe'a zawsze ktoś faszkuje narkotykami przy każdej okazji, a on niczego się nie uczy. Kiedy czarny charakter oferuje mu papierosa, za każdym razem go zapala.

- Bo jest zawsze pijany - oznajmiła Dani.

- I czy zauważyłaś - kontynuowałem - że ci goście nigdy się nie myją ani nie śpią, ale za to bez przerwy się gołą? Zawsze mówią: *Poszedłem do domu, żeby się ogolić i zmienić koszulę.*

- Ale dobrze wyglądają w tych swoich garniturach i kapeluszach - zaoponowała Dani. - Lecą na nich nawet *femmes fatales*.

- No i zawsze mają świetne teksty, jak na przykład Humphrey Bogart - stwierdziła Claire. - I nie dają sobie w kaszę dmuchać.

- No i palą papierosy bez filtra i trzymają whisky w biurkach - dodała Dani.

- I zawsze źle kończą przez kobiety - powiedziała Claire, po czym, jakbyśmy wymienili już wszystkie filmy i książki, w pokoju zapadła cisza. Claire odepchnęła krzesło, beknęła cicho i poszła spać na kanapę. Dani wstała i zaczęła sprzątać ze stołu. Pozbierałem puste puszki i podążyłem za nią.

- Pamiętam - powiedziałem - że kiedy byłem dzieckiem - nie wiem, ile miałem lat, ale było to w podstawówce - w sąsiedztwie grasował gwałcieł. Widziałem portret pamięciowy i opis podejrzanego, który policjanci przykleili do latarni. Wciąż go pamiętam. Miał okulary, wąsy i przedziałek. W każdym razie na ogłoszeniu napisane było, żeby uważać na tego gościa i zgłaszać na policję wszelkie informacje bądź wskazówki. Wziąłem to bardzo poważnie. Zacząłem się rozglądać, kiedy wracałem ze szkoły, wypatrywałem faceta i, co dziwniejsze, szukałem wskazówek. Miałem nawet szkło powiększające.

Dani roześmiała się cicho, płucząc naczynia. Claire rozwalila się na plecach przez sen. Mówiłem dalej.

- Pamiętam, że zbierałem takie przypadkowe rzeczy, które z jakiegoś powodu uznawałem za wskazówki. Mały medalion, o którym myślałem, że jest ze złota, chociaż pewnie w najlepszym wypadku był ze zmatowiałego mosiądzu. Zatyczkę na kabel - no wiesz, takie plastikowe coś, co się zakłada na kabel elektryczny. Opakowanie od cygara, które wciąż pachniało. Było fioletowe, ze złotym napisem, co wydawało mi się eleganckie. Trzymałem te wszystkie rzeczy w pudełku na buty, wahałem opakowanie po cygarze i udawałem, że je palę, kiedy patrzyłem na nie czekając na olśnienie. Pewnego dnia przechodziłem przez taki zaułek i usłyszałem krzyk. Oczywiście byłem przerażony. Byłem pewien, że ten gwałcieł właśnie kogoś atakuje. Chciałem uciekać, ale zmusiłem się, żeby spokojnie przejść do końca zaułka, który prowadził na tyły budynku. Pamiętam, że się skradałem, serce tłukło mi w piersi, a plecy miałem przyciśnięte do ściany. Potem zebrałem w sobie całą odwagę, zajrzałem za róg - przerwałem na moment i Dani zerknęła na mnie.

- I co? Co tam było? Gwałcieł?

- Oczywiście, że nie. Nic tam nie było. Schody do piwnicy. Kto wie, skąd dobiegł ten krzyk? Może ktoś się kłócił albo był to tylko telewizor. Może to nawet nie był krzyk. Może to jakiś dzieciak się śmiał. Ale kiedy zajrzałem za róg, zeszytniały z przerażenia, zobaczyłem jedną rzecz: leżące na ziemi wypalone do połowy cygaro,

tuż przede mną. Taśma była fioletowo złota, dokładnie jak opakowanie, które znalazłem.

- Jo! I co się później stało?

- Nic. Złapałem niedopałek, który uznałem za dowód i uciekłem stamtąd do domu. Włożyłem niedopałek do pudełka, ale kiedy mama poczuła zapach, wszystko mi zabrała. Obiecała mi, że przekaże to wszystko policji, ale gliny z jakiegoś powodu nigdy nie zrozumiały mojego konceptu.

Dani roześmiała się.

- W każdym razie, puenta tej historii...

- Właśnie się zastanawiałam - oznajmiła.

- Cóż, oczywiście żadne z tych przedmiotów nie miało związku z gwałcicielem.

- Oczywiście.

- To wszystko działo się tylko w głowie dziecka. Nawet to, że cygaro pasowało. Co to było? Tylko przypadek.

- Dziwny zbieg okoliczności?

- Ale nawet nie aż tak dziwny na dobrą sprawę. Cygaro i opakowanie? Prawdopodobnie jakaś tania marka, którą można było dostać wszędzie. Pewnie było ich pełno. Zauważyłem to dlatego, że się przyglądałem. Zwracamy na coś uwagę i zaczynamy dostrzegać więcej. Jak na przykład puszkę po coli, urwane sznurowadła albo rudego mężczyznę w niebieskich skarpetkach. Kto wie, co jeszcze mogło być w tym zaułku, niewidoczne dla mnie, na co jeszcze zwróciłbym uwagę, gdybym zaczął obserwować. Coś w rodzaju, powiedzmy, paczki po newportach, albo podarte losy na loterię, wszystkie z numerem sześć? Czasem myślę, że to nie poszlaki prowadzą do rozwiązania zagadki, tylko to właśnie zagadka zamienia wszystko w poszlakę.

- Wiem, o co ci chodzi - powiedziała Dani, zakręcając kran i susząc dłonie. - Miałam tak, jak umarła moja siostra. Nie widziałam jej od lat. Ale nagle wszystko zaczęło mi o niej przypominać. Reklama papierowych ręczników, stara piosenka. Widziałam ją wszędzie. Kiedy skręcałam za jakiś róg albo jechałam samochodem, wydawało mi się, że gdzieś mi mignęła. Gdy żyła, w zasadzie dla mnie nie istniała. Ale kiedy umarła, była wszędzie.

Wyciągnąłem rękę i dotknąłem dłoni Dani. Ścisnęła mnie mocno za nadgarstek, ale szybko go puściła i poszła wziąć papierosy z torebki. Spojrzałem na kanapę i zauważyłem, że Claire jednak nie śpi, leżała tylko na kanapie z otwartymi oczami i nasłuchiwała.

- Muszę niedługo iść i przebrać się do pracy - powiedziała Dani,

pałac przy otwartym oknie. Zasłona poruszyła się, jakby ktoś za nią stał i miał się zaraz ujawnić.

Złapałem leżące na stole klucze Claire i wyszedłem z Dani. Teraz, kiedy byliśmy sami w windzie i po drodze do samochodu, powróciła niezręczność. Bardzo chciałem coś powiedzieć. W głowie ponownie rozbrzmiało mi pytanie zadane przez Claire poprzedniego dnia: *A jeżeli Clay jest niewinny?*

Wątpliwości Flosky i Trio łatwo można było wytłumaczyć oportunizmem. A co z przekonaniem o jego winie reszty? Czy ono również nie było podyktowane własną korzyścią? Gdyby Clay okazał się niewinny, byłaby to tragedia dla Townesa, policjantów i sądów. Sama sugestia jego niewinności wkurzyłaby Tонера i inne rodziny ofiar. Sam czułem się okropnie, myśląc w ten sposób w towarzystwie Dani. Otworzyłem jej drzwi samochodu, po czym sam do niego wsiadłem.

- Dani... - powiedziałem, zamykając drzwi.
- Nic nie mów - przerwała mi. - Po prostu to zrobimy.

Kiwnąłem głową i zapaliłem. Przejechałem około dwie przecznice i znalazłem cichą uliczkę. Kiedy parkowałem w odludnym miejscu za ciężarówką i pod drzewem, spojrzałem w lusterko i wydawało mi się, że widzę niedaleko dyskretnie zaparkowany nowy model chevroleta impala. Ktoś nas śledził. A przynajmniej tak to wyglądało. Dani złapała mnie za ramię. Przenieśliśmy się na tylne siedzenie. Kiedy zdjęła sweter i odpinała guziki dżinsów, wyjrzałem szybko przez okno. Nie widziałem samochodu. Wtedy Dani przycisnęła się do mnie i zamknąłem oczy.

Przez następne kilka dni śledziliśmy Dariana Claya sprzed lat i nawet pomimo tego, że miejsca, które odwiedzaliśmy, były wyjątkowo ponure, Claire, Dani i ja zachowywaliśmy się jak nieszczęśliwa rodzina na wakacjach: ja prowadziłem, Dani źle czytała mapę, a Claire wylegiwała się z tyłu, wygłaszając sarkastyczne komentarze, narzekając na mdłości, głód, a po lunchu ponownie na mdłości. Wydawało się, że ona i Dani nie nienawidzą się bardziej niż większość krewnych i ta normalność, nawet jeżeli złudna, dawała mi poczucie bezpieczeństwa. Co mogło się stać grupie normalnych ludzi w samochodzie, jeżdżących sobie w kółko i drących się na siebie nawzajem w biały dzień? Wieczorami zamawialiśmy jedzenie (chińskie, japońskie, malezyjskie) i oglądaliśmy powtórki *Prawa i porządku* w nikłej nadziei usłyszenia czegoś pomocnego. Ale jedyne, czego się z tego serialu nauczyłem, to to, że jeżeli chcesz się dowiedzieć, do kogo dzwonił podejrzany, należy sprawdzić jego biling. Dani pomagała Claire w jodze i pilatesie, a potem, ku mojej konsternacji, pokazała jej też podstawowe ruchy „taneczne” co sprawiło, że Claire zmieniła zdanie na temat striptizerek.

- To nie znaczy, że wybrałam nową ścieżkę kariery - wyjaśniała mi nad poranną porcją płatków.

- To dobrze - pomachałem łyżką w celu podkreślenia dramatyzmu sytuacji. - Właśnie dlatego musisz odrabiać prace domowe. To znaczy, robić je sama.

- Ale Dani przynajmniej jest miła i opowiada ciekawe historie. Na przykład, czy wiedziałeś, że *Preparation H*, ten krem na tyłek, może też działać na worki pod oczami?

- Będę musiał spróbować.

- Wolę, żeby mój tata umawiał się ze striptizerkami niż tymi mar-

nymi małymi asystantkami w kostiumach z mini, które zawsze usiłują mnie przytulać. Ohyda.

We trójkę pojechaliśmy do Astorii, żeby znaleźć dom Jarrelów, gdzie mieszkała ich córka Nancy, zanim ją zamordowano. Przez całą drogą wypatrywałem chevroleta impala, ale nigdzie nie było go widać i uznałem, że mam paranoję.

Znaleźliśmy jakiś budynek, ale adres był już nieaktualny. Wędrując po ulicy stwierdziliśmy, że stary dom, podobnie jak wiele innych jedno- czy dwurodzinnych domów w okolicy, został zburzony, a na jego miejscu powstała dziesięciopiętrowa konstrukcja ze stali i szkła. Zaparkowaliśmy i podeszliśmy do wejścia nowego biurowca. Stali tam ludzie ubrani w służbowe uniformy, z kartami identyfikacyjnymi zawieszonymi na szyjach i palili papierosy. Zastanawiałem się, co myślą sobie Jarrelowie. Po morderstwie i cyrku, w jaki zamienił się proces, sprzedali dom i przeprowadzili się w głąb kraju. Być może byli zadowoleni, że znaleźli kupca, który gotów był zburzyć to, co dla nich było tylko wspomnieniem koszmaru: dom, który zmienił się w bolesną pamiątkę. Mimo to byłem przygnębiony. Clay ukradł przyszłość tej dziewczyny. Teraz jej przeszłość również została wymazana przez jakieś puste pudło, w którym widzieliśmy tylko nasze odbicia.

Hicksowie mieszkali na wsi, przynajmniej według moich standardów, gdzieś w Pensylwanii, ale ich córka mieszkała w Washington Heights, gdzie studiowała aktorstwo i pracowała jako kelnerka w jednej z restauracji w centrum. Poszliśmy tam, właściwie bez żadnego powodu, oprócz tego, że była pora lunchu. Usiedliśmy na zewnątrz, nie zważając na chłód. Podawali tam „kręcone” frytki, a cheeseburger z bekonem, który zamówiła Dani, nazywał się „chrupkacz”. Było mi żal naszej kelnerki, uśmiechającej się z desperacją w swoim stroju z poliestru i chichoczącej, gdy namawiała nas na „ogromniaste fantastyczne nachos z serem i pieprzem”.

Claire posłała jej zza przyciemnionych szkieł spojrzenie w swoim stylu:

- Wątpię, żeby były fantastyczne. Poproszę superserową quesadillę, choć brzmi to cokolwiek pretensjonalnie...

- Totalnie - pisnęła przestraszona biedna dziewczyna. Widziałem w niej cechy wspólne z Janet Hicks. Była zachłanna, wygłodniała, oszalała i tak przerażona tym, że może nigdy nie zostać gwiazdą, iż zapomniała bać się Dariana Claya i pognała prosto ku swej zgubie. Minęliśmy szkołę aktorską, która wciąż stała na miejscu. Mieściła się na górnym piętrze w biurowcu w środku miasta, gdzie Darian rozwieszał ogłoszenia, że szuka modelek. Potem jechaliśmy dalej

Washington Heights. Wydawało mi się, że na Broadwayu ujrzałem za nami błyskającego światłami czarnego chevroleta impala.

Janet Hicks mieszkała z dwiema współlokatorkami na dziesiątym piętrze budynku nieopodal Riverside Drive. Rankami biegała wzdłuż rzeki, piła sok z dominikańskiej kawiarni, chodziła na zajęcia aktorskie, które trwały aż do popołudnia, a potem całe wieczory spędzała podając niedobre, zbyt drogie hamburgery.

Szliśmy wzdłuż jej ulicy, po czym skręciliśmy do parku. Czuć było, że niedaleko jest Uniwersytet Columbia i choć luksusowe apartamentowce wyparły stąd część zwykłych mieszkańców, jednak okolica zmieniała się w znacznie mniejszym stopniu niż inne dzielnice miasta. Ludzie w sklepach rozmawiali po hiszpańsku. Z okien wychylały się starsze panie, a matki siedziały na podestach schodów, obserwując dzieci bawiące się na ulicy. Słońce już zachodziło i na długości całej ulicy majaczyły stare, wielkie budynki, niczym statki spuszczone podczas wodowania na wodę. Wkrótce miał zapaść zmrok i ktoś puścił salsę na cały regulator z okna mieszkania lub samochodu, tak żeby usłyszeli wszyscy na ulicy. Wkrótce nadejdzie lato i ktoś odkręci hydrant dla dzieciaków.

A wieczorem, po wizycie w miejscach, które rozpoznawaliśmy tylko my, Dani i ja ukrywaliśmy się na parkingach i w alejkach, kontynuując nasz dziwny rytuał: bez słów, wśród uścisków i szarpaininy, na tylnym siedzeniu samochodu.

Stary dom Tonerów w Great Neck, pomimo wielokrotnej zmiany właścicieli, wyglądał dokładnie jak na zdjęciu, które miałem ze sobą - białe kolumny i duży trawnik za wysoką bramą. Sam Toner mieszkał teraz ze swoją nową żoną w jeszcze większym domu w jeszcze zamożniejszej dzielnicy nieopodal. Dla nas jednak większe znaczenie miała fabryka, którą odziedziczył po ojcu zamordowanej żony i ciągle był jej właścicielem, a gdzie Clay był przez chwilę zatrudniony. Był to długi budynek bez okien, z ogrodzeniem zwieńczonym drutem kolczastym. Od Townesa wiedziałem, że produkują w tej fabryce plastikowe worki, ale tak naprawdę mogli tam produkować w zasadzie cokolwiek. Okrążyliśmy budynek kilka razy, zaparkowaliśmy przed wejściem i gapiliśmy się na wjeżdżające i wyjeżdżające ciężarówki. Dzień zbliżał się ku końcowi, a my byliśmy zmęczeni. Wszyscy rozmawialiśmy przez komórki, kiedy ktoś zastukał w szybę po stronie Dani.

Podskoczyła.

- Kurwa!

Był to strażnik z fabryki Tonera. Dani otworzyła okno.

- Tak?

- Przepraszam, szukacie tu czegoś?

- Nie. Po prostu sobie siedzieliśmy - odparła. - Może być?

- Cóż, widziano państwa tu już wcześniej, tylko o to chodzi.

- Widziano?

- Kamery was zarejestrowały - wskazał palcem, a naszym oczom ukazały się kamery przymocowane do słupów ogrodzenia.

- Poczekaj - powiedziała Claire do telefonu i pochyliła się, żeby zajrzeć strażnikowi w twarz.

- Na znaku napisane jest, że nie można tu parkować w czwartki, a

jest piątek, więc wszystko powinno być w porządku.

- Nie ma problemu, proszę pani - uśmiechnął się sztywno i dotknął brzegu czapki, co mogło być parodią salutowania. - Tylko się upewniam. Miłego wieczoru.

Obserwowaliśmy jego plecy, gdy przechodził przez ulicę i wchodził przez bramę, która zamknęła się za nim.

- Dziwne - stwierdziła Claire.

- Zabierajmy się stąd - powiedziała Dani. - Ten koleś trochę mnie wystraszył.

- Wiesz, co jeszcze jest dziwne? - włączyłem silnik. - Mam nadzieję, że to was nie wystraszy, ale ciągle widzę taki śledzący nas czarny samochód. To chyba policja. Albo federalni.

- Wiem - powiedziała Dani. - Też wszędzie go widzę.

- Ja też - dodała Claire z tyłu.

Po głowie chodziła mi jeszcze jedna rzecz, o której nie wspomniałem: jutro na naszej liście była Dora Giancarlo. Myślałem o tym, odkąd zaczęliśmy to makabryczne tournée po miejscach związanych z Darianem, wiedziałem, że ten moment nadejdzie. Mimo to unikaliśmy wszelkich rozmów na ten temat. Nie wspomnieliśmy o tym również i tego wieczoru, podczas jazdy samochodem z fabryki do jej mieszkania, gdzie odrzuciła moją propozycję, by poszła z nami coś zjeść. Kiedy spróbowałem pocałować ją na dobranoc, podsunęła mi policzek.

- Znowu cię olała, co? - zapytała Claire. Wskoczyła na przednie siedzenie. Zanim ruszyłem, upewniłem się, czy zapięła pasy.

- Zauważyłaś?

- Tak. Zauważyłam również jedną z jej skarpetek za tylnym siedzeniem.

Wzdrygnąłem się.

- Przepraszam.

- Więc zakładam, że nie było jej wczoraj tak zimno. A przynajmniej na tyle ciepło, że zdjęła ciuchy.

- Cóż, tak do końca to ich nie zdjęła. Może przy tobie robi się nieśmiała.

- Nieśmiała? Tańczy na rurze. Raczej nie ma z tym problemu.

Ruszyłem w stronę restauracji White Castle, do której Claire chciała tego dnia iść na kolację; kolejny powód, dla którego Dani mogła odmówić. Zapadła cisza. Czuję na sobie spojrzenie Claire.

- No co? - zapytałem.

- Nie chcę być niegrzeczna, ale jesteś trochę tępawy, więc...

- Tak?

- Słuchaj, Dani jest w porządku, ale ma dziwnie silnego hysia na punkcie tych morderstw, swojej siostry i tak dalej. To nie ty ją tak kręcisz. To on.

Siostra Dani mieszkała na Lower East Side. Miała stypendium w szkole uczącej aktorstwa i śpiewu i dorabiała sobie jako modelka. Przejechaliśmy obok jej starego mieszkania na Clinton Street, a potem wybraliśmy się na rozpoznanie na kampus Uniwersytetu Nowojorskiego, który wydawał się rozpełzać niczym mrowisko, zajmując niegdyś dzikie tereny śródmiejskie i wypełniając je dronami. Nawet 12 lat temu, kiedy Dora tu mieszkała, okolica nie była już tak niebezpieczna. W latach 90, zaczęło się tu sprowadzać coraz więcej w miarę zamożnych osób, co skutecznie wypędziło stąd zarówno dilerów, złodziei, jak i zwykłych biedaków, artystów i mniejszości etnicznej. Dora powinna była być tu w tych latach bardziej bezpieczna niż w jakimkolwiek innym miejscu i okresie historii Nowego Jorku. Być może miała po prostu pecha. Albo może nowi mieszkańcy dzielnicy przyciągnęli tu nowy typ sprytniejszego i bardziej bezwzględnego drapieżnika?

Dani uważała, że jej siostra mogła zobaczyć plakat oferujący godziwą zapłatę za pozowanie, przyklejony w jednej ze studenckich sal. Zadzwoniła tam ze swojego mieszkania i później, 9 lutego 1997 roku pojechała na Queens, by spotkać się z Darianem Clayem.

- A przynajmniej tak myślą - powiedziała Dani, siedząc obok mnie. Staliśmy w korku i zdałem sobie sprawę, że siedząca z tyłu Claire tylko udaje, że nas ignoruje.

- To właśnie powiedziała rodzicom. Nie podała żadnego nazwiska ani nic w tym rodzaju. Powiedziała tylko, że będzie pozowała następnego dnia jakiemuś fotografowi i że finansowo nie jest to jakaś wielka sprawa, ale że ma też nadzieję na dobre odbitki do swojego portfolio. Mógł również podejść do niej w jakiejś kawiarni albo nawet po prostu na kampusie. Ludzie cały czas ją zaczepiali z powodu jej

wyglądu - kiedy zdała sobie sprawę z tego, że chcąc nie chcąc, opisuje również siebie, zmarszczyła nos z zakłopotania. - Wychodziła z domu dużo częściej niż ja, była bardzo charyzmatyczna. To dlatego to ona była gwiazdą - roześmiała się. - No, była również utalentowana. W każdym razie gdzieś tam ją znalazł i namówił na sesję zdjęciową.

- Widziałas je? - zapytała Claire. Dani spojrzała na nią i uśmiechnęła się blado. - Te zdjęcia?

- Nie te krwawe. Widziałam zwyczajne zdjęcia znalezione w studiu Claya, o których mówił, że się na nie zgodziły. Gliniarze pokazali je nam, żebyśmy mogli ją zidentyfikować. To były zwyczajne zdjęcia, ale czułam, że coś było z nimi nie tak. Podobnie jak z nią. Zasmuciły mnie. Ale to w sumie oczywiste. To znaczy, po tym, co się stało. Prawda jest taka, że nie widziałam ani jej, ani naszych rodziców od lat. Mieszkałam wtedy w San Francisco i wróciłam dopiero wtedy, gdy się dowiedziałam, że nie żyje. Kiedy zobaczyłam te zdjęcia, nagle zrobiło mi się jej szkoda. Przypomniało mi się, że jak byliśmy małe, jej zdjęcia i filmy były wszędzie w całym domu - przedstawiały lekcje śpiewu i tańca, recytację wierszy podczas kolacji, pierwsze zdjęcia portretowe, z makijażem i fryzurą, czy też ją w jej pierwszej płatnej pracy, jak pozuje uśmiechnięta w pizamie do jakiegoś katalogu. Moja matka wszystko wycinała i zbierała. Bóg wie, co potem zrobił z tym ojciec. Zamiast zazdrości, niechęci czy poczucia niższości, które czułam wcześniej, było mi po prostu smutno, że musiała przez to przejść. Nie tylko z powodu śmierci. I chyba masz rację - to terażniejszość sprawia, że przeszłość wydaje się przygnębiająca, jakby z góry skazana na to, co ma się zdarzyć. Jak gdyby był w niej już smutek z powodu przyszłych wydarzeń, choć przecież teoretycznie wszystko może się jeszcze w najrozmaitszy sposób ułożyć. I kiedy oglądam dziś te zdjęcia młodej dziewczyny patrzącej w obiektyw, nie przychodzi mi do głowy nic innego poza myślą, że miała pecha. Straszliwego pecha.

Fragment powieści *Kędy powiedziesz, dowódcu Statku Zdzir*, rozdział 7:

Sen w stanie zawieszenia. Podręcznik Dobrego Samopoczucia w Czasie i Przestrzeni zaleca odwrócenie ekranu od najbliższego słońca i ustawienie go na słońce położone dalej, na drobne pęknięcia i dziury w czarnej kopule wszechświata. Zaleca się również Historię w ramach specjalnego rytuału przed snem. To pozwala nie tylko na regulację zegara biologicznego, ale także dostarcza materiału potrzebnego do snów w trakcie przeciągniętej na stulecie fazy REM, redukuje częstotliwość występowania nocnych mar i koszmarnych snów w stanie anabiozy, które mogą powodować konfuzję, wyczerpanie, a czasem szaleństwo u śpiącego. Co prawda załamania nerwowe zdarzają się bardzo rzadko, ale wiele osób obudziło się w kopule z przesiąkniętą łzami poduszką albo skórą zdartą do żywego. Spędzali godziny, lub nawet dni, usiłując dojść do tego, co jest rzeczywiste, a co było spowodowane trwającym dziesięciolecia snem o martwych krewnych lub potworach.

Osobnicy podróżujący w celach komercyjnych nagrywali nawet filmy na chipach, żeby mogli sobie potem przypomnieć, kim są.

Tego wieczoru, kiedy płynęliśmy przez czas w kierunku odległej gwiazdy, którą nasze wykresy nazywają Sol, położyłem głowę na kolanach Polifonii, a ona czesała mojego kuca, przycinała mi brodę i włosy w uszach i opowiadała starą, znaną mi historię:

- Pewnego razu był sobie zorgoński rzemieślnik (Dziewiątego Stopnia) o imieniu Rufus Camilius. Miał nieduży zakład w Mylar, w starym Centrum Rozkoszy, w którym budował seksandroidy i mieszkał ze swoją piękną córką, Clio. Był niedościgniony, szczególnie wspa-

niale odtwarzał ciała ludzi. Plotka głosiła, że nawet Księżę Drago we własnej osobie nosił w tylnej kieszeni kawałek stworzonej przez niego skóry z pośladka, niby amulet, i nawet podczas długiego, zimnego marszu do Bagiennej Ziemi i bitwy o Dork miał go przy sobie i dotykał, by dodać sobie odwagi. Jednak moda zawsze idzie do przodu i Rufus zorientował się, że nie ma już takiego szalu na doskonale zrobione androidy. W modzie były modyfikacje genetyczne, wszyscy chcieli masowo wytwarzanych klonów. Nauka była przyszłością i nikt nie interesował się sztuką wysoką czy też staroświeckim rzemieślnictwem. Biedna mała Clio żyła na jednej misce kleiku dziennie, a Rufus żuł tylko kawałki wytworzonej przez siebie, niegdyś słynnej skóry, co nieco eliminowało skurcze głodu. Mimo że miał wiele okazji, by sprzedać piękną, młodą Clio, zawsze odmawiał z powodów sentymentalnych. Wydawało się jednak, że będzie to nieuniknione. Potem wpadł na pomysł: połączy starożytną sztukę projektowania androidów z nową techniką genetycznego klonowania. To była jego ostatnia nadzieja. W warsztacie przetopił całe ciało, które miał, zdarł obwody ze swojej własnej sztucznej stopy i kiedy jego córka spała, wyrwał jej z głowy złoty włos. Potem pracował bez przerw na sen i jedzenie, dniem i nocą, dopóki nie wyprodukował pierwszego modelu, który nazwał Clio II.

Model okazał się przebojem. Sprzedał wiele egzemplarzy i wkrótce zabrał się za drugą część swojego planu. Nagabywał celebrytów, najbardziej popularnych wykonawców z Satelitowego Kasyna czy Holo-Tuby i zarejestrował ich materiał genetyczny. Teraz każdy, kogo było na to stać, mógł zrobić sobie seksniewolnika ze swego ulubionego aktora, aktorki, muzyka czy polityka. Zbudował piękny dom i ubierał córkę w piękne szaty. Codziennie jedli baraninę i świeżą pleśń kosmiczną.

Jednak pewnego wieczoru przy drzwiach pojawił się nieoznakowany hydro-wagon. Rufusa odwiedził nie kto inny, jak sam Wyższy Lord Malodour. Miał na sobie czarny kaptur i pelerynę. Był w głębokiej żałobie. Zmarła jego ukochana żona, Lady Plumm, a on szalał z rozpaczy. Powiedział, że zapłaci każdą cenę, a także zapewni Rufusowi pomoc, swoje wpływy i ochronę, jeżeli ten zrobi dla niego jedną rzecz. Otworzył pokrytą aksamitem skrzynkę i wyciągnął z niej włos Lady Plummm.

Rufus nie miał wyboru. Odmówienie Malodourowi oznaczało pewną śmierć. Wrócił więc do warsztatu i stworzył idealną replikę damy serca Wyższego Lorda, prosząc jedynie, by pod żadnym pozorem nie wypuszczał jej z lochu. Wyższy Lord był dozgonnie wdzięczny.

Obsypał Rufusa bogactwem i zaszczytami. Jednak wszystko na nic. Kości zostały rzucone. Życie Rufusa zmieniło się w udrekę, odkąd kilka dni później ponownie rozległo się pukanie do drzwi. Tym razem u jego progu pojawił się Książę Krwi, któremu w wyniku wypadku ze smokiem zmarła piękna gosposia. Miał ze sobą wszystko, co mu po niej pozostało - wiotka prawa dłoń na satynowej poduszce. Rufus nie mógł odmówić Księżciu. Następnym błagającym był handlarz przyprawami z innej Plejady. Odszedł jego ukochany niewolnik Bono - zakochał się w minstrelu z przelatującej obok gwiazdy i porzucił go. Groził, że jeżeli Rufus nie spełni jego prośby, zdemaskuje go. Rufus więc zgodził się niechętnie. Przychodzili tak jeden po drugim, był to niekończący się strumień wdowców, sierot i złamanych serc - niektórych ich ukochani opuścili, innych zdradzili, a jeszcze innych po prostu zawiedli. W końcu pewnego świtu pojawił się Hrabia Stark, słynny rycerz i kompozytor muzyki na lutni, ze skrzynią wypełnioną klejnotami.

- O co chodzi? - spytał umęczony Rufus. - Umarła? Zostawiła cię?

- Nie - odparł nieszczęsny rycerz. - Jest z nami, w tej chwili spoczywa w łóżu w mym domu. Ale jest inna, niż kiedy ją poznałem. Zmieniła się...

Następnego dnia Dani, Claire i ja rozpoczęliśmy Fazę Drugą mojego planu (Faza Pierwsza nie przyniosła żadnych efektów): wizyty w domach ostatnich ofiar, tych, które już widziałem, w celu odkrycia jakiegoś wzoru albo powiązania, które mogłoby łączyć te morderstwa ze starymi. Był jednak pewien szkopuł: zważywszy na to, że mieszkania dziewcząt wciąż były scenami zbrodni, a ja byłem podejrzanym, policyjna eskorta mogła nie być tak dyskretna i życzliwa jak ostatnio.

I tak, owego jasnego, przejrzystego, zimno-wiosennego poranka, Madam Sibylline Lorindo-Gold ponownie wyłoniła się ze swej samotni. Tym razem byłem całkowicie przebrany - miałem czarną sukienkę, pończochy i w ogóle wszystko oprócz butów. Claire upierała się przy obcasach, ale nie byłem w stanie założyć choćby zwykłych butów mamy, więc włożyłem jedyne wysokie buty, jakie u siebie znalazłem - wojskowe trzewiki. Miałem na twarzy tak wielką ilość podkładu, jakbym nakładał go szpachlą, do tego czerwoną szminkę, eyeliner i róż do policzków. Powieki w odcieniu *midnight blue*.

Dani i ja zebraliśmy swoje rzeczy, w tym małą torbę podrózną z moimi normalnymi ciuchami. Claire pełniła wartę przy oknie.

- Jest! - zawołała z głową w zasłonie. - Czarny sedan na dziesiątej!

- Dziesiątej?

- Tam, gdzie ten hydrant po drugiej stronie ulicy.

- Doskonale - skomentowałem.

Dani zadzwoniła z komórki.

- Dobra, stoi - powiedziała do telefonu. - Czarny wóz policyjny przy hydrancie po twojej lewej - zamknęła kłapkę telefonu.

- Bierzmy się do roboty.
- Powodzenia - zawołała Claire spod zasłony. Jej stopy w adidassach podrygiwały z podniecenia.
- No tak - założyłem czarny słomkowy kapelusz z małymi różyczkami i wyszliśmy.

Kiedy zeszedliśmy do hallu, podałem Dani walizkę i wziąłem w dłoń laskę z gumową końcówką. Nie wychodziliśmy, czekaliśmy jedynie przy drzwiach. Wtedy usłyszeliśmy odgłos dobiegający gdzieś z dołu. Jakby z kanału ściekowego, który musiał się znajdować pod naszymi stopami, dobiegały głębokie fale dźwiękowe. Jakby przybyła po nas Godzilla pożerająca Brooklyn.

- Tam jest! - powiedziała Dani, wskazując na wielkiego zło tego cadillaca coupe z aluminiowymi felgami. To RX738 przyjeżdżał nam na ratunek.

Podjechał i zatrzymał się, zajmując dwa miejsca parkingowe tuż pod nosem policjanta. Wyszliśmy na zewnątrz. Dani przytrzymała drzwi i ujęła mnie za ramię. Opierałem się o laskę i udawałem, że jestem starą kobietą z artretyzmem. Przetoczyliśmy się razem do jej przykurzonego datsuna, który zaparkowała na końcu ulicy. Otworzyła drzwi od strony pasażera i pomogła mi wejść. Kiedy sama wsiadała, zerknąłem w tylne lusterko i zauważyłem nasz cień, gliniarza albo agenta, białego kolesia w okularach przeciwsłonecznych. Wyklócał się z RX-em.

- No to jedziemy - powiedziałem do Dani, kiedy wsiadła. Zerknęła w bok.

Tymczasem RX wysiadł z samochodu. Był jeszcze większy, niż go zapamiętałem. Miał ponad metr dziewięćdziesiąt i jego afro wyglądało, jakby ktoś posadził mu żywopłot na głowie. Wdał się w pogawędkę z chudym białym gliniarzem. Kiedy Dani włączała silnik, zauważyłem, że rozmowa zaczęła nabierać rumieńców. Biały chłopak wymachiwał ramionami, a RX zapędział go w kozi róg. Biały chłopak wyciągnął odznakę, a RX roześmiał się tylko. Wtedy biały chłopak wyciągnął broń.

- Kurwa! - syknąłem. - Nie wygląda to najlepiej. Może powinniśmy odpuścić?

- Nie martw się - odparła Dani, wrzucając bieg. - RX sobie poradzi.

RX dalej wyglądał, jakby się nigdzie nie spieszył ani niczym nie martwił: uniósł ramiona z wyciągniętymi dłońmi w górę, po czym umieścił je na dachu samochodu. Kiedy Dani wyjechała na ulicę, zobaczyłem, że z cadillaca wysiada jeszcze jeden pasażer, którego

wcześniej nie zauważyłem. Był to przysadzisty biały mężczyzna w granatowym garniturze w paski. Również on miał ramiona wyciągnięte w górę, jednak w dłoni trzymał wizytówkę.

- Kto to? - zapytałem.
- Jego prawnik - odparła, dodając nieco gazu.
- Bogu dzięki za to, że stworzył prawników! - oznajmiłem. - Jeżeli kiedykolwiek będę bogaty, załatwię sobie jednego.

Do rogu ulicy podjechała powoli; zamieszanie, które zostawiliśmy za sobą, kurczyło się w lusterku wstecznym. Potem Dani wcisnęła gaz do dechy i wjechaliśmy na Bulwar Północny. Kiedy jechaliśmy przez miasto w kierunku Horatio Street i domu Morgan Chase, ja przebierałem się w samochodzie w męskie ubrania i wycierałem makijaż chusteczkami.

Krążyliśmy wokół jej bloku, wypatrując miejsca do parkowania i czających się w okolicy glin. Ale nie było ich tam. Wszystko wyglądało tak, jakby nic się tu nie zdarzyło. Obok nas przejechała klekocząc ciężarówka z logo UPS, jakiś taksówkarz nacisnął na klakson. Młode matki pchały po nierównym chodniku wózki przypominające bardziej luksusowe terenówki niż wózki dziecięce. Wyglądało na to, że nawet wiosna przyszła tu wcześniej: kwitnące drzewa ukazywały cienkie listki w kształcie serc i motylków, a przy każdym podmuchu wiatru to olśniewające konfetti spadało na zaparkowane w okolicy samochody, mężczyznę w garniturze rozmawiającego przez telefon czy starszą panią opierającą się o dwie laski, zakończone, podobnie jak moja, gumą. Do budynku, gdzie mieszkała Morgan, wciąż bardzo łatwo można było się włamać, ale drzwi do mieszkania pozostawały zamknięte i zabezpieczone taśmą policyjną.

- I co teraz? - zapytała Dani, wytrząsając nasionko z włosów.
- Założę się, że okno jest otwarte, żeby się trochę tam wywietrzyło. Możemy spróbować od schodów przeciwpożarowych.

Weszliśmy więc na dach, przeszliśmy na tył budynku, a potem w dół schodami przeciwpożarowymi, tak cicho, jak to tylko było możliwe.

Szczęśliwie dla nas był to weekendowy poranek, więc okna pozostałych mieszkań były jeszcze zamknięte, a zasłony zasunięte. Nikt nas nie obserwował. Okno Morgan pozostawiono otwarte na szerokość kilku centymetrów, wejścia broniła jedynie cienka zasłona. Popchnąłem okno, rozchylając je bardziej i przelazłem do środka. Dani zrobiła to samo.

Ktoś posprzątał mieszkanie, a przynajmniej usiłował. Usunięto nasączony krwią materac, a także pościel. Został stelaż z metalu, z

zagiętym żebrowanym zagłówkiem. Wyglądał jak jakaś abstrakcyjna rzeźba, pułapka albo pojazd, ale nie czyjeś zaciszne gniazdo. Podłogę pod nim wyszorowano do takiego stopnia, że zdarł się lakier i była teraz jaśniejsza niż reszta. Jednak wszystkie te próby usunięcia śladów zbrodni sprawiły jedynie, że pokój zdawał się jeszcze bardziej upiorny. Pomyślałem o historyjce porno, którą napisałem o Morgan dla Claya. Miała miejsce w tym pokoju.

Oczywiście policja przedarła się już przez to pomieszczenie ze szczypczykami i szkłem powiększającym, jednak dalej w nim szperaliśmy, szukając czegoś, co mogło w jakiś sposób łączyć się z nieokreślonym czymś innym albo co mogło się wydać istotne w świetle znalezionej przez nas wcześniej niczego. Nie mieliśmy szczęścia. Dani wykazała makabryczne zainteresowanie starym albumem rodzinnym, a ja odkryłem ułożone w rzędy małe szklane słoiki. Każdy był wypełniony suszonymi ziołami i elegancko oznaczony. Morgan była drobiazgową kobietą. Szuflada na sztuce wyglądała jak taca chirurga i nawet ścierki do naczyń były idealnie poskładane i ułożone niczym sterta nieprzeczytanych gazet. Ale żadna z tych rzeczy jej nie ochroniła. Niebezpieczeństwo wdarło się w jej życie przez sekretne pęknięcie w sercu. Pożądanie nie miało reguł i nie odpowiadało przed nikim. A może było na odwrót: pożądanie było ostateczną siłą, pod którą uginały się wszystkie inne?

Wyszliśmy drzwiami, pochylając się pod taśmą policyjną i pozwalając skrzydłu drzwi zatrzaskać się za nami. Potem pojechaliśmy do West Side, a stamtąd do New Jersey. Przez całą drogę wzdłuż rzeki i autostrady widać było drzewa dumnie wystawiające swe kolorowe korony niczym flagi na wietrze, jakby znały ścieżkę do trawnika Fontaine'ów, pokrytego oślepiającym różem płatków dereńia. Zadzwoniliśmy, jednak kiedy usłyszałem odgłos otwieranych drzwi, opuściła mnie cała odwaga. Gdyby nikogo nie było w domu, oznaczałoby to kolejne włamanie albo nawet stratę czasu, jednak dużo straszniejsza była wizja konfrontacji z rodzicami jednej z ofiar. Choć strach nie jest tu właściwym słowem. Kiedy drzwi się otworzyły i ujrzałem matkę Marie Fontaine, byłem przerażony. Była otyła, miała na sobie bardzo obcisłe legginsy, przykrótką bluzkę w czarno-białe paski i białe sandały. Oczy miała umalowane czarnym eyelinerem, do tego farbowane włosy z odrostami. Paznokcie u stóp miała pomalowane na różowo, a pierścionki wrzynały się w pulchne palce. Miała niewiele ponad 150 cm wzrostu, a mimo to bałem się jej. Bałem się mocy jej żaloby. Nie mogłem spojrzeć jej w oczy. Spuściłem oczy, instynktownie wyczuwając jej nowy, tragicznie zdobyty majestat w

królestwie ludzkich emocji. Ja, ze swoimi pustymi pragnieniami i żalnymi depresjami, nie mogłem się z nią równać. Było mi wstyd, że nie znałem odpowiedzi na pytanie, na które, słusznie zresztą, domagała się odpowiedzi całą sobą. Dlaczego?

Dlaczego tak jest?

A przynajmniej ja tak myślałem. W rzeczywistości spytała:

- W czym mogę pomóc?

Ale nawet to łagodne, konwencjonalne powitanie nagle wydało mi się tak okropne (*pomóc nam? przecież to ty potrzebujesz pomocy, kobieto!*), że natychmiast oniemiałem. Szczęśliwie odezwała się Dani:

- Nazywam się Daniella Giancarlo. Moja siostra była jedną z ofiar Dariana Claya.

- Och... - rysy twarzy pani Fontaine zdawały się mięknąć. - Przykro mi to słyszeć.

- Dziękuję. A to jest Harry Bloch. Nam również jest bardzo przykro z powodu pani straty.

- Tak - powiedziałem. - Bardzo nam przykro z powodu tego, co zdarzyło się z pani córką.

- Znał pan moją Marie? - spytała i nagle się mną zainteresowała. Żalowałem, że w ogóle coś powiedziałem.

- Niezbyt dobrze.

Wtrąciła się Dani:

- Harry pisze książkę o sprawie Claya. Rozmawiał z pani córką, ponieważ ona miała z nim kontakt.

- Tak. Nie miałam pojęcia. Dlaczego zrobiła coś takiego? - zwróciła się do mnie.

- Nie wiem, pani Fontaine. Młodzi ludzie często są zagubieni lub wściekli. Spotkałem ją tylko raz. Bardzo ją jednak polubiłem. Była wyjątkową osobą. Jestem przekonany, że poradziłaby sobie z tym wszystkim.

Uśmiechnęła się:

- Tak, zawsze była wyjątkową dziewczyną. Od dzieciństwa. Stawała na kołysce, kładła dłonie na oparciu i darła się. Nienawidziła przebywać w kojcu. Była bardzo utalentowana. Miała najwyższą średnią na swoim kierunku. Nie na całym roku, co prawda, ale na swoim kierunku najwyższą. Ale zawsze była wściekła. Tak jak pan powiedział. A ja nigdy tak naprawdę nie wiedziałam na co - umilkła, nie patrząc na nas, a na drzewa za nami.

Zacząła mówić Dani:

- Pani Fontaine, bardzo by nam pani pomogła w śledztwie, gdyby pozwoliła nam zerknąć na pokój Marie.

- Nie mogę tam iść. Pewnie kiedyś będę musiała, ale nie mogę. Jeszcze nie teraz.

- Nie, oczywiście, że nie. Ale to nie będzie konieczne. Sami możemy tam pójść. Jeżeli oczywiście nie ma pani nic przeciwko.

Wzruszyła ramionami:

- Nie mam. Policjanci mówili, żeby tam nie wchodzić, ale mi to nie przeszkadza.

Dała nam klucz i zaczęliśmy wspinać się po schodach do małej kawalerki nad garażem. Otworzyliśmy drzwi i ponownie przeszliśmy pod taśmą. Mieliśmy pozwolenie na przebywanie tutaj, w każdym razie tak jakbyśmy je mieli, więc zapaliliśmy światło i otworzyliśmy okno. Mieszkanie wyglądało, jakby Marie wyprowadziła się w pośpiechu. Nie było pościeli ani materaca, a na ścianach zostały kawałki taśmy w miejscach, gdzie wcześniej były zdjęcia. Policja zabrała wszystkie plakaty i inne przedmioty, które mogły mieć jakikolwiek związek z przestępczością czy brutalnością, nawet zdjęcie Charlesa Mansona, którego róg wciąż był przyklejony do drewnianej boazerii. Przed lustrem, tam gdzie kiedyś znajdował się ołtarzyk Claya, był teraz tylko zaschnięty wosk i odcisk w kurzu po ozdobionym paciorkami pudełku.

Razem przejrzelśmy zawartość jej szuflad. Potem ja zabrałem się za apteczkę, a Dani przyglądała się szafie. Szukaliśmy bez konkretnego celu, przerzucając stare podkoszulki i magazyny, oczekując, że wypadnie z nich wskazówka. Przypomniałem sobie pierwszą wizytę w tym pokoju, jedyne moje spotkanie z Marie.

Odezwalem się do Dani:

- Wiesz, może nie powinienem tego teraz mówić, ale ta dziewczyna była okropna. Nie polubiłem jej.

- Jak to? - rozłożyła T-shirt z Nine Inch Nails w rozmiarze XL, przytrzymała go w górze, po czym odłożyła.

- Nie wiem. Tak jak mówiła jej matka, była nieprzyjemna, kłótniwa i przesadnie pewna siebie. Miała jakieś fantazje, w których ona i Clay razem zabijali. Nienawidzę takich pozerskich bredni.

Usiadła obok mnie na zapadniętej kanapie.

- Musiała być bardzo nieszczęśliwa.

- Potem zaczęła się dotykać.

Dani pochyliła się do przodu.

- Co? Naprawdę? Jak?

- No. Uniosła spódnice i pokazała, co ma pod spodem. Jezu, ta jej biedna matka!

- I co wtedy zrobiłeś?

- Poszedłem sobie w cholerę. Strasznie głośno rechotała.
- Nie chciałeś jej przelecieć?
- Nie - odparłem. - Zdecydowanie.
- Ani odrobinę? - uśmiechnęła się chytrze. - Nawet po to, żeby dać jej nauczkę?

Pokręciłem głową.

- Daj spokój. Założę się, że ci stał, kiedy wychodziłeś.
- Nie pamiętam.
- Założę się, że tak było - powiedziała Dani gardłowym tonem. - Co za pojebana smarkula! Śmiać się i masturbować przed nieznanym - zarumieniła się, przysuwając się jednocześnie nieco bliżej. - Na pewno chciałeś jej pokazać, co spotyka takie kurewki.

- Nie - odpowiedziałem stanowczo. - Nie chciałem.

Rozpięła spodnie i wsunęła sobie w nie dłoń.

- Pokaż mi. Pokaż, jak to robiła - przysunęła się jeszcze bliżej i ujęła moją dłoń, kierując ją do swoich rozpiętych spodni.

- Nie, daj spokój. Chodźmy stąd - wyrwałem rękę.

Ale Dani wyciągnęła swoją dłoń z rozporoka i dotknęła mojego kroczka przez spodnie. Wyglądała, jakby była zła.

- Widzisz, stoi ci. Wiedziałam. Nie udawaj. Pokaż mi, jakbyś zerznął tę małą kurwę. Pokaż mi, co byś jej zrobił, gdyby tu była.

- Odpieprz się - powiedziałem, wstając. Skierowałem się do wyjścia - Będę na dole. Poczekam na ciebie.

- Pierdol się! - wrzasnęła za mną, kiedy otworzyłem drzwi. - Pierdol się!

Na schodach czekała matka Marie.

- Pani Fontaine? - spytałem, zastanawiając się, czy coś słyszała z naszej rozmowy i czy aby nie wyglądam podejrzanie.

Poruszyła się niespokojnie, trzymając przy piersi torbę z zakupami.

W tym momencie usłyszałem, jak drzwi otwierają się z trzaskiem.

- Hej! - krzyknęła Dani, wychodząc raptownie z pokoju. Zatrzymała się jednak równie gwałtownie, widząc przed sobą panią Fontaine.

- Och... - powiedziała cicho i cofnęła się na wyższy stopień. Bałem się spojrzeć, ale modliłem się, żeby jej spodnie były całkowicie zapięte. Wciąż uśmiechałem się do pani Fontaine.

- Właśnie kończyliśmy... - próbowałem wyjaśniać.

- Przepraszam - powiedziała starsza pani, chociaż właściwie nie wiadomo, za co miałyby nas przepraszać. - Pomyślałam o tym.

Wręczyła mi torbę. Starła się nie patrzeć mi w oczy.

- Znalazłam to wcześniej i zabrałam. Nie chciałam, żeby policja to widziała. Wiem, że to nic w porządku, ale nie chciałam, żeby źle o niej myśleli. Ale pan ją poznał i... - zerknęła na Dani.

- Cóż, może wy to zrozumiecie.

Zajrzałam do torby. Było tam ozdobne pudełko, w którym musiała znajdować się jej korespondencja z Clayem.

- Wkrótce to pani zwrócimy - zapewniłem.

- Nie - odparła - nie chcę tego. Zerknęłam tylko na to i schowałam. Nic dobrego by to nie przyniosło.

Położyła mi dłoń na ramieniu:

- Wiem, że nie była dobrą dziewczyną, wbrew temu, co pan mówił. Ale kochałam ją. Staralam się, jak mogłam. Przepraszam - powtórzyła.

Tym razem powiedziałem: *Ależ oczywiście...* i uściskałem jej dłoń. Po czym podeszła do niej Dani i ją objęła. Jakiś czas stały tak, obejmując się nawzajem.

W samochodzie było cicho. Zamieniliśmy parę słów na temat benzyny i zatrzymaliśmy się na stacji. Zdecydowaliśmy się zaryzykować korek i pojechaliśmy mostem Waszyngtona, a potem East Side w stronę Brooklynu. Żadne z nas nie wiedziało, co powiedzieć na temat tego, co zdarzyło się u Marie. Związek pomiędzy żalem i seksem, który czuła Dani, był dosyć typowy - słyszy się wiele historii o ludziach spontanicznie uprawiających seks na pogrzebach czy w szpitalach - i szczerze mówiąc, miała lepszą wymówkę niż ja. Ja byłem tylko strasznie samotny i strasznie napalony, a ona strasznie piękna, co być może składa się na jakiś inny rodzaj żalu. Ale mimo tego, że jej pragnąłem, nie mogłem przestać się zastanawiać, czy nie była jednak szurnięta? Kto mógł wiedzieć wszystko to, co wiedziałem ja? Kto miał dostęp do wszystkich informacji z przeszłości i teraźniejszości? Kto mógł bez problemu śledzić mnie i moje poczynania? A jeśli studiuje, to właściwie dlaczego nigdy nie chodzi na zajęcia?

- Jak tam w szkole? - zjeżdżaliśmy z mostu w stronę Harlem River Drive. Po prawej stronie znajdowało się wzgórze z granitową wieżą. Kiedy byłem mały, wyrzucano tam rozebrane na części kradzione samochody. Metalowe truchła spadały w dół, zatrzymywały się na drzewach i wisiały tam, jakby spadły z nieba. Ale teraz już ich w tym miejscu nie było. - Nie masz zajęć?

Posłała mi dziwne spojrzenie.

- Już nie ma zajęć. W przyszłym tygodniu są egzaminy. Mówiłam ci, pamiętasz?

- A, no tak.

Kiedy jechaliśmy do centrum, po naszej lewej stronie, pod błękitnym niebem, ponad szarą rzeką wyłoniło się Queens.

Serce niespełnionego poety, umysł amatorskiego detektywa, tyłek pismaka w średnim wieku - czy naprawdę podejrzewałem ją o morderstwa? Zadek detektywa, śledzona poety, przysadka mózgowa wypalonego brukowego powieściopisarza - poczułem się nagle, jakby między nami pojawiła się przepaść, odległość nie do pokonania pomiędzy jednym ciałem a drugim, jednym umysłem a drugim. Czaszka poety, skrzydła detektywa, pazury lichego pisarza sci-fi - kim jesteś, kiedy cię ze mną nie ma? Seksualność anioła, twarz diabła, tyłek ciekawskiego czternastoletniego chłopca - nawet jeżeli spędzimy całą noc na rozmowach, nawet jeżeli będziemy płakać, jeżeli będziemy spać w swoich ramionach, nawet jeżeli zanurzę kły w twoim ciele tak głęboko, jak to tylko możliwe, zawsze pozostanie ta mała rysa, gotowa powiększyć się w każdej chwili. Oczy góry, chmury tygrysa, rzeka poety miękkiej pornografii - wszystko staje się możliwe; możesz mnie okłamywać, możesz mnie zdradzić, możesz się zmienić, umrzeć lub odejść. Ręce potwora, gardło ofiary, wargi konającego wampira - więc dlaczego nie morderstwo? Dlaczego nie ona? A w jej mniemaniu? Właściwie dlaczego nie ja?

Znaleźliśmy drogę na Brooklyn i dotarliśmy do mieszkania Sandry Dawson.

- Tam! - powiedziałem do Dani. Znalazła miejsce do parkowania po drugiej stronie ulicy. Ludzie wchodzili i wychodzili z knajpy. Dani wyłączyła silnik i zapaliła papierosa. Samochód wypełnił się dymem.

- Idź - powiedziała. - Ja poczekam tutaj.

- Nie musimy robić tego teraz, jeżeli nie masz ochoty - oznajmiłem. - Mogę tu jeszcze wrócić.

- Nie, w porządku - zbyła mnie machnięciem ręki, a ja ponownie przypomniałem sobie, że nie jestem jej chłopakiem ani partnerem. Właściwie to jej nie znałem. - Idź i rób, co do ciebie należy.

Wysiadłem z samochodu i przeszedłem przez ulicę w kierunku bloku, gdzie mieszkała Sandra Dawson. Popołudnie nagle zrobiło się jasne i przejrzyste, czego wcześniej nie zauważyłem. Wszystkie okna na ulicy odbijały błękit nieba. Nagle eksplodowała witryna bodegi. Usłyszałem wrzask i puste echo pękającego szkła. Wbiło mnie w ziemię i stanąłem jak słup. Ludzie przed knajpą zaczęli uciekać, a ci w środku się chowali. Zdałem sobie sprawę z tego, że działo się coś złego - na początku pomyślałem, że to budynek się wali - i zacząłem w końcu biec.

Usłyszałem kolejne pęknięcie. Coś spadło z ceglanej ściany obok mojej głowy i wtedy zrozumiałem. To była kula. Ktoś do mnie strzelał. Zgarbiłem się i starałem się ukryć pomiędzy samochodami. Czuję, jak wali mi serce. Następną kulą trafiła w oponę samochodu obok mnie. Powietrze powoli z niej uleciało. Potem usłyszałem ryk silnika i klakson. Z wahaniem spojrzałem w górę, za kierownicą siedziała Dani w dzikim zakręcie wjeżdżająca między mnie i strzelca.

- Wskakuj! - wrzasnęła i otworzyła drzwi. Pobiegłem. Kluczy-

łem tak szybko i nisko, jak to tylko możliwe i wskoczyłem do samochodu, uderzając głową i rękami o deskę rozdzielczą. Dani wcisnęła gaz do dechy. Tylna szyba pękła, obsypując nas odłamkami szkła. Obydwoje się schyliliśmy, a kiedy odrzuciło nad do tyłu, zauważyliśmy, że drzwi po mojej stronie otwarły się szeroko. Dopiero gdy z piskiem opon wyjechaliśmy za róg, udało mi się je zamknąć. Dani znowu skręciła, olewając znak stopu i wypadła na główną ulicę. Ja pilnowałem tyłów; za nami nie było jednak nikogo poza setkami rozbieganych ludzi.

- Kurwa! - wrzasnąłem, kiedy otepiający strach i adrenalina roztopiły się niczym lód w moim żołądku. Poruszałem ramionami w sposób niekontrolowany. - Kurwa, kurwa, kurwa!

- Wszystko w porządku? - krzyknęła, skręcając ponownie. Tym razem wjechała w pustą alejkę, na której końcu były wolne miejsca parkingowe. - Jesteś ranny?

- Nie, wszystko w porządku. A z tobą?

- W porządku - powiedziała.

Po czym walnęła w słup.

Siła uderzenia sprawiła, że sufit i bagażnik samochodu Dani otworzyły się w jednym momencie. Zakołysaliśmy się, po czym opadliśmy na siedzenia.

- Kurwa - powtórzyłem. - Wszystko w porządku?
- Tak mi się wydaje - odpowiedziała. - A z tobą?
- Też.

Siedzieliśmy w ciszy, ciężko oddychając. Stalowy słup rozdzielał miejsca parkingowe; Dani, która przerażona jechała strasznie szybko, nie zauważyła go. Ponownie zerknąłem do tyłu. Było czysto. Chyba byliśmy bezpieczni. Ciągłe trzęsły mi się ręce, więc wsadziłem je pod uda.

- Myślę, że powinniśmy tu chwilę zaczekać - powiedziała Dani. - Żeby się upewnić, że nikogo tam nie ma.

- Nie ma problemu. Ochłoń.

Dani odwróciła się do mnie na siedzeniu. Była zarumieniona i widziałem, jak porusza się jej klatka piersiowa.

- Nie mogę złapać oddechu - powiedziała. - To jak atak astmy.
- Masz astmę?
- Nie.

- Wszystko w porządku. Ja też się trzęsę. To przez adrenalinę i nerwy. Strach - ścisnąłem ją za ramiona. - To minie - dodałem. - Byłaś świetna. Kurwa, byłaś zajebista! Ocaliłaś mi życie.

- Nie - pokręciła głową. - Sama się chciałam stamtąd, kurwa, wyrwać - przy każdym słowie brała głębokie wdechy. Ścisnąłem ją mocniej. Ująłem jej twarz w swoje drżące dłonie.

- Uważaj, szkło - powiedziałem i wyciągnąłem jej z włosów kilka kawałków.

- Dzięki - odparła. Przeczesała moje włosy.

- Nie - pokręciłem głową. - To ja dziękuję - spojrzała mi w oczy. Pochyliła się ku mnie.

Tym razem nawet nie wiem, kto zaczął. Było tak, jakby nasze ciała kochały się, podczas gdy my sami patrzyliśmy na to z boku. Teraz czułem bliskość z Dani, jakby była najbliższą mi osobą na ziemi. Byłem jednak odcięty od samego siebie. Byliśmy jak dwie pary: ona i ja, a także my i oni.

Po wszystkim, choć wciąż nie mogła złapać oddechu, zapaliła papierosa. Wydawało się, że to pomogło. Ubraliśmy się. Z niejasnych powodów ziewnąłem. Ni z tego ni z owego poczułem, że jestem zmęczony, głodny i spragniony. Wszystko na raz.

- Ciekawe, czy samochód jest całkiem rozwalony - powiedziała Dani, w końcu przerywając milczenie.

Na pewno był zniszczony. Na tylnym siedzeniu moja peruka i laska pomieszały się z potłuczonym szkłem szyby. Odgarnąłem szkło z peruki i upchnąłem ją do torby z listami od Marie, o których prawie zapomniałem.

- Dobra. Zobaczę, jakie są szkody - powiedziałem, uznając, że tak powinien w tym momencie powiedzieć prawdziwy mężczyzna, chociaż nie wiedziałem nic na temat samochodów. Wyszedłem i spojrzałem na przód auta. Zderzak i maska były pogięte. Podniosłem maskę. Nic nie było zniszczone. Nie było też dymu.

- Wygląda na to, że w porządku - krzyknąłem.

- Cieknie coś? - zapytała.

- Dobre pytanie - uklęknąłem i zajrzałem pod samochód. - Nic, wszystko wygląda dobrze.

Zapaliła silnik. Ruszył. Uśmiechnęła się i wystawiła w górę dwa kciuki.

- Sprawdź bagażnik - powiedziałem. Spaliny wylatywały z rury wydechowej, kiedy próbowałem otworzyć klapę. Nie było to zresztą trudne - zatrzask odpadł w wyniku zderzenia i klapa lekko uniosła się sama. Kiedy ją odchyliłem do końca, moim oczom ukazał się wystający z koca, leżący na zapasowej oponie dużych rozmiarów stalowy zaostzony tasak. Był również nóż do oddzielania kości i stara zardzewiała maczeta z rękojeścią owiniętą czarną taśmą. A także śrubokręt, nieduża piła, pęk liny i taśma izolacyjna. Był także worek jutowy, w którym, tak jak się spodziewałem, znalazłem płaski pistolet automatyczny.

- Co jest? - wrzasnęła Dani. - Wszystko w porządku?

- Super - odparłem. Zawinałem wszystko z powrotem w koc i zatrzasnąłem klapę. Bagażnik otworzył się jednak z powrotem.

Trzasnąłem ponownie. Tym razem się udało. Wróciłem i usiadłem obok Dani. Zapiąłem pas. Uśmiechnąłem się.

- Jedziemy - powiedziałem.

Zgłosiłem napaść przez komórkę i Townes spotkał się z nami przed moim blokiem. Byli z nim inni agenci oraz całkiem spory oddział gliniarzy. Kupił lody Softee z ciężarówki na rogu i kiedy policjanci z komendy miejskiej spisywali nasze zeznania, słuchał z niezmaconym spokojem. Sprzedawca z bodegi zgłosił strzelaninę, a gliny znalazły kule, ale wyglądało na to, że jedynym uciekającym samochodem, który widziano, był „jakiś rzech datsun”.

- Reasumując... - powiedział w końcu Townes, kończąc rozek i rzucając serwetkę na tylne siedzenie samochodu Dani. - Wyszliście omijając kontrolę FBI, nielegalnie wtargnęliście na miejsce zbrodni - o którą zresztą ty sam jesteś podejrzany - a teraz twierdzicie, że ktoś do was strzelał, najprawdopodobniej prawdziwy zabójca, który cię ściga, ponieważ za dużo wiesz.

- Tak - powiedziałem. - Właśnie tak.

- Co oczywiście dowodzi twojej niewinności, a raczej dowodziłoby, gdybyście mieli jakichkolwiek świadków.

- Sugerujesz, że sam do siebie strzelałem?

- Zastanówmy się - powiedział. - Masz broń?

- Nie.

- Czy masz do niej dostęp albo znasz kogokolwiek, kto ma?

Nie mogłem przestać gapić się na Dani, która przysiadła na masce swojego „rzechy datsuna”. Nie zauważyła mojego wzroku. Sama była zajęta gapieniem się na Townesa.

- Nie - oznajmiłem. - Nie wydaje mi się.

- Halo? Claire? Jesteś w domu? - krzyknąłem, przechodząc przez próg. - Nie zgadniesz, co się wydarzyło.

Przekręciłem klucz i założyłem łańcuch.

- Chodź tu! - zawołała z łazienki. - Nie mogę wstać.

- Co się stało? - wpadłem w panikę i otworzyłem drzwi. Brała kąpiel i była zanurzona po podbródek w bąbelkach.

- Przepraszam - powiedziałem.

- Nic, chcę usłyszeć, co masz mi do powiedzenia - strząsnęła mydliny z nosa. - Siadaj.

Usiadłem na desce klozetowej. Wysłuchiła całej historii z szeroko otwartymi oczami i kiedy opowiadałem o strzelaninie, niemal wstała, wylewając wodę za bżeg. Potem opowiedziałem jej o bagażniku Dani.

- Może te rzeczy tam były już od dłuższego czasu - zasugerowała.

- No dobra, ale po co?

- Jest striptizerką. W twojej książce *Zimna jak głaz zabójcza lisica* striptizerka nosi broń, pamiętasz? Ma kaburę wbudowaną w punkt G.

- W stringi. Nie cytuj mi moich własnych książek. Sam to gównie wymyśliłem.

- Więc jak myślisz, co ona kombinuje? - spojrzała na mnie przez parę i pianę. Wystawiła palce stóp ponad bżeg wanny. Wyglądały jak kamyczki. Wzruszyłem ramionami.

- Już sam nie wiem, co myśleć - powiedziałem, zamykając oczy i usiłując oczyścić umysł. Ziewnąłem i wciągnąłem powietrze nosem. Było ciepłe, wilgotne i oleiste. Ogarnęło mnie jakieś znajome uczucie i ziewnąłem po raz drugi. Byłem nieskończenie zmęczony.

- Co to za zapach? Skąd wzięłaś te bąbelki?
- To sól do kąpieli - oznajmiła, wyciągając oszronioną butelkę. -

Znalazłam ją pod zlewem.

Była to pamiętająca zamierzchłe czasy butelka Jean Naté.

- Pachniesz jak moja mama - powiedziałam. - To jednocześnie słodkie i upierne.

- I kto to mówi. Ja przynajmniej jestem słodka.

Po raz pierwszy tego dnia uśmiechnąłem się i poszedłem do kuchni. Nalałem coli do szklanki z lodem i wszedłem do gabinetu, w którym zwykłem pracować. Wyciągnąłem nowiutki żółty notatnik, kulkowy cienkopis firmy Vision i usiadłem, żeby pomyśleć. Nic nie przychodziło mi głowy, jak zwykle. Usiłowałem zrobić notatki z dzisiejszego dnia, w kolumnach, żeby ułatwić sobie zrozumienie tego, co się zdarzyło, ale zniechęciłem się trzy strony dalej, kiedy w kolumnie zatytułowanej „wskazówki” nie znalazło się nic poza znakiem zapytania.

Dopilem colę i nalałem sobie kolejną szklankę. Powiedziałem Claire, żeby się pospieszyła, bo muszę skorzystać z łazienki. Potem przypomniałem sobie o listach Marie Fontaine. Szczerze mówiąc, usiłowałem to odwlec: erotyczna korespondencja pomiędzy durnowatym psychopatycznym mordercą i jego świeżo poćwiartowaną niedoszłą lubą nie była czymś, w co miałem ochotę się zagłębiać. Po prostu tego wieczoru nie byłem w nastroju. Już i tak byłem wystarczająco przygnębiony i przestraszony. Miałem też w głowie tyle ponurych myśli, że starczyłoby ich na całe życie. Ale w końcu otworzyłem pudełko. Listy były pieczołowicie ułożone w dwa stosiki. Wybrałem na chybił trafił jeden z nich i wyjąłem go z koperty. Podobnie jak list Claya do mnie, jego list do Marie był napisany odręcznie niebieskim kulkopisem na tanim papierze w linie. Linie były grube, a na papierze widoczne były wiórki, jak na dziecięcej papeterii.

Kiedy godzinę później Claire w końcu wyszła z wanny i weszła do pokoju owinięta w ręcznik, wciąż jeszcze czytałem.

- Możesz iść już sikać, przepraszam. Musiałam umyć włosy.

- Co? - nie spojrzałem nawet na nią. Trzasnąłem kartką w stół i sięgnąłem po kolejną.

- Skurwysyn - chrząknąłem.

- Co jest?

Spojrzałem w górę, a wyraz mojej twarzy sprawił, że się zmarszczyła.

- Przeklęty skurwysyn!

- Co? Kto?

- Clay - stwierdziłem, machając listem,
- Co z nim?
- Ten pierdolony, chory skurwiel jest lepszym pisarzem niż ja.

Rano pojechałem na kolejne spotkanie z Clayem. Nie spałem zbyt dobrze - budziłem się co i rusz ze snów, których na szczęście nie pamiętałem. Moje odczucia wahały się pomiędzy strachem i gniewem. Nieznany prześladowca teraz usiłował mnie zabić; moja obrończyni, Dani, była potencjalnym świrem; no i nie zbliżyłem się ani na krok do prawdy. Jediną wskazówką były listy, co sprawiało, że Clay był moją ostatnią nadzieją w kwestii wyjaśnienia tych morderstw. Ta myśl nie współdziałała zbyt dobrze ze śniadaniem złożonym z kawy i witaminek. Ciążyły mi na żołądku.

Więc kiedy szedłem w stronę metra, z torbą turystyczną na jednym ramieniu i teczką-torbą-na-laptopa na drugim, mając dziwne wrażenie, że ktoś mnie śledzi, zważyłem to na zszargane nerwy i zignorowałem owo dziwne coś, co wywoływało u mnie dreszcze, niczym dotyk czyjegoś języka na karku.

Uznałem, że to wiatr. Tej wiosny pogoda była kapryśna - nieustannie usiłowała otrząsnąć się z zimy, jednak nie zawsze jej się to udawało i po ciepłym poranku znów następował chłód. W taką pogodę łatwo się przeziębiam. Przedzieram się dzielnie przez napaśtliwą zimę i padam przy pierwszym znaku wiosny. Zatrzymałem się, żeby wyciągnąć sweter. Idący za mną mężczyzna - wysoki, w granatowej bluzie i z naciągniętym na głowę kapturem - zatrzymał się na chwilę, po czym zaczął kręcić się wokół mnie. Wszedł do Macy's. Wciągnąłem sweter i wpadłem do Zarumienionych Klusek, żeby kupić bułeczki z wieprzowiną na podróż (cztery za dolca, świetny interes), po czym wszedłem do metra.

Droga na Manhattan z Queens kolejką nadziemną jest, moim zdaniem, najładniejszą drogą do miasta, szczególnie o zmierzchu albo przy zmieniających się kolorach nieba. Pociąg wyłania się z trzewi

podziemia, płynie nad dachami, po czym ponownie zanurza pod rzeką. Przy zewnętrznej krawędzi platformy metra nie ma żadnych barierok ani ogrodzeń; pociąg płynie, mijając wieże ciśnień i anteny. Można swobodnie obserwować ulice. Widoczność jest doskonała, można patrzeć na przestrzał ponad upstrzonymi odbłaskami okien blokami z cegły i magazynami fabrycznymi pokrytymi graffiti, ponad hałami i zabudowaniami kolejowymi, które wypluwały z siebie, niczym z gniazda, pętle torowisk, aż po zieloną, otwartą przestrzeń Flushing Meadows Park, gdzie stoi ulany ze stali glob ziemski, wielki jak budynek.

Pociąg zatrzymuje się przy stadionie Shea (*ups, przepraszam, panie redaktorze: teraz to Citifield*), drzemącym cały dzień w otoczeniu wielkich parkingów i samochodowych cmentarzysk, ale w dniach rozgrywek żywym i rozświetlonym niby wielka misa światła. A potem, gdy już się zbliżamy, kiedy wynurzamy się ze wschodu, pojawia się miasto, ukazując swoją starszą, lepiej znaną, szarosrebrną twarz: Empire State Building, budynek Chryslera, mosty, porty i gigantyczne pomarańczowe projekty wschodniego Harlemu.

Potem wślizgnęliśmy się z powrotem w ciemność, pod ziemię i rzekę, a kiedy wynurzyliśmy się na gorączkowym Times Square, wszyscy pasażerowie wyglądali na półprzytomnych. Uderzył nas nagle natłok dźwięku, ludzi i fatalnego oświetlenia. Przesiadłem się w jedynekę jadącą w stronę Penn Station i gdy przeciskałem się przez to zbiegowisko, żeby złapać pociąg na północ stanu, wciąż jeszcze strząsałem z siebie mgłę.

Właśnie wtedy zobaczyłem go ponownie, tego kolesia w bluzie. Byłem skołowany, jak zawsze na Penn i chodziłem w tę i z powrotem, usiłując znaleźć mój pociąg na wielkiej tablicy ponad głową. Odwróciłem się, by zerknąć na numer peronu i zobaczyłem go. Tym razem nie zareagowałem, ale za to zacząłem iść tak szybko, jak tylko mogłem, dusząc w sobie nieodparty impuls, żeby rzucić się do ucieczki. Przebiegłem przez kiosk, przejechałem schodami w górę i w dół, po czym w zaskakującym tempie dopadłem pociągu i wsiadłem do niego. Dopiero wtedy spojrzałem za siebie. Nie było go już. A przynajmniej go nie zauważyłem. Jeżeli on w ogóle istniał. Teraz nie byłem już taki pewien. Szczerze mówiąc, nie pamiętałem dokładnie, jak wyglądał - biała twarz, przygarbione ramiona, dzinsy. A po wczorajszym dniu oczywiste było, że byłem nerwowo. Mogłem też widzieć rzeczy, których nie było, jak zakapturzona postać snująca się niczym cień. Ducha.

Zapadłem się w siedzenie i udawałem, że czytam gazetę, dopóki

pociąg nie ruszył. Nawet wtedy miałem trudności z normalnym oddychaniem. Dopóki nie wyjechaliśmy z miasta, przejeżdżając przez tunele i tory biegnące za budynkami, miałem wrażenie, jakby pociąg sam usiłował się wymknąć bez zostania zauważonym. Ale po drodze nie było już ładnych widoków. Wysiadłem w Ossining, podjechałem taksówką do bramy, przeszedłem przez znajome już procedury bezpieczeństwa, po czym w poczekalni wpadłem na moje koleżanki - Theresę Trio i Carol Flosky.

- Co ty tu, do cholery, robisz? - przywitała mnie Flosky.

- A jak myślisz? - odparłem. - Przeszedłem się ostrzyć.

Flosky wyszczerzyła zęby, świecąc złotem.

- Założyłam, że sam się zorientujesz, ale praca nad książką jest zawieszona do momentu rozwiązania kwestii prawnej.

- Jakiej kwestii prawnej? Złapania mordercy? Czy może to już nie ma znaczenia?

- To zadanie policji. Myślałam, że już to ustaliliśmy. Moim zadaniem jest uwolnienie klienta, który nikogo nie zabił.

- Cóż, ktoś zabił. A wczoraj usiłował zabić mnie.

Jej uśmiech zbladł. Przez chwilę naprawdę wyglądała, jakby ją to obchodziło, ale szybko jej przeszło.

- Cóż, przykro mi. Powiedziałam ci, czego się obawiam. Powinieneś być zawiadomić policję.

W drzwiach pojawił się strażnik i Flosky weszła do środka porozmawiać z Clayem.

Theresa uśmiechnęła się przepaszająco, ale wiedziałem, że była w dobrym nastroju.

- Co z nią? - zapytałem. - Co to za kwestia prawna?

- Nie oglądałeś wczoraj wiadomości? Siedzieliśmy w sądzie cały dzień.

- Przepraszam. Byłem zajęty unikaniem kul.

- Naprawdę? - to ją przyhamowało. - No, sędzia zarządził wstrzymanie egzekucji, dopóki wniosek o wznowienie sprawy nie zostanie rozpatrzony. Wygląda na to, że Darian ma szansę na ponowny proces.

- Ach tak - powiedziałem i usiadłem.

Dziesięć długich minut później Flosky wróciła. Wzruszyła ramionami, wyciągnęła papierosa, zauważyła ostrzeżenie strażnika, ponownie wzruszyła ramionami i usiadła. Darian uznał, że jednak chce się ze mną zobaczyć.

- Poradziłam mu, żeby lepiej tego nie robił, ale wszystko jedno, chce z tobą mówić - powiedziała do mnie.

Zgodziłem się. Strażnik pozwolił mi włożyć rzeczy osobiste do szafki i poprowadził mnie do pomieszczenia. Clay wyglądał na szczęśliwego w swoim pomarańczowym kombinezonie, kapciach i kajdanach. W ustach miał wykałaczkę, a na stole przed nim leżał pękaty segregator o wymiarach 8,5 na 14 cali. Z jego perspektywy wszystko zmierzało ku lepszemu.

- Proszę, kogo my tu mamy! - powiedział. - Mój osobisty Boswell.

Roześmiałem się z obojętnością i bez uśmiechu. Usiadłem. Przemówiłem niskim, równym głosem:

- Wykorzystałeś mnie, skurwysynu.

- Co? - wyglądał na szczerze zaskoczonego, a może nawet trochę urażonego.

- Książka - powiedziałem - to był tylko wybieg. Część planu, czy czego tam, żeby cię wydostać z celi śmierci.

- Co ty gadasz? O co mnie oskarżasz? Tu nie mogę nikogo zabić. Nawet ciebie - potrząsnął łańcuchami. - Wykorzystałem cię? Niby jak? Twierdzisz, że ja, niewinny człowiek skazany na śmierć, wykorzystałem ciebie, pisarza, żeby rozpowszechnić swoją historię? Pewnie. Oczywiście.

- Ale nikt nie usłyszy tej historii, prawda? Nie teraz.

Wzruszył ramionami.

- Rzeczywistość nam przeszkodziła. To nie moja wina.
- Dlaczego sam nie napisałeś tej książki? - zapytałem.
- Nie rozumiem.
- Czytałem te twoje listy. Do Marie Fontaine. Umiesz pisać. Jesteś czytany gościem. Jasne, Boswell. Napalony idiota, którego tu poznałem, nie odróżniłby Boswella od Hugh'a Hefnera.

Uśmiechnął się.

- Cóż, doceniam twoją opinię. Jako amator chylę czoła przed opinią profesjonalisty.

- Czy to przedstawienie jest tylko dla mnie? A co z Flosky? Widzi idiotę czy mądrą? To część tego teatru? Główny aktor jest zbyt dumny, by kogokolwiek zabić?

Żuł wykałaczkę. Wzruszyłem ramionami.

- Nie oczekuję, że odpowiesz na to pytanie - powiedziałem. - Ale powiedz mi jedno. Dlaczego porno? Okej, potrzebowałeś jakiegoś frajera, kogoś, kto napisze za ciebie książkę, jakiegoś zdesperowanego, leniwego pisarza, który pomoże ci w zrealizowaniu planu. Ale dlaczego pornosy? To jasne, że sam możesz sobie opisać swoje fantazje. Dlaczego potrzebowałeś mnie?

- Dlaczego? - wyjął z ust wykałaczkę. - Ponieważ mnie tam nie było. Kurwa, nawet nigdy nie poznałem tych dziewczyn, pamiętasz? Jestem niewinny! Potrzebowałem cię, ponieważ sam nie mogłem być z nimi w ich mieszkaniach. Potrzebowałem cię do tego, żebyś to urzeczywistnił - pochylił się ku mnie. Jego oczy błyszczały złością. - Ale ty tam byłeś! I mimo to, niczego nie zauważyłeś, niczego się nie nauczyłeś. Jak dźwięki z siebie wydawały, śmiejąc się, krzycząc, dochodząc? Jak pachniały ich włosy, pachy, cipki? Czy ich zapach zmieniał się po stosunku? Był silniejszy, słodszy? Bardzo się pocily? Jak bardzo były mokre? Jak wyglądały ich pizdy? Wargi, łechtaczki, włosy łonowe? Opisz ich odbyty. Jak wyglądały ich pokoje? Jak panowało oświetlenie w ciągu dnia i jak ciemno było tam w nocy? Jakie dźwięki cię dochodziły? Samochody, ptaki, głosy z sąsiednich pokoi? Musiały wysłuchiwać sztucznego śmiechu w sitcomie, a może rżenia umierających starych kobiet? Jak się ubierały? Czym pachniały ich oddechy? Co one właściwie jadły? Czy były wegetariankami, a jeżeli tak, czy wpływało to na ich zapach i kolor moczu? Były na jakichś idiotycznych, żalonych dietach w nadziei, że dla mnie zeszczupleją? Co było w ich żołądkach, kiedy je otwierałeś? Brązowy ryż i organiczne tofu? Czekolada i wino? Szczyny i sperma? Jak wyglądała krew na łóżku? Czy błagały, żebyś darował im życie? Czy płakały? Co ujrzałeś w ich oczach, kiedy umierały?

Otworzył segregator i popchnął go w moją stronę. Wysypała się z niego sterta listów. Zobaczyłem odwrócone do góry nogami zdjęcie nagiej blondynki.

- Chcesz spróbować jeszcze raz? - zapytał. - Listy ciągle przychodzą. Nie przestają do mnie pisać. Nic dziwnego, że jesteś kijowym pisarzem. Naucz się, do kurwy nędzy, opisywać życie takim, jakie jest. Chcesz być prawdziwym pisarzem? Ja jestem rzeczywisty. Opisz mnie. Chcesz pisać literaturę? Jestem literaturą. Powinieneś być mi wdzięczny.

Kiedy wyszedłem, Theresy i Flosky już nie było. Zadzwoiłem po taksówkę i spędziłem wieczór snując się ponuro po pokoju w motelu. Telewizor był przyśrubowany do biurka, wieszaki doczepione do pręta, a ułożone w stertę cienkie ręczniki przetarte niemalże na wylot. To wszystko sprawiało, że miałem ogromną ochotę stamtąd uciec, ale jednocześnie nie byłem w stanie się ruszyć i leżałem bez ruchu na naciągniętym prześcieradle jeszcze długo po zapadnięciu zmroku. Kto wie, jakie przeraźliwie smutne albo przygnębiająco upiorne wydarzenia miały miejsce na tym właśnie kocu, w tym łóżku? Tak wyobrażałem sobie pokój, w którym Clay mieszkał z matką w Queens. Pokój, który ktoś mógł wynająć, żeby zapić się na śmierć albo strzelić sobie w głowę. Pokój, w którym można było kogoś zamordować, gdy w tle ryczał telewizor, nie przejmując się sąsiadami chrapiącymi lub pieprzącymi się za ścianą, po czym poćwiartować ciało w wannie, zapakować w folię niczym pognieciony garnitur i ruszyć w drogę.

Na zewnątrz zatrzymywali się kierowcy ciężarówek w drodze do albo z Kanady. Ogromne ciężarówki z naczepami warczały i chwiały się, zbierając się w stado, żeby przeczekać noc. Poszedłem do kawiarni i zjadłem wysuszonego cheeseburgera deluxe przy ladzie w towarzystwie przygarbionych kierowców i kobiety, która, jak przypuszczałem, odwiedzała więźnia. Była ładnie ubrana. Miała na sobie bluzkę z falbankami z syntetycznego materiału, wełniany płaszcz, spódnicę i buty na obcasach. Kilku kierowców usiłowało ją podrywać, ale ich ignorowała. Dawali jej spokój, kiedy orientowali się, że płacze. To połączenie tanich seksownych ciuchów i łez sprawiało, że wydawała się tragiczną postacią i nie mogłem przestać wyobrażać sobie, że pomiędzy pokrytymi piegami piersiami sterczy jej nóż. Przy stoliku z tyłu siedziała rodzina bardzo wysokich ludzi -

jeden z nich miał psa w nosidełku; robili mnóstwo hałasu. Śmiali się i krzyczeli, doprowadzając starszą kelnerkę do rozpaczy. Wyobraziłem sobie ich ucięte głowy leżące na talerzach tuż przed nimi. Tak się kończy wejście w świat morderstw, nawet jeśli jesteś detektywem: każdy staje się potencjalną ofiarą, ciałem, które jeszcze nie legło w grobie, chodzącym kawałkiem mięsa.

Wróciłem do swego pokoju i gapiałem się w telewizor przez długie godziny, dopóki nie usnąłem. Wcześniej rano obudził mnie warkot ciężarówek. Wszedłem, żeby dostać w biurze darmową kawę z odtuszczoną śmietanką i kiedy wracałem, zauważyłem kilka kobiet wychodzących z zaparkowanych ciężarówek, ostrożnie opuszczających się na ziemię w wysokich obcasach. Jedna z nich była żyłastą, tlenioną blondynką, o trupiobladej skórze. Miała na sobie białą minispódniczkę i zaczerwienione, odrapane kolana. Kędzierzawa, biuściasta brunetka wtoczyła się w ciemne dżinsy, które wypychały jej ciało w różnych dziwnych miejscach. Trzecia kobieta była wychudzona, czarnoskóra, miała czerwone włosy, króciutkie szorty i wysokie czerwone kozaki. Były to parkingowe dziwki, prostytutki, które spędziły noc w kabinach kierowców, jednak wczesnym rankiem, gdy mrok nocy nie ustąpił jeszcze do końca, wyglądały pięknie. Teraz zmierzały razem chwiejnym krokiem do zaparkowanego nieopodal buicka o niepasujących do niego drzwiach. Śmiały się. Czarna dziewczyna potknęła się na nierównym gruncie, ale przytrzymała ją koleżanki. Świt zaczynał w pełni rozkwitać. Góry pachniały jak topniejący śnieg, mokre drzewa i olej napędowy. Asfalt błyszczał.

Wziąłem prysznic, użyłem wszystkich ręczników (dla mnie to właśnie jest prawdziwy luksus, nawet w najgorszych hotelach), ubrałem się i poszedłem na pociąg. Wsiadłem i czekałem, aż ruszy. Gapiałem się w przestrzeń, piłem ciekawą kawę i jadłem bajgla, który smakował jak kiepski pączek. I wtedy go zobaczyłem - mój cień w dżinsach i bluzie. Szedł korytarzem wagonu, a na ramieniu miał niedużą torbę. Byłem w takim szoku, że na chwilę zapomniałem się bać. On też się wzdrygnął, kiedy mnie zobaczył i spojrzeliśmy sobie w oczy. Wtedy, nie mam pojęcia dlaczego, uśmiechnąłem się. Pomachałem mu. Wydawał się wkurzony i natychmiast spojrział w drugą stronę. Zignorował mnie i ruszył szybko dalej korytarzem, w stronę kolejnego wagonu.

Powodowany impulsem wstałem i poszedłem za nim. Pociąg szarpnął i ruszył, a ja złapałem za klamkę drzwi łączących wagony. Zakołysałem się i wpadłem do następnego wagonu. Był tam. Siedział w pierwszym rzędzie i gapił się na mnie z zaskoczeniem.

- Cześć - powiedziałem.

Odwrócił się w stronę okna, udając, że mnie nie widzi.

- Cześć - powtórzyłem. - O co ci chodzi? Dlaczego mnie śledzisz?

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz - odparł nie patrząc na mnie.

- No dobra - wzruszyłem ramionami. - Do zobaczenia na Penn Station. A potem na Flushing.

Westchnął, rozejrzał się, chyba po to, żeby sprawdzić, czy nikt jego nie śledzi, po czym sięgnął do płaszcza po portfel. Pokazał mi legitymację, na której było jego zdjęcie w garniturze. Było na niej napisane: Terence Bateson, FBI.

W końcu usiedliśmy razem. Jak mu oznajmiłem, było to prostsze, niż śledzenie mnie z odległości, a także znacznie mniej dla mnie stresujące. Czułem się bezpiecznie, wiedząc, że mani swojego ochroniarza. Na początku Terence nie był przekonany, ale zapewniłem go, że nikomu nie powiem, iż go zauważyłem, a kiedy obiecałem mu jeszcze, że dam się śledzić w ukryciu aż do mojego mieszkania, ochno na to przystał. Przeprowadzał tę misję samotnie, nie miał nikogo, kto mógłby go odciążyć i był wykończony. Przez większość podróży gadaliśmy albo czytaliśmy coś sobie w przyjacielskim milczeniu. Powiedziałem mu wszystko co mogłem o Clayu, o którym uczył się na akademii. On z kolei opowiedział mi o Townesie. Koles był legendą - Terence uważał, że ma szczęście, iż może dla niego pracować, ale, jak przyznał, kiedy go przycisnąłem, wszyscy uważali, że trochę był z niego kutas. W końcu spytałem go:

- Nie wierzysz, że naprawdę zamordowałem te dziewczyny, prawda?

- Chyba nie - wziął do ust tic taca i poczęstował mnie.

Wytrząsnąłem dwa. Mój oddech na pewno był nieświeży.

- Ale Townes jest przekonany, że jesteś w to zamieszany w jakiś sposób, prawdopodobnie jako wykorzystywany naiwniak - dodał uprzejmie. - Myśleliśmy, że jeżeli przyciśniemy, coś w końcu z ciebie wypadnie.

- Tak - oznajmiłem. - Mój mózg. Zęby. Nerki.

Teraz to on się zmarszczył.

- Nie powinienem był ci tego mówić. Mówił, że możesz też być piekielnie inteligentnym socjopatą.

- Słuchaj - wzruszyłem ramionami - nie próbuj mnie pocieszać.

Raczej jestem typem naiwniaka.

Terence uśmiechnął się i wróciliśmy do czytania magazynów.

Potem zasnął - bez wątpienia nie spał całą noc, próbując mnie

obserwować - a ja gapiłem się przez okno. Jego głowa opadła mi na ramię. Biedny Terence. Przewidywałem niewdzięczną karierę. Zostanie lubianym frajerem, jak ja, Harrym Blochem służb porządkowych, zależnym od uprzejmości podejrzanych, ufającym, że nie zwieję, ani nie zabiorę mu legitymacji i spluw).

Kiedy przysunął się bliżej, ponownie pomyślałem o tym, co powiedział mi Clay. Niezależnie od tego, czy był mordercą-maniakiem czy nie, jako krytyk literacki miał trochę racji. Wszystko, czego dokonałem w ciągu swojej kariery, było większą lub mniejszą porażką. W najlepszym wypadku byłem zaledwie przeciętny. Co prawda fakt, że pisząc pod licznymi pseudonimami i jako gothwriter zdołałem wycisnąć z siebie tyle, by zapewnić sobie egzystencję na takim poziomie, przynosił mi ulgę, ale z drugiej strony przyznaję, do tej pory nie napisałem nic, co byłoby warte opublikowania pod własnym nazwiskiem. I oto teraz, kiedy miałem szansę na napisanie historii, która, co do tego zgadzali się wszyscy, była dla mnie życiową szansą, straciłem ją. Poznałem ofiary, widziałem miejsca zbrodni, ścigał mnie nieznany morderca; poznałem głównego aktora, miałem szansę wysłuchać, a nawet ułożyć jego myśli, pomysły, marzenia: miałem wszystkie wskazówki, ale nie odkryłem niczego. Udało mi się jedynie zamienić wszystko to w słabe porno i jakieś niedokończone notatki o banalnej prawdziwej-zbrodni-z-pierwszej-ręki.

Kiedy dotarłem do domu, w gabinecie zastałem Claire. Siedziała za moim biurkiem i rozmawiała przez mój telefon. Miała na sobie szkolny mundur, białe rajstopy i rozprawiała się z paczką pałeczek lukrecyjnych. Pokazała mi na migi, że mam usiąść. Rzuciłem torby i osunąłem się na kanapę. Rozłączyła się, skrzyżowała nogi i obróciła się w krzesło w moją stronę. W zasadzie nie jadła tych pałeczek lukrecyjnych, po prostu je żuła, jak jakiś starszy mężczyzna usiłujący ograniczyć palenie cygar.

- Musimy porozmawiać. Rozmawiałam z wydawcą i dostałem więcej czasu na nowego Zorga, ale zadowoleni nie byli. Wiem, że ostatnio byłeś rozproszony, ale najwyższa pora zabrać się do roboty.

- Rozproszony? Ktoś próbował mnie zabić. Dwa razy.

- Cóż, ten pierwszy raz to była zwykła napaść, zgadza się? Ogłuszył cię i zostawił. Rozumiem. Jesteś zdenerwowany. Ale ustalmy coś sobie: nie ma już żadnej książki.

- Pieprzyć książkę. To się dzieje naprawdę! Literatura faktu. Wyglądam ci na kogoś, komu spieszno do grobu?

- No dobra, ale ty nic nie robisz. Na koncie masz tyle, że ledwo wystarczy na czynsz.

- Wiem, wiem. Nie mogę sobie pozwolić na dumę - wstałem i zacząłem chodzić po pokoju. - Ale wykorzystał mnie zarówno dupek Clay, jak i dupek Townes. Czuję się jak przynęta na ryby i... ale czekaj. Sprawdziałaś mój stan konta?

- Sprawdziłam przez internet.

- Nie wiedziałem, że tak można.

- Założyłam ci konto internetowe. Kod to data moich urodzin.

- Kiedy masz urodziny?

Wstała i wygładziła spódniczkę.

- Słuchaj, idę do szkoły.
- Zastanawiałem się właśnie...
- Ale będę z powrotem dziś wieczorem, jeżeli nie masz nic przeciwko. Mój tata jest w Hilton Head.
- Pewnie, czemu nie?
- I przyszło coś z biura Robertsona - wskazała obgryzioną pałeczką lukrecjową na wielką szarą kopertę. Spojrzała na moją twarz bez wyrazu.
- To ten prawnik - wyjaśniła. - Przysłali twoje rzeczy, FBI je oddało.

Wyszła. Zaparzyłem kawę, po czym usiadłem za biurkiem i usiłowałem wymyślić zakończenie *Kędy powiedziesz, dowódco statku zdzir*. Utknąłem w momencie, w którym dowódca Dogstar i Polifonia uciekają od międzygalaktycznej wojny, szukając zakątka, w którym mogliby oddać się swej zakazanej miłości. Mają wypadek przy lądowaniu, a silnik ich czasogalaktycznego statku jest prawie na wykończeniu. Ale co potem? Podobnie jak dowódca Dogstar gapiałem się bezsilnie w pusty ekran, czułem, jak czas upływa wokół mnie, a fotony umierają. Niezależnie od tego, co mówiła Claire na temat mojego stanu finansów, byłem zbyt przytłoczony rzeczywistością, żeby skupić się na zmyślnym świecie. Głęboko żałowałem, że ten świat opuściłem.

Książki, które pisałem, były uczciwymi kłamstwami. Postacie mogły być znajome czy też wielokrotnego użytku, ale przynajmniej nie udawałem, że w moich wampirach i cyborgach jest jakaś głębia psychologiczna. Podobnie jak nie udawałem, że rozumiem Dani, Theresę Trie czy jakąkolwiek inną kobietę, która goniła za Clayem. Po prostu powtarzałem stare schematy: zdrada, zemsta, strach, ucieczka. Miłość, która równie dobrze mogła być przeszywającą serce strzałą, tyle to miało sensu.

Jeżeli chodzi o metafory i typy, gatunek fikcji bliski jest mitom albo temu, czym mity czy dzieła klasyków kiedyś były. Podobnie jak wiek lub dwa wieki temu, nawiązanie do Ulissesa czy Jazona spotykało się z głębokim zrozumieniem czytelnika, teraz uderzamy w tę samą nutę wizerunkiem samotnego jeźdźca na pustyni, tajemniczego nieznanego w długim płaszczu i kapeluszu, idącego korytarzem ze spluwą w dłoni, albo nietoperza krążącego nocą nad miastem. Zredukowany do samej esencji, przerobiony gatunek wraca jak bumerang i rozwija się niczym sny; sny, które ze sobą dzielimy i wymieniamy się nimi, które pomimo tego, że są niezgrabne i nierealistyczne, prowadzą nas w kierunku prawdy.

Zdałem sobie nagle sprawę, że przy posiedzeniu okrągłego stołu z Dani i Claire na temat naszych ulubionych detektywów zapomniałem o najlepszym z nich wszystkich, o człowieku, który tworzył i rozwiązywał tajemnice - doktorze Freudzie. Żył mniej więcej w tym samym czasie co Sherlock Holmes, zapisywał swe rozważania jak Watson. Praktyka i metody jego pracy były dziwnie podobne do Holmesa. Nawet obydwaj brali kokę. Sprawa zawsze zaczynała się od tego, że w zakurzonej, zagraconym, wypełnionym książkami i dziwnymi przedmiotami gabinecie pojawiał się klient i opowiadał wielkiemu człowiekowi o tym, co zgubił lub stracił. Słuchali, otoczeni chmurą dymu, zwracali uwagę na wskazówki i skrupulatnie, cierpliwie, bez cienia strachu podążali za nimi, co zawsze prowadziło ich do przeszłości, do królestwa rzeczy zagubionych i gdzie zawsze, na koniec historii, znajdowali początek, odkrywali zbrodnię.

Otworzyłem kopertę. Były w niej taśmy i niekompletne zapisy moich wywiadów z Clayem i zamordowanymi kobietami, a także moje notatniki i akta. Włożyłem taśmę do odtwarzacza i zacząłem przerzucać przypadkowo papiery. W tle słyszałem jego głos, mówił tym tonem, który sprawiał, że zdawał się być opóźniony umysłowo, tonem, który, jak teraz wiedziałem, przybrał specjalnie dla mnie.

Otworzyłem teczkę, która dał mi Clay: jego listy miłosne, sterta różowych i fioletowych polaroidów i teksty, które dostał od wielbicielek. Przejrzałem wszystko w jakimś ponurym transie. To też jakiś, choć inny, rodzaj pornografii. W jego przeszłości było tak wiele kobiet, tak wiele twarzy, imion, ciał. Co się z nimi stało? Każda mogła skończyć jak ta trójka, którą poznałem. I wtedy na końcu sterty znalazłem napisany odręcznie liścik, na ładnej białej papeterii z datą sprzed trzech lat:

Drogi panie Clay,

Nazywam się Daniella Giancarlo. Moją siostrę była Dora. Wiem, że cały czas pan powtarza, iż nie jest pan winny jej śmierci. Wiem również, że panu pozowała, więc musiał ją pan lubić i uznać ją za wartą tego, żeby ją uwiecznić. Jest moją bliźniaczką jednojajową. Dlatego właśnie uznałam, że mogę sobie pozwolić na bycie arogancką i napisać do pana. Byłam na pana procesie i wydaje mi się, że zauważył mnie pan i uśmiechnął się do mnie. Czuję się, jakbym pana знаła, w końcu chodziliśmy do tej samej szkoły, nawet jeżeli nie w tym samym czasie. Jestem oczywiście młodsza i byłam tam tylko do trzeciej klasy, potem moja rodzina przeniosła się na Island. Pamiętam nawet pana dom, dom pana rodziny zastępczej niedaleko szkoły.

Z racji tego wszystkiego chciałabym pana poprosić o przysługę. Proszę, mam nadzieję, że wbrew wszystkiemu, co piszą w gazetach, udowodni mi pan, że jest pan dobrym człowiekiem. Jeżeli jest pan w stanie pomóc mi znaleźć szczątki mojej siostry, albo wie pan coś o jej śmierci, proszę mi powiedzieć. Wiem, że ma pan takie możliwości.

Z wyrazami szacunku...

Na dole listu znajdowało się małe paszportowe zdjęcie, ukazujące Danielle albo jej siostrę (kto wie?). Z brązowymi włosami. Ten przesadnie przepełniony szacunkiem ton, flirt - wszystko to wskazywało na studentkę pierwszego roku psychologii, z książką na temat radzenia sobie z psychopatami pod ręką. Mimo to żołądek mi się skurczył. Dlaczego mi nie powiedziała? Dlaczego Clay mi nie powiedział? Czyjej odpisał? Rozmawiając ze mną, robił do niej aluzje. Czy drażnił się ze mną, czy była to wskazówka? Dlaczego Dani nie wspomniała o liceum i domu rodziny zastępczej Claya obok niego? Prawda, opuściła tę okolicę na wiele lat przed morderstwami i nie mogła znać wtedy Claya. Ale mimo wszystko...

Przedarłem się przez zapisy moich rozmów z Clayem i znalazłem fragment, w którym mówi o swojej matce zastępczej. Gretchen. Tak się nazywała. Pani Gretchen. Suka powinna być w więzieniu, powiedział. Zamiast siedzieć na dupie w tym starym domu. Dlaczego miałyby się interesować kobietą, której nienawidził przez cały ten czas? Skąd niby wiedział, że żyje i że wciąż tam mieszka? Czy utrzymywali kontakt? Dani mu powiedziała?

Tutaj dochodzimy do fragmentu, którego zawsze się boję, kiedy fabuła musi się załamać i rozwiązać. Punkt kulminacyjny albo coś w tym rodzaju. Trzeci akt. To niewdzięczne zadanie. Budowanie fabuły jest jak instalacja hydrauliczna: nikt nie chce o niej myśleć, dopóki się nie zepsuje. Wtedy każdy nagle jest krytykiem. Ale pomyślcie przez chwilę, jak nierealistyczne i naciągane wydałoby się wasze własne życie opisane w książce *Sekrety i ukryte motywy*; zapisane czarno na białym byłoby w oczach niezaangażowanego czytelnika nieznośnie oczywiste. Na przykład, mówmy teraz szczerze, czy ktokolwiek był zaskoczony tym, jak potoczyły się sprawy pomiędzy Jane i mną - poza mną? Więc nawet w historii kryminalnej opartej na faktach, takiej jak ta, sprawienie, że opowieść wydaje się wiarygodna, jest tak ciężką sprawą jak kopanie grobu, a tworzenie napięcia jak chodzenie po czyichś śladach. Teraz, po wszystkim, oczywiście wiem, że odpowiedzi na te pytania można było znaleźć na stronach tej książki, tyle że ja ich w ogóle nie dostrzegalem.

Przed blokiem zauważyłem agenta Terence'a i jakiegoś innego koleśa. Zaparkował na zwykłym miejscu po drugiej stronie ulicy. Kusilo mnie, żeby poprosić o podwózkę, ale nie chciałem mu narobić wstydu przed kumplem, więc zostawiłem go w spokoju czytającego *The Post*. Żeby się tam dostać, musiałem zmienić pociąg, a potem wsiąść w autobus. Kiedy wyszedłem z metra, zobaczyłem, że Dani do mnie dzwoniła, ale nie odśluchałem wiadomości.

Pokrążyłem chwilę, zanim znalazłem dom. Odkąd ja i Clay byliśmy dziećmi, okolica przeszła wiele zmian. Wtedy była martwa - zapluta dzielnica ze zniszczonymi budynkami i domami, których właściciele byli zbyt starzy albo zbyt biedni, żeby odpowiednio o nie dbać; dzielnica desperacko trzymająca się niższego szczebla klasy średniej. W tamtych czasach całe miasto pogrążało się w bankructwie. Teraz okolica się odrodziła. Wszystko było jasne i czyste, a domy takie jak ten należący do matki zastępczej Claya - z pokrzywionymi schodami, zapadających się fundamentami, zarośniętymi krzakami i zasuniętymi zasłonami - były jak paskudna wysypka, jak zmora dzielnicy. Kiedy się zatrzymałem i sprawdziłem adres, z drugiej strony ulicy spojrziała na mnie podejrzliwie jakaś młoda matka. Wsadzała właśnie dziecko na tylne siedzenie volvo, jej podjazd i dom były otoczone rabatami z irysami w pełnym rozkwicie. Po mojej stronie chodnik był popękany i zachwaszczony, a na podjeździe gnął zepsuty, stary buick. Uśmiechnąłem się do właścicielki volvo, a ona gwałtownie odwróciła wzrok. Weszła do samochodu i usłyszałem klik elektrycznego zamka. Nie winiłem jej. To miejsce mnie też przyprawiło o dreszcze, więc spojrzałem za ramię w poszukiwaniu znajomego widoku agenta Terence'a. Nie było go.

Popchnąłem bramkę i natychmiast usłyszałem szczekanie

rozjuszzonego psa. Odczekałem wystarczająco długo, by upewnić się, że nie wybiegnie z domu i nie popędzi przez podjazd, mijając przy tym opadającą, zarośniętą jabłoń, łysy, przerzedzony trawnik i kolejny martwy samochód, tym razem przerdzewiałego volkswagena garbusa na kupie śmieci. Otworzyłem drzwi z podartą moskitierą i wszedłem na ganek. Pies wpadł w taki szal, że cała dzielnica wiedziała o moim przybyciu, ale i tak zadzwoniłem dzwonkiem, z uprzejmości. Żadnej odpowiedzi. Zapukałem. Pies rzucił się w stronę drzwi w morderczym szale. Słyszałem odgłos pazurów drapiących drzwi, ale to wszystko.

Poddałem się i poszedłem na tył domu, gdzie znalazłem stary, rozpadający się lichy garaż, zwiędłe szczątki pamiętającego lepsze czasy ogródka warzywnego i na wpół rozwalone ogrodzenie. Konary dwóch drzew zrosły się, przez co koniec ogródka nieustannie pograżony był w cieniu. Pod drzewami leżały warstwy martwych liści.

Wyrzałem za ogrodzenie. Zobaczyłem mały lasek, ziemię niczyją rozciągającą się za domem. Po jednej stronie nad autostradą wznosił się wiadukt.

Po drugiej stronie ujrzałem prześwitujące przez drzewa jasne, zielone pole. Spojrzałem na mapę. Tam było liceum, do którego chodził Clay i gdzie nauczył się robić zdjęcia.

Przelazłem przez rozwalone ogrodzenie i poszedłem do lasu. Gęstwina nad moją głową była taka, że słońce ledwo się przebijało, przez co słabsze rośliny wędły na tej prawie martwej ziemi pokrytej śmieciami - ogromną ilością papieru, butelek, materacy, opon i niemożliwymi do zidentyfikowania stertami gnijącej albo zwęglonej materii. Odwilż i wiosenne deszcze zmieniły duże powierzchnie w błoto i przez całą drogę musiałem przeskakiwać przez kałuże. Na końcu lasku znajdowało się coś w rodzaju małej łąki na wzgórzu pomiędzy drzewami i granicą terenu szkoły, gdzie trawa była równo przycięta.

Sceneria była tu doprawdy niezwykła. Przypominała mi jakieś miejsce, o którym czytałem w książce, albo moją starą szkołę, o której zapomniałem i niechcący do niej trafiłem. Chodziłem dookoła, nasłuchując odgłosów ruchu ulicznego i szumu owadów na drzewach.

I tutaj doznałem olśnienia: to musiała być łąka, na której miły nauczyciel pan Bratwurst przyłapał Dariana śniącego na jawie z aparatem w rękach i wyciągnął do niego pomocną dłoń. Czy wyciągnął coś jeszcze? Biorąc pod uwagę historię Claya, wydawało się to prawdopodobne. Każdy związek w jego życiu opierał się na represji. Jedyne, co ulegało zmianie, to pozycja drapieżnika i ofiary. Kiedy się odwróciłem i zacząłem iść przez las, zadzwonił mój telefon.

Wyciągnąłem go. *Numer zastrzeżony*. Odebrałem. Zasięg był fatalny.

- Halo?
- Harry Bloch?
- Tak.
- Tu agent Bateson.
- Kto?
- To ja. Terence!
- Och, przepraszam. Cześć - telefon pokazywał brak zasięgu.

Byłem zaskoczony, że można się było w ogóle dodzwonić.

- Słuchaj - mówił dalej. - Chciałem ci coś powiedzieć. Zwolnili nas z pilnowania ciebie, bo mamy naradę w pracy, ale chciałem, żebyś wiedział, że tego ranka widziano śledzącą cię kobietę w samochodzie.

- Kiedy?
- Dziś rano.
- Dani? - zapytałem. - Czy to Dani?
- Tu Terence - odparł i się rozłączył.

Nagle zdałem sobie sprawę z ciszy panującej w lesie. Nawet pies przestał szczekać. Dochodził mnie tylko cichy szum samochodów z wiaduktu. Potem usłyszałem odgłos pękającej gałęzi albo czegoś podobnego i zamarłem. Ktokolwiek spowodował ten dźwięk, również zamarł. Jeżeli dźwięk był w ogóle rzeczywisty. I nagle kątem oka ujrzałem jakiś ruch, jakąś postać między drzewami. Nie byłem pewien, ale tak mi się zdawało. Zacząłem uciekać i wpadłem prosto w błoto. Moja stopa zanurzyła się po kostkę, a kiedy ją wyciągałem, maź wciągnęła mi but.

- Kurwa! - zawyłem, na moment zapominając, że mam się przed kimś ukrywać. Wyciągnąłem rękę, żeby odzyskać utracony but i wówczas moja druga stopa została wessana z głośnym siorbnięciem.

- Cholera! - wyszeptalem cicho. Przysznałem, miałem ochotę się rozplakać. Ukucnąłem w tej śmierdzącej lurze i wydobyłem z błota but, po czym zeskoczyłem na suchy łąd. Zacząłem biec w panice. W jednym bucie mi chlupotało, a na drugiej stopie miałem tylko skarpetkę. But przyciskałem do piersi. Co jakiś czas nerwowo zerkałem za ramię. Nie widziałem nikogo, jednak cały czas wydawało mi się, że słyszę kroki, pękającą gałąź albo czyjś oddech. Kiedy dotarłem do płotu, gdzieś przede mną zaczął ujadać pies i chociaż przestraszyłem się jak jasna cholera, jednocześnie byłem też tym faktem zachwycony. Przez podwórko przebiegłem jak rakieta. W oknie domu ujrzałem słabe światło.

- Pomocy! - wrzasnąłem i pognałem do przodu wymachując bu-

tem. W oknie zobaczyłem psa. Był to tylko jakiś mały pudel, żylasty i szary. Szczekał i skakał, wałąc łapami o parapet. Światło dobiegało *t* telewizora, który stał tyłem do mnie, a przed nim leżała jakaś osoba, stara i siwa, rozwalona na fotelu.

- Pomocy! - krzyknąłem ponownie. Walnąłem w okno. Mały pies wył i pluł, jakby miał zaraz stracić rozum. Ale postać nawet się nie poruszyła. Może była martwa? Raczej spała albo była pijana. Czy to była matka przyrodnia Claya? A może jej chłopak? Postać była bezpłciowa. W końcu poddałem się i zacząłem odchodzić. A raczej kuśtykać. Stopa mnie bolała i nie mogłem złapać tchu. Kiedy dotarłem na ulicę, rozważałem, czy nie zapukać do sąsiadki, ale przypomniałem sobie, że wyszła, a poza tym zdałem sobie sprawę z tego, jak wyglądam. Byłem spocony, pokryty błotem, nerwy miałem w strzępach, a do tego kuśtykałem z nawiedzonego domu sąsiadów, wymachując butem. Zatrzymałem się i włożyłem go. Zawiązałem sznurowadła. A potem zdarzył się mały cud, najśłodszy widok na świecie: zza rogu wyłoniła się taksówka.

Zatrzymałem ją spokojnie, żeby nie przestraszyć kierowcy i chociaż według Claire nie było mnie na to stać, poprosiłem go, żeby zawiózł mnie do domu. Zmrok zapadł powoli, w końcu była wiosna. Przejechaliśmy szybko przez Flushing Meadows Park, mijając rzędy drzew - w zapadającej ciemności wyglądały, jakby stopiły się w masę zieleni i czerni. W odbiciu szyby moja twarz falowała i płynęła wraz z drzewami. Wyglądała jak podwójnie naświetlone zdjęcie. Przypomniałem sobie, że kiedy byłem mały, sam robiłem takie zdjęcia plastikowym aparatem, który dała mi matka, podczas letnich zajęć ze sztuki - na jednym z darmowych warsztatów finansowanych przez miasto próbujące powstrzymać młodzież przed pałaniem się po ulicach.

Właśnie wtedy, siedząc w taksówce, w jakimś dziwnym przebłyску umysłu zrozumiałem, że rozwiązałem sprawę.

Mogliście już zauważyć, że w swojej zwyczajnej, codziennej egzystencji jestem nieco tępawy, jak mówi Claire. Zataczam się przez życie, jakbym zgubił się w ciemnym lesie z nieaktualną mapą, której do tego nie umiem złożyć. Wszystkie drzewa wyglądają tak samo, zwierzęta wydają upiorne dźwięki, a kanapka w mojej torbie nie jest tą, którą zamówiłem. Na pewno nie jestem jedyny. Życie wciąż nas zaskakuje i dlatego tak wielu uwielbia zagadki, gry i tajemnice. Siedząc na kanapie i ukręcając kark Agacie Christie albo przyczepiając magnesem do lodówki wtorkową krzyżówkę z *Timesa* tylko po to, by Claire mogła ją zignorować (albo, najdziwniejsza przyjemność z

możliwych, rozwiązując problem, który sam stworzyłem w swojej książce, jakby jedna strona mojego mózgu w końcu dogadała się z drugą, niczym rozdzielone bliźniaki) - w ten sposób przenikam przez enigmatyczną powierzchnię rzeczywistości i zerkam na jej wewnętrzne kręcące się trybiki i koła. Wyobrażam sobie świat, w którym coś rozumiem i przez chwilę wiem, jakie to uczucie być geniuszem. Ale oczywiście istnieje tylko jeden świat, ten mroczny i zawily, a prawda, którą odkrywamy, kiedy przyjrzymy się czemuś z bliska, rzadko bywa przyjemna. W przeciwieństwie do książek, w których wszyscy są nie znającymi strachu poszukiwaczami, w życiu większość z nas wolałaby nie wiedzieć zbyt wiele. I dlatego mimo nagłej fali zrozumienia, która mnie ogarnęła, w ustach czułem niesmak: znałem nazwisko mordercy. Zrozumiałem.

Wyciągnąłem telefon. Znów działał, ale co z tego? Nie miałem numeru ani do Terence'a, ani do Townesa. Mam jego wizytówkę w domu, pomyślałem sobie. A może była tam jeszcze gdzieś wizytówka prawnika Claire? Czy można zadzwonić do operatora i poprosić o połączenie z FBI? Dojechaliśmy do mojego mieszkania. Teraz już było ciemno. Przejrzysta, czuła noc. Zapłaciłem i szybko wszedłem do środka. Nikt mnie nie śledził. Wsiadłem do windy. Otworzyłem drzwi i przeszedłem przez ciemne mieszkanie do gabinetu. W połowie drogi przypomniałem sobie, że jeżeli dalej mam tę wizytówkę, musi być w kieszeni szlafroka. Więc poszedłem do sypialni i zapaliłem światło.

Na łóżku leżała naga Claire. Jej chude ramiona i nogi były tak rozciągnięte, że jeszcze chwila i by się złamał), przywiązane do ramy łóżka moimi krawatami. Usta miała zaklejone taśmą izolacyjną, a w poprzek jej gardła widniało cienkie nacięcie, z którego ciekła strużka krwi. Spojrzała na mnie, w jej spojrzeniu było przerażenie, które wydawało się niemal zwierzęce, jakby była stworzeniem złapanym w sidła. Przewróciła oczami.

- Claire - podszedłem do niej, a ona szaleńczo zaczęła machać głową. Wydała z siebie cichy gulgot, który, jak wiedziałem, był stłumionym krzykiem. Oczami wskazywała na prawo. Odwróciłem się w samą porę, by ujrzeć ogromny nóż zbliżający się w moją stronę. Wokół rękojeści zaciśnięta była kobieca dłoń o pomalowanych na czerwono paznokciach. Znalazłem się twarzą w twarz z Carol Flosky.

Spojrzelśmy sobie w oczy, a potem poczułem jak ostrze rozcięło moje lewe ramię. Ból uderzył mnie jak piorun. Zobaczyłem, jak rozcięte głęboko płaty ciała rozchodzą się i napływają krwią. Zawyłem dzikim, wysokim głosem, który, jak mi się zdawało, nie należał do

mnie. Brzmiał, jakby dochodził z daleka, jak skowyt wilka. Chciałem się skulić i złapać za ramię, ale Flosky znowu uniosła nóż w górę. Tylko to widziałem - ostrze i ramię. Uniosłem lewą rękę i chwyciłem ją powyżej nadgarstka. Razem upadliśmy na ziemię, przygniatając moje prawe ramię. Teraz ostrze znajdowało się przy moim gardle, a ona naciskała z całej siły. Przytrzymałem ją zakrwawionym ramieniem, walcząc, by oswobodzić drugie, przyciśnięte za plecami. Szok zaczął robić swoje: nie czułem bólu, ale za to traciłem czucie w rękę i nie wiedziałem, ile jeszcze wytrzymam. Nasze twarze były od siebie oddalone zaledwie o kilka centymetrów. Patrzyła mi prosto w oczy. Nie widziałem w nich nic, poza absolutną koncentracją na tym, by mnie zabić, poza determinacją, żebym umarł. Jej wargi drgnęły i ułożyły się w coś, co było prawie uśmiechem. I wtedy to zobaczyłem. Podobieństwo. Nigdy bym tego nie zauważył, ale teraz było to oczywiste. Byli do siebie podobni.

Odkasznąłem i popchnąłem ją z całej siły, usiłując znaleźć coś w rodzaju dźwigni, żeby oswobodzić prawą rękę. Oparła się na mnie całym ciałem, ciągnąc w dół. Jednocześnie spojrzeliśmy na nóż, na jego czubek, wbijający się w moją skórę, po czym znów spojrzeliśmy sobie w oczy. Potem rozległ się wystrzał, tak głośny, że przez sekundę myślałem, iż ogłuchłem, a Flosky zrobiła wielkie oczy. Drgnęła.

- Uważaj, Harry - usłyszałem głos Dani. Ciepła krew Flosky sączyła się na mnie, pomiędzy nasze nogi. Twarz wykrzywił jej grymas bólu. Na chwilę spojrzała w innym kierunku, a ja wyczułem szansę. Zamiast się odpychać, z wysiłkiem ruszyłem moją zdrtwiałą rękę na bok na odległość kilku centymetrów i pozwoliłem jej opaść. Ostrze wbiło się w dywan tuż obok mojego lewego ucha, a ja gwałtownie szarpnąłem się, kiedy czaszka Flosky zderzyła się z moją. Nasze głowy odbiły się od siebie z impetem, po czym przetoczyłem się w prawo i zrzuciłem ją z siebie. Usłyszałem kolejny wystrzał i tym razem Flosky zawyła. Spojrzałem i zobaczyłem, że pełnie w kąt, krwawiąc z nogi i ramienia. Dani trzymała broń w prawej dłoni, lewą przytrzymując nadgarstek. Trzymała Flosky na muszce i podeszła do niej, nie spuszczać oczu z celu.

- Kto to jest? - zawołała głośno, jakbym był po drugiej stronie ulicy.

- Prawniczka. To ona zabiła dziewczyny. Jest matką Dariana Claya.

Ból wrócił, więc ścisnąłem ranę. Całe moje ramię było przesiąknięte czerwienią. Na łóżku nade mną skomlała Claire.

- Mam ją zabić? - zapytała Dani.

Flosky drżała, kuliała się i spojrzała na mnie.

- Tak! - wrzasnąłem. - Zabij ją. Strzelaj!

Dani zrobiła krok nade mną. Wycelowała broń w głowę Flosky.

Spojrzała prosto na nią.

- Gdzie jest głowa mojej siostry? - zapytała.

Wtedy do pokoju wkroczył agent Terence.

Przyjechały karetki i zabrały nas do szpitala. Okazało się, że nie jestem jednak poważnie ranny - nóż nie uszkodził żadnej ważnej części ciała - ale byłem osłabiony i oszołomiony od utraty krwi i przez całą noc pompowali we mnie różne płyny, a gliniarze, pielęgniarki i goście z FBI wchodzili sobie, kiedy chcieli, ani razu nie pukając.

Carol Flosky została poddana operacji. Pierwsza kula utkwiała w nodze, roztrzaskując jej kość udową. Druga przeszła na wylot przez ramię, po drodze przecinając mięśnie i nerwy. Policjanci zabrali ją z mojej podłogi.

Dani przez jakiś czas była w szoku, ale kiedy dostała lekarstwa, zabrali ją, żeby złożyła zeznania. Zapytała o mój stan zdrowia, ale nie chciała się ze mną zobaczyć.

Claire też nie. Nie była ranna, miała tylko kilka siniaków i niegroźne skaleczenie na szyi, które zrobiła jej niechcący Flosky otwierając drzwi do mieszkania. Mimo to Claire nie powiedziała ani słowa, odkąd usunięto taśmę z jej ust. Wydawało się, że ma się nieźle - reagowała na pytania, kiwając i kręcąc głową, pijąc sok przez słomkę, którą trzymała pielęgniarka. Jednak kiedy mijalem ją na wózku inwalidzkim na oddziale ratunkowym i zawołałem na nią, zamknęła tylko oczy i odwróciła się. Jej ojciec, który grał właśnie w golfa w Karolinie Północnej, wynajął samolot i miał tu dolecieć jeszcze tego wieczora. Matka miała przylecieć z Hong Kongu następnego dnia.

Townes przyszedł do mnie z całą brygadą agentów, wliczając w to Terence'a. Zmusili mnie, żebym im wszystko opowiedział, całą historię, wszystko po kolei. Kiedy wspomniałem o listach Marie Fontaine, które ciągle były u mnie w domu, kilku agentów wyleciało z pokoju. Wydawało się, że nie są pewni, czy właściwie dopuściłem się jakiegś zbrodni, czy nie, a ja myślałem o drogim prawniku Claire.

Założyłem, że nie zajmuje się już moją sprawą. W każdym razie byłem zbyt słaby i oszołomiony, żeby się tym za bardzo przejmować. Myślałem głównie o Claire i zasnąłem dopiero, kiedy mi powiedziano, że przyjechał jej ojciec i ją zabrał.

Rano radiowóz zawiózł mnie do domu. Wszyscy sąsiedzi to widzieli, pootwierali drzwi i gdy policjanci prowadzili mnie korytarzem do mieszkania, gapili się na mnie ze szczerym zdumieniem. Mieszkanie było rozwalone, policja i federalni zrobili w nim nawet większy bałagan niż Flosky. Potem przyszedł Townes. Wyglądał na wykończonego, jeszcze bardziej niż ja. Inni sobie poszli i kiedy zaproponowałem mu kawę, zgodził się i z westchnięciem usiadł przy kuchennym stole.

- Mam dobre i złe wieści - oznajmił.
- Cholera - odparłem. Usiłowałem zrobić kawę jedną ręką i rozsypałem ją po całym blacie. Townes podniósł się i pomógł mi, zbierając rozsypaną zmieloną kawę na serwetkę i wsypując ją do filtra. Przy okazji pomieszał z nią jakieś stare okruszki, ale nic nie powiedziałem.

- Najpierw dobre - powiedziałem.
- Przyznała się do morderstw. Wczoraj podpisała oficjalne oświadczenie.

- A złe wieści?
- Przyznała się do popełnienia morderstw - powtórzył, usiadł i obserwował, jak kawa przelewa się do dzbanka. - Wszystkich. Wliczając w to te, za które chcieliśmy skazać Claya na śmierć.

- Ach tak, rozumiem... - również usiadłem. - Co mówiła?
- Powiedziała, że nigdy nie straciła kontaktu ze swoim synem, a przynajmniej nie na długo. Że wysłedziła go w domu zastępczym i po kryjomu się z nim widywała. Kiedy dorósł, znów byli razem, matka i syn. Problem pojawił się, gdy zaczął fotografować kobiety. Nie podobało jej się to. Mówi, że wiedziała, jakie są kobiety, sama była kurwą, więc mogła przejrzeć te dziewczyny na wylot. Kusily go i usiłowały jej go zabrać. Więc kiedy Clay pracował z modelkami, ona je śledziła, a później zabijała. Kiedy go aresztowali, zdobyła dyplom z prawa, tylko po to, by mu pomóc. Zgadza się. Na początku miał obrońcę z urzędu, którego Flosky zastąpiła pięć lat temu. Zmieniła się w eksperta od kary śmierci, tylko po to, by obronić swojego syna. Na swój własny, pojebany sposób jest niezwykłą kobietą.

- Wierzysz jej? O tych wcześniejszych morderstwach?
- Oczywiście, że nie. To jej ostatnia szansa na uratowanie syna. A ty?

- Nie.

- Ale problem polega na tym, że nie musimy jej wcale wierzyć. Jedyne, czego Flosky potrzebuje, to żeby sędzia uznał, że jest zbyt dużo wątpliwości lub nowego materiału dowodowego, wtedy dojdzie do wznowienia procesu. A wtedy, jeżeli podczas tego procesu Flosky zezna, że to ona popełniła morderstwa, prokuratura będzie miała trudne zadanie, usiłując udowodnić jego winę, a zarazem jej niewinność. Może się skończyć tak, że ława przysięgłych będzie niejedno-myślna albo kto wie, co jeszcze. To może się udać. W każdym razie wydaje mi się, że to właśnie planuje.

Z kieszeni płaszcza wyciągnął buteleczkę z aspiryną i zantakiem. Wyrząsnął kilka pastylek, po czym zaczął je ssać powoli, jakby to były miętówki.

- Co jeszcze? - zapytałem.

Potrząsnął głową i przelknął.

- Jak myślisz, dlaczego próbowała cię zabić?

- Wiedziała, że o niej wiem. Albo zaraz się dowiem. Na tyłach starego domu zastępczego Claya był las, w którym robił kiedyś zdjęcia na zajęcia ze sztuki. Taki sam, jak na zdjęciu w biurze Flosky. Kiedy to zauważyłem, nagle wszystko zaczęło mieć sens. Wiedziałem, że to jego matka. Musiała być zamieszana w morderstwa.

Townes poweselał.

- Wyślę kogoś, żeby zrobił zdjęcie tego lasu.

- Musiała tam za mną pójść. Terence usiłował mnie ostrzec, ale myślałem, że to... - zawahałem się. - Myślałem, że to ktoś inny. W każdym razie Flosky wiedziała, że mam już wszystkie kawałki układanki i to tylko kwestia czasu. Myślę, że wtedy zdecydowała się mnie pozbyć. Po prostu wróciła do mojego mieszkania, żeby na mnie poczekać i znalazła tam Claire.

- Tak - zgodził się Townes. - Claire miała pecha. Była tam, kiedy Flosky się włamała. Musiała ją zabić i to tak, żeby ciało wyglądało podobnie do poprzednich. Ale wróciłeś wcześniej.

- Wziąłem taksówkę - powiedziałem. - Nigdy nie jeżdżę taksówkami - skrzywiłem się nagle. Ocalenie Claire zależało w sumie od serii głupich przypadków: stary dureń poślizgnął się na błocie, wystraszył i zamówił taksówkę. Gdyby nie to... Biedna Claire!

Townes wskazał głową w stronę blatu:

- Kawa chyba już gotowa.

- No tak - wstałem. - Mleko? Cukier?

- Chętnie.

Rozlałem kawę do dwóch filiżanek i wyciągnąłem mleko i cukier.

Townes naładował sobie jednego i drugiego do kubka i upił łyk z wdzięcznością. Po raz pierwszy zapytał mnie o zdanie na temat czegokolwiek. Zdałem sobie sprawę, że mówi do mnie, nawet jeżeli nie jak do kogoś równego sobie, to przynajmniej jak do kogoś, kim nie gardzi. Ale ja gardziłem sobą w tym momencie bardziej niż kiedykolwiek. Townes wstał.

- Odpocznij. Przyjdź jutro do biura i podpisz oświadczenie.
- Mogę pójść teraz - odpowiedziałem.
- Jutro będzie w porządku. Idź do łóżka. I dzięki za kawę.
- Dobra - powiedziałem i nie ruszałem się z miejsca, dopóki nie usłyszałem, że wychodzi. Wtedy zamknąłem drzwi i posłuchałem jego rady. Odpoczywałem. Nie poszedłem jednak do łóżka. Sama myśl o wejściu do tego pokoju przypominała mi o Claire, rozpustarce na łóżku, związanej i zakneblowanej, ze strużką krwi ściekającą z szyi. Położyłem się więc na kanapie, włączyłem telewizor. W ten sposób zasnąłem tej nocy. I następnej, następnej i jeszcze następnej. Zabrało mi to dużo czasu.

Usiłowałem skontaktować się z Claire. Dzwoniłem na jej komórkę, na telefon domowy, ale nie odebrała żadnego. Nie odpowiadała też na zostawione wiadomości, SMS-y, maile. Zostawiłem również wiadomość Dani; oddzwoniła natychmiast.

- Cześć - powiedziała, kiedy odebrałem. - Jak się masz?
- Chyba nieźle. Dzięki tobie.
- Daj spokój. To był przypadek.
- Przypadek? Jesteś zajebrista. Gdzie się nauczyłaś tak strzelać?

Roześmiała się.

- Po śmierci siostry. Wymyśliłam sobie, że znajdę mordercę i poszląm na strzelnicę. Miałam całą kolekcję broni, której mogłam użyć przeciw niemu i zrobić mu to, co on zrobił jej. A kiedy złapali Claya, po prostu dalej ćwiczyłam. To sprawiało, że czułam się jakos bezpieczniej. Nienormalne, wiem. Mam paranoję.
- Cóż, nie jestem studentem psychologii - powiedziałem. - Ale myślę, że kiedy ma się całkowitą rację, to nie jest to coś nienormalnego albo paranoja.

Opowiedziałem jej o liście i o tym, jak dzięki niemu znalazłem zastępczy dom Claya.

- Tak, napisałam do niego - powiedziała. - Jeździłam pod ten dom. Wielokrotnie. Szczerze mówiąc, to właśnie on jest powodem, dla którego zaczęłam studiować psychologię. Może po prostu nie chciałam się przyznać do mojej obsesji na punkcie zemsty. Nawet kiedy go złapali, mi wciąż się wydawało, że go ścigam. Co mam

powiedzieć? Sporo przeszłam. Chyba nie odpuszczę, dopóki Clay żyje.

Pomyślałem o nowym problemie prawnym, który paradoksalnie stworzyła sama Dani strzelając do Flosky, ale nic nie powiedziałem. Zamiast tego zaproponowałem:

- Czy mogę ci dziś postawić kolację? W ramach podziękowania za ratunek. Dwa razy. Więc dostaniesz też deser. Wiem, że to słaba podzięką, ale moje życie nie jest warte nawet tyle.

Roześmiała się.

- Sama nie wiem.

- Możesz przyjść uzbrojona, jeżeli chcesz. Zresztą i tak będziesz miała nade mną przewagę, bo władam tylko jedną ręką.

Ponownie się roześmiała. Łagodnie. Był to jakby słyszalny przez telefon uśmiech. Odparła jednak:

- No właśnie. Nie jestem pewna, czy powinniśmy.

- Rozumiem - wiedziałem, co ma na myśli. - Dlaczego nie?

- Sama już nie wiem. Chyba nie widzę nas jako normalnej pary dzielącej się bezglutenowym ciastkiem czekoladowym. To nie twoja wina. Jesteś w porządku. Jak powiedziałam, sporo już przeszłam.

- Tak jak każdy, Dani. A nasze doświadczenia przynajmniej do siebie pasują - powiedziałem, a ona się roześmiała, tym razem naprawdę. - Kto wie? Może będę mógł ci pomóc.

- Nie - powiedziała cicho. - To tak nie działa. Każdy dźwiga swoje brzemie.

Powiedziałem jej, że rozumiem, ona przeprosiła, powiedziałem, że nie ma za co i po ciepłej, ale beznadziejnie niezręcznej chwili mówienia o wszystkim i niczym, pożegnaliśmy się. Wiedziałem, że ma rację. Zaszliśmy za daleko i nie było już odwrotu. Moje własne problemy albo, jak to, cholera, nazwać? - problemy emocjonalne, brak zaufania, podejrzliwość - miały na nas większy wpływ niż Dani przypuszczała. I niezależnie od tego, co powiedziałem jej przez telefon, wciąż uważałem, że jest szurnięta. Mimo to nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że zepsułem coś ważnego, może najważniejszego.

Potem usiadłem i zacząłem pisać zakończenie książki o Zorgu; w końcu i tak nie mogłem spać. Potrzebowałem pieniędzy.

Fragment powieści *Kędy powiedziesz, dowódco Statku Zdzir*, rozdział 24:

- *Tu jest* - krzyknęła Polifonia, wskazując na białą kamienną wieżę, wylaniającą się na tle zielonej ściany gór. Korzystając z ostatnich zasobów ciśnienia skierowałem statek w dół, usiłując wylądować na polanie.

- *Trzymaj się, Poli* - krzyknąłem, po czym uderzyliśmy w ziemię, rozbijając się w lesie.

Stary, dobry Fallus przedarł się przez drzewa i złożył swój poobijany dziób na kamieniu. Przednia szyba rozbiła się, a cyferblat mojej konsoli zamarł. Światelka kontrolne zgasły.

Polifonia była półprzytomna. Otworzyłem właz, ustawiłem komórkę na samozniszczenie, po czym z mundurem w strzępach, z Polifonią w ramionach, wytoczyłem się z dymiącego wraku Fallusa. Byłem w wąwozie. Promienie słońca przebijały się przez sosny. Jedy- nym dźwiękiem był odgłos wiatru. Na kamieniu siedział brodaty mężczyzna w białym fartuchu i obserwował nas z ciekawością. Uśmiechnął się i wypuścił kłęb dymu z fajki.

- *Witajcie, przyjaciele!* - powiedział. - *Witam w Instytucie Go- re'a. Nazywam się doktor Beamish.*

Gdy nas opatrzył i nakarmił, opowiedzieliśmy mu naszą historię - o tym, jak przylecieliśmy na Ziemię w nadziei na odnalezienie jakiejś wstrzemięźliwej planety, na której miłość pomiędzy panem i jego androidem seksniewolnikiem zostanie zaakceptowana i rok 2058 wybraliśmy przypadkowo (według zwykłego kalendarza księży- cowo-żydowskiego był rok 5819), ponieważ był to najbliższy punkt dostępu na naszych wykresach nawigacyjnych. Trafiliśmy fatalnie.

Ziemia przechodziła właśnie ogromny kataklizm wywołany globalnym ociepleniem: powódzie, susze, głód i zaraza, co oczywiście doprowadziło do wojny. Uciekliśmy z zatopionych ruin Nowego Jorku, walczyliśmy z hordami delfinów-psychicznych zabójców, które teraz rządziły, udało nam się ominąć szurniętych jezusowych napaleńców ze Środkowych Stanów i dotrzeć do Indiańskiej Wolnej Strefy, przez cały czas szukając Instytutu Gore'a, który znajdował się w niegdysiejszym stanie Kolorado, gdzie, jak słyszeliśmy, naukowcy gorączkowo pracowali nad rozwiązaniem problemu.

- Obawiam się, że się pomyliliście, przyjaciele - powiedział doktor Beamish ze smutnym uśmiechem. Okazało się, że Instytut został opuszczony i Beamish był jedynym ocalałym naukowcem. Siedzieliśmy w budynku, który kiedyś stanowił Centrum Dowodzenia Światowym Klimatem, na szczycie tego, co nazywało się na wyrost Górą Skalistymi i na ekranach znajdujących się w Centrum widzieliśmy same koszmarnie sceny: potępieni ludzie walczący o kurczące się zasoby, które pozwoliłyby im przeżyć jeszcze chwilę dłużej, do momentu, w którym życie ludzkie zostanie całkowicie wytrzebione z tej planety. Tymczasem światowa infrastruktura upadała, a doktor Beamish obserwował umierające jeden po drugim ekrany.

- To zabawne, że przylecieliście tu z kosmosu w poszukiwaniu przyszłości - powiedział. - Gwiazdy są dla mnie jedynym pocieszeniem. Widzicie, im ciemniej robi się na ziemi, tym niebo w nocy jest jaśniejsze i piękniejsze.

- Doktorze Beamish, czy naprawdę nie ma żadnej nadziei? - zapytała Polifonia.

Doktor Beamish palił fajkę i głaskał swą długą brodę.

- Moja droga, jako zaprzysiężony meteorolog zacytuję tu mądrego człowieka o nazwisku Kafka: Oczywiście, że jest nadzieja, nieskończona nadzieja - wzruszył ramionami. - Ale prawdopodobnie nie dla nas.

- Ani dla nas, doktorze - powiedziałem. - Nasz statek jest uszkodzony i nie jest w stanie opuścić ziemskiej grawitacji. Utknęliśmy tu razem z panem.

- Przykro mi - powiedział doktor Beamish - że nasza ludzka głupota skazała i was na śmierć. Ziemia była niegdyś bardzo ładną planetą. Szkoda, że wybraliście zły rok.

Obowiązkowy doktor Beamish poszedł sprawdzić wykresy. Poli i ja staliśmy na tarasie widokowym, obserwując zachodzące piękne, mordercze słońce. Tego wieczora było 65 stopni, chociaż odczuwalną temperaturą było 63. Płakała.

- *Przepraszam, Panie - powiedziała. - To wszystko moja wina. To ja egoistycznie chciałam żyć z tobą w czasie rzeczywistym, a teraz obydwójce umrzemy.*

- *Nie, Poli, miałaś rację - odparłem. - Niczego nie żałuję. Jedna noc z tobą jest warta wszelkich poświęceń. Jesteś najlepszą zdzirą, jaką kiedykolwiek miałem.*

Ścisnęła mnie mocno, a ja pochylilem się, żeby ją pocałować, kiedy nagle jej łzy zamieniły się w uśmiech.

- *Ja żałuję jednej rzeczy - powiedziała. - Że nie wybraliśmy innego roku. Na przykład 2009.*

- *Poli - zawolałem, przyciągając ją do siebie. - Mój wspaniały androidzie, to jest to!*

Znaleźliśmy doktora Beamisha i zabraliśmy go do wraku Fallusa. Wyluszczyłem mu swój plan. Podekscytowany pykał z fajki, unosząc co chwila kędzierzawe brwi.

- *Podróż w czasie w celu ocalenia ziemi? Dobry Boże, to może zadziałać...*

- *Niestety, ipod jest w stanie pomieścić tylko nas dwoje, a silnik jest słaby - powiedziałem, kiedy Poli sprawdzała system.*

- *Ale uda nam się krótki skok - powiedziała. - Może 50 lat. Z powrotem do waszego 2009.*

- *Ach, stary dobry 09! - powiedział Beamish. - Gdybyśmy wtedy wiedzieli to, co wiemy teraz...*

- *Ale się dowiecie - oznajmiłem. - Znajdziemy to miejsce, o którym pan mówił. Tam, gdzie się pan uczył. Uniwersum Harvarda? Powiemy młodemu panu, co się wydarzyło. Będzie pan miał szansę, żeby wszystko naprawić. Wszyscy ją dostaniemy.*

- *A co z wami? - zapytał.*

- *Będziemy zdani na własne siły w roku 2009, bez możliwości powrotu - oznajmiłem.*

- *Ale wtedy to wy będziecie skazani na zagładę - ostrzegł Beamish.*

- *Skazani na to, by żyć i umrzeć w terażniejszości.*

- *Tak jak pan - powiedziałem. - I wszyscy inni - po kryjomu ścisnąłem dłoń Poli.*

- *Teraźniejszość mi wystarczy - powiedziała, patrząc w noc, na piękne, puste przestrzenie, które minęliśmy i martwe gwiazdy, z których przybyliśmy. - Musi wystarczyć. Nie ma nic innego.*

CZĘŚĆ CZWARTA

18-21 MAJA 2009

Gdyby to była typowa powieść detektywistyczna, historia dobiegłaby końca w momencie schwywania sprawcy, wyjaśnienia, jak doszło do zbrodni i policzenia ofiar. Ale nie jestem klasycznym detektywem, a w tej historii ma miejsce jeszcze jeden zwrot akcji.

Jeżeli mam być szczery, sam wolę staroświeckie historie detektywistyczne, gdzie morderca umiera na ostatniej stronie, a w książce nie ma ckliwych kawałków o prywatnym życiu głównego bohatera. Kiedy w książce detektyw nagle dostaje raka albo terroryści porywają mu żonę, zawsze wydaje mi się, że pisarz był zdesperowany, co jest zdecydowanym minusem takich książek. Moim zdaniem pisarz nie powinien zamęczać czytelnika prywatnymi problemami. Powinien robić to, co do niego należy. Dashiell Hammett, który był mistrzem starej szkoły, w pierwszej powieści nawet nie zwracał sobie głowy nadaniem swojemu detektywowi imienia. Narratorem był po prostu niski, grubawy koleś z bronią, który palił za dużo papierosów marki Fatima. Przyjechał do miasta w pogniecionym garniturze, rozwiązał sprawę i wrócił następnym pociągami.

Ale w przeciwieństwie do bohaterów powieści, które czytam lub piszę, wygląda na to, że ja żyję w takiej, w której kiedy tylko gotów jestem zagiąć stronę i przysnąć, los serwuje mi kolejną niespodziankę. Być może myślicie szybciej niż ja i już wiecie, o co chodzi. W końcu dałem wam wszystkie wskazówki, jeżeli tylko umieliście je dostrzec. Bo ja nigdy nie umiem.

Więc następnego ranka pojechałem do centrum, do siedziby FBI, żeby podpisać zeznania. Nawet nie potrafiłem sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz byłem w budynku federalnym. Przypominał scenię z czasów bezpośrednio po atakach z 11 września: barierki z cementu, dodatkowi policjanci, no i wrazenie, jakby ten nowy strach wymieszał

się ze starymi obawami i stał się nową, codzienną normalnością, która musi przecież zostać stłumiona i zapomniana, jeżeli życie ma się toczyć dalej. Na przykład teraz cały czas mijam Strefę Zero i nawet nie myślę o niej jako o czymś więcej niż plac budowy. Z drugiej strony pamiętam, że nie tak dawno temu przechodziłem przez dzielnicę Little Italy, która teraz nazywa się Nolita, kiedy sprzątano bałagan zostawiony po festiwalu ulicznym San Gennaro. Nagle i bez powodu poczułem wtedy tak silną falę tajemniczego smutku, że łzy stanęły mi w gardle. Dla dzieciaka wychowanego w mieście chodzenie podczas wakacji po obsypanej śmieciami ulicy zawsze było wielką przyjemnością. Ale już tak nie jest. Od tamtego pięknego, przejrzystego, wrześnieowego poranka, puste ulice wypełnione fruującymi w powietrzu papierami napelniają mnie sekretną goryczą.

Przeszedłem przez wykrywacz metalu, dostałem przepustkę z recepcji i poczekałem, aż pojawi się agent Terence i odprowadzi mnie do windy, a nawet zjedzie ze mną na dół, żeby zaprowadzić mnie do gabinetu Townesa. W windzie serdecznie uścisnęliśmy sobie dłonie i ponownie mu podziękowałem. Zarumienił się. Byliśmy szczerze zadowoleni ze spotkania. Jego obecność bardzo mi się zresztą przydała, ponieważ kiedy tylko wysiedliśmy z windy, napadł na mnie John Toner.

- Ty! - powiedział, wstając z kanapy naprzeciw recepcji i ściany z drewnianymi panelami oraz wielkim logo FBI. Chuda blondynka o dużych piersiach położyła mu uspokajająco dłoń na ramieniu, ale stracił ją. Druga pani Toner.

- Coś ty, kurwa, narobił? - wrzasnął. - Nie mówiłem ci?

Recepcjonistki przestały mówić do słuchawek, a agenci przecho-
dzący obok z dokumentami w dłoniach zaczęli się oglądać.

- Panie Toner... - powiedziałem cicho.

- Nie mówiłem ci, kurwa? - zamachnął się na mnie, ale odskoczyłem. Cios był jednak zadany z czuciem, więc Terence szybko zainteresował, łapiąc go za ramię i delikatnie odpychając.

- Drogi panie! - powiedział ze szczerym błaganiem w swym młodzieńczym głosie. Pani Toner podbiegła i zaczęła odciągać męża.

- Nie obchodzi cię to? - zapytał mnie przez ramię. - Czy ty w ogóle dbasz o to, jak wpływasz na ludzi? Jesteś wampirem! Żywisz się bólem!

Po policzkach spłynęły mu łzy. Pociągnął nosem i dotknął twarzy, jakby nagle zauważył, że jest wilgotna. Potem zamilkł i pozwolił żonie odprowadzić się na siedzenie. Terence szybko zaprowadził

mnie do szklanych drzwi, które prowadziły do biur.

- Wampirem... - powtórzył za Tonerem, idąc ze mną korytarzem.
- Tak mówił też James Gandolfini. Czytałem z nim wywiad.

- Kto?

- Tony Soprano. Ten aktor, który go grał.

- A, tak.

- Powiedział, że pisarze są wampirami wysysającymi z ludzi życie. To było o facecie, który napisał ten serial.

- Ach tak? - zapytałem. - To naprawdę fascynujące.

- To tutaj - stwierdził Terence i zapukał knykciami w drzwi, zanim je otworzył.

- Harry? Aha... - mruknął Townes na mój widok, nie przerywając sortowania grubego pliku papierów. - Siadaj. Jak twoje ramię?

- Nieźle - odparłem. - Dzięki.

Usiadłem.

- To dobrze - stwierdził, nie podnosząc wzroku. - Tu jest odpis zeznania, które złożyłeś w szpitalu. Przeczytaj je i podpisz.

Zastosowałem się do jego polecenia. Townes przeglądał dokumenty, a Terence stał i nas obserwował.

- Toner ciągle tu jest - oznajmił Terence. - Zamachnął się na pana Blocha.

Townes zerknął na mnie.

- To nic takiego - powiedziałem z uśmiechem na ustach. - Bywało gorzej.

Ale Townes się nie uśmiechnął. Wrócił wzrokiem do swych dokumentów i zaczął przerzucać strony.

- Biedny facet - stwierdził. - Jego prawnik staje teraz na głowie. Ale trzeba go zrozumieć: jeżeli Flosky załatwi Clayowi nowy proces, to przeżyje to tak, jakby mu wykopali żonę z grobu i jeszcze raz zabili.

Podpisałem zeznanie i podałem je Townesowi, który podał je Terence'owi, a ten z nim wyszedł, cicho zamykając za sobą drzwi. W końcu Townes usiadł. Zdjął okulary, oparł się o fotel i potarł nos.

- Spaleś? - zapytał mnie. Musieliśmy znaleźć miejsce pomiędzy stertami dokumentów, żeby się nawzajem widzieć.

Wzruszyłem ramionami.

- Trochę.

- Miałeś koszmary?

- Nie pamiętam - skłamałem.

- Zostawiłeś zapalone światło?

- Włączony telewizor.

- Ciągle masz przed oczami, prawda? - zapytał pochylając się

nad biurkiem.

- Tak.

Mrugnął na mnie kilka razy. Pokiwał głową.

- Cóż, to nie mija. Chciałbym, żeby było inaczej. Ale przyzwyczaisz się.

Otworzył szufladę biurka i wyciągnął dużą szarą kopertę. Położył ją na biurku. Była stara i wytarta, a na brzegach miała resztki taśmy klejącej i ślady po kubkach z kawą.

- Nie wiem, czy chcesz to oglądać, czy nie. Ale chciałem ci tylko powiedzieć, że wiem, jak to jest.

Otworzyłem kopertę i kiedy tylko zobaczyłem biały brzeg fotografii, zrozumiałem, że są to oryginalne zdjęcia, które Clay zrobił i wysłał gliniarzom.

Townes zaczął mówić:

- Ponad dwanaście lat temu widziałem te dziewczyny, to znaczy ich ciała. Potem zobaczyłem zdjęcia, które wysłał ten skurwiel. I prawdopodobnie wciąż widzę je codziennie, przynajmniej przez sekundę. No, teraz to może co drugi dzień. Czasem w ogóle nie myślę o tym, nawet przez kilka tygodni i nagle coś zobaczę - billboard, kobietę na ulicy - i wszystko wraca. Kiedy jestem w metrze albo mijam kwiaciarnię i czuję ten zapach. Wiesz, o czym mówię.

Wiedziałem.

- Śmierć.

- Śmierć i gnijące zwłoki. Ten słodko-gorzki, przyprawiający o mdłości zapach. Wciąż go czuję, utkwiał mi w głowie. Prawdopodobnie dlatego trzymam tu te zdjęcia. Trzymam je tutaj, żeby nie musiały ich oglądać moja rodzina. A nawet tutaj je chowam, ponieważ nikt nie zrozumiałby, dlaczego raz na jakiś czas muszę na nie spojrzeć. Ale ty rozumiesz. Tak mi się wydaje - skończył mówić i gapił się na mnie. W jego spojrzeniu było coś żalnego, niemalże błagalnego. Zdałem sobie sprawę, że mnie błaga.

- Tak - powiedziałem. - Rozumiem.

Spojrzałem na zdjęcia. Stosik był pokaźnych rozmiarów. Na górze sterty były normalne fotografie. Konwencjonalnie artystyczne ujęcia, które zrobiono w studiu. Większość była odbitkami, małymi kwadratami, na których widniały ładne dziewczyny w typowych pozach; patosu dodawała tym zdjęciom jedynie świadomość tego, co stało się później, czyli to, co wiedziałem ja, ale nie one: patrzyłem na zmarłe i oglądałem je z perspektywy mordercy. Na dole była reszta zdjęć, te, które wysłał na policję.

Na pierwszy rzut oka były piękne. Blade formy, niczym wielkie

kwiaty. Potem zauważało się, że rzeźby zrobione są z dziewcząt. Dziewcząt przerobionych tak, by wyglądały jak pąk kwiatu z promieniującymi rękami, stopami i włosami. Z twarzą pośrodku. Dziewczyna przerobiona na krzesło. Dziewczyna, której głowa wychodziła spomiędzy nóg, tak że wyglądała, jakby rodziła całą siebie. Przepołowiona dziewczyna, której części ułożone były naprzeciw siebie, jakby tuliła sama siebie, całowała własną bliźniaczkę.

Wyszedłem z budynku federalnego. Na dworze była mgła. Przeszedłem przez drzwi obrotowe, potem przez plac i zastanawiałem się, jak dojść do metra, gdy nagle tuż przede mną przy krawężniku zatrzymała się taksówka. Wyszła z niej Theresa Trio, trzymająca kartonowe pudło i stertę dokumentów. Kiedy mnie zobaczyła, podskoczyła i upuściła te rzeczy.

- Mój Boże, to ty!
 - Cześć - powiedziałem, usiłując brzmieć beztrzesko i pochyliłem się, żeby jej pomóc. - Nie chciałem cię przestraszyć.

- Nie - roześmiała się niezręcznie. - Tylko mnie zaskoczyłeś.
 Miała na sobie kostium prawniczki: dopasowaną czarną spódnicę do kolan i kusy żakiet. Jednak jej lakier do paznokci był odbrapany i obgryziony, a pod oczami miała cienie. Podniosła teczkę do góry nogami i wszystkie papiery wysypały się z niej.

- Cholera - westchnęła.
 Pozbierałem je za nią.
 - Co ty tu właściwie robisz? - spytałem.
 - Mam dalej zeznawać. W końcu wpuścili mnie do biura po moje rzeczy. To miejsce przyprawia mnie o dreszcze. To pewnie dlatego jestem taka nerwowa - jej śmiech był pusty.

- Usiądźmy na moment - wskazałem na ławkę na przystanku autobusowym. Usiedliśmy obok siebie, między nami leżała sterta jej rzeczy. Obserwowaliśmy ruch uliczny. Jej oddech był nierówny i z początku myślałem, że zaraz się rozplącze. Zamiast tego jednak sięgnęła po papierosa. Z zapalniczki buchnął wysoki płomień; odskoczyła.

- Uważaj! - powiedziałem.
 - Przepraszam - zaciągnęła się swoim marlboro lightem.

- Nie powinnaś palić. Szkodzi zdrowiu.

- Wiem. To obrzydliwe. Normalnie nie palę, ale... - wzruszyła ramionami i głęboko się zaciągnęła. Spory kawałek popiołu spadł jej na spódnicę i przez sekundę przypominała mi Flosky.

- Ciągłe myślę o tym, że tyle czasu spędziłam z nią sama. Późne wieczory w biurze. Raz czy dwa dzieliłyśmy nawet pokój hotelowy na północy stanu. Boże - potrząsnęła ramionami - zabijała dziewczyny w moim wieku! Co ja mówię? Usiłowała zabić ciebie!

Odruchowo dotknąłem bandaża pod kurtką.

- Wiesz, myślałem o naszej rozmowie w pociągu. O karze śmierci i o tym, czy to cywilizowane.

Kiwnęła głową.

- Może źle o mnie pomyślisz - powiedziałem - ale muszę przyznać, że gdybym miał broń, zabiłbym ją bez zastanowienia - zerknąłem na Thesę. - Przykro mi.

Obserwowała dym unoszący się znad jej dłoni. Jej głos zamienił się w szept.

- Też wolałbym, żebyś ją zabił - dopaliła papierosa, zgasiła go i wyrzuciła na ulicę. - To pewnie sprawia, że wychodzę na totalną hipokrytkę.

- To sprawia, że wychodzisz na normalną. Gniew i złość to ludzkie uczucia. Z Flosky to nawet nie było nic osobistego. Najpierw byłem jej przydatny, jednak później stałem się problemem. A ona też nie była sobą. To znaczy ta osoba, którą poznałem, nie była nawet z nami w pokoju - zorientowałem się, że Theresa przygląda mi się z bliska. - Nieważne. Bredzę - dodałem.

Odchyliłem się i obserwowałem sapiący autobus.

- Właśnie o tym cały czas myślę - powiedziała. - Że tak naprawdę nigdy nikogo nie znamy. Szczerze mówiąc, przeszło mi przez myśl, że to ty możesz być mordercą - uśmiechnęła się i zakryła twarz dłonią. - Nie wierzę, że właśnie to powiedziałam!

Zerknęła na mnie, rumieniąc się, jakby była zakryta welonem. Roześmiałem się głośno. Był to nagły, niestosowny rechot. Odrzuciło ją.

- Przepraszam - złapałem oddech. - Ale właśnie coś przyszło mi do głowy. Nie wiem, czy powinienem ci o tym mówić. Mogłabyś mnie zniszczyć - przez chwilę pomyślałem, jak wściekła byłaby Claire, ale przypomniałem sobie, że już jej nie ma. - Eee, nieważne. Nic poważnego. Zapomnij o tym.

- Nie, powiedz. W życiu liczy się nie tylko to, co poważne.

- No dobra - powiedziałem, usiłując zachować powagę. - Je-

stem... Sibylline Lorindo-Gold.

- Co? - uśmiechnęła się blado. - Nie łapię.

- To ja. Ja nią jestem. A dokładniej to moja mama. Ale to ja napisałem te książki.

Oparła się i zmrużyła oczy, jakby umieszczala mnie w perspektywie tego, co usłyszała.

- O czym ty, kurwa, mówisz?

Więc wyjaśniłem jej, a ona obserwowała mnie podejrzliwie. Pogrzebała w kartonie i wyciągnęła moją najnowszą książkę. Przyjrzała się fotografii z bliska, uniosła okulary i spojrzała na moją twarz. Usiłowałem uśmiechnąć się z fałszywą skromnością. Zatrzepotałem powiekami.

- Jezu! - powiedziała. - Niedobrze mi. To nieprawdopodobne...

- Myślałam, że będziesz się śmiać.

- Śmiać? Wiesz, ile razy oglądałam to zdjęcie, nie wiedząc, co tak naprawdę na nim jest? - zakryła twarz dłońmi. - Nie mogę na ciebie patrzeć, ciągle widzę przed sobą ją! Naprawdę, nie było mi to potrzebne.

- Oddychaj głęboko - powiedziałem. - Uspokój się.

- Zamknij się! Po prostu się zamknij.

- Chcesz, żebym sobie poszedł?

- Tak.

- Na pewno? Dasz sobie radę?

Nie odpowiedziała. Zawahałem się, siadając na ławce tak daleko od niej, jak tylko mogłem. Obok nas przepłynął kolejny autobus, spaliny błyszczały w słońcu. Teraz ja zacząłem się zastanawiać nad czymś, co ona powiedziała. Ile razy patrzyła na to zdjęcie? Nie wiedząc, na co właściwie patrzy.

- To znaczy, że to ty napisałeś te książki, w których ostatnio się zaczytywałam? - odezwała się, nie patrząc na mnie.

- Tak - odparłem, ale słuchałem tylko jednym uchem. Coś kliknęło mi w głowie, uczucie podobne do tego, które mam, kiedy doznaję olśnienia na temat dalszego ciągu książki. Odpowiadałem jej odruchowo. W myślach pisałem już kolejny rozdział.

- Najdziwniejsze jest to, że uwielbiam twoje książki - mówiła dalej. - Albo jej. Nieważne - uśmiechnęła się do mnie. Makijaż miała rozmazany i powiedziała coś, na co czekałem całe życie. - Jesteś moim ulubionym pisarzem.

Wstałem.

- Dzięki, ale muszę już iść. Strasznie mi przykro.

- Co? Idziesz sobie? Teraz? - spojrzała na mnie zszokowana,

jakbym to jednak ja okazał się mordercą.

- Przepraszam - powiedziałem. - Naprawdę. Potrzebujesz pomocy? Wszystko w porządku?

- Nie wiem. Idź już. Jezu!

- Przepraszam - zacząłem biec.

- Wróciłeś...? - zauważył Townes, kiedy przygnałem do jego biura za przewodnika ponownie mając Terence'a. - Zapomniałeś o czymś?

- Pokaż mi jeszcze raz te zdjęcia!

Townes popatrzył na mnie dziwnie. Nie mogłem złapać tchu i wymachiwałem ramionami. Pewnie pomyślał, że zwariowałem.

- Przyszło mi coś do głowy. Proszę - powiedziałem. - Daj mi na nie spojrzeć.

Dał Terence'owi sygnał, żeby nas zostawił, po czym wyciągnął kopertę.

- Nie będę żałował, że ci je pokazałem, prawda? - zapytał, kiedy gwałtownie otworzyłem kopertę i wysypałem na stół upiorne zdjęcia. Odsunąłem je i ze spodu sterty wyciągnąłem zwykłe zdjęcia, portrety atrakcyjnych kobiet, zrobione w domu Claya. Przyjrzałem się im z bliska. Townes obserwował mnie uważnie.

- Czego szukasz? - zapytał.

- Masz szkło powiększające?

Otworzył inną szufladę i grzebał w niej chwilę, podczas gdy ja gapiłem się na fotografie w świetle lampy na biurku. Na jednym ze zdjęć była siostra Dani pozująca w stroju baletnicy. Było ono dla mnie zbyt przerażające, więc wziąłem kolejne, przedstawiające Janet Hicks. Przyjrzałem się jej tak blisko, jak tylko mogłem, trzymając zdjęcie tuż pod żarówką. Było jednak zbyt małe.

- Szkło powiększające, proszę! - powtórzyłem.

- Dobra, szukam - odparł Townes. Klęczał na podłodze, przeszukując dno szuflady.

- Kurwa - wstał i wręczył mi lupę. - Masz!

- Dzięki - przycisnąłem szkło do oka i intensywnie patrzyłem na

śliczną twarz Janet Hicks, jej wydęte usta żalostnej aktorki. Obejrzałem kolejne jej zdjęcia jedno po drugim, a potem fotografie kolejnej dziewczyny. I jeszcze jednej. Przypomniałem sobie, co Clay powiedział mi o pracy z modelkami: że musisz sprawić, by były spokojne. Zachowywać się jak myśliwy, mówił.

- Co ty, do cholery, wyrabiasz? - zapytał Townes.

- Mam go! - powiedziałem i oddałem mu odbitki. - Tak mi się przynajmniej wydaje.

Townes spojrział na zdjęcia, które oglądał już milion razy, wzruszył ramionami i usiadł.

- No i co? - spytał.

- W trakcie mojej wybitnej kariery pisarskiej, z której, być może słusznie, sobie kpisz, spędziłem wiele lat pisząc i redagując magazyny pornograficzne.

- Wiem. To jest w twojej kartotece.

- Mam kartotekę? - jednocześnie przestraszyło mnie to i pojechało.

- Mówiłeś coś?

- Dobra, ta praca wymagała ode mnie niezliczonych godzin gapienia się na takie właśnie zdjęcia, takie właśnie dziewczyny. Zauważyłem już wcześniej, że z tymi tu coś jest nie tak, ale aż do teraz nie wiedziałem co. Chodzi o oczy.

- Oczy? - spojrział na zdjęcia.

- Tak. Oczy każdej dziewczyny, na każdym z tych zdjęć, są identyczne. Żadnego ruchu. Aparat działa szybko, ale nie aż tak. Zawsze znajdzie się zdjęcie, na którym oczy są przymknięte albo półprzymknięte. Ale nie tu, nie wśród ofiar Claya. Żadnego mrugnienia ani zmruczenia oczu. Ani jednego odwróconego od obiektu spojrzenia. Za każdym razem to samo puste spojrzenie. No i dodajmy, że są to zdjęcia ze studia, gdzie musiało być dużo silnego światła. Ani jednej zmniejszonej źrenicy. Niech twoi chłopcy powiększą te zdjęcia, zmierzają je i sprawdzą na wszelkie sposoby, ale mówię ci. Dziewczyny na zdjęciach wyglądają na martwe. A to oznacza, że... dziewczyny były zamordowane, zanim je sfotografował, a nie na odwrót, jak twierdzi Flosky. Clay jest bezwzględnie winny ich zabójstwa!

W ciszy Townes przystawił sobie szkło do twarzy i zgarbił się nad zdjęciami. Gapił się na nie dłuży czas, zdjęcie po zdjęciu, odbitka po odbitce. Ja zaś czekałem. Kiedy na mnie spojrział, uśmiechnął się po raz pierwszy, odkąd go poznałem, ukazując przebarwienie na dolnym przednim zębie. Nie trwało to jednak długo. Kiedy tylko

odwzajemniłem uśmiech, skrzywił się, walnął w interkom i zaczął się drzeć.

Townes uparł się, żebyśmy to oblali z Terence'em, ale miejsce, to którego mnie zabrali, było przypadkowo wybranym klubem dla panów w stylu Hooters i przypominało mi ten, w którym tańczyła Dani. Myślenie o niej mnie przygnębiało. Po jednym drinku wymigałem się, narzekając na ból w ramieniu. Kiedy już wyszedłem, zadzwoniłem do Morrisa i poszedłem do niego. Jego chłopak, Gary, ugotował mi fantastyczną zupę pho: była trochę jak sztuka mięsa mojej matki, tyle że w rosole z makaronem sojowym, bazylią i chili. Potem poszedłem do domu i leżałem na kanapie, gapiąc się w telewizor.

Ale nie mogłem zasnąć. Po przerwaniu wszystkich kanałów dwa razy wstałem i poszedłem do gabinetu. Sprawdziłem, czy w skrzynce mailowej nie ma wieści od Claire. Nie było nic poza kilkoma mailami związanymi z wampirami, przekazanymi mi przez wydawcę, a których dotąd nie przeczytałem, bo byłem zbyt zajęty.

Pierwszy był to list od nastoletniej fanki z Dallas, która otrzymała standardową odpowiedź typu kopiuj-wklej-dzięki-za-kontakt. Drugi mail był od kogoś z okolicy, zaproszenie na co poniedziałkową wampirzą imprezę w gotyckim klubie na Brooklynie. Właśnie był poniedziałek. A może już się skończył; było trochę po dwunastej.

Oczywiście zaproszenie dostała Sibylline, nie ja, i oczywiście chcieli, żeby czytała, odpowiadała na pytania albo Bóg wie co jeszcze, przybyła na skrzydłach nietoperza i kogoś ugryzła. Byłem jednak niespokojny i przyznaję, bałem się pójść tam sam. Z drugiej strony, miałem nikłą nadzieję, że pojawi się tam Theresa. Ubrałem się więc w coś, co wydawało mi się być wystarczająco złowieszczym czarnym płaszczem. Podniosłem kołnierz. Klub odnalazłem bez większych problemów, był na końcu ulicy, blisko brzegu rzeki w Dumbo. Niebo było fioletowe, woda czarna, a mosty i budynki migwały na biało i

zółto. Budynek wyglądał na jakąś starą fabrykę, zamkniętą i pogrążoną w mroku. Jedyne oświetlenie stanowiła pojedyncza żarówka nad niedużym znakiem, na którym napisane było: DO KRYPTY.

Strzałka wskazywała na biegnącą w dół rampę, wiodącą do wejścia do piwnicy, gdzie świeciło kolejne słabe światło, odślaniające przed oczami zalegające wszędzie śmieci i rupiecie. Zacząłem powoli schodzić w dół, starając się nie wywrócić na pochyłej powierzchni. W którymś momencie dźwięki z ulicy ucichły i nie słyszałem już nic poza odgłosem moich własnych podeszew na asfalcie.

Droga nagle zakreśliła i kiedy zbliżałem się do ślepej uliczki, poczułem pierwsze ukłucie paniki. Mało brakowało, żebym się odwrócił i uciekł. Wyciągnąłem ramię, żeby złapać równowagę, ale wzdrygnąłem się, kiedy poczułem przed sobą zimną, lepka ścianę. Oddychałem głęboko, usiłując odegnać coś, co wyglądało na atak paniki. Przyszła mi do głowy idiotyczna myśl, żeby się ukryć, kuląc się i wsadzając głowę między nogi. Ale wizja tego, że ktoś znajdzie moje martwe ciało w tej pozycji, nie bardzo mi odpowiadała. Gówniany Pisarz Znaleziony Z Głową We Własnej Dupie. Zmusiłem się, żeby iść dalej i wyjrzałem za róg.

Ujrzałem pusty parking, z miejscami na samochody oznaczonymi białą farbą, na końcu drzwiczki z metalu, obok których siedział czarnoskóry bramkarz. Zamachał w moją stronę latarką, po czym ją wyłączył. Ruszyłem w jego stronę. Gapił się na mnie bez ruchu zza okularów lustrzanek. Sprawdził moje prawo jazdy, wręczył mi ulotkę i otworzył ciężkie, stalowe drzwi.

Trafiłem do długiego pomieszczenia z niskim sufitem. Wzdłuż jednej ściany ciągnął się bar, pośrodku stały stoliki, a na tyłach znajdował się parkiet, oświetlony na czerwono i niebiesko. Z głośników waliła i zgrzytała jakaś ciężkawa muzyka.

Akustyka była słaba, więc od basu drżała podłoga i sufit. Lokal w połowie wypełniony był ludźmi, których upchnięto z tyłu. Oczywiście, kiedy tylko wszedłem, zacząłem szukać Teresy, jednak na początku ciężko mi było rozróżnić ludzi w ciemności. Nie wspominając o tym, że wszyscy byli ubrani na czarno. Od czasu do czasu pojawiał się jakiś czerwony akcent albo panienka w długiej białej sukience trzepoczącej wokół czarnych ciał czy też biała koronka w tym świetle zabarwiona na różowo. Pomyślałem o domu Marie Fontanie, jego białych ścianach i brudnym śniegu wyglądającym na różowy przez światło migających syren, gdy tymczasem jej pokój skąpany był w czerwieni.

Wyrzuciłem ten obraz z głową i z rękami w kieszeniach zacząłem

przeciskać się przez tłum, obserwując ludzi dookoła mnie, aż dotarłem do tylnej ściany. Theresy nie było. No cóż, spodziewałem się tego. Właśnie zacząłem się zastanawiać, po co właściwie tu przyszedłem, kiedy nagle zauważyłem coś dziwnego w dwóch kobietach tańczących nieopodal mnie. Były ubrane identycznie, w czarne sukienki z wysokimi koronkowymi kołnierzami ciasno zapiętymi na szyjach. Jedna miała rękawiczki, a druga kapelusz i welon. Obydwie były brunetkami i miały mocny makijaż. Jedna była blada, miała przypudrowaną skórę i jasnoczerwone usta, a druga ciemna, z ciemnymi brwiami, a jej usta w tym oświetleniu wyglądały na fioletowe. Błada dziewczyna była szokująco chuda i wyższa ode mnie. Kolana zdawały się wystawać jej z pończoch. Jej przyjaciółka była za to ciężka i miała grube, mięsiste ramiona wystające z sukienki bez rękawów oraz szerokie biodra.

Ale było w nich coś jeszcze, coś, co zwróciło moją uwagę. Podeszła do nich kolejna kobieta, starsza blondynka. Ona również miała na sobie czarną koronkową sukienkę z wysokim kołnierzem, kapelusz o szerokim rondzie i welon. Wszystkie one były ubrane jak... Sibylline. Jak moja matka. Jak ja.

Ich ubrania podobne były do tych, które wyjąłem z szafy mojej matki, a makijaż przypominał efekt działań Claire próbującej ukryć mój zarost. Te kobiety były dziwacznymi karykaturami moich prób udawania mojej matki! Szczerze mówiąc, dostałem w tym momencie dreszczy. Szybko się odwróciłem. Czułem się w tym momencie, jakby ktoś odkrył mój sekret. Jakbym bał się, że ktoś mnie rozpozna. Kiedy usiłowałem przedrzeć się przez parkiet, nagle wszystko stało się jasne. Dziewczyny w białych sukienkach były przebrane za Sashę, moją półwampirzą bohaterkę. Mężczyźni w czarnych garniturach i z laskami byli Aramem, wyższym wampirem, natomiast ci w białych perukach robili za jego rywala, Faubourga St. Germaine. Zmysłowo wyglądające kobiety odziane w obszarpaną czerń były przebrane za Ivy, królową wampirzego świata. I oczywiście mężczyźni w czarnych płaszczach o podniesionych kołnierzach (jak ja!) odgrywali Jacka Silvera, łowcę wampirów, który nie mógł się oprzeć młodziutkiej Sashy. Zerknąłem na kartkę, którą wręczył mi przy wejściu ochroniarz; było na niej napisane: *Poniedziałek Wampirów. W tym tygodniu oddajemy hold Sibylline Lorindo-Gold.*

Atak paniki powrócił. Usiłowałem głęboko oddychać, wciągając zapach perfum, potu i piwa. Staralem skupiać się na mijających mnie twarzach. Spoceni ludzie błyszczeli w światłach, przekrzykiwali hałas. Wszystkie te dziewczęta i wszyscy chłopcy - ze spływającym i

rozmaitym makijażem, w źle dopasowanych garniturach i kostiumach z secondhandu, z pryszczami i okropnymi fryzurami, plamami pod pachami w sukienkach balowych i z błyszczącym w niebieskim świetle łupieżem - wszyscy oni zgromadzili się tu, niby jakiś mroczny sabat, przyciągnięci przez wspólny szacunek dla śmieciowej serii horrorów o słabej sprzedaży. Przyszli do nudnego baru w ten posępny wieczór nie w poszukiwaniu krwi czy wiecznego nie-życia albo złego sabatu, ale czegoś, co jest spośród naszych mrocznych pragnień najbardziej tajemnicze i ludzkie: prostego kontaktu z drugim człowiekiem.

Kiedy tego wieczoru dotarłem do domu, sprawdziłem maile. Nic.

Otworzyłem czat. VampT3, jedyna koleżanka, którą miałem, WYJECHAŁA. Na jej wampirzym blogu napisane było, że wyjeżdża z miasta, żeby odwiedzić przyjaciół i przez jakiś czas będzie offline.

Townes zadzwonił wczesnym rankiem. W końcu mieli wyniki badań, które jednak nie mogły bezsprzecznie potwierdzić mojej hipotezy. Wszyscy z laboratorium zgadzali się zasadniczo ze mną, ale nie było możliwości, żeby z całą pewnością stwierdzić, że osoba na fotografii nie żyje. Na szczęście nie potrzebowaliśmy niezbitego dowodu. To Clay usiłował ponownie otworzyć swoją sprawę, używając w tym celu zeznań swojej matki. Zeznanie ekspertów z laboratorium fotograficznego FBI wystarczyło, żeby przechylić szalę i przekonać sędziego, że nowe dowody Claya nie były wystarczająco istotne. Tego wieczora dowiedzieliśmy się, że jego prośba została odrzucona i że tymczasowe odroczenie egzekucji zostało cofnięte. Miał umrzeć.

Było to zwycięstwo, jednak po rozmowie poczułem się pusty i nawet Townes, który poprzedniego wieczora śmiał się i wznosił toasty, zdawał się być przygnębiony. Zostawiłem Dani wiadomość, w której przekazałem jej najnowsze nowiny. Sprawdziłem skrzynkę mailową, pokręciłem się po mieszkaniu, wziąłem prysznic i ogoliłem się. Wtedy coś mnie tknęło, jakbym reagował na czyjeś pilne wezwanie - spakowałem torbę podróżną i szybko wyszedłem z mieszkania, żeby złapać metro jadące na Penn Station, skąd odjeżdżał pociąg na północ.

Nie byłem pewien, dlaczego chcę jeszcze raz zobaczyć się z Clayem. Nigdy nie miał najmniejszego zamiaru pisać żadnej książki i teraz, kiedy nie byłem już użyteczny, a dodatkowo przyłożyłem rękę do jego egzekucji, nie miał żadnego powodu, żeby się ze mną spotkać.

Mimo wszystko miałem przecucie, że zechce ze mną porozmawiać - i miałem rację.

Wymagało tego jego ego, jego poczucie, że jest zarówno podmiotem, jak i najważniejszym autorem własnej opowieści. Nawet jeżeli

nie byłem już jego pisarzem, wciąż byłem jego duchem, a teraz również jedynym czytelnikiem. Jednak historia jeszcze się nie skończyła, a ja chciałem znać koniec, nawet jeżeli nie byłby on zapisany na papierze.

Po raz kolejny więc spędziłem noc w gównianym hotelu, na który ledwo było mnie stać, zjadłem wilgotnego klubowego sandwicza i fatalnie spałem przy dudniących na zewnątrz ciężarówkach.

Snułem się w poczekalni dla gości, gdzie spotkałem swego czasu Flosky i gdzie, być może, pojawi się teraz jej własny adwokat, podczas gdy ona czekać będzie na karę śmierci. Kupiłem w maszynie starego Snickersa.

Potem wprowadzili mnie do środka.

Clay wyglądał, jakby się postarzał, schudł i posiwiiał, ale nie przypominał kogoś przestraszonego czy choćby nieszczęśliwego.

- Siema! - zawołał, gdy mnie zobaczył. Uśmiechnął się szeroko i na powitanie uniósł ręce w kajdanach. Wyciągnął się w krzesło ze skrzyżowanymi nogami, jakby czekał na kawę po posiłku albo gawędził z Jayem Leno, a to, że przywdział na tę okazję pomarańczowy kombinezon, było tylko jego kaprysem. Pomimo tego, że walczył o życie przez ostatnich dziesięć lat, a jego matka włożyła tytaniczny wysiłek w ratowanie go, nie wyglądał na szczególnie przejętego wizją śmierci. Nie wyglądał też na specjalnie przejętego tym, że przez niego ona sama prawdopodobnie zostanie skazana na śmierć. Nie wyglądał nawet na przejętego mną. Wyglądał, jakby miał wielką ochotę pogadać.

Postawił sprawę jasno: cokolwiek powie, nie będę mógł z tego zrobić żadnego użytku. Nasza umowa straciła moc prawną, jeżeli w ogóle taką miała. Publicznie wciąż wszystkiego się wypierał i oznajmił za pośrednictwem swojego nowego obrońcy z urzędu, że jest niewinny i wszyscy, którzy temu przeczą, są kłamcami. Nie miałem przy sobie dyktafonu ani notatek. Wszystko, co napisałem, można równie dobrze potraktować jako fikcję.

Powiedziałem, że rozumiem. Więc on mówił, a ja słuchałem. Mówił tak, dopóki nie przyszedł strażnik oznajmiając, że muszę wyjść.

Pierwszą istotą, którą zabiłem, był myszokoczek. Albo świnka morska. Nie pamiętam, czym się różnią. Zwierzak należał do jednego z dzieciaków z rodziny zastępczej. Miała na imię Betsy. Pani Gretchen ją wolała ode mnie. W ogóle wolała dziewczynki, mówiła, że są bardziej schludne. W każdym razie Betsy mogła mieć tego myszokoczka, czy co to tam było. Chomik? Tak, chomik w szklanym pojemniku, z kółkiem i wiórkami z cedru wymieszanymi z jego kupami i butelką na wodę, z której pił przez mały metalowy dzióbek. Betsy była smarkulą. Trochę starszą. Ja miałem siedem albo osiem lat. Byłem pod opieką społeczną już jakieś dwa lata. Oni wszyscy, Betsy, chomik, byli czymiś ulubieńcami. Ja nigdy nim nie zostałem. Cóż, niektórzy mężczyźni mnie lubili. W każdym razie Betsy mogła dać mi się z tym zwierzakiem pobawić albo go pogłaskać, ale nigdy tego nie zrobiła.

Pewnego dnia została w szkole po zajęciach, miała próbę przedstawienia. Wystawiali Annie, tak mi się wydaje. Pani Gretchen piła na podwórku. Jej chłopak był w pracy. Zakradłem się, złapałem futrzaka i zacząłem go głaskać, trzymając na kolanach. Wciąż pamiętam, jaki był mięciutki. Jakbym wkładał dłonie w futrzane rękawiczki. No i miał te maleńkie czarne oczka, jak guziczki. To niesamowite, że w ogóle widzą, nie? Że przez te główki od szpilek wyziera jakaś świadomość, jakiś mały rozumek, w którym kłębią się małe chemiczne myśli? Małe życie, podobne do twojego, do każdego, do wszystkiego. Czy to nie jest trudne do pojęcia? Powiem ci, jak ja to widzę. Jak plaża, w którą uderza fala i się cofa. Czy to ocean, czy tylko fala na oceanie, a może tylko kałuża zostawiona w piasku albo kropla w maleńkiej muszli - to wszystko jest to samo, ta sama woda. I pamiętam, że głaskałem tego chomika, chyba nazywał się Donny, i

czulem, jak jego serduszko szybko bije. Myśląc o tym, jak bardzo nienawidzę Betsy, ścisnąłem go mocniej i poczułem, jak te jego maleńkie kosteczki łamią się pod moimi palcami i ścisnąłem go tak, dopóki serce nie przestało mu bić. Potem włożyłem go z powrotem do klatki, na jego kółko do biegania i poszedłem się bawić gdzie indziej. Kiedy go znalazła, wszyscy myśleli, że dostał zawału od biegania. Pochowaliśmy go w lesie za domem.

Jak już wiesz, albo się domyślasz, matka i ja nigdy nie straciliśmy kontaktu, a przynajmniej nie na długo. Wyśledziła mnie i sekretnie się spotykaliśmy. Zakazany romans. Brała mnie po szkole na lody albo mówiłem, że idę oglądać film do kolegi i gdzieś mnie zabierała. Dała mi nawet pieniądze na ten pierwszy aparat, który kupilem. Oczywiście wciąż jeszcze się puszczała, podrywała mężczyzn i zabierała ich do pokoju. Czasami czekałem na zewnątrz, a jak kiedyś wynajęła malutkie, jednopokojowe mieszkanie, to czekałem w kuchni. Czasem podglądałem przez szczelinę w drzwiach. Tak się to ciągnęło, dopóki nie miałem szesnastu lat. A może siedemnastu. W każdym razie byłem już w liceum. Moja matka była z klientem, a on ją tłukł. Szczerze mówiąc, nie była to żadna nowość. Była bardzo otwarta, jeżeli chodzi o nagość, co oczywiste, i kiedy się ubierała albo wychodziła spod prysznic, często widziałem, że miała siniaki. Chyba to lubiła. Widziałem, jak mężczyźni ją bili i jak ją to podniecało. Ale tym razem sprawy wymknęły się spod kontroli. Słyszałem, jak wrzeszczy, przeklina i walczy. Coś się rozbiło. Otworzyłem drzwi i zobaczyłem, że leci jej krew z nosa. Ten koleś, spory gość, miał co najmniej metr osiemdziesiąt i ważył ponad 90 kilo, tłukł ją po twarzy, z całej siły. Przeleciała przez pokój. Wypluła krew. Na początku byłem zszokowany. Nie wiedziałem, co robić. Wciąż byłem tylko dzieckiem. Wtedy on położył jej ręce na gardle i zaczął ją dusić, mocno, potrząsując nią jak lalką i wiedziałem, że ją zabije. Spojrzałem w jej oczy, kiedy na mnie patrzyła i tylko gulgotała. Więc pobiegłem do kuchni, złapałem nóż, taki duży żąbkowany nóż do chleba i bez zastanowienia, na to nie było czasu, podbiegłem i wskoczyłem mu na plecy. To było tak, jakbym usiłował ujarzmić konia. Sięgnął do tyłu, żeby mnie walnąć, musiał być zaskoczony, że ktoś tam w ogóle był, ale ja tylko złapałem go za włosy, odciągnąłem mu głowę i przejechałem ostrzem po gardle. Krwawił jak zarzynana świnia. Miotał się i dygotał, ja wciąż byłem na jego plecach, a moja matka walczyła pod nim. I tyle. To było łatwe. Problemem było ściągnięcie z niej tego wielkiego byka i pozbycie się zwłok. Poszła zmyć z siebie jego krew, a ja myłem podłogę. Potem poćwiartowaliśmy go w wannie i wynieśliśmy części ciała w torbach. Włożyli-

śmy w nie kawały żwiru i cegły i zatopiliśmy w rzece. Sprzedaliśmy jego zegarek, obrączki i karty kredytowe.

Potem już poszło. Spędzałem z nią coraz więcej czasu i kiedy skończyłem szkołę i przestał mnie obejmować program opieki społecznej, zostałem na dobre. Dużo wtedy podróżowaliśmy. Wszędzie. Chodziliśmy i podrywaliśmy ludzi - w barach, w parkach, męskich toaletach - jak dwóch rybaków, którekolwiek z nas dorwało kogoś pierwsze, drugie się przyłączało. Zazwyczaj chodziło tylko o to. Obciągała jakiemuś kolesiowi albo dawała mu się wyruchać. Albo ja dawałem sobie obciążnąć jakiemuś staremu kolesiowi. Placili nam i tyle. Czasem po prostu tłukłem gościa i zabierałem mu gotówkę, biżuterię i karty kredytowe. Albo zakradałem się i waliłem jej klienta po głowie. Nigdy nie dzwonili na policję. A czasami posuwaliśmy się dalej. Zrobiłem się w tym niezły. Pamiętam, jak wyciąłem swoje pierwsze serce i czulem, jak bije mi w dłoni. Wyrwałem mężczyźnie jelita, a on na to patrzył. Nie wyglądał, jakby go bolało. Wyglądał raczej, cóż, jakby go to fascynowało. Co chciałeś wiedzieć? Dlaczego ci, a nie inni? Wiem, chcesz mnie o to zapytać, ale mogę ci tylko powiedzieć, że te złe pytanie. Dla mnie wszyscy byli identyczni. Byli po prostu ciałami. Ciałami, w których poruszały się oczy, biły serca, a w mózgach roiły się myśli. Kilka kropli krwi płynącej w morzu flaków, w oceanie krwi, który od wieków już napływa falami. To co, jeżeli się do tego przyczynię? Albo i nie przyczynię i ciało to poruszać się będzie jeszcze przez następnych kilka lat? To tylko kolejna kropla, jak deszcz nad oceanem. Jak ten myszokoczek. Jak ja czy ty.

Dziewictwo straciłem w wieku 20 lat. Trochę późno, wiem. Byłem przystojny, ale bardzo nieśmiały i bałem się uśmiechać do dziewczyn z powodu moich zębów. Trochę się jakałem i zawsze byłem niezręczny i biedny. Ale pewnej nocy w barze poderwała mnie jakaś kobieta. Upiła mnie i poszliśmy do niej. Była starsza, miała jakieś 35 albo 40 lat i pokazała mi, co mam robić. Włożyła go w siebie. Mówiła mi, kiedy mam poruszać się szybciej, wolniej, mocniej. Powiedziała mi, że mogę ścisnąć jej piersi, mocno, ciągnąć ją za włosy czy bić po tyłku, jak to robili mężczyźni mojej matce. Krzyczała tak jak moja matka, a ja doszedłem. Powiedziałem matce, a ona na to, żebym lepiej tam wracał i się nią zajął. Powiedziała, że może zaszła w ciążę albo mnie wysłodziła. Powiedziała, że te suki są jeszcze gorsze niż mężczyźni. Powiedziała, żebym nigdy nie ufał kobiecie. Oprócz niej. Więc następnego wieczoru wróciłem, zapukałem do jej drzwi, ona uśmiechnęła się, wpuściła mnie i zrobiliśmy to jeszcze raz. Ale tym razem położyłem dłonie na jej gardle i ścisnąłem mocniej. Uduśiłem ją. Wycisnąłem z

niej życie, pieprząc ją i czułem to, czułem, jak jej cipka kurczy się, kiedy próbowała się bronić i waliłem jej głową w ścianę, dopóki nie umarła. Matka czekała w samochodzie, a przynajmniej tak myślałem. Ale kiedy spojrzałem w górę, zobaczyłem ją, obserwowała mnie. Wemknęła się, żeby zobaczyć, czy nie potrzebuję pomocy. Zawinęliśmy ją w koc i znieśliśmy do samochodu. Pojechaliśmy na wieś i pogrzebaliśmy w lesie ciało oblane ługiem, żeby nikt nie znalazł w niej mojego DNA.

Od tamtej pory przeleciałem wiele dziewczyn. Setki. Nie wiem dokładnie ile. Zrobiłem się w tym dobry. Po tym pierwszym razie przestałem być nieśmiały. Wiedziałem, że mogę je mieć, więc po prostu podchodziłem i rozmawiałem z nimi. Pewnie, wiele z nich było prostytutkami, nie interesuje mnie to. Jestem synem kurwy. One też muszą jeść. Ale były też studentki, mężatki, kelnerki, sprzedawczynie, matki pilnujące bawiących się w parku dzieci. Niektóre z nich mnie oczywiście odrzucały, ale wierz mi, wiele powiedziało tak. Potrzebowały tego i wiedziały, że ja mogę im to dać. Większości z nich nie zrobiłem krzywdy. Uszczęśliwiałem je. Raz na jakiś czas, kiedy któraś odrzucała mnie zbyt ostro albo zaczynała się wywyższać, śmiałem się i myślałem: nawet nie wiesz, jak byłaś blisko. Śmiałem się i odchodziłem. Pozwalałem jej odejść. Albo i nie. Kogo to obchodzi? Nie byłem zły. To nie o to chodziło. Nie nienawidzę kobiet. Dlaczego miałbym? Z powodu mojej matki? Litości, czarnuchu! Tak niektórzy czarnoskórzy goście mówią tu do siebie. To chyba z jakiegoś programu. W każdym razie nasłuchiwałem się już od psychiatrów o mojej matce. Tak, była pojebana. I co z tego? Jedyne, co kiedykolwiek miałem, to moje życie. I to ona mi je dała. Nigdy nie zaatakowałem nikogo ze złości, może oprócz tego pierwszego faceta, nożem do chleba, ale tak naprawdę nawet wtedy nie czułem złości, byłem po prostu otepiały, jakbym był w szoku, co prawdopodobnie oznacza, że byłem przerażony. Ale potem nie czułem już strachu ani złości. Czułem, że żyję. Tak jak artysta czuje się przy pracy. Może i ty czujesz się podobnie, pisząc o tych swoich goblinach. Byłem zafascynowany nieskończoną różnorodnością natury, niewiarygodnym pięknem i złożonością ciała. Często kontemplowałem nad idealnym odbytem, tą ukrytą szczeliną pomiędzy krągłymi pośladkami. Czasem był blad różowy, czasem miał kolor głębokiej czerwieni, jak mały pąk gotów rozkwitnąć.

Czasem był niemal fioletowy, jak śliwka wetknięta w brzoskwinię. Tak delikatny, tak ostrożnie namalowany, niczym muśnięcie różu. Słyszałem wszystkie dźwięki wydawane przez ich ciała, z rozkoszy i z bólu. Czasem nie można ich odróżnić. Widziałem, jak ich oczy ucie-

kają w głąb czaszki. Wąchałem ich perfumy i ich włosy. Czasem jednak byłem równie zdumiony, krojąc jakiegoś grubasa, rozrzucając jego flaki jak jakieś odpadki, brodząc w nim niemalże, wyladowując jego organy, jak jakąś starą, zniszczoną walizkę ze świńskiej skóry. Widziałem, co jadł na kolację, marchewkę z groszkiem. Potem mój oddech z zimna zmienił się w parę w świetle księżycy w trzeciej kwadrze i poszedłem wykopać dziurę. Kopałem, dopóki kark nie spłynął mi potem. Zakopałem cały bałagan i już o świcie jadłem śniadanie w barze dla kierowców ciężarówek. Stek i jajka. To chyba było w Zachodniej Wirginii. Widziałem góry Smoky o świcie. Mgła buchała ze szczytów górskich i wkradała się w doliny jak te napastliwe japońskie pnącza. Tego dnia pojechałem do Kentucky. Bardzo tam ładnie. Dużo zieleni. Naprawdę głęboki cień, którego tu nie ma. Z Ohio pamiętam tylko domy z cegły, stare drzewa i rzekę. Pracowałem tam przez chwilę w sklepie, na nocną zmianę. Nie przeszkadzało mi to, a taką pracę zawsze można dostać. Kiedy pracowałem, moja matka podrywała mężczyzn w barze i pieprzyła się z nimi w hotelach. Pewnej nocy poznałem dziewczynę o oczach w kolorze jadeitu, naprawdę były mlecznozielone. A przynajmniej na takie wyglądały, kiedy przyszła do sklepu po paczkę newportów i jakieś chipsy. Chyba doritos. Albo serowe chrupki. Pamiętam pomarańczowy pyłek na jej palcach i wargach. Krążki cebulowe. Włosy miała w kolorze miedzianego blondu. Piła przez słomkę napój wiśniowy. Nos miała jak guzik i pokryty piegami. Miała też tatuaż przedstawiający łańcuch wokół kostki, który mi pokazała z imponującą giętkością stawiając stopę w adidasie na ladzie. Miała świetne kości policzkowe i ujmującą szparę między zębami, której się wstydzila; śmiała się z moich bystrych uwag, zasłaniając usta dłonią. Kiedy skończyłem zmianę, poszedłem do jej przyczepy. Za jej przyzwoleniem wyruchałem ją w usta i pizdę, w tyłek bez przyzwolenia, opierając ją o ścianę. Powiesiłem ją pod prysznicem i wyciąłem te śliczne oczka. Potem poszedłem do domu i zastałem matkę pod jakimś stękającym idiotą w sportowych skarpetkach. Jej paznokcie wbiły się niemal po knykcie w ten biały tłuszcz. Wemknąłem się po cichu i sprawdziłem jego portfel. Był nadziany. Jakiś kierowca ciężarówki, który dostarczył towar i właśnie mu zapłacono. Więc zanurzyłem ostry koniec młotka w jego czaszce. Była to, jak to się mówi, całkiem niezła noc. W Meksyku pokroiłem dwie prostytutki, które poderwałem w barze za Tijuana. Obydwie miały wysoko zawieszzone, krągłe tyłki i nisko zawieszzone, krągłe piersi. Miały indiańskie twarze, jak z jakiegoś kamienia Majów. Ale jedna z nich miała zielone oczy, ciemniejsze i bardziej rozświetlone niż białe dziewczyny z Ohio.

Druga miała złote przednie zęby. Jedną z nich związałem i kazałem patrzeć, jak wykorzystują drugą, wyciąłem jej powieki, żeby nie mogła zamknąć oczu. Było gorąco i kiedy skończyłem, rozebrałem się. Byłem nagi i pokryty krwią. Piłem tequilę, a muchy lizaly mi plecy. Brodziłem w oceanie z ich poćwiartowanymi zwłokami w torbach, puściłem je z przyływem i pluskałem się chwilę w pianie morskiej w świetle księżycy. Czulem się świetnie. Wydaje mi się, że następnego dnia przyleciały motyle. Monarchy. Widziałeś kiedyś coś takiego? Wielka grupa poruszających się pomarańczowych kwiatów lecąca z północnej Kalifornii, by umrzeć na swym antycznym łądzie. Stworzenia zbyt małe, żeby posiadać mózg, żyjące zbyt krótko, by mieć wspomnienia, a jednak pamiętają. Pamiętają o powrocie do domu, do miejsca, w którym nigdy nie były. Niezwykłe. Wybrzeże Michoacán jesienią. Tego roku w Los Angeles poznałem ciężarną kobietę, która miała brzuch jak melon w spódnicy. Możesz uwierzyć, że mimo to mnie chciała? Żona bogatego faceta. Pozwoliłem jej żyć. Czemu nie? Posłałem ją do domu, do mężusia. Właza do swojego mercedesa i odjechała, posyłając mi całusa. Rozbawiła mnie. W Albuquerque przypalili mi stek. Śledziłem kelnera i ogłuszyłem go. Obudził się, kiedy przybijalem go gwoździami do podłogi. Nie znoszę nadmiernie wysmażonego mięsa. Zabiłem starego mężczyznę w Denver. Był bezdomny, spał pijany gdzieś obok drogi, pod wiaduktem. Śmierdział winem i szczynami. Zatrzymałem się, poderżnąłem mu gardło i poszedłem sobie. W Minneapolis była prostytutka o imieniu Cookie z bliźną po cesarce na brzuchu. W Memphis małżeństwo swingersów, opaleni, wywoskowani i napakowani. Ludzie są strasznie sztywni, jeżeli chodzi o ciało, nie uważasz? Niezależnie od wieku, rasy czy rozmiaru chciałbym, żeby nauczyli się doceniać piękno własnych ciał, jak doceniam je ja. Wewnętrzne piękno również. Widziałeś kiedyś wątrobę? Ten brąz o fioletowym połysku, ten blask? Mgiełka świeżej krwi. Różowe organy skrywające się w ciepłe. Ludzie są przerażeni, obrzydzeni wewnętrżnościami. Przyznaję, aromat jest bogaty i trzeba się do niego przyzwyczaić, ale jeżeli usunie się na bok uprzedzenia, tak naprawdę ludzkie ciało w środku jest całkiem ładne.

Cieszę się, że obydwa jesteście z Queens. Wiedziałeś, że Queens to tak naprawdę wyspa? Część Long Island. Podoba mi się, to jak niezależne królestwo. Tylko robi z tego mniejszą sprawę niż Manhattan. Nawet kiedy podróżowałem po całym kraju, wiedziałem, że chcę tu wrócić. To dom. Dom całego świata. Tęsknię za tutejszym jedzeniem. Jest niesamowite, prawda? Argentynskie, kolumbijskie, chińskie, koreańskie, malezyjskie, hinduskie, greckie, włoskie, a to

wszystko obok siebie. W porównaniu z samym miastem Queens wydaje się powolniejsze, cieplejsze, takie miasteczko, a jednak teraz czuję, jakby to był prawdziwy Nowy Jork, wszystko, co zostało z miasta, które znaliśmy będąc dziećmi.

Deweloperzy, japiszony, europejscy, śmieciowi milionerzy i zadzierający nosa ludzie od funduszy powierniczych: gdybym miał wszystko powtórzyć, to ich bym zabił. Być może zabijając w pojedynkę mógłbym sprawić, że czynsze byłyby znowu niskie, odstraszyłbym bogaczy i w ten sposób ocalił zachodnią kulturę? Postawiliby mi pomnik na Astor Place. No cóż. W każdym razie nie muszę ci opowiadać o Queens, ty tam ciągle mieszkasz, w mieszkaniu swojej zmarłej matki. Tak, wiem wszystko o tobie. Czytałem twoje książki o wampirach i kryminały. Te o tym czarnym koleźce, twoim bohaterze, jak mu tam? Jeremiasz Johnson? A tak, Mordechaj Jones, tę, w której śledzi seryjnego zabójcę, zbierającego żniwo w postaci kobiet najważniejszych alfonsów. Całkiem zabawne. Chociaż wolę te książki sci-fi, z obcymi planetami, z niewolnikami seksualnymi i robotami do ruchania i tak dalej. Te są fajne. Kazałem nawet mojej matce przez chwilę cię śledzić, jeszcze zanim się oczywiście oficjalnie poznaliście, zanim do ciebie napisałem. Powiedziała mi, że sam masz niezłe oko do panienek: ta mała, co za tobą łązi, Claire, tak? Mam nadzieję, że mama nie zrobiła jej zbyt dużej krzywdy. Ma problem z kobietami, jak już mówiłem, szczególnie z tym młodymi i atrakcyjnymi. No i przeleciałeś naszą wspólną przyjaciółkę, Dani. Muszę powiedzieć, że ci zazdroszczę. Korespondowaliśmy przez chwilę i byłem pod wrażeniem. Dziewczyna ma potencjał.

Gdzie skończyłem? A tak, zdjęcie. Końcówka. Mój upadek i koniec, moje fatalne kobiety. Książniczki z Queens. Chociaż właściwie to sztuka mnie zgubiła, nie kobiety. Nigdy nie pozbędę się tej ciągoty, a to wpłynęło na moją pracę. Na pewno sam już pomyślałeś, że indywidualny rozwój jest jak metonimia historii sztuki: od noworodka bawiącego się fekaliami przez dzikusów malujących sokiem porzeczkowym i węglem na ścianie jaskini, do Michała Anioła unoszącego się na plecach, malującego dach nieba. Cóż, na dużo bardziej skromną skalę, tak było też ze mną. Cała ta zabawa krwią i flakami - na początku była to rzeźnia, przyznaję, zabijanie mnie po prostu kręciło. Ale potem poczułem pragnienie tworzenia, nie destrukcji, raczej może tworzenia przez destrukcję, chciałem, widzisz, tworzyć też piękno. Pracowałem z oczami, włosami, dłońmi, palcami i stopami. Zrozumiałem skórę i co można z nią zrobić. Największy i najdziwniejszy organ. Nauczyłem się kochać żołądki, płuca, jelita. By

je poznać, wybacz wisielczy humor, na wylot, tak jak rzemieślnik rozumie kamień, drewno czy glinę.

Kiedy wróciłem do Queens, postanowiłem stworzyć coś bardziej stałego, uwiecznić to na filmie. Wcale nie chciałem zabijać tych modelek. Chciałem po prostu skompletować portfolio, zrobić normalne zdjęcia. Cóż, powiedzmy. Więc rozkleiłem ogłoszenia, że szukam modelek w szkołach, w pracy, lokalnych gazetach, nawet zrobiłem kilka zdjęć. Zwykłych. A potem odpowiedziała jedna dziewczyna. Nancy cośtam, tak. Chyba tak. Pamiętam, że w gazetach opisali ją jako cichą, dobrą dziewczynę, która mieszkała z rodzicami. Cóż, przykro mi, nie całkiem. Pamiętaj, że byłem jeszcze młody i piękny, no i podkreślałem to piękno, jak tylko potrafiłem, jak każdy wampir. Na początku się denerwowała i zrobiliśmy kilka nijakich zdjęć. Ale butelkę wina później zrobiliśmy kilka aktów. Po dwóch butelkach lizałem ją, aż jęczała i trzęsa się. Potem robiła już wszystko, co chciałem, stanęła na głowie z kwiatkami w tyłku. Wtedy do domu przyszła mama. Cóż, tak jak mówiłem, nie ufa kobietom. A wiesz, jak to jest, jak już zacznę. Mój Boże. Założę się, że twoja matka też była taka. Nie przestawała głądzić. Jak mogłem przyprowadzić obcą osobę do domu? I to do tego taką głupią puszczalską sukę. Stanowiła niebezpieczeństwo, obciążenie, bla bla bla. W końcu poderżnąłem jej gardło tylko po to, by się zamknęła. To znaczy gardło tej dziewczyny, nie mamy. Chociaż kto wie, może podjąłem złą decyzję. Wiesz, o co mi chodzi? W każdym razie, reszta jest historią sztuki. Odnalazłem swój projekt. Swoją pracę. Musiałem kontynuować, dopóki mnie nie złapali, jak każdy artysta. I musiałem się upewnić, że moja sztuka przetrwa, nawet jeżeli tylko w kartotece policyjnej, w piwnicy na posterunku. W końcu wypłynię na wierzch, jak każda forma sztuki, jak nieodkryte obrazy, nieopublikowane powieści, niesprzedane wiersze. Tak długo, jak ktoś to robi, sztuka przetrwa. Zgadzasz się?

Czy kiedyś zaznałem miłości? Dlaczego nie? Kto powiedział, że nie kochałem tej dziewczyny z tatuażem i o jadeitowych oczach z Ohio? Albo którejś z tych meksykańskich kurew? Tej po lewej. Może kochałem je wszystkie na swój własny sposób. W końcu kto teraz o nich myśli prócz mnie? A może jednak kocham tylko to, co robię. Ale musimy podjąć decyzję, prawda? Decyzję artysty. Czymże są dla nas inni ludzie? Materiałem. Materiałem do pracy. Co kochamy bardziej, dziewczynę czy portret, który jej zrobiliśmy? My, artyści, nie jesteśmy do końca ludźmi, prawda? Nikogo nie kochamy. Ani nie nienawidzimy. Czy huragan nienawidzi drzew, które łamie po drodze? Czy tygrys kocha lub nienawidzi istot, które rozszarpuje na kawalki? A

kiedy tygrys starzeje się, jego zęby stają się tępe i umiera, kto po nim płacze? My, artyści, żyjemy i umieramy samotnie.

Kto dał mi prawo, żeby robić to wszystko? Natura, która tworzy i niszczy, która tworzy poprzez zniszczenie i która obdarza mnie tymi pragnieniami. Jestem naturą, to wszystko. Natura ceni robactwo toczące ciało na równi z gnijącym świętym. Jedynymi granicami są te, które sami sobie stawiamy jako ludzie. I dlaczego? Bo taka jest wola większości, mam na myśli, że słabi muszą bronić się przed silniejszymi, stado owiec jednoczyć się przeciw wilkowi. Jedyną regułą, której przestrzega wolna, inteligentna i rozsądna jednostka jest działanie w zgodzie z własnymi pragnieniami, a jedyną granicą, którą akceptuje, jest jego własna siła, dzięki której może te pragnienia urzeczywistniać. Czy żałuję swoich zbrodni? Oczywiście, że nie. Jestem całkowicie ukontentowany. Bycie sądzonym i ukaranym nie jest dla mnie problemem. W dawnych czasach kryminaliści idąc na stryczek, ubierali się jak na własne wesele, a tłum rzucił im kwiaty i wiwatował. Publiczna egzekucja za nasze zbrodnie jest największym zaszczytem, którym może obdarzyć nas społeczeństwo. Czy właściwie ludzie nie są przede wszystkim mordercami? Dzień po dniu wybijamy całe gatunki, niszczymy naszą własną planetę, marnujemy nasze zasoby i będzie tak, dopóki na własne życzenie sami nie znikniemy z tej planety. No i co z tego? Życie toczy się dalej. Ziemia nie będzie za mną tęsknić.

A jeżeli chodzi o naszą małą współpracę, to muszę przyznać, że żałuję jednego: żałuję, że nie zrobiłem jeszcze więcej. To jedyna granica, którą narzuca nam sama natura, ograniczenia tego, co możemy osiągnąć, w czasie i przestrzeni, z jednym ciałem i jednym życiem. Być może nawet ty znasz to uczucie. Jesteś ze swoją dziewczyną, swoją kochanką, może tą całą Jane albo naszą wspólną przyjaciółką Dani; przeleciałeś ją raz czy dwa i leżysz teraz obok niej, wykończony, dumając jak Sokrates po zerżnięciu kilku chłopców i widzisz, jak się pochyla, być może po to, żeby wyjąć z torebki papierosa albo usiąść słodko w toalecie w świetle księżycy, a kiedy wraca, wraca również twoje pożądanie i chcesz ją znów posiąść, ale nie możesz. Jesteś pusty, skończony, już nie możesz. To jedyna frustracja, jedyna męka, którą zna taki mężczyzna jak ja, ponieważ moja wyobraźnia i pożądanie wybiega poza możliwości ciała, a rozkosz zmysłów z kolei rozpala wyobraźnię, więc jedno zamienia się w drugie, pożądanie w myśl, filozofia w pornografię, zamknięte koło. Ale szczęśliwie nawet z tej sytuacji jest jakieś wyjście. Jeżeli Kochanek zamienia się w Artystę, nie ma granic dla jego pożądania, ani dla tego, kogo może poruszyć.

Może rozpalic umysly innych ludzi, by wcielić w życie uczynki, których nie mógłby dokonać sam, nawet gdyby żył dwanaście razy, a poprzez zarażanie całych generacji może mnożyć swoje pragnienia bez końca. Pomyśl o tych wszystkich słowach, które napisałeś. O tych wszystkich umysłach, które poruszyłeś, marzeniach, które zaszczepiłeś, pragnieniach, które rozpalileś. Kto wie, jakich miłości i zbrodni byłeś inspiracją? Do czego niby innego służy pisanie? Literatura nie jest niczym innym jak próbą wyruchania całego świata w dupę. Masz tu wiersz: Chciałbym, żeby ta strona była brzytwą i żebyście wy, wszyscy, mieli jedno gardło.

Po wywiadzie pobiegłem do hotelu i, jako że nie miałem ze sobą dyktafonu, usiłowałem dosłownie zapisać wszystko to, co właśnie usłyszałem. Wypełniałem stronę po stronie żółtego notatnika bazgrołami, aż rozbolała mnie ręka. Kiedy skończyłem, było już ciemno. Wymeldowałem się, zapłaciłem za pokój i złapałem ostatni pociąg do miasta.

Kto wie, czy to, co mi powiedział, było prawdą? Czy to możliwe, że zabił o tyle więcej osób, niż go oskarżono, co najmniej tuziny, w trakcie trwającej ponad dekadę morderczej podróży przez cały kraj? Przypuszczam, że tak. W końcu, kiedy ktoś zostanie oskarżony o, powiedzmy, kradzież samochodu, zakładamy, że to tylko jeden z wielu samochodów, a jeżeli w kartotece napisano, że było ich pięć, zakładamy, że tak naprawdę było ich pięćdziesiąt albo i sto. To niepisany element moralnego aspektu kary, fakt, że zawodowy przestępca w momencie złapania uczynił więcej szkód, niż myślimy. Tak też może być w przypadku seryjnego mordercy, a nawet gorzej. W końcu w przypadku profesjonalnego złodzieja samochodów, przestępcy napadającego na banki, narkomana albo gościa, który bije żonę - we wszystkich tych przypadkach występuje pewien wzór, motywy i metody, przez które prędzej czy później na pewno zostaną złapani. Ale psychopata, który morduje bez powodu, a przynajmniej bez powodu, który jesteśmy w stanie zrozumieć, który wybiera ofiary na chybił trafił albo pozwala, by wybrał je za niego los i bez celu włóczy się po kraju, grzebiąc i zatapiając ciała gdziekolwiek się pojawi - smutna prawda jest taka, że taką osobę można złapać jedynie przez łut szczęścia i jeśli się nie przyzna, nie ma pewności, które zbrodnie da się mu przypisać.

W tym świetle to upiorna myśl. Pomyślcie o tym wszystkich lu-

dziach, którzy znikają bez śladu. Co roku są ich tysiące nawet tylko w tym hrabstwie. Mężowie i żony, którzy mają dość i uciekają, wychodzą trzaskając drzwiami po kłótni albo wychodzą po paczkę fajek i nigdy nie wracają. Rodzice, którzy porzucają swoje rodziny, zbiegli ojcowie, matki, które zostawiają dzieci w szpitalach albo na schodach kościoła. Sfrustrowani pracownicy, którzy przez całe lata codziennie dojeżdżają do pracy i nagle po prostu wychodzą i jadą przed siebie aż do wyczerpania paliwa. Dłużnicy uciekający przed złą reputacją. Kochankowie o złamanych sercach, którzy chcą zapomnieć i być zapomnianymi, oddalić się i zniknąć w tłumie. Narkomani, pijacy, nałogowi hazardziści i zbrojeńcy, uciekający przed sobą samym. Te wszystkie dzieciaki, które zwały z domu, całe legiony ludzi zmierzających niczym pielgrzymi skądkolwiek i dokądkolwiek, znikających w naszych miastach, w naszej ciemności. Zakładamy, że wszyscy wybrali ucieczkę, ścigani przez własne demony. Ale co, jeżeli do ich zniknięcia przyczynił się inny demon? Co, jeżeli się nie zagubili, ale zostali znalezieni?

Z drugiej strony, może po prostu coś bredził? Kiedy tylko mogłem, sprawdzałem te szczegóły jego spowiedzi, w których wspomina o miejscu albo wydarzeniu i w niektórych przypadkach pasowały do tego, co znalazłem w gazetach albo innych środkach masowego przekazu. Odnaleziono martwą parę po włamaniu do domu w Memphis. Zaginiona dziewczyna, której nigdy nie odnaleziono. Piegowata, o zielonych oczach. Ale Clay również mógł mieć dostęp do tych informacji, a ja po prostu dopasowałem te fakty do jego historii. Miał masę wolnego czasu. Może postanowił sobie przypisać zbrodnie innych ludzi, żeby podkręcić własny profil, żeby zapewnić sobie miejsce w historii, żeby zażartować sobie z nas wszystkich i złożyć zeznanie, które było tylko kolejną tajemniczą, fałszywą wskazówką? Ściemną. A może po prostu chciał mi dokopać.

To samo tyczy się jego filozofowania, jeżeli można to tak nazwać, jego teorii i analizy własnej osoby. Jego wielkie teorie na temat Sztuki, Życia i Śmierci. Miał całe mnóstwo czasu, żeby przemyśleć swoje argumenty i skonstruować te podejrzenie solipsystyczne i wyrachowane pomysły. Kto wie, czy naprawdę myślał w ten sposób, kiedy zabijał. Może była to tylko podjęta po dłuższym czasie próba szlifu, dodania pozorów intelektualnych i estetycznych pobudek dla bezsensownego ataku szaleńca? Nie można zapomnieć, że pomimo jego zapewnień o istotności nauki i twórczych zapędów, czytał, myślał i uczył się tylko w więzieniu. Kiedy rozpoczął swą przestępczą hulankę, był na wpół analfabetą pod kuratelą państwa,

który ledwo skończył liceum. Otrzymał gruntowną edukację z okrucieństwa i był dobrze przygotowany, a nawet stworzony do roli przestępcy na tle seksualnym i mordercy, ale niewiele więcej. Był jak rzadki gatunek wyhodowany w szklarni: Amerykański Maniak.

To z tego punktu widzenia chcę rozważyć jego inne teorie, jego domniemaną wspólnotę z innymi pisarzami i artystami, a także związek ze sztuką i literaturą, wliczając w to mój niewielki wkład. Pomimo wszystkich jego stwierdzeń, pozostaje jedna, ale bardzo istotna różnica: jest kompletnym świrem. I to był jego słaby punkt.

Przyznaje, że jest zły i jest w stanie momentalnie zmobilizować swój niesłychanie potężny umysł w celu zdrugotania systemu wartości, według którego jest zły, jednak ani przez chwilę nie kwestionował własnej poczytalności. Nie jest w stanie pojąć, że szaleństwo może być racjonalne, zorganizowane, systematyczne, a nawet genialne. Szaleństwo może być całkowicie logiczne, jak na przykład w przypadku paranoi. Jest to system, który nie dopuszcza do siebie rzeczywistości czy obiektywnej prawdy: każdy, kto wątpi w moje słowa, jest częścią spisku, więc nikt nigdy nie odwiedzie mnie od moich przekonań. Podobnie Clay mógł być nadzwyczaj inteligentny i nie wątpię, że jego IQ było wyższe niż moje, ale jest w nim pewna rysa, fundamentalny chaos, który nie pozwala mu robić tego, co jednak jestem w stanie zrobić ja: napisać czegoś. Jako pisarz. Clay spłodził jedynie kilka tych listów, nic więcej. Jako artysta stworzył kilka przerażających fotografii, jednak większość była przeciętna.

Nie, żeby pisarze i artyści nie mogli być świrami. Wszyscy o tym wiemy. Być może nawet każdy z nich jest nim do pewnego stopnia. Sztuka ogólnie jest dziwacznym przemysłem. Ale wierzę w to, że część odpowiedzialna za pisanie jest tą normalną częścią, częścią, która poprzez przeniesienie wszystkiego na papier usiłuje ocalić świat przed niepamięcią, oddzielić życie od śmierci. A czymże jest pragnienie ocalenia wszystkiego i zjednoczenia wszystkich na dobre i na złe? Czyż nie jest miłością? A ci z nas, którzy piszą książki gatunkowe, o detektywach i mordercach, wampirach i kosmitach - być może właśnie dlatego wciąż wracamy do danej historii, raz po raz, niczym dzieci ściskające ulubioną, poplamioną galaretką książkę. Żeby opowiadać historię od nowa, dopóki wszystko się nie ułoży. Żeby wciąż dodawać nowe pokoje do wybudowanego przez nas domu, w którym żyją nasze myśli, powracające co rano z nowym naręczem smutku zebranego w nawiedzonym lesie; tworzyć ten wycinany łańcuch stron, to nieustannie rosnące drzewo, to zabawkowe miasto książek, w którym mieszkają duchy, tę obsesję, która

przyjmuje kształt historii, serii.

Kiedy dotarłem do miasta, byłem już wykończony tymi myślami. Pociąg przeciskał się przez alejki i tunele, a mój umysł wciąż powracał do czasów dzieciństwa. Nie mojego, ale Claya. Na wpuł przytomny wróciłem do tego, co powiedział mi o swoim pochodzeniu, swoim pierwszym zabójstwie. Myszkoczek. Chomik. Nieważne. Niepokoiło mnie to w sposób, którego nie jestem w stanie opisać. To szalone koło wciąż kręciło się w moim umyśle i zmierzało donikąd. Te małeńkie kosteczki kruszące się niczym precelki między zębami. Obudziłem się na Penn Station z bólem głowy, ściskając spoczone dłonie.

Przesiadłem się do metra i kiedy pociąg wyłonił się spod ziemi nieopodal rzeki, było już ciemno. Dostałem wiadomość. Od Jane. Rozmawiała z mężem. Bardzo chcieliby opublikować fragment mojej książki o Clayu w następnym numerze *Podartego pledu*, może nawet zrobić z niego główny punkt specjalnego numeru poświęconego zbrodni, zorganizować odczyt, imprezę, cały kram. I chociaż wyglądało na to, że już mam świetnego menedżera, wspomnieli o mojej książce swoim własnym agentom i redaktorom, którzy również byli podekscytowani. Cóż, wszyscy byliśmy.

Wizja powrotu do domu na samotną kanapę, do nawiedzonego mieszkania, przepełniła mnie grozą i kiedy zauważyłem Morrisa zamiatającego w sklepie, podbiegłem i zacząłem walić w szybę. Wpuścił mnie, ale odrzucił desperacką prośbę o pójście ze mną na drinka.

- Bez urazy, ale picie z tobą i innymi heterykami ma na mnie zły wpływ - powiedział. - Poza tym umówiłem się z Garym. I nie, nie możesz dołączyć. Ale masz, może to cię pocieszy.

Wręczył mi bukiet przepięknych irysów.

- Mój nowy projekt. Hodowane w domu. Zasadziłem je i hodowałem we własnym ogródku - wręczył mi je z uśmiechem.

- Geniusz... - wymamrotałem.

- No co ty?

- Geniusz - powtórzyłem, złapałem go za rękę i stojąc na palcach ucałowałem w oba policzki.

- Nie ma za co - krzyknął, kiedy wybiegłem, wymachując filetowym bukietem.

Gdy szedłem szybkim krokiem w stronę domu, wyciągnąłem telefon i zadzwoniłem do Townesa. Wyszedł już.

- To ważne. Nagły wypadek. Mówię serio.

Wahali się, ale przełączyli mnie i w końcu się z nim połączyłem.

W tle brzęczał telewizor i dochodziły mnie odgłosy kolacji, sztuce, talerze i brzęk szkła.

- Tak, czego chcesz?
- Townes - wrzasnąłem, jakbym usiłował mu coś powiedzieć bez pośrednictwa telefonu. - Wiem, gdzie zakopał głowy!

Kiedy tylko się rozłączyłem, Townes wysłał ekipy mające zabezpieczyć teren i o świcie zacząć kopać. Odebrał mnie agent Terence z jakimś innym facetem i zahaczając po drodze o Dunkin' Donuts, dotarliśmy do ulicy zablokowanej przez zaparkowane w poprzek radiowozy. Ich czerwone światła migały w ciszy. Ulica pełna była furgonetek i rządowych chevroletów impala, a nieopodal stała koparka. Dom i podwórko zostały zalane jasnym światłem, przez co las był doskonale widoczny. Hałas obudził sąsiadów, którzy wyszli popatrzeć, ustawiając się na gankach i podjazdach, jakby do miasta przyjechał cyrk i rozstawił się na ich ulicy. Kiedy policjanci nas wpuścili, zauważyłem młodą matkę, którą widziałem ostatnio. Stała przy swoim volvo i gapiła się na zniszczony dom po drugiej stronie ulicy, ten sam, o którym zawsze myślała, że jest nawiedzony. Teraz miała się dowiedzieć, przez kogo.

Zaparkowaliśmy i wysiedliśmy z samochodu. W powietrzu czuć było chłód przedświt. Wokół naszego samochodu zebrali się agenci w czarnych płaszczach, umundurowani policjanci i ludzie z laboratorium w białych, papierowych kombinezonach kosmicznych. Brali kawę, do której dolewali mleka i dosypywali cukru, który wyłożyliśmy na dachu samochodu. Sięgali także do gigantycznego pudła z pączkami, ciepłymi dzięki odpalonemu silnikowi.

Otworzyły się drzwi domu i pojawił się Townes, przyciągnięty być może zapachem kawy. Kiwnął do mnie ręką, ale najpierw rozmówił się ze swoimi agentami. Mówili coś niskimi głosami, po czym się rozeszli, a Townes podszedł do mnie.

- Rozmawiałem z jego matką zastępczą, Gretchen - oznajmił, wyciągając kawę z kartonowej podstawki i unosząc plastikową pokrywkę. Z kubka parowało.

- Tak?

Rozdarł dwa opakowania z cukrem i wsypał zawartość do kubka, po czym dodał dwie śmietanki. Wziął duży łyk, sącząc gorącą kawę, po czym z powrotem nałożył przykrywkę. Westchnął.

- Co prawda ledwo można ją zrozumieć, ale owszem. Clay czasami do niej przychodził, żeby sprawdzić, jak sobie radzi. Czasem pomagał jej nawet w spłacaniu hipoteki.

- To podejrzane - stwierdziłem. - Zważywszy na to, że jej nienawidził.

- Tak, jak i na to, że jej były chłopak został aresztowany za molestowanie dzieci.

- Gdzie jest?

- Umarł piętnaście lat temu na raka płuc.

- Myślisz, że wiedziała, co robi Clay?

Wzruszył ramionami.

- Chyba nie. Zabieramy ją na przesłuchanie, ale wydaje mi się, że po prostu nie chciała wiedzieć. Łatwiej było pić dzin i oglądać *Dobłą cenę* - zerknąć na mnie. - I zasłaniać żaluzje, kiedy Clay mówił, że idzie pracować w ogródku.

- Powiedziała tak?

- Tak. Pomagał w ogródku.

- Ale nie sądzę, żeby to było w ogródku. Raczej w lesie. Powiedział, że tam pochował myszokoczka, czy co to tam było. To miejsce, w którym robił zdjęcia. Jego miejsce.

- Tak. Wiem. Chodź zobacz.

Kiedy przeciskaliśmy się przez podjazd, podbiegł do nas jakiś agent i wyszeptał coś do Townesa, wskazując na rosnący stopniowo tłum za taśmą. Gapie rozeszli się niechętnie, żeby przepuścić gliniarzy eskortujących małą delegację. Były to rodziny ofiar: pan Hicks, Jarrelowie i John Toner. Wszyscy mrugali i rozglądali się, jakby ktoś ich nagle obudził z głębokiego snu.

- Momencik - powiedział Townes. Wziął duży łyk kawy i podszedł do nich. Uścisnął dłoń każdego z nich, mężczyznom serwując silny uścisk, natomiast pani Jarrel lżejszy, acz serdeczny. Zgromadzili się wokół niego i kiedy coś tam szeptali, po kolei zerkali na mnie ukradkiem. Pan Jarrel mrugał tępo, tym samym zimnym wzrokiem co uprzednio. Hicks kiwnął do mnie głową, co odwzajemniłem. Pani Jarrel spojrzała mi prosto w oczy i uśmiechnęła się słodko, unosząc palce i machając do mnie nieznacznie. Odwzajemniłem uśmiech i również pomachałem z niewysłowionym uczuciem wdzięczności. Jedynie Toner unikał mojego spojrzenia, jakby ze wstydu po naszym

ostatnim spotkaniu. Skupił się na Townesie i coś smarował w notatniku, dopóki nie zadzwonił jego telefon, a on odwrócił się, by odebrać. Townes powrócił, kiwnął na mnie głową i kiedy podążyłem za nim przez ulicę, po drugiej stronie tłumu zauważyłem stojącą samotnie Dani. Uniosłem rękę, żeby jej pomachać, ale mnie nie zauważyła. Stała całkowicie bez ruchu, jakby patrzyła przeze mnie.

- Chodź - powiedział Townes. - Tędy.

Gromadnie przeszliśmy przez bramę i po raz kolejny minąłem zarośnięte krzaki, gnijącego buicka i zapadający się dom z zasłoniętymi oknami. Teraz roilo się tam od ludzi w niebieskich wiatrówkach i rękawiczkach chirurgicznych. Wszyscy coś dźwigali, wycierali i zaglądali Bóg wie gdzie. Na podwórku zniszczona część płotu została usunięta i w jej miejscu znajdował się teraz kawałek czerwonej taśmy. Kiedy przechodziliśmy, jakiś gliniarz kiwnął na nas głową i uniósł ją.

W lesie wciąż było ciemno. Światło wdzierało się tam powoli, unosząc się obok drzew i opadając z góry, gdzie się rozszczepiało i prześwitywało przez liście. Rozpraszało się, po kolei ujawniając gałąź, kamień, błyszczącą twarz, dłoń. Technicy, którzy kopali w ziemi, wciąż mieli zapalone latarki i światła na kaskach. Poruszali się i pracowali, jakby byli związani przez te wiązki światła, które kolejno wyłączały, kiedy robiło się jaśniej. Oznaczyli las i niewielką łąkę taśmą, jak jakąś siatką. Małe flagi zatknięte na plastikowych kijkach oznaczały i odliczały kwadraty. Wokół nas słychać było szmer, zakłócenia i trajkot przez radio.

Potem nic się nie wydarzyło. Czekaliśmy. Słońce wzeszło i rozpoczął się dzień. Zdjąłem kurtkę. Wciąż napływali kolejni agenci, żeby poszeptać z Townesem, a jego krótkofalówka wciąż bzyczała, na co za każdym razem reagował wsadzając palec w ucho i drąc się w urządzenie. Najczęściej jednak po prostu stał, tak jak ja. Skończył kawę i poszukał miejsca, żeby wyrzucić kubek. W końcu dał go przechodzącemu agentowi z plastikową torbą pełną przekopanej ziemi. Po kolejnej godzinie spojrzął na mnie i wzruszył ramionami.

- Co myślisz?

Również wzruszyłem ramionami.

- Nie wiem - zawahałem się, rozejrzałem wokół i zniżyłem głos:

- Słuchaj, muszę się wysikać.

Zmarszczył się.

- Nie możesz wytrzymać?

- Wołałbym nie - właściwie to chciało mi się sikać, odkąd tu przyjechalśmy, ale nie było możliwości ukrycia się za krzakiem bez potknięcia się o kogoś z FBI.

Townes westchnął.

- No to idź do domu - powiedział. - Nie możemy sobie pozwolić na żadne wypadki.

- Ha ha. Ona jest w środku?

- Kto, matka zastępcza? Nie. Pojechała do centrum.

- Dobra, zaraz wracam.

- Dobra. Nie spiesz się.

Wróciłem tą samą drogą, stąpając ostrożnie po oznaczonej ziemi i przeszedłem przez płot do ogrodu. Jeżeli ta posesja kiedykolwiek miała wokół siebie dziecianną aurę domu duchów, teraz, jak każde straszne miejsce w świetle dorosłego światła dnia, wyglądała na małą i smutną. Mimo to myśl, że mam wejść do środka, sprawiła, że się denerwowałem i zatrzymałem na chwilę na tylnych schodach, z dłonią na zardzewiałej klamce. Spojrzałem przez zakurzone okno na tyłach, żeby sprawdzić, czy pies jest w środku.

Potem usłyszałem jakieś zamieszanie dochodzące z lasu. Nic głośniego, po prostu intensywniejsze brzęczenie krótkofalówek i poruszenie w ogródku, ale to wystarczyło. Wiedziałem, że coś znaleźli. Odwróciłem się i pobiegłem przez płot i drzewa do miejsca, w którym wszyscy policjanci i agenci zebrali się, niczym tłum gapiów, których trzeba było opanować. Łokciem utorowałem sobie drogę i znalazłem Townesa.

- Townes! - krzyknąłem.

Spojrzał przez ramię i zamachał w moją stronę. Przepuścili mnie.

Stał nad wykopem głębokim na kilka stop, w którym na dole agenci w kombinezonach i białych butach odgarniali ostrożnie ziemię, przy użyciu pędzli, misek i małych noży, jak łowcy skarbów przekopujący antyczne ruiny.

- Znaleźliście coś? - zapytałem. Wskazał na ziemię. Odnaleźli złoto. Ząb i kolczyk. Jedno i drugie pokryte było warstwą ziemi i leżało na białej szmatce, której fotografowie robili zdjęcia. Widać było biały korzeń zęba. Złoty kolczyk przypominał koronkowy ażur.

- Nie wiem oczywiście, co z zębem - powiedział do mnie Townes. - Ale ten kolczyk... Stary, znam go lepiej niż obrączkę własnej żony! Należał do Janet Hicks.

Wciąż posuwali się do przodu, cal po calu, a my tylko staliśmy i gapiliśmy się. Pół godziny później znaleźli pierwszą głowę. Wyłoniła się powoli. Na początku widać było tylko kilka cienkich włosów. Ostrożnie je wyczesali, oddzielając każdy kosmyk od ziemi. Potem pojawił się czubek czaszki. Wyglądał jak pęknięta biała kopuła, jak ukryte pod ziemią jajo dinozaura. Tęgi mężczyzna w okularach o

grubych oprawach i o grubych szklach, wyglądający komicznie w białej piżamce ze stopkami i czepku pod prysznic, uklęknął i odkurzył ją sobolowym pędzlem. Grzebał wokół niej narzędziem dentystycznym. Odchylił się i dmuchnął. Pięć minut później czaszka oczyszczona była po puste oczodoły, które zerkały na nas spod ziemi. Coś błysnęło.

- Tu jest drugi koleczyk - powiedział. Odchylił się, pozwolił fotografom zrobić swoje, po czym kontynuował, odkurzając kości policzkowe i czyszcząc dziurę, która niegdyś była jej nosem.

- Tutaj! - zawołała kobieta zgarbiona tuż obok.

Do tej pory myślałem, że to mężczyzna. W białym kombinezonie kosmicznym, białych wysokich butach, białym czepku na włosy i goglach wyglądała równie bezkształtnie jak jej kolega. Kiedy jednak zdjęła gogle i spojrzała na Townesa, zdałem sobie sprawę, że tak naprawdę jest niską, dwudziestokilkuletnią piegowatą dziewczyną.

- Kolejna czaszka - powiedziała.

W ciągu następnej godziny wygrzebali w sumie trzy ludzkie czaszki. Były zakopane w linii trójkąta i otaczały szkielet, jak upierali się eksperci, świnki morskiej, nie żadnego myszokoczka ani chomika, a także kota.

- Czy Clay wspominał o kocie? - zapytał Townes. Staliśmy ramię w ramię i gapiliśmy się.

- Nie.

- Może zapomniał. Za dużo zwłok, żeby spamiętać.

- Nie. On nie zapomina.

- No tak... - westchnął Townes. Wiedział, że powinien coś powiedzieć. Wszyscy po prostu staliśmy i gapiliśmy się na trzy głowy. Kiedyś byli to ludzie, mieli twarze, a za tymi twarzami kryły się myśli. Teraz były to puste, jak pęknięta porcelana, popękane czaszki, z których wypłynęły mózgi i krew, z otworami, które kiedyś oglądały, czuły albo oddychały. Czaszki szczyrzyły do nas zęby, gotowe wybuchnąć śmiechem. Jedna z nich miała kilka złotych zębów trzonowych i należała do Nancy Jarrel, jak uznał Townes. Znał ich karty dentystyczne na pamięć. Inna miała nie gdyś, co widać było pomimo ziemi i pęknięć, olśniewający garnitur białych zębów. Dora Giancarlo. Bliźniaczka Dani. Townes powiedział, że nie miała żadnych ubytków. Chodzący ideał.

Teraz na miejscu zapadła cisza. Ludzie chodzili w kółko, mówili niskimi głosami, a aparaty furkotały. Wszyscy się nad czymś zastanawialiśmy, chociaż nikt nie powiedział tego na głos. Gdzie była czwarta głowa?

- Kopaliscie wystarczajaco glęboko? - zapytal Townes, wskazujac na miejsce oddalone o kilka stop. Tęgi koleś w kostiumie króliczka wzruszył ramionami.

- Tam pod spodem jest już tylko kamień. Nie da się tam kopać bez dynamitu albo wiertarki udarowej.

Townes kiwnął głową. Ręce trzymał w kieszeniach. Minęła kolejna godzina, a trzy głowy wciąż gapily się na nas. Skromny plon, który, zasiany wiele lat temu, wreszcie gotowy był na zbiory. Cały czas czekaliśmy tylko na to. Ale teraz, kiedy już je mieliśmy, te puste oczodoły i drwiące szczęki nie miały dla nas żadnych odpowiedzi. Rodziły tylko kolejne pytania. Dlaczego my, a nie wy? Nie miały nam do zaoferowania nic poza tym, co już wiedzieliśmy - głupi, oczywisty fakt, że wszyscy umieramy. Mówiły: wszyscy skończycie jak my. Tutaj, w sadzie czaszek, na podwórku pełnym kości, dziurze na śmieci, niezabudowanej parceli, na śmietniku.

Townes poszedł, żeby pogadać z rodzinami ofiar. Poszukiwania ciągle trwały, ale chyba porzucił nadzieję, że znajdziemy kolejną głowę, a eksperci byli zajęci pakowaniem dowodów, które poddane zostaną analizie w laboratorium. Czekala ich długa praca przy identyfikacji i rekonstrukcji, a potem napisanie tak dokładnego i szczegółowego raportu, jak to tylko możliwe. Townes potrzebował próbki DNA od krewnych, wiedząc, że przynajmniej jedna z rodzin będzie musiała pogodzić się z tym, że ich bliska nie została odnaleziona. Widziałem Dani, która wciąż stała sama. Powiedziałem Townesowi, że pójde z nią pogadać.

Kiedy do niej pomachałem, gliniarz stojący na straży natychmiast ją przepuścił, jakbym był jakimś deputowanym. Nie mogłem powstrzymać uśmiechu. Awansowałem z pogardzanego łowcy sensacji, podejrzanego w sprawie morderstwa, do rangi agenta federalnego. Ale teraz wszystko się skończyło i nie miało to żadnego znaczenia.

- Znaleźliście je... - powiedziała.
- Znaleźli trzy. Jednej brakuje. Potrzebują próbek DNA, żeby ustalić której. Ale myślę, że...
- Co?
- Nieważne.
- No co? Możesz mi powiedzieć.
- No cóż, niewykluczone, że się mylę, ale myślę, że widziałem twoją siostrę.

Dani uśmiechnęła się. Ścisnęła moją dłoń i szybko ją puściła. Odchrząknęła i kiedy przemówiła, zdałem sobie sprawę, że ma ściśnięte gardło.

- Co muszę zrobić? - zapytała. - Żeby złożyć próbkę DNA?

- Zawiozą cię do laboratorium. Albo sama możesz tam pojechać. Mogę ci towarzyszyć - dotknąłem jej ramienia. - Nie musisz tego robić teraz.

- W porządku - powiedziała. - Napiałabym się chętnie wody.

- Chodźmy do środka.

- Nie, wszystko w porządku. Nie zwracaj sobie mną głowy.

- Nie bądź niemądra. To żadna fatyga - powiedziałem, prowadząc ją przez bramę. - Szczerze mówiąc, ja sam muszę skorzystać z toalety.

Wdrapaliśmy się na skrzypiący ganek i otworzyliśmy drzwi. Przytrzymałem je, ale ona pokręciła głową.

- Ty pierwszy - powiedziała. - Trochę tu upiornie.

- Jasne... - odparłem, wchodząc do środka. Dom był brudny i śmierdziało w nim psim gównem. Wokół oklejonego taśmą izolacyjną szezlongu piętrzyły się gazety, a stolik, na którym stał telewizor, zastawiony był fiolkami po lekarstwach. Ktoś tu był zajęty umiarem. Miejsce przypominało grobowiec. Weszliśmy do kuchni. Przy zlewie stały w rzędzie puste butelki po dżinie, jakby pani Gretchen zbierała je do recyklingu. Na gwoździu nad umywalką wisiał darmowy kalendarz z chińskiej restauracji. Wciąż pokazywał kwiecień. Oplukałem szklankę i wypełniłem ją wodą.

- Dzięki - powiedziała, marszcząc nos i ze sceptyczną miną upiła łyk. Wtedy przyleciał ten mały pies, a ja wzdrygnąłem się mimo woli, ale teraz już nawet nie zwracał sobie głowy szczekaniem.

- Hej, patrz - powiedziała Dani i uklękła, żeby go pogłaskać. Polizał ją po dłoni, posłał mi lekceważące spojrzenie i zniknął gdzieś w domu.

- Wiesz, co jest najdziwniejsze? - zapytała mnie.

- Wszystko.

- No tak, ale to coś konkretnego. Dlaczego Clay nie zakopał tej głowy z resztą? Nie jest osobą, która robi przypadkowe rzeczy, jeżeli wiesz, co mam na myśli.

- Wiem - odparłem. Ja myślałem, że najdziwniejsze było to, iż wszyscy zdążyliśmy się tak dobrze poznać w tak krótkim czasie. Ile to czasu minęło? Sześć tygodni?

- Pamiętasz - zagadnąłem - jak do nas strzelali na Brooklynie?

- No oczywiście.

- Jaki to był dzień?

- 14 maja.

- Skąd wiesz?

- Ponieważ następnego dnia dostałam okresu. Wcześniej się

martwiłam, bo się spóźniał.

- Och - powiedziałem. Spojrzałem na nią, ale odwróciła wzrok. Podszedłem do kalendarza na ścianie. Policzyłem po cichu, wodząc palcem po datach. Dani spojrzała na mnie ze zdziwieniem.

- To nie Flosky do nas strzelała - powiedziałem.

- Co? Jak to nie?

- Ponieważ była na północy stanu. W sądzie. Walczyła o Claya, pamiętasz?

- Kurwa... - oznajmiła Dani.

- Tak. To by się zgadzało.

- Więc jak myślisz, kto to był? Kto jeszcze chce twojej śmierci? Zastanowiłem się.

- Nikogo innego aż tak nie interesuję.

Przewróciła oczami, tak jak zrobiłaby to Claire.

- Pomyśl, musi być ktoś jeszcze, kto nic chce, żeby sprawa została rozwiązana. Ktoś, kto boi się tego, co jeszcze może zostać wykopane.

- Tak. Masz rację - bez namysłu złapałem ją za dłoń, a ona mi jej nie wyrwała.

- Z czym mam rację, Harry? - wyglądała na podekscytowaną.

- Powiedziałas wykopać. Ktoś nie chciał, żebyśmy wykopali te głowy i odkryli, że są tylko trzy. Kiedy dowiemy się, kogo brakuje, dowiemy się też, kto do mnie strzelał.

Zabrała dłoń i zaczęła nerwowo chodzić w tę i nazad po pokoju.

- Jak myślisz, kto to może być? - spytała.

- Obstawiam Tонера. Męża numer jeden.

- Myślisz, że to jego żony brakuje? Dlaczego? Tylko dlatego, że cię nie lubi? Nie bądź taki obraźliwy - roześmiała się, a ja chciałem znów złapać ją za rękę.

- Kpij sobie, jeżeli chcesz - powiedziałem. - Ale może właśnie dlatego mnie nienawidzi. Od początku robił, co mógł, żeby mnie powstrzymać.

- Ale dlaczego? Co ukrywa? - teraz siedziała na stole ze skrzyżowanymi nogami, a ja przemierzałem pomieszczenie.

- Pomyśl tylko - powiedziałem. - Może Clay nie zakopał jej głowy, ponieważ jej nie zabił. Nigdy nawet o niej nie wspomina. Tylko o pozostałych trzech. Ale powiedział, że na początku w ogóle nie zamierzał ich mordować. Zrobił to tylko dlatego, że przyłapała go matka i głądziła tak długo, aż to zrobił. Mówił, że ustrzelił jakieś dwie dziewczyny, zanim jego matka się dowiedziała.

- Ustrzelił?

- No, aparatem - wyjaśniłem. - Poczekaj.

Nie mogłem już wytrzymać. Poszedłem do łazienki i przymknąłem drzwi. W końcu mi ulżyło.

- Słuchaj! - krzyknąłem. - Dlaczego nie ma jej żadnych zdjęć pośmiertnych? Tylko te za życia? Policjanci stwierdzili, że to dlatego, iż była ostatnia. A jeżeli była pierwszą? Pracował tam i poznał ją - aspirującą aktorkę. Nie ma zamiaru zabijać tych dziewczyn, więc nie musi się martwić, a może liczy na to, że ją zmięczy i będzie miał chody u szefa, więc strzela. To jest, fotografuje ją. Zaczyna się fala morderstw. Później Toner ogląda wiadomości, widzi ostrzeżenie, portret pamięciowy, wypatruje fotografa ściągającego ładne dziewczyny na Queens - spuściłem wodę i szybko umyłem ręce. Nie było ręcznika, więc wytarłem je w spodnie. - Dodaje dwa do dwóch, widzi szansę pozbycia się żony, której ma dosyć albo z którą ożenił się tylko dla pieniędzy. Więc morduje ją, kopiując modus operandi, o którym czytał w gazetach, i ćwiartuje na kawałki. I po wszystkim. Wszystko gra, dopóki nie pojawia się ja - otworzyłem drzwi i wróciłem do kuchni. - I co, ma to sens? Jak myślisz?

- Myślę, że jesteś pierdolonym wrzodem na dupie - odparł Toner. Stał za Dani. Jedną dłoń trzymał jej na ustach, a drugą przyciskał jej pistolet do głowy. Mrugnęła do mnie. Mały piesek stojący w drzwiach też mrugał. Powąchał but Tonera, a ten go odtrącił.

- Hej - powiedziałem, wyciągając ręce w górę. - Daj spokój.

- Daj spokój z czym? - zapytał Toner. - Kurwa, ostrzegałem cię. Wręcz cię błagałem. Jezu, to tylko twoja wina.

- Słuchaj, roi się tu od gliniarzy. Nie ujdzie ci to na sucho. To koniec.

- Nie. To był koniec. Ty to odgrzebałeś. Teraz, kiedy ja pogrzebię ciebie, to będzie kolejny koniec.

Dani patrzyła na mnie błagalnie, jak wcześniej Claire. Oczy zasły jej łzami. Pudel rozłożył się na linoleum pomiędzy Tonerem i mną i uważnie słuchał.

- Dowiedzą się, że nie ma tam głowy twojej żony - powiedziałem. - Domyśla się, co się stało.

- Pewnie. I założą, że Clay po prostu zakopał ją gdzie indziej albo zrobił z niej sobie pierdoloną popielniczkę. Kto wie? To pieprzony świr. Jak już przestaniesz wszystkich wkurwiać i zawracać im głowę, nie będą mieli powodu, żeby dalej to roztrząsać. A nawet jeżeli, to zajmie im to miesiące. Mam duże oszczędności. Mogę wyjechać z kraju. Jesteś moim ostatnim problemem. No i ta tutaj striptizerka. Więc otwórz te drzwi i zapal światło.

- Słuchaj... - zacząłem, chociaż nie miałem nic do powiedzenia.
- Zrób to - przycisnął jej splotkę do czaszki. Łzy Dani spływały mu na dłoń. Zrobiłem, co mi kazał. Otworzyłem drzwi i znalazłem włącznik. Były tam prowadzące do piwnicy schody i słaba, wisząca u sufitu żarówka. Pies natychmiast poleciał na dół i zaczął badać schody.

- A teraz złaź na dół - powiedział Toner. - Ostrożnie.

Z rękami w górze zacząłem schodzić na dół, usiłując nie potknąć się o psa. Wszedłem do małego kwadratowego pokoju z kruszącego się cementu i podłogą z ziemi. Był zatęchły i pomimo tego, że dzień był ciepły - był zimny. Znajdował się tam bojler, rury i sterty śmieci, które były resztkami wyposażenia ciemni. Nad schodami wisiała ciężka czarna kurtyna, którą Toner odciągnął schodząc i popychając przed sobą Dani. Ta miała jedno ramię wykręcone za plecami, jej twarz była czerwona. Po raz pierwszy odkąd ją poznałem, wyglądała na przestraszoną.

- Patrz - powiedział Toner. - Jak tu miło i kameralnie. Nikt nic nie usłyszy.

Zauważyłem jakieś migotanie, coś jak srebrna ryba w stawie i zanim zdążyłem się zorientować, co się dzieje, Dani wyciągnęła ramię zza pleców. W dłoni miała nóż sprężynowy. Nagle otworzyła nóż i przecięła ramię Tonera, którym przytrzymywał jej usta. Toner chrząknął, szarpnął ramieniem, a Dani zaczęła wzywać pomocy.

Natarłem na nich, usiłując skupić się na ręce, w której trzymał broń i nagle oślepił mnie rozbłysk, a w pomieszczeniu rozległ się wystrzał. Pies zaczął głośno jazgotać i biegać po schodach w górę i w dół. Dani westchnęła i osunęła się między nas, jakbyśmy ja i Toner mieli ją przytrzymać. Nie wiedziałem, gdzie ją trafił ani gdzie miał broń. Toner usiłował się wyrwać. Głowa Dani opadła na moje ramię i poczułem, że wciska mi nóż w dłoń.

Splotka ponownie wstrzeliła. Tym razem usłyszałem brzdęk, kiedy kula trafiła w bojler. Dani pojękiwała cicho, jakby miała koszmar senny. Złapałem nóż drugą dłonią i przesunąłem bezwładne ciało Dani w stronę Tonera. Wszystko działo się bardzo powoli, jak próba przecięnięcia się przez zatłoczone metro. Poczułem, jak pies płacze mi się pod nogami. Wymacałem klatkę piersiową Tonera, po czym z całej siły wbiłem w nią nóż, przebijając jego sportowy płaszcz, niebieską koszulę, a także skórę, ciało i kości pod spodem. Chrząknął gwałtownie, jakby szczechnął i zaczął miotać się, wierzgając pomiędzy nami. Nacisnąłem mocniej. Krew trysnęła mi na twarz, a on padł na bok.

Dani wyślizgnęła się i zwinęła na ziemi. Z jej szyi płynęła krew. Pies wskoczył na nią i zaczął ją zlizywać, krótkimi, prędkimi ruchami języka, jakby pił z fontanny.

Przecisnąłem się do przodu, nad Dani, i teraz Toner i ja staliśmy twarzą w twarz. Spojrzał prosto na mnie z odległości cala albo dwóch i w jego spojrzeniu widać było głównie zaciekawienie i zaskoczenie. Nie wiem, czy zaskoczyłem go ja, czy śmierć. Krew spływała mi z rąk i sączyła się przez nasze ubrania. Palce miałem śliskie i musiałem mocno chwycić nóż. Znów spojrzałem mu w oczy i obserwowałem, jak opuszcza je ostatnia iskra życia. Były martwe. Wtedy wepchnąłem ostrze aż po rękojeść. Dźgnąłem go prosto w serce.

CZĘŚĆ PIĄTA

EPILOG, 9 LIPCA 2009

Siedzieliśmy w czymś, co mogło kojarzyć się z kinem, w pierwszym rzędzie, gapiąc się w okno w pomalowanej na zielono ścianie z pustaków. Za szkłem wisiały zasłony z grubego materiału, które zawsze kojarzyły mi się z sieciowymi hotelami. Za szybą Darian Clay przygotowywał się na śmierć.

Śmiertelny zastrzyk jest procesem czterofazowym. Clay był przypięty pasami, a do klatki piersiowej przyczepione miał czujniki. Mieli mu wpuścić w żyły dwa zastrzyki, jeden dodatkowy, dla pewności, przez długie rurki. Na początku mieli roztwór z soli, żeby otworzyć żyły. Potem, na sygnał strażnika, zasłony miały zostać zaciągnięte. Następnie tiopental sodu, środek znieczulający, który miał go uśpić. Potem było pankuronium, które paraliżuje cały układ mięśniowy i zatrzymuje oddychanie. Na końcu chlorek potasu, który zatrzymuje akcję serca. Śmierć następuje w wyniku przedawkowania środków przeciwbólowych, zatrzymania procesu oddychania i akcji serca. To wszystko dzieje się w czasie, kiedy skazaniec jest nieprzytomny. A przynajmniej tak nam się wydaje.

Byli tam Jarrelowie i pan Hicks, siedzieli w pierwszym rzędzie. Tym razem wszyscy uścisnęli mi dłonie i wyrazili zaskoczenie sprawą Tонера. Pytali o Dani, którą wcześniej mieli za nafaszerowaną narkotykami latawicę. Powiedziałem im, że miała szczęście. Po tym, jak Toner padł martwy, zawlokłem ją po schodach do kuchni, gdzie zobaczyłem, że ma ranę na szyi. Wołając o pomoc, przyciskałem ranę tak mocno, jak tylko mogłem, czując, jak jej życie przecieka przez moje zaciśnięte palce. Szczęśliwie w pobliżu był tuzin gliniarzy i techników medycznych. Szybko ją ustabilizowali i zawieźli niedużą kawalkadą do szpitala.

Wszystko będzie dobrze. Kula Tонера trafiła ją w gardło, ale ominęła żyłę szyjną o kilka milimetrów. Drasnęła jednak tętnicę szyjną i przy wylocie nieco uszkodziła kręgosłup. Operacja trwała długo, a

rehabilitacja miała być bolesna. W pewnym momencie, stojąc nad jej łóżkiem, w chwili jakiegoś delirium, poprosiłem ją, by ze mną zamieszkała. Dlaczego nie?, pomyślałem sobie. Może tego właśnie potrzebowałem? Zdeprawowanej dziewczyny, która zawsze była uzbrojona. Ale odmówiła.

Jej ojciec i macocha przylecieli, żeby pojednać się przy szpitalnym łóżku. Zgodziła się z nimi zamieszkać i skończyć terapię odwykową w specjalnym ośrodku w Arizonie, a także wrócić do szkoły, chociaż nie chciała być już psychologiem.

Miała dosyć szurniętych ludzi.

Townes też uczestniczył w egzekucji. Siedział z rodzinami, ścisnął dłonie reporterom i szychom z lokalnych służb porządkowych, którzy stanowili resztę widowni. Złożył już wypowiedzenie i pracował nad scenariuszem serialu opartym na swoich przygodach. Żartowaliśmy sobie przez chwilę, że może któregoś dnia mógłbym dla niego pracować, ale złapał go jakiś reporter i poszliśmy pozować do zdjęcia. Uznaliśmy, że w końcu się polubiliśmy, ale teraz, kiedy już było po sprawie, nie pozostało nic do powiedzenia. Jeżeli ktoś, kogo znam, nie zostanie zamordowany, nasze ponowne spotkanie raczej nie wchodziło w grę.

Przynajmniej dzień był przyjemny. Gdyby była to, powiedzmy, burzowa noc, kusiłoby mnie, żeby skłamać, choćby po to, żeby uniknąć banału. Jednak był to piękny letni dzień i wszędzie czuć było życie. Powietrze było gęste i miękkie, czułem jego jedwabisty nacisk na skórze. Gdy jechałem pociągiem, drzewa rosnące wzdłuż torów falowały, a kwiaty były tak szeroko otwarte, że sprawiały wrażenie, jakby kręciło im się w głowie. Wyglądały jak pijacy z kreskówek z wywieszonymi jęzorami.

Już na drodze do więzienia, która składała się głównie z asfaltu, betonu i ogrodzenia, widziałem kępę pięknych słoneczników - wyzywających, jaskrawych, wysokich. Niczym kompania honorowa gotowa do strzału. Pomyślałem na ten widok, że Clay nie zobaczy tego już nigdy. To właśnie jego kara. Każda taka chwila, którą straci. Ale nie wyglądało na to, że żegna ten świat z żalem. Na ostatni posiłek zażyczył sobie krwisty stek, homara i ciasto czekoladowe, którym podzielił się ze strażnikami. Potem przez jakiś czas czytał magazyn i zasnął, najwyraźniej bez problemu. Nie wiem, jaki to był magazyn. Czułbym się mimo wszystko mile połączony, gdyby okazało się, że był to jakiś stary numer *Lubieżników*.

Kiedy dotarliśmy do bram więzienia, natknęliśmy się na grupkę dwudziestu czy może trzydziestu demonstrantów. Niektórzy z nich

mieli transparenty. Była to dziwna zbieranina: podstarzali hipisi, zakonnica, dwóch mnichów buddyjskich o ogolonych głowach i kilku poważnych, zarośniętych młodych ludzi. Wśród nich cicho i bez ostentacji przycupnęła Theresa Trio, której nie widziałem ani z którą nie rozmawiałem od tamtego dnia, kiedy siedzieliśmy na ławce. Pomachałem do niej, ale mnie nie widziała. Potem brama się zamknęła.

Miałem też wieści od Claire. Kilka dni wcześniej dostałem maila. A prawie straciłem już nadzieję:

Hej, Sibylline,

Jak leci? Pamiętasz mnie jeszcze? Przepraszam, że nie dzwoniłam ani nie pisałam. Oczywiście nie byłam zła. Ocaliłeś mnie. Myślę, że się bałam. Nie ciebie. Nigdy. Byłeś moim najlepszym przyjacielem!! Myślę, że świat nagle wydał mi się przerażający i musiałam wrócić do domu i pobyć chwilę dzieckiem, którym chyba jestem.

Lato spędzam w Lawn Guyland, mój tata ma tam dom na plaży. Jest okropnie, ale w porządku. Potem wyjeżdżam do szkoły z internatem w Szwajcarii. Wiem, że to dziwne, ale strasznie się cieszę. Czy to nie megafrajerskie? Może jednak będzie okropnie, kto wie. A może ucieknę i wprowadzę się do ciebie. Pozwolisz mi? Dzięki, że pozwalałeś mi się tak z tobą trzymać. Dziękuję za wszystko, co zrobiłeś. I za to, czego nie zrobiłeś. Dziękuję, że się mną zaopiekowałeś. Przepraszam, że ja już nie mogę się tobą zajmować. Ale ty mnie nie potrzebujesz. Nie tak naprawdę. Dzięki za to, że udawałeś. XOXO, C.

O piątej strażnik dał sygnał i kurtyna została odsunięta. Darian Clay był przypięty pasami do czarnego stołu, który miał przedłużenia na ramiona. Wyglądał, jakby go mieli ukrzyżować albo jakby siedział w jakimś fotelu do masażu sado-maso. Kroplówki wystawały z jego ramion i biegły do dziury w ścianie, gdzie kontrolowali je niewidoczni technicy. Chociaż wiedziałem, że ta kryjówka była współczesnym odpowiednikiem kaptura kata, wciąż wydawało mi się to niedorzeczne. Czy bali się, że martwy mężczyzna będzie wiedział, kto go zabił? Może myśleli, że wróci zza grobu i będzie ich nawiedzał albo będzie czekał na nich w piekle? Jeżeli tak, to czy chowając się za ścianą mogli uciec przed duchem?

Clay rozejrzał się wokół, uśmiechnął się do nas i uniół palce, jakby chciał nam pomachać. Wszyscy kręcili się nerwowo w krzesłach, a ja spojrzałem na rząd przed sobą. Włosy pani Jarrel się przerzedzały. Pan Jarrel miał łupież na rękawie garnituru. Z jakiegoś

powodu te dwa drobiazgi sprawiły, że poczułem nieznośny smutek. To ci nie pomoże, pomyślałem sobie. Nic nie sprawi, że ci ludzie poczują się lepiej, może oprócz mijającego powoli czasu i słodczy jakiejś nowej radości. Ale nawet sam fakt, że wspomnienia blakną, wywoła tylko większy smutek. I chociaż zagadka została rozwiązana, a sprawiedliwości stało się zadość, prawdziwa tajemnica nie została odkryta. Być może mieli tego świadomość nawet teraz, kiedy siedzieli, obserwowali i trzymali się za ręce. Strażnik zapytał Claya, czy ma jakieś ostatnie słowa do powiedzenia. Kiwnął głową i coś wymamrotał. Strażnik zmarszczył nos.

- Ostatnie słowa więźnia, to: *Nie mam do was żalu* - odchrząknął.
- *Wybaczam wam wszystkim* - po czym szybko powiedział coś do interkomu i wydał rozkaz. Znieczulenie trafiło do krwiobiegu Claya.

Zareagował niemal natychmiast, uniósł głowę, jakby ktoś go zaskoczył, po czym powoli ją opuścił. Wydawało się, że jego ciało się odpręży. Potem, jakby walczył z nagłą sennością, wykręcił głowę raz jeszcze i spojrzał na nas. Spojrzał na Jerrelów i Hicksa. Odwrócili wzrok.

Spojrzał na Townesa, który odwzajemnił spojrzenie. Clay kiwnął na niego głową. Potem spojrzał na mnie i ja też patrzyłem mu w oczy, starając się coś zobaczyć, jakąś wiadomość, cokolwiek chciał mi przekazać. Ale kto wie, czy tak było? W końcu był na haju.

Zamknął oczy i opadł na stół.

Strażnik dał znak i wstrzyknęli mu kolejny medykament, który sparaliżował jego mięśnie i obserwowaliśmy, jak palce Claya drgają i zamierają. Jego klatka piersiowa uniosła się i opadła po raz ostatni. Potem wpuścili w rurki ostatni narkotyk, który zatrzymał ostatni poruszający się mięsień w jego organizmie. Serce. Wpatrywaliśmy się w niego. Kilka minut później wszedł lekarz i ogłosił czas zgonu o 5.12. Wstałem i wyszedłem. Nie chciałem się z nikim żegnać. Nie chciałem oglądać ich twarzy, kiedy się odwracali. Nie chciałem pokazywać też swojej.

Przeszedłem przez ochronę i wyszedłem na zewnątrz. Właśnie ogłosili śmierć Claya. Mała grupa protestujących modliła się w małych grupkach, trzymając się za ręce albo zapalając świece. Inni pakowali już tablice do samochodów. To musiało być dla nich trudne. Nikomu tak naprawdę nie było przykro, że nie żyje. Theresa stała odłączona od grupy. Kiedy mnie zobaczyła, uśmiechnęła się i krótko mi pomachała.

- Cześć - powiedziała. - Zastanawiałam się, czy będziesz.

- Clay mnie zaprosił. Wiem, że to dziwne.

- Czułam, że muszę tu przyjechać - oznajmiła.

Zaczeliśmy iść razem w kierunku parkingu.

- A co z Flosky? - zapytałem. - Jeżeli ona tam wylądowała, też przyjdiesz protestować?

- Tak - nasze spojrzenia spotkały się na chwilę, po czym znów zaczęła patrzeć na swoje stopy. - Jeżeli nie mogę bronić swoich przekonań, to kim jestem?

Mną, pomyślałem, ale powiedziałem tylko:

- Jasne.

- A co z tobą? - zapytała. - Co zamierzasz zrobić?

- Nie mam żadnych przekonań, z tego co mi wiadomo. Tylko procesy.

- Nie o to mi chodzi - uśmiechnęła się. - Pytam o książkę.

- Nie ma żadnej książki. Główną wartością książki miało być jego wyznanie, jego własne słowa. Teraz nikogo to już nie obchodzi. I, jeżeli nie zauważyłaś, to już nie wzbudza takiej sensacji.

- No cóż... - powiedziała.

- No cóż... - powtórzyłem - Teraz to raczej książka o Flosky może wzbudzić małą sensację, ale wydaje mi się, że na jakiś czas mi

starczy. To wszystko zawracanie głowy - roześmiała się, a ja ciągnąłem:

- Muszę jednak szybko coś napisać. Jak tego nie zrobię, to skończę pewnie jako nauczyciel w podstawówce.

Przeszliśmy przez kolejną bramę i byliśmy już na parkingu dla pracowników więzienia. Niektórzy z nich spędzą tu więcej czasu niż skazańcy.

- Hej, mam pomysł - powiedziała, rozchmurzając się i dotykając mojego ramienia. Nie po raz pierwszy, jeśli dobrze pamiętałem. - Dlaczego nie zrobisz z tego książki o wampirach? Wampir-seryjny zabójca. Albo czekaj, jeszcze lepiej, wampir-policjant, który musi ścigać seryjnego mordercę.

- Tak - przyznałem. - Może coś z tego być.

- Myślę, że to byłoby świetne - powiedziała. - To znaczy, świetny początek, ale to pewnie najtrudniejsza część, prawda? Początek?

- Nie bardzo.

- Koniec?

- Ani jedno, ani drugie - mówiłem. - Tak jak w życiu. Najtrudniejszy jest środek.

Uśmiechnęła się do mnie, a ja odwzajemniłem uśmiech i przez chwilę wydawało mi się, że uszłoby mi na sucho, gdybym ją pocałował, gdyby tylko okoliczności nie były tak koszmarnie nieestosowne. Usłyszałem głośny klakson i odskoczyłem, gdy zaparkowało obok nas czarne subaru, pełne radosnych młodych ludzi, zawsze gotowych zjawić się tam, gdzie ich akurat nie trzeba.

- Wskakuj, T.! - wrzasnął obdarty chłopak z brodą i kolczykiem w nosie.

- Muszę już iść - powiedziała.

- Rozumiem - odparłem. - Do zobaczenia w mieście?

- Pewnie, zadzwoń do mnie kiedyś - wyszczerzyła zęby. - Albo poszukaj mnie w internecie.

Roześmiałem się.

- Więc to ty byłaś vampemT3?

Wzruszyła ramionami.

- Może. Może nie - wspięła się na tylne siedzenie samochodu. Trzasnęła drzwiami, a ja odwróciłem się, żeby poszukać drogi do wyjścia, ale usłyszałem, że ktoś mnie woła.

- Hej, Harry!

Odwróciłem się. Samochód już ruszał, a ona wychyliła się z okna.

- Tak?

- Pisz dalej. Potrzebujemy się - pomachała i samochód odjechał.

Nie wiem, jak wy, ale ja nienawidzę dochodzić do końca tajemniczej historii. Był to dla mnie problem od dzieciństwa, kiedy siedząc samotnie w bibliotece odkryłem Poego, pierwszego pisarza dla dorosłych, którego naprawdę pokochałem. Poza tym, że pisał świetne horrory i fantastyczne historie, był ojcem opowieści detektywistycznych. Od tamtej pory, niezależnie od tego, co czytałem i co miało podobno być bardziej realistyczne, eksperymentalne albo psychologiczne, wciąż wracałem do kryminalów, na długo przed tym, jak zostałem zmuszony do tego, by pisać je za pieniądze. Niezależnie jednak od tego, wciąż pozostawał pewien problem: wolę początek od końca. Uwielbiam kryminały i jestem zwykle nieco zawiedziony rozwiązaniem.

Najtrudniejszą rzeczą w pisaniu kryminalów jest to, że nie są wystarczająco tajemnicze. Życie pokonuje formę, którą nadaje mu literatura, niezależnie od tego, czy jest nią genialny thriller czy też prosty trzyaktowy kryminalny chłam. Prawdziwym ryzykiem i niebezpieczeństwem życia jest to, że nigdy nie wiadomo, co się stanie, a wynika to z kompletnie przypadkowej rzeczywistości, w której każdy moment jest wyjątkowy i niepowtarzalny i o której wiemy tylko jedno: że kiedyś się skończy. Stąd moje rozczarowanie większością historii o detektywach, jak i odpowiedziami, które nigdy nie są równe ogromnej ilości pytań, które prowokują.

Konwencjonalne spojrzenie na kryminały, jak mówił Auden, jest takie, że jest to w zasadzie bardzo konserwatywny gatunek. Zbrodnia narusza status quo; czytelnicy raczą się grzesznym dreszczykiem, po czym obserwują z aprobatą, jak detektyw, agent albo Porządek Społeczny na końcu sprawiają, że wszystko się układa. Kończymy kakao, owijamy się kołdrą i jesteśmy bezpieczni. To prawda. Ale ta teoria nie uwzględnia jednak następnej książki i następnego morderstwa. I jeszcze następnego. Kiedy weźmie się wszystkich Poirotów, Maigretów, wszystkich Lew Archerów i Mattów Scuddersów, dostaje się coś,

co nas dziwi, a zarazem wydaje się znajome. Świat, w którym nieustannie pojawiają się tajemnicze, destrukcyjne siły, a wszystkie rozwiązania są tylko tymczasowe - są tak naprawdę krótkimi przerwami, podczas których bierzemy oddech przed następną sprawą.

I tak, podjąłbym się kolejnej sprawy, pomimo wszystkich moich porażek. Nie z jakichś szlachetnych pobudek ani nie dla zdobycia uznania w oczach Jane czy Theresy, ale po prostu dlatego, że nie mógłbym się powstrzymać. Było już za późno. Clay i ja zaczęliśmy iść swoimi ścieżkami już w dzieciństwie, w małych pokojach na Queens, mieszkając z matkami. O jego matce powiedziałem już wystarczająco. Jeżeli zaś chodzi o moją... cóż, czyż to nie oczywiste? Byłem małym samotnym chłopcem, który siedział z nosem w książkach. Minęły dziesiątki lat, a ja ciągle to robię. Ale nie jestem psychopatą, któremu wydaje się, że jego własny, wewnętrzny świat jest prawdziwy. Zamiast tego przyznaję, że mój świat jest niczym, pyłkiem, zwykłą fikcją. Ale ciągle w niego brnę - biedny, samotny, nieszczęśliwy, zdeprawowany, zgorzkniały i neurotyczny. I nie ustępuję. Trzymam swoje książki jakby wbrew rzeczywistości, jak lustro, które odbija tylko sny. Każdy tekst literacki jest wielkim zwycięstwem i małym aktem oporu przeciw światu.

Myślałem o tym wszystkim, wracając pociągiem do domu i próbowałem, myśląc o historii Claya, naszkicować pierwszy rozdział mojej własnej książki. Wracałem do mieszkania mojej matki, do pustego łóżka, wiedząc, że następnego ranka prawdopodobnie zacznę pisać. A ponieważ taki tani pisarzyna jak ja nie może sobie pozwolić na stratę dobrej historii, musiałem uratować wszystko, co miałem, przerabiając rzeczywistość na fikcję, zmieniając imiona i inne szczegóły. Ale tym razem jedno nazwisko miało być prawdziwe: moje własne.

Clay powiedział, że wszyscy jesteśmy jedynie naczyniami, w których jest tylko kropla życia i tłuczenie tych naczyń nic nie znaczy. Jak wylewanie tej kropli z powrotem do oceanu, z którego zresztą wypłynęła. Tak właśnie o nim myślałem, kiedy leżał śpiąc zbyt mocno, by zorientować się, że nie żyje, że ten ostatni strumień wpływający do jego krwiobiegu ma być tym, który go zabierze.

Jego historia była taka jak wszystkich: porywista, mroczna rzeka, która płynie przez przełomy, doliny i lasy, by wpaść do ogromnego i tajemniczego morza. Tylko wtedy, kiedy prędkość zamienia się w bezruch, a my wreszcie możemy swobodnie dryfować, zdajemy sobie sprawę, że od jakiegoś czasu unosi nas prąd, a teraz jesteśmy już daleko, a wokół jest zbyt głęboko. Ale wtedy jest już za późno.

Dotarliśmy do kresu nocy i do końca naszej historii. Dotarliśmy do pustej strony.

Być może zorientowaliście się, które prawdziwe postaci zmieniłem albo połączyłem, jakie z kolei nigdy nie istniały oraz które fakty i daty zmieniłem. Może czujecie się, jakbyście mnie znali, jak godnego zaufania narratora powieści albo może jako pisarza, który napisał książkę. Ale ja jestem tylko duchem. Ale na razie powiedzmy sobie, że pewnego letniego wieczoru byłem w pociągu, który jechał w stronę miasta i że z okna ujrzałem czarną rzekę płynącą pomiędzy zarośniętymi brzegami i że wszystko to powoli znikało w coraz ciemniejszym niebie. A teraz zamknijcie książkę i zgaście światło.

O AUTORZE

David Gordon urodził się w Queens, mieszka w Nowym Jorku. Uczęszczał do Sarah Lawrence College, ma tytuł magistra literatury angielskiej i literatury porównawczej oraz magistra sztuk pięknych - obydwą zdobył na uniwersytecie Columbia. Pracował w filmie, modzie, branży wydawniczej i pornograficznej. To jego pierwsza książka.

PODZIĘKOWANIA

Chciałbym podziękować za nieocenioną pomoc, bez której ta książka nigdy by się nie ukazała, następującym osobom: mojemu agentowi Dougowi Stewartowi za jego mądrość i wytrwałość; nieustraszonemu i niepohamowanemu Sethowi Fishmanowi; mojej redaktorce Karen Thompson za pomoc i wiedzę; nauczycielom i kolegom ze szkół, od szkoły podstawowej nr 69 po Columbię, którzy utrzymywali mnie w przekonaniu, że jestem w stanie to zrobić; przyjaciółom, zbyt licznym, by ich tutaj wymieniać; którzy czytali wszystkie pierwsze, drugie i trzecie wersje i których cierpliwość oraz wyrozumiałość nie przestają mnie zadziwiać; moim obu Jennifer, za ich życzliwość i wdzięk; a przede wszystkim rodzinie, której miłość, wsparcie, cierpliwość i hojność są nieskończone i która, daję słowo, w ogóle nie przypomina postaci z mojej książki.